

Briggs Patricia

Mercedes Thompson 06

Piętno rzeki

*Derekowi, Michelle, Jodi, Kari,
Elaine i Megan - nadszedł czas
na dedykację dla Was.
Także Laurze i Genevieve -
witajcie w rodzinie.*

ZA ECHEM DALLES:

POSZUKIWANIA DWÓCH ZAGINIONYCH TRWAJĄ

Nadal nic nie wiadomo o losach Thomasa Kerringtona (62 l.) oraz jego syna Christophera Kerringtona (40 l.), których łódź odnaleziono w dole rzeki, trzy kilometry od zapory Johna Daya. Mężczyźni wybrali się na ryby w poniedziałek rano i od tamtej pory słuch o nich zaginął. *W tym roku na Kolumbii wydarzyło się wyjątkowo dużo wypadków z udziałem łódek - powiedział zastępca szeryfa hrabstwa Sherman, Max Whitehead. Zwiększyliśmy liczbę patroli i przestrzegamy wodnych turystów, aby zachowali najwyższą ostrożność.* Grupy ratownicze nieustannie przeszukują rzekę, jednak po czterech dniach szanse na odnalezienie zaginionych są nikłe.

ZA NOWINAMI HOOD RIVER:

W ostatnich tygodniach drastycznie spadła populacja ryb w zbiornikach zapór Johna Daya oraz Dalles. *Obawiamy się, że gdzieś na terenie pomiędzy zaporami mogło dojść do zanieczyszczenia wód toksycznymi odpadami - mówi Allen Robb z Okręgowego Inspektoratu Rybactwa i Leśnictwa w Oregonie. Zanotowaliśmy znaczny spadek pogłowia ryb, nasi pracownicy donoszą, iż jest to szczególnie wyraźne w odniesieniu do dorosłych osobników łososa kizucza.* Mimo szeroko zakrojonych badań jak dotąd nie stwierdzono ani śladów trucizny, ani też zwiększonej liczby martwych ryb. *Ryby się wystraszyły - powiedział nam miejscowy przewodnik wędkarski, Jon Turner Bowman.*

ROZDZIAŁ 1

Bezlitosne światło latarní ulicznych uwidaczniało wyschnięty, pożółkły gazon przed domem Stefana. Trawa została skoszona, ale tylko na odczepnego, bez dbałości o estetykę. Sądząc z ilości leżącego na podjeździe siana, trawnik zostawiono odłogiem na tyle długo, by doczekać się urzędowego nakazu skoszenia. Trawa była tak sucha, że kosiarz mógł zapomnieć o obowiązkach, dopóki ktoś nie nawodni gazonu.

Zwolniłam i zaparkowałam przy krawężniku. Kiedy ostatnio widziałam dom Stefana, nie odstawał on od innych w tej sztywnej okolicy. Wyraźny na frontowym trawniku brak gospodarskiej ręki nie rozciągał się jeszcze na budynek, ale i tak martwiłam się o mieszkańców tego domu.

Stefan był energiczny, bystry i... Był po prostu Stefanem, potrafiącym migać z głuchym chłopcem o Pokemonach, pokonywać bandytów, siedząc w klatce,

a potem wsiąść do swojego furgonu i jechać na konfrontację z następnymi łotrami. Był jak Superman, tyle że z kłami i pokreconym kręgosłupem moralnym.

Wysiadłam z samochodu i skierowałam kroki ku gankowi. Na podjeździe, zza pokrytego brudem okna zwykle wypieszczonego volkswagena łypnął na mnie Scooby-Doo. Sama kupiłam maskotkę psa, pasował idealnie do vana pomalowanego w stylu Wehikułu Tajemnic.

Stefan nie dawał znaku życia już od kilku miesięcy, ściślej, od Bożego Narodzenia. Byłam pochłonięta różnymi sprawami, między innymi własnym porwaniem, które dla mnie trwało dzień, a dla innych miesiąc (królowe wróżek potrafią robić takie hece z czasem). Jednakże od miesiąca dzwoniłam do niego raz na tydzień i za każdym razem zgłaszała się automatyczna sekretarka. Zeszłej nocy próbowałam dodzwonić się aż cztery razy, żeby zaprosić go na Wieczór Kiepskich Filmideł. W zwykłym składzie brakowało jednej osoby - Adama, mojego towarzysza, narzeczonego i Alfę watahy dorzecza Kolumbii, który wyjechał w interesach.

Adam był właścicielem firmy ochroniarskiej, która do tej pory przyjmowała zlecenia głównie dla agencji rządowych. Od czasu, gdy światu zostało wyjawione istnienie wilkołaków, jego biznes kwitł na wszystkich frontach. Najwyraźniej uważano, że wilkołaki sprawdzają się w roli ochroniarzy. Adam szukał współpracownika, który przejąłby zadania wymagające wyjazdów, ale jak na razie nie znalazł odpowiedniej osoby.

Pod nieobecność Adama mogłam skupić się na innych ważnych w moim życiu ludziach. Uznałam, że Stefan miał dość czasu, by wylizać się z ran, jednak sądząc po tym, co ujrzałam, przybyłam dużo za późno.

Zastukałam do drzwi, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zapukałam w rytmie cha-cha. Wreszcie, gdy zabrałam się poważnie do sprawy, zamek szczęknął i w progu ujrzałam Rachel. Kiedy widziałam ją ostatnio, wyglądała jak modelowa zblazowana gotka albo nastolatka na gigancie. Teraz można ją było wziąć tylko za ćpunkę. Straciła z piętnaście kilogramów, i to wcale nie nadmiarowych. Włosy wisiały w tłustych, skołtunionych strąkach, a ciemne zacieki z tuszu gwarantowałyby angaż do „Nocy żywych trupów”. Miała wyraźne sińce na szyi, a trzymała się tak, jakby bolały ją wszystkie kości. Udałam, że nie zauważyłam braku dwóch palców u prawej ręki. Kikuty już się zagoiły, jednak blizny były jeszcze żywoczerwone.

Marsilia, Pani wampirów z Tri-Cities, posłużyła się Stefanem, swym lojalnym rycerzem, by pozbyć się zdrajców z chmary, a jej plan obejmował odebranie mu menażerii, ludzi, na których zerował, oraz zerwanie łączącej ich więzi krwi w celu utwierdzenia go w przekonaniu, że nie żyją. Uznała też chyba, że konieczne są tortury, ale ja nie wierzę wampirom - poza Stefanem. Uważam, że kłamią. Marsilia nie sądziła, że Stefan będzie miał coś przeciwko, gdy już się dowie, iż wykorzystwała jego i jego menażerię dla własnej obrony. Koniec końców był jej wiernym

żołnierzem. Nie przypuszczała, jak fatalnie Stefan zniesie jej zdradę. Z tego, co widziałam, nie radził sobie z tym wcale.

- Lepiej stąd idź, Mercy - rzekła słabo Rachel. -Nie jest tu bezpiecznie.

Przytrzymałam drzwi, zanim je zatrzasnęła. -Jest Stefan?

Z trudem wciągnęła powietrze do płuc.

- Nie może ci pomóc.

Z jej słów nie wynikało przynajmniej, że to Stefan znajduje się w niebezpieczeństwie, przed którym mnie przestrzegała. Kiedy odwróciła głowę, ujrzałam, że ktoś na niej zerował. Człowiek, bo nie były to ślady po kłach, ale poszarpana zaskorupiała rana biegnąca wzdłuż ścięgna od obojczyka aż po zuchwę.

Pchnęłam drzwi i weszłam do środka, wyciągając rękę, by dotknąć rany. Rachel cofnęła się i uchyliła.

- Kto ci to zrobił? - zapytałam, nie mogąc uwierzyć, że Stefan pozwoliłby skrzywdzić dziewczynę ponownie. - Jeden z wampirów Marsilii?

Potrząsnęła głową.

- Ford.

Przez moment nie kojarzyłam, o kim mówi. Dopiero po chwili przypomniałam sobie wielkiego faceta, który wyrzucił mnie z tego domu podczas ostatniej mojej wizyty u Stefana. Na wpół wampir, oszalały połowiczną przemianą - a to wszystko zanim Marsilia dorwała go w swoje szpony. Groźny, paskudny facet. Przypuszczalnie był taki, jeszcze zanim zetknął się z wampirami.

- Gdzie Stefan?

Nie toleruję akcji, podczas których ludziom dzieje się krzywda. Obowiązkiem Stefana było dbanie o swoich i nieważne, że większość wampirów traktowała swoje menażerie jako źródło szybkiej przekąski, pozwalając owcom na powolną śmierć w cierpieniach, które mogły trwać nawet pół roku.

Stefan tak nie postępował. Naomi, jego gospodyni, mieszkała z nim już ponad trzy dekady. Stefan był ostrożny. Usiłował dowieść, że da się żyć bez zabijania. Jednak, sądząc z wyglądu Rachel, przestało mu zależeć.

- Nie możesz wejść - powiedziała. - Odejdź. Mamy mu nie przeszkadzać, a Ford...

Posadzka w przedpokoju była brudna, a w powietrzu wyczułam woń spoconych ciał, pleśni i kwaśny odór strachu. Cale domostwo dla mojego wyczulonego, kojociego nosa cuchnęło jak śmietnisko. Zresztą dla zwykłego ludzkiego pewnie śmierdziałoby tak samo.

-Już ja mu przeszkodzę - mruknęłam. Ktoś musiał. - Gdzie on jest?

Kiedy stało się jasne, że nie zamierza mi odpowiedzieć, weszłam głębiej, stanęłam pod schodami

1 zadarłam głowę, żeby mój głos był lepiej słyszalny na górze.

- Stefan! Lepiej tu zejść, bo mam z tobą do pomówienia! Stefan! Miałeś dość czasu na uzalanie się nad sobą. Albo zabij Marsilię, w czym chętnie ci pomogę, albo przebolej to w końcu.

Rachel zaczęła szturchać mnie w ramię i ciągnąć za ubranie w stronę wyjścia.

- On nie może wyjść - gorączkowała się. - On go trzyma. Mercy, musisz wyjść z domu.

Byłam twarda, silna, a Rachel ledwie stała na nogach z osłabienia i prawdopodobnie niedożywienia. Nie miałam problemu z pozostaniem na miejscu.

- Stefan! - zawołałam ponownie.

Nagle w krótkim czasie wydarzyło się tyle naraz, że dopiero później udało mi się ułożyć wszystko w kolejności.

Rachel jęknęła i zamarła, przestając mnie szarpać, raczej wczepiła się we mnie. Puściła, gdy zostałam złapana od tyłu i rzucona na pianino stojące pod ścianą w holu, przy wejściu do salonu. Rozległ się przeraźliwy hałas, mieszanina odgłosów wydobytych z instrumentu i mojego gardła, kiedy plecami grzmotnęłam o drewnianą górną klapę. Niezliczone treningi karate sprawiły, że zareagowałam automatycznie, nie zeszywniałam, tylko miękko sturlałam się po klawiaturze. Nic przyjemnego. Upadłam twarzą na kamienną podłogę. Coś wylądowało na leżącym obok bezwładnym ciele i naraz znalazłam się oko w oko z Fordem, wielkim, przerażającym facetem, który najwyraźniej, z zagadkowego powodu, rzucił się na ziemię obok mnie. Z kącika ust kapała mi krew.

Wyglądał inaczej niż ostatnio. Był wychudzony i brudny. Jego ubranie nosiło ślady potu, krwi i seksu. Jednak w szeroko rozwartych, wpatrzonych we mnie oczach czaiło się dziecinne zdumienie.

W następnym momencie ujrzałam spłowiałą fioletową koszulkę, brudne, poszarpane dżinsy, a twarz

Forda przysłoniły mi długie, ciemne, skołtunione włosy.

Mój obrońca był chudy i zaniedbany, ale wrażliwy nos rozpoznał w nim Stefana, zanim mózg sformułował pytanie. Niemyty wampir śmierdzi mniej niż niemyty człowiek, lecz wachanie go też nie należy do przyjemności.

- Nie. - Głos Stefana był cichy, ale Ford wrzasnął, a Rachel jęknęła.

- Nic mi nie jest, Stefan - uspokoiłam go, przetaczając się na czworaka. Stefan mnie zignorował.

- Nie rzucamy się na naszych gości - rzekł, a Ford pisnął żałośnie.

Wstałam, starając się nie zwracać uwagi na ból w ramionach i biodrze. Wiedziałam, że sińce mnie nie ominą, jednak dzięki brutalnym lekcjom upadania, jakie dawał mi sensei, skończyło się tylko na nich. Pianino też przetrwało zderzenie ze mną.

- To nie wina Forda - powiedziałam głośno. - Wykonywał tylko swoją pracę. - Nie wiedziałam, czy tak było, czy nie, po prawdzie podejrzewałam, że Ford oszalał, ale chciałam przyciągnąć uwagę Stefana.

Kucający pomiędzy nami Stefan odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Z jego oczu bił chłód i głód, a patrzył na mnie jak na obcą osobę.

Ponieważ nie takie potwory próbowały mnie już przestraszyć, nawet nie drgnęłam.

- Miałeś dbać o tych ludzi! - warknęłam. No dobrze, wystraszył mnie, dlatego właśnie zareagowałam tak ostro. Strach i złość nie są dobrą mieszanką.

I akurat ja, wychowana w stadzie wilkołaków, wiedziałam o tym aż za dobrze. Jednak widok Stefana i tego, co stało się z jego domem, wstrząsnął mną dogłębnie, a wolałam się bać i złościć, niż popłakać. Stefan odmówiłby mojej pomocy, gdyby uznał, że mi go żal. Łatwiej jest przyjąć krytykę.

- Spójrz na nią... - Wskazałam Rachel, a kierowany nakazem w moim tonie, sztuczka, którą zaczęłam przejmować od Adama, Stefan spojrział w stronę dziewczyny. Bycie towarzyszką Alfy wilkołaków dawało pewne korzyści.

Stefan oderwał wzrok od Rachel natychmiast, gdy zrozumiał, co właśnie zrobiłam. Popatrzył na mnie, odsłaniając kły. W tej chwili przypominał bardziej wilkołaka niż wampira. Jednak groźny grymas szybko zniknął z jego oblicza. Jeszcze raz popatrzył na Rachel. Rozluźnił napięte jak do skoku mięśnie i przeniósł wzrok na Forda. Nie widziałam miny tamtego, lecz cała postawa wielkiego mężczyzny mówiła „poddaję się”.

- *Merde* - mruknął Stefan, puszczając Forda.

- Stefan?

Twarz wampira wreszcie straciła straszny wyraz, ale w jego miejsce nie pojawiła się żadna inna emocja. Wyglądał na oszołomionego.

- Idź, weź prysznic, uczesz się i przebierz - nakazałam mu energicznie, korzystając z chwilowego zagubienia. - Bez guzdrania. Nie zostawiaj mnie zbyt długo na łasce swoich ludzi. Zabieram cię do Warrena i Kyle'a. Będziemy oglądać filmy klasy C. Adam wyjechał, więc mamy miejsce.

Warren był moim najlepszym przyjacielem, wilkołakiem, Trzecim w watasze Adama. Kyle, jego kochanek, człowiek, pracował jako prawnik. Wieczór Kiepskich Filmideł organizowaliśmy dla siebie jako terapię, ale czasem zapraszaliśmy postronnych znajomych, którzy według nas potrzebowali wsparcia.

Stefan patrzył na mnie apatycznie.

- Najwyraźniej przydałby ci się poganiacz z porządnym ościeniem, żebyś się ruszył - stwierdziłam, gestem pokazując oburzający stan jego domu i ludzi. - Na razie masz mnie, przyjaznego kojota z sąsiedztwa. Równie dobrze możesz się zebrać od razu, bo będę cię popędzała, póki się nie ruszysz. Ale zważ, że w razie czego znam kowboja, który z pewnością dysponuje elektrycznym ościeniem.

Jeden kącik ust Stefana uniósł się lekko.

- Warren jest wilkołakiem i nie potrzebuje ościenia, żeby popędzać bydło. - Jego głos brzmiał chrapliwie, jakby od dawna go nie używał. Popatrzył w dół, na Forda.

- Ten tu nikomu nic nie robi - uspokoiliłam wampira. - Ja natomiast nie potrzebuję wiele czasu, żeby doprowadzić kogoś do szału, więc lepiej się pospiesz.

Nagle rozległ się cichy trzask i Stefan zniknął. Wiedziałam, że potrafi się teleportować, rzadko jednak byłam tego świadkiem. I Ford, i Rachel drgnęli gwałtownie, domyśliłam się więc, że przy nich także nie robi tego zbyt często. Otrzepałam ręce i zwróciłam się do dziewczyny.

- Gdzie jest Naomi? - zapytałam, wiedząc, że nie dopuściłaby do tego, co działo się w tym domu.

- Umarła - odparła Rachel. - Marsilia ją złamała i nie mogliśmy jej już pomóc. To była chyba ta kropla, która przepełniła czarę goryczy Stefana. - Popatrzyła w górę, na schody. - Jak to zrobiłaś?

- Pewnie nie chciał, żebym przyszła z elektrycznym ościeniem.

Rachel objęła się ramionami. Jej okaleczona dłoń stała się teraz wyraźnie widoczna. Poza tym dziewczyna była posiniaczona, potłuczona i znękana.

- Bardzo się o niego martwiliśmy. Nie odezwał się słowem od śmierci Naomi.

Biedny Stefan, zwinął się w kłębek i chciał umrzeć, bo Marsilia go sprzedała. Zrobił też, co w jego mocy, by zabrać ze sobą do grobu resztki swojej menażerii. A Rachel martwiła się o niego.

O niego.

- Ile was zostało? - zapytałam. Naomi była twarda, więc skoro ona nie przeżyła, pewnie zginęli też inni.

- Czwooro.

Nic dziwnego, że tak wyglądali. Czterech ludzi nie było w stanie wyżywić wampira.

- Poluje poza domem?

- Nie. Nie wychodził chyba od pogrzebu Naomi.

- Należało mnie zawiadomić.

- Owszem - powiedział leżący na ziemi Ford głosem tak głębokim, że aż zadudniło. Miał zamknięte oczy. - Należało.

Teraz, gdy nie usiłował się na mnie rzucić, mogłam mu się lepiej przyjrzeć. Wychudzenie wskazy-

wało, że nie zaszedł za daleko w przemianie człowieka w wampira. Wygłodniałe, nowo powstałe wampiry wypuszczały się zwykle na łowy i same dbały o swoje pożywienie.

Stefan powinien to naprawić, zanim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

Gdybym miała elektryczny oścień, pewnie kuśłoby mnie, żeby go użyć. Przynajmniej do czasu, aż słysząc skrzypienie schodów, nie podniosłam głowy i nie zobaczyłam Stefana. Skończyłam w zamierzonych czasach studia historyczne i widziałam niejedną film o Trzeciej Rzeszy. Niektórzy więźniowie obozów koncentracyjnych wyglądali lepiej niż ten szkielet wampira. Zielona koszulka ze Scoobym, która jeszcze nie tak dawno układała się na pełnym ciele Stefana, teraz wisiała żałośnie na wystających kościach. Umyty Stefan wyglądał jeszcze gorzej.

Rachel powiedziała, że Marsilia złamała Naomi. Patrząc na Stefana, pomyślałam, że była bardzo bliska złamania również i jego. Pomyślałam też, że pewnego dnia, gdy znajdę się z Marsilią w jednym pomieszczeniu i będę miała przy sobie drewniany kołek, to na niebiosa, użyję go. Oczywiście pod warunkiem, że Marsilia będzie nieprzytomna. I jej wampiry też. Inaczej sama byłabym martwa w ciągu sekundy, bo Marsilia, co tu ukrywać, jest znacznie groźniejsza ode mnie. Mimo wszystko myśl o tym, jak ostry kołek zagłębia się w jej piersi i przebija serce, sprawiła mi nie lada frajdę.

- Może pożywisz się, zanim wyjdziemy? - zapytałam Stefana.
- Nie chciałabym, żeby ktoś nas zatrzymał na ulicy i wysłał do szpitala albo kostnicy.

Stefan spojrział na Rachel, a potem na Forda. Zmarszczył brwi, zmieszał się, a na jego obliczu odbiło się zagubienie.

- Nie. Są za słabi. Ledwie co w nich zostało.
- Nie mówiłam o nich, Kudłaty - rzekłam łagodnie. - Pożywiałeś się już na mnie, nie mam nic przeciwko, żebyś zrobił to znowu.

Jego oczy zapłonęły rubinowo, ale mrugnął dwa razy i źrenice przybrały odcień korzennego piwa w szklance, przez którą prześwieca słońce.

- To co?

Zamrugął ponownie. Efekt był ciekawy - rubin, piwo, rubin, piwo.

- Adamowi by się to nie spodobało. - Rubin, rubin, rubin.
- Adam sam by cię nakarmił, gdyby tu był - zapewniłam wampira zgodnie z prawdą i podwinęłam rękaw.

Stefan wysysał krew z mojego przedramienia, gdy zadzwoniła moja komórka. Rachel pomogła mi wygrzebać aparat z kieszeni i odebrać połączenie. Stefan chyba nawet niczego nie zauważył.

- Mercy? Gdzie ty, u diabła, się podziewasz? Darryl, Drugi Adama, uznał, że podczas nieobecności Alfy ma obowiązek mnie dyscyplinować.

- Cześć, Darryl - przywitałam go, starając się nie brzmieć tak, jakbym właśnie karmiła wampira.

Mój wzrok padł na Forda, który choć nie pozbierał się z podłogi, wpatrywał się we mnie ślepiami żółtymi, lśniąco-cytrynowymi albo bursztynowymi. Nie mogłam sobie przypomnieć, jakiego koloru były jego tęczałki jeszcze przed chwilą, ale pomyślałam, że taką barwę zapamiętałabym na pewno. Wyglądało na to, że jednak był bardzo blisko przemianie w wampira. Zanim zdążyłam się porządnie wystraszyć, z zamyślenia wyrwał mnie Darryl.

- Wyjechałaś do Kyle'a już godzinę temu, a Warren twierdzi, że jeszcze nie dotarłaś.

- No patrz - udałam zdziwienie. - Rzeczywiście, nie ma mnie jeszcze u Warrena.

- Mądrała.

Z Darrylem mieliśmy skomplikowane stosunki, obejmujące rozpiętością emocje od miłości do nienawiści. Kiedy już myślałam, że mnie nienawidzi, robił coś miłego, na przykład ratował mi życie albo fundował pocieszającą rozmowę. Gdy byłam pewna, że mnie lubi, dostawałam od niego obuchem. Pewnie mieszałam mu w głowie i dobrze, bo on robił ze mną to samo.

Darryl najbardziej z całego stada nienawidził wampirów. Gdybym przyznała się, co właśnie robię, przybyłby tu z armią i zasłał podłogę świeżym trupem. Wilkołaki zazwyczaj komplikowały wszystko bardziej niż to konieczne.

- Trzydzieści lat żyłam jakoś bez niańki - powiedziałam znudzonym tonem - więc pewnie dam też radę sama dotrzeć do Kyle'a. - Poczulałam zawroty

głowy. Z braku innych opcji postukałam Stefana w głowę ręką, w której trzymałam aparat.

- Co to było? - zareagował Darryl natychmiast, a Stefan tymczasem chwycił mnie mocniej.

Zdławiłam jęk, bo ręka zaboląła, i zorientowałam się, że Darryl musiał to usłyszeć.

-To mój kochanek. Daj mi chwilę, muszę doprowadzić sprawę do końca. - Przerwałam połączenie. - Stefan - zaczęłam. Niepotrzebnie, bo wampir mnie puścił, cofnął się parę kroków i ukląkł na jedno kolano.

- Wybacz - stęknął i podparł się dłońmi zaciśniętymi w pięści.

- Nic się nie stało - uspokoiliam go, zerkając na ramię. Mała ranka zamykała się szybko, gojona wampirzą śliną. Więcej dowiedziałam się o wampirach w ciągu ostatniego roku niż w ciągu całego życia. Niewiedza bywa błogosławieństwem.

Dowiedziałam się na przykład, że tylko więź z Adamem sprawia, iż kolejne karmienie Stefana nie będzie miało dla mnie żadnych reperkusji. Człowiek pozbawiony takiej ochrony, na którym ten sam wampir żerowałby drugi raz, stałby się owcą, taką samą jak reszta menażerii - istotą całkiem zależną od wampira, gotową wypełniać wszelkie jego rozkazy.

Komórka zadzwoniła ponownie i teraz, mając już wolne obie ręce, niespiesznie sprawdziłam numer na wyświetlaczu: Darryl. No cóż, może i będą jakieś reperkusje związane z karmieniem Stefana, ale raczej w postaci Darryla skarżącego się na mnie do Ada-

ma niż dotyczące bezpośrednio wampira. Odrzuciłam połączenie.

- Chyba wpakowałem cię w tarapaty - stwierdził Stefan.

- Chodzi ci o Darryla? E, to potrafię robić świetnie sama. I nie będzie miał ze mną łatwo, jeśli zagalopuje się za daleko.

Stefan wstał, przekrzywił głowę i spojrzał na mnie z lekkim uśmiechem. Nareszcie zaczął przypominać siebie samego.

- Nie? Panna kojocica w starciu z dużym złym wilkiem? Nie byłbym taki pewien.

Pewnie miał rację.

- Darryl nie jest moim strażnikiem - zaznaczyłam kwaśno.

- Niby nie - prychnął Stefan. - Ale gdyby coś ci się stało pod nieobecność Adama, wina spadłaby na głowę Darryla.

- Adam nie jest głupi. Stefan milczał wyczekująco.

- Rany, no niech cię. - Chwyciłam za telefon i wybrałam numer Darryla. - Wszystko u mnie w porządku - powiedziałam.

- Pomyślałam, że Stefanowi przyda się mały wypad, więc wstąpiłam po niego. Dam znać, gdy dojedziemy na miejsce, i będziesz mógł zadzwonić do Adama, że dotarłam cała i zdrowa. Możesz mu przy okazji przekazać, że o ile nie natknę się na królową wrózek, potwora z bagien albo gwałciciela z manią wielkości, poradzę sobie sama.

Słyszałam, jak Darryl gwałtownie wciąga powietrze, prawdopodobnie na wspomnienie gwałciciela.

Ja jednak miałam to już za sobą. Facet nie żył, zabiłam go własnoręcznie. Koszmary prawie ustały, a kiedy jakiś się pojawiał, miałam przy boku Adama, który pomagał mi je zwalczyć. A Adam był świetnym towarzyszem broni, nawet jeśli trzeba było walczyć tylko ze złymi wspomnieniami.

- Zapomniałaś o wampirach opętanych przez demony - dorzucił Stefan. Wampiry, podobnie jak wilkołaki, słyszały każde słowo rozmów telefonicznych. Ja zresztą też. Odkąd wprowadziłam się do głównej kwatery stada, przerzuciłam się na SMS-y.

- Właśnie - zgodził się Darryl głosem gładkim niczym miód ze żwirem. - Staramy się dać ci przestrzeń, której potrzebujesz, Mercy, ale to wcale niełatwe. Jesteś taka krucha i...

- Lekkomyślna? - podsunęłam. - Głupia? - Właśnie zdobyłam brązowy pas karate, a zarabiam na życie, naprawiając samochody. Tylko w porównaniu z wilkołakiem, można było nazwać mnie kruchą.

- Ależ nie - zaprzeczył, choć sama słyszałam, jak nazywał mnie lekkomyślną i głupią. Pośród wielu innych epitetów. - Przez twoją umiejętność przetrwania każdej kabały, w jaką się pakujesz, czasami całymi tygodniami musimy łykać leki przeciwwrzodowe. A ja nie znoszę smaku Maaloxu.

- Jestem bezpieczna. Nic mi nie jest. - Poza paroma siniakami po zderzeniu z pianinem i, jak się okazało, kiedy zrobiłam krok, lekkimi zawrotami głowy od utraty krwi. Ale Darryl nie załapałby takiego żarciku. Choć, jak każdy wilkołak, potrafił wyczuć

kłamstwo, to nie był Marrokiem i w jego wypadku wpierw musiałabym je wymówić na głos. Poza tym w zasadzie byłam relatywnie bezpieczna... Zerknęłam bacznie na Forda, ale ten nie ruszył się z miejsca, gdzie upadł, rzucony przez Stefana.

- Dziękuję - rzekł Darryl. - Wobec tego zadzwoń, gdy dotrzesz do Kyle'a.

Rozłączyłam się.

- Chyba zaczynam tęsknić za czasami, kiedy stado wołało mnie widzieć martwą - westchnęłam. -Gotowy?

Stefan podał rękę Fordowi i pomógł mu wstać, a potem popchnął draba na ścianę.

- Nie waż się tknąć Mercy - warknął groźnie.

- Tak, panie - przytaknął Ford, nie wykonując nawet najmniejszego gestu protestu, kiedy Stefan go przestawiał.

Resztki gwałtowności opuściły Stefana, zwiotczały, wsparł się czołem na ramieniu wielkiego mężczyzny.

- Wybacz, naprawię to. Ford poklepał go po plecach.

- Wiem. Naturalnie, że to zrobisz. Przyznam, byłam zaskoczona, że Ford umie powiedzieć coś poza: „Ogg, walić”.

Stefan wyprostował się i spojrzał na Rachel.

- Mamy w domu coś do jedzenia?

- Tak - odparła, a potem przełknęła z trudem ślinę i kontynuowała: - Mogę zrobić hamburgery dla wszystkich.

- Dobrze, dziękuję.

Skinęła głową, posłała mi słaby uśmiech i ruszyła w głąb domu, prawdopodobnie do kuchni. Ford dreptał za nią jak wielki psiak, naprawdę wielki, o ostrych kłach.

Przed domem Stefan potoczył wzrokiem po resztkach swego trawnika. Przystanął na moment przy vanie, potrząsnął głową i wreszcie podążył za mną do samochodu. Nie odezwał się słowem, dopóki nie wjechaliśmy na autostradę biegnącą wzdłuż Kolumbii.

- Stare wampiry są podatne na problemy z pamięcią. Nie radzimy sobie ze zmianami tak dobrze jak kiedyś, gdy byliśmy ludźmi.

- Dorastałam w stadzie wilkołaków - przypominałam. - Stare wilki też mają problemy ze zmianami. - A potem, na wypadek gdyby pomyślał, że mu współczuję, dodałam: - Oczywiście zwykle nie pociągają za sobą ludzi, którzy są od nich uzależnieni.

- Czyżby? - mruknął Stefan. - Zabawne, bo myślałem, że właśnie to nieomal zrobił Samuel.

Zredukowałam bieg i wyprzedziłam staruszkę, która wlokła się osiemdziesiątką mimo ograniczenia do setki. Gdy rycząc niewielkim silnikiem Diesla, dałam upust gniewowi, wrzuciłam z powrotem wyższy bieg.

- Zatopiony. Masz rację. Wybacz, że nie przyszłam wcześniej.

- Ech. - Stefan zaczął z uwagą przypatrywać się własnym dłoniom. - Pewnie byś przyszła, gdybym zadzwonił.

- Gdybyś był w stanie zadzwonić, pewnie byś mnie nie potrzebował.

- To co będziemy oglądać? - zmienił temat.

- Nie mam pojęcia. Tym razem Warren wybiera filmy, a on jest nieprzewidywalny. Kiedy ostatnio była jego kolej, puścił „Nosferatu” z dwudziestego drugiego roku, a jeszcze wcześniej „Zagubionych w kosmosie”.

- Lubiłem „Zagubionych”.

- Film czy serial?

- Film? No tak, zapomniałem o filmie - oprzytomniał. - Tak było dla mnie lepiej.

- Czasem niewiedza naprawdę jest błogosławieństwem.

Popatrzył na mnie i zasepił się.

- Wypij sok pomarańczowy, przestanie cię boleć głowa.

Kiedy po chwili stania w kolejce do drive-thru za namową Stefana zamówiłam dwa soki i hamburgera, zadzwonił telefon. Przekonana, że to znów Darryl mnie ściga, odebrałam, nie sprawdzając wyświetlacza. Sekundę później poprzysięgłam sobie nigdy tego nie robić.

- Mercy! - ucieszyła się mama. - Dobrze, że w końcu cię złapałam. Ostatnio trudno się do ciebie dodzwonić. A muszę ci powiedzieć, że jest problem z gołębiami. Mam kontakt do ludzi z synogarlicami, ale facet od gołębi zniknął. Dzisiaj okazało się, że oprócz gołębi hodował psy do walk i zalicza odsiadkę.

Ból głowy nasilił się nagle.

- Gołębie?! - Mówiłam, żadnych gołębi. Gołębie i wilkołaki nie są... Tak czy owak, mówiłam mamie, żadnych ptaków.

- No na twój ślub - zniecierpliwiła się mama. - No wiesz, ten, który bierzesz w sierpniu. Zostało tylko sześć tygodni. Myślałam, że uda mi się załatwić te gołębie. - Na pewno zabroniłam jej myśleć o gołębiach... - No, ale z drugiej strony, i tak wolałabym nie dawać pieniędzy komuś zamiesznanemu w psie walki. A może Adamowi jednak by to nie przeszkadzało?

- Na pewno by mu to przeszkadzało! I mnie też. Żadnych gołębi. Żadnych synogarlic, mamó. Żadnych psich walk.

- To dobrze - stwierdziła radośnie. - Tak właśnie myślałam. Będzie o wiele lepiej. Koniec końców to zwyczaj z indiańskiej tradycji.

- Jaki zwyczaj? - zapytałam podejrzliwie.

- Motyle - rzuciła beztrąsko. - Będzie pięknie. Pomyśl tylko. Możemy też puścić balony napełnione helem. Dwie setki powinny starczyć. Motyle i złote balony wypuszczone pod niebo, by świętować początek nowego wspólnego życia. No dobrze - zakończyła dziarsko i z determinacją - to zabieram się do roboty.

Rozłączyła się. Ja gapiłam się zdumiona na aparat. Stefan podskakiwał na siedzeniu pasażera.

- Motyle! - wykrztusił pomiędzy atakami śmiechu. - Ciekawe, gdzie znajdzie motyle!

- Śmieć się, śmieć. To nie ty będziesz musiał tłumaczyć bandzie wilkołaków, dlaczego twoja matka zamierza poszczuć na nie motyle. - Rozśmieszyłam

Stefana jeszcze bardziej. Nawet nie łudziłam się, że będzie ich jeden czy dwa. Nie, moja matka nigdy nie robiła nic na pół gwizdka. Przed oczyma stanęła mi wizja tysięcy motyli i, Boże dopomóż, dwustu złotych balonów.

Pochyliłam się do przodu, uderzając głową o kierownicę.

- Damy nogę. Mówiłam Adamowi, że powinniśmy to zrobić, ale on nie chciał zranić uczuć mojej mamy. Gołębie, synogarlice, motyle, a zaraz skończymy w samolocie z fajerwerkami i powiewającym bannerem.

- Zawsze może być jeszcze orkiestra dęta. I dudy. Przystojni szkoccy dudziarze odziani jedynie w kilty. Albo tancerki brzucha, w każdym mieście jest masa zespołów. Wytatuowani cykliści. Założę się, że dałbym radę znaleźć tańczącego miśka...

Zapłaciłam za zamówienie, a on nadal wymyślał coraz to nowe, coraz wspanialsze atrakcje ślubne, podsycając moją weselną fobię.

- Dzięki. - Pociągnęłam spory łyk soku i włączyłam się do ruchu. Nie znosiłam soku pomarańczowego. - Cóż za wsparcie. Od teraz moją misją życiową będzie zrobienie wszystkiego, żebyś nie znalazł się w jednym pomieszczeniu z moją mamą. Przynajmniej dopóki nie pobierzemy się z Adamem.

Śmiech i krew ożywiły Stefana tak bardzo, że poza Kyle'owym komentarzem: „Trzeba zapamiętać, że

w stylu wieszakowatego modela nie do twarzy nawet wieszakowatemu modelowi", moi przyjaciele nie zauważyli chyba, że ze Stefanem jest coś nie tak. Taktownie przemilczeli też fakt, że piję sok pomarańczowy, którego normalnie nie tknęłabym kijem.

Uzbrojeni w trzy wielkie misy popcornu, skierowaliśmy się do pokoju, w którym mieściło się kino domowe. Kyle był rozchwytywanym prawnikiem i miał ogromny dom z pokojem kinowym. W domu Adama też był pokój kinowy, ale dom Adama służył nieoficjalnie całemu stadu. Bez przerwy nocowało w nim kilka nadprogramowych osób. W domu Kyle'a mieszkali tylko Kyle i Warren. Warren byłby szczęśliwy, śpiąc w namiocie na prerii. Kyle natomiast wolał perskie dywany, marmurowe posadzki i skórzane fotele. To, że zdecydowali się na styl Kyle'a, o czymś świadczyło, choć nie bardzo wiedziałam, o czym.

Jak się okazało, Warren wybrał do oglądania „Cień wampira”, fikcyjną ekranizację o kulisach powstawania „Nosferatu - symfonii grozy”. Twórca zapoznał się dokładnie z legendami o kręceniu starego filmu i bawił się nimi.

W pewnej chwili, widząc minę Stefana, powiedziałam teatralnym szeptem:

- Wiesz, Stefan, sam jesteś wampirem, nie powinieneś się ich bać.

- Każdy - zaczął Stefan z przekonaniem - kto choć raz spotkał Maxa Schrecka, będzie bał się wampirów do końca swych dni. Złapali go na gorącym uczynku.

Warren, który siedział w swojej ulubionej pozycji - opierając się plecami o nogi Kyle'a - wcisnął guzik pauzy, a potem odwrócił się, by spojrzeć na siedzącego na drugim końcu kanapy Stefana. Ja, jako jedyna dziewczyna, zajmowałam na wyłączność nowiutki wielki rozkładany fotel wypoczynkowy.

- Czyli twórcy filmu mieli rację? Max był prawdziwym wampirem? - zapytał. Schreck był odtwórcą głównej roli wampira w przedwojennym „Nosferatu”.

Stefan przytaknął.

- Naprawdę nie nazywał się Schreck, ale używał tego nazwiska przez wiek czy dwa. Przeróżający stary potwór. Bardzo przerażający, bardzo stary. Kiedy postanowił, że zagra w filmie, żaden z wampirów nawet słowem nie pisnął.

- Zaraz - wtrącił Kyle. - Myślałem, że jednym z zarzutów wobec „Nosferatu” było to, że wszystkie sceny z wampirem kręcono w dziennym świetle. Czy wampiry nie muszą spać w ciągu dnia?

Jako partner Warrena, Kyle wiedział więcej o istotach nocy niż przeciętny śmiertelnik, dla którego wampiry były tylko filmowymi postaciami, nie zaś kimś, kto nosił koszulkę ze Scoobym i mieszkał w ekskluzywnym domu w rzeczywistym mieście. Pomyślałam, że pewnie niedługo ujawnią się i wampiry. Wilkołaki ogłosiły swoje istnienie światu półtora roku wcześniej, choć ostrożnie dozowały informacje o sobie. Magiczne istoty, nie ludzie, ujawnili się w latach osiemdziesiątych. Ludzie powoli odkrywali, że świat jest dużo straszniejszym miejscem niż to, które od tylu wieków opisywały rozum i nauka.

- Owszem, dzień nas zabija - potwierdził Stefan. - Ale Max był bardzo, bardzo stary. Posiadał niesamowite umiejętności i nie zdziwiłbym się, gdyby chodzenie za dnia było jedną z nich. Spotkałem go tylko raz, na długo przed powstaniem „Nosferatu”. Przybył na jedną z uczt Pana Mediolanu, Władcy Nocy, choć nie był zaproszony. Wyglądało to dziwnie, gdy tłum wpływowych ludzi kulił się przed jednym brudnym, obszarpanym, niewiarygodnie brzydkim wampirem. Widziałem, jak zabił dwustuletnią wampirzycę, jednym spojrzeniem zamieniając ją w pył tylko dlatego, że się z niego zaśmiała. Władca Nocy, jej pan, choć sam już wtedy bardzo stary i potężny, nie odezwał się, mimo iż była jego najmłodszym nabytkiem i ulubienicą.

- Czy Schreck nadal żyje? - zaciekał się Warren.

- Nie wiem - odparł Stefan, a potem dorzucił pod nosem: - I nie chcę wiedzieć.

- Zawsze był taki odrażający czy zbrzydł z wiekiem? - zapytał Kyle. Kyle sam był niezwykle urodziwy i miał tego świadomość. Zawsze zastanawiałam się, czy jest próżny, czy tylko sprawia takie wrażenie, wykorzystując to jako jedną z wielu fasad mających ukryć bystry umysł za śliczną buzią. Podejrzywałam, że w grę wchodzi jedno i drugie.

- To pytanie dręczy wszystkie stare wampiry - uśmiechnął się Stefan. - Nikt z nas nie wypytuje o wiek, ale i tak potrafimy go mniej więcej ocenić. Poza Maxem Wulfe jest chyba najstarszym, jakiego spotkałem. A Wulfe nie jest odrażający ani potwor-

ny. - Zawiesił głos, a potem dodał z namysłem: -W każdym razie nie z zewnątrz.

- Może jest w całości lub w części magiczną istotą? - zastanawiałam się na głos. - Niektóre z nich mają... niezwykłą powierzchowność.

- Nie słyszałem nic na ten temat - rzekł Stefan. -Ale kto wie?

Wróciliśmy do oglądania, jednak teraz, kiedy wiedzieliśmy, że Max Schreck, grający rolę oryginalnego hrabiego Orloka, był straszidłem z wampirzych koszmarów, i tak pełen grozy film wydał nam się jeszcze bardziej przerażający. Tylko Warren wydawał się niewrażliwy na ten efekt.

Po filmie zwrócił się do Stefana:

- Wampirze - rzekł neutralnym tonem - może zejdziemy do kuchni, a ci dwoje tymczasem przejrzą bogatą filmotekę Kyle'a i wybiorą coś, dzięki czemu Mercy nie przekroczy limitu prędkości, wracając do domu?

- Ej! - obruszyłam się.

Wstał z uśmiechem i przeciągnął się, sięgając palcami do sufitu, przy okazji prezentując zachwyconemu Kyle'owi swe szczupłe ciało w całej okazałości. Warren nie był tak urodziwy jak Kyle, ale też nie straszył jak Max Schreck, a w tym momencie świadomie robił pokaz dla publiczności. Może nie tylko Kyle był próżny?

- Ejaj sobie, ejaj, Mercy. A poważnie, co powiesz na drugi film? Stefan jest nocnym markiem, ty też nie musisz się spieszyć do domu, bo nie ma przecież

Adama. No to znajdźcie coś, a my ze Stefanem dorobimy popcornu.

- Stefan wygląda na wygłodniałego - odezwał się Kyle, odczekawszy, aż partner i wampir zejda na parter. - Myślisz, że Warren go tam nakarmi?

- Myślę, że to byłby całkiem niezły pomysł. Stefan żerował dzisiaj już na mnie, ale i tak zauważyłam, że zaczął zerkać na ciebie jak na pełny talerz. Nie sądzę, żeby Warren zgodził się na dzielenie się tobą, nawet gdyby Stefan poprosił, a ty byś nie miał nic przeciwko. Wilkołaki są zaborcze. Poza tym lepiej, by Warren to zrobił, bo przynależność do stada chroni go przed zamianą w Stefanowego Renfielda.

Kyle skrzywił się niechętnie.

- Nie zadawaj pytań, jeśli nie chcesz poznać odpowiedzi. - Zeskoczyłam z fotela i zaczęłam przeglądać jedną z półek wyładowaną płytami Blu-ray, DVD i kasetami VHS.

Kiedy wilkołak i wampir wrócili, nie ulegało wątpliwości, że Stefan miał okazję się posilić. Poruszał się już nieomal z taką gracją jak zazwyczaj.

- Nie macie „Narzeczonej Frankensteina”? - zapytał, kiedy Kyle pokazał pudełko z wybranym przez nas filmem, „Zaginiony szkielet Cadavry”. - Albo „Ojca narzeczonej”? „Czterech wesel i pogrzebu”? - Łypnął w moją stronę. - A może „Efekt motyla”? - Zdecydowanie czuł się lepiej.

Cisnęłam w niego poduszką.

- Zamilcz, potworze!

Stefan złapał poduszkę i odrzucił mi ją, rechocząc.

- Co? Co? - dopytywał się Kyle. Wtuliłam twarz w poduchę.
- Matka porzuciła pomysł wypuszczenia na ślubie gołębi, a także, choć nie miałam pojęcia, że bierze to pod uwagę, synogarlic. Zamierza zastąpić je motylami i balonikami.

Warrenem wstrząsnęło to na odpowiednią skalę, Kyle wybuchnął śmiechem.

- To nowy trend ślubny. - Kiwnął głową. - I chyba coś akurat dla ciebie, bo korzeniami sięga indiańskich mitów. Legenda głosi, że jeśli zdołasz schwytać motyla, wyszeptasz mu życzenie, a potem puścisz, motyl zanieśe twoją prośbę do Wielkiego Ducha. A ponieważ złapałaś motyla i zamiast uwięzić go bądź zabić, zwróciłaś mu wolność, Wielki Duch będzie zobowiązany, by spełnić twoją prośbę.

- Czeka mnie piekło - poskarżyłam się poduszce. - Motylkowo-balonikowe piekło.

- Wiesz, lepsze to niż gołębie - zauważył Warren pragmatycznie.

ROZDZIAŁ 2

No, więc co zrobiłaś Darrylowi? - zapytał Adam, kiedy usiadł na fotelu kierowcy i zatrzasnął drzwiczki Królika.

Zwykle to ja prowadziłam mój samochód, ale Alfy kiepsko znoszą loty liniowcami pasażerskimi. Adamem, zmuszonym powierzyć obcemu panowanie nad sterami, targała teraz potrzeba przejęcia kontroli. Właśnie dlatego musiał zasiąść za kierownicą volkswagena, kiedy z Jesse, jego córką, przyjechałyśmy po niego na lotnisko.

- Nic mu nie zrobiłam - zaprotestowałam. Adam uraczył mnie przeciągłym spojrzeniem

i dopiero potem wycofał z miejsca postojowego i wyjechał z parkingu pod lotniskiem.

- Wczoraj, w drodze na wieczór filmów, podjechałam po Stefana - zaczęłam. - Wiesz, Adam, u Stefana jest naprawdę kiepsko. Stracił sporą część swojej menażerii i nie uzupełnił jej. Resz-

ta wegetowała na granicy śmierci, zresztą Stefan również.

Adam wziął mnie za rękę i obrócił tak, żeby zobaczyć wnętrze zgięcia łokcia. Sama też z zaciekawieniem spojrzałam na nieskazitelną skórę w tym miejscu.

- Mercy - rzekł, a siedząca z tyłu Jesse zachichotała. - Dość wygłupów.

- To ta druga ręka - pospieszyłam z wyjaśnieniem. - Dwa małe ślady. Jutro pewnie znikną. Przecież wiesz, że nic mi nie będzie. Więż z watahą chroni mnie przed zależnością, która wytworzyłaby się w ten sposób u człowieka.

- Nic dziwnego, że Darryl się denerwował - podjął Adam, ustawiając się w kolejce do parkingowej budki. - Nie znosi wampirów.

- Stefan potrzebuje więcej ludzi do swojej menażerii. I on to wie, i ja to wiem, ale nie mogę mu przecież mówić, co robić.

- Dlaczego? - zainteresowała się Jesse.

- Bo wampirza menażeria składa się z ofiar ludzkich - odpowiedział Adam. - Większość umiera powoli. Stefan jest lepszy od większości wampirów, ale tak czy owak, ci ludzie to ofiary. Gdyby Mercy zachęciła go, żeby ruszył na polowanie, dałaby do zrozumienia, że to akceptuje.

- A tak nie jest - zaznaczyłam stanowczo. Kierowca w samochodzie przed nami wyklócał się o coś z parkingową. Zaczęłam skubać szew dzinsów.

- Tyle że to Stefan - podjął Adam. - Czyli facet nie taki zły, jak na wampira.

- Ta - zgodziłam się żywo. - Ale mimo wszystko wampir.

Parkingowa najwyraźniej wyszła zwycięsko ze sprzeczki, bo kierowca wręczył jej kartę kredytową. Zauważyłam, że kobieta ma w swojej budce pęk baloników napełnionych helem. Na jednym z nich, foliowym, widniał napis: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, babciu!”.

- Mam prośbę - powiedziałam, gdy Adam podawał bilet.

- Tak? - Wyglądał na wykończonego. To była jego druga daleka podróż w tym miesiącu, do innego Waszyngtonu, położonego na drugim końcu kraju. Pokonane odległości odcisnęły na nim piętno zmęczenia. Rozważyłam, czy nie lepiej poczekać z rozmową, aż porządnie się wyśpi.

Jesse znów zachichotała. Córka Adama była dobrym dzieciakiem, lubiliśmy się. Dzisiaj miała brązowe włosy, tak jak jej ojciec. Choć jeszcze wczoraj były zielone. W zielonych włosach mało komu do twarzy, więc po trzech tygodniach hołdowania image'owi w stylu gnijącego szpinaku, chyba wreszcie przyznała mi rację, bo gdy rankiem wstawałam do pracy, zastałam ją w trakcie farbowania. W wypadku Jesse brąz był bardziej nieoczekiwanym kolorem niż zieleń.

- Cicho tam - zbeształam dziewczynę, udając surowość. - Dzieci i ryby głosu nie mają.

- Czego potrzebujesz? - zapytał Adam.

Wrócił, więc już czułam się o niebo lepiej. Niepokój, który nie opuszczał mnie pod jego nieobecność, ulotnił się, zabierając ze sobą uczucie paniki.

Parkingowa skinęła i dała znak do przejazdu. Przyjechałyśmy na czas, więc czekałyśmy tylko kwadrans, tym samym mieszcząc się w czasie bezpłatnego postoju.

Na widok poruszających się za kobietą baloników, szczególnie tych złotych, poczułam, jak ściska mnie w żołądku.

- Chcę wziąć ślub - oświadczyłam, gdy Adam ruszył, zostawiając okropne balony za nami.

Przekrzywił głowę i zerknął na mnie, krótko, bo szybko skierował wzrok na drogę. Pewnie i tak wyczuwał mój nastrój. Żyjąc wśród wilkołaków, trzeba przywyknąć, że nie da się ukryć silniejszych emocji. Też miałam dobry węch, lecz mógł powiedzieć mi tylko, że w samolocie siedział obok kobiety - jej zapach przeniknął tkaninę rękawa. Zwykle nasza więź pozwalała wyczuwać, co czuje partner, bywało nawet, że dawała wgląd w myśli, ale nie tym razem.

- Odniosłem wrażenie, że właśnie to zamierzamy zrobić - rzekł ostrożnie.

- Teraz, tato - wtrąciła Jesse, wetknąwszy głowę pomiędzy nasze siedzenia. - Ona chce to zrobić natychmiast. Jej mama dzwoniła w piątek oznajmić, że nie będzie gołębi...

- Myślałem, że mówiłaś, że nie chcesz żadnych gołębi? - zauważył Adam.

- ...ani synogarlic - dokończyła córka beztrąsko.

- Synogarlic? - powtórzył Adam z namysłem. -Synogarliczki są ładne. I smaczne.

Kuksnęłam go w ramię. Nie mocno, tyle tylko, żeby wiedział, że załapałam żart.

- ...bo uznała, że lepsze będą motyle - ciągnęła Jesse.
- Motyle i baloniki - uściśliłam. - Chce wypuścić motyle i baloniki. Dziesiątki, setki baloników. Żółtych.
- Skoro żółtych, to pewnie będzie chciała monarchy - stwierdziła Jesse domyślnie.
- Monarchy... - powtórzył Adam. - Wyobrażacie sobie, jak te biedaki próbują odnaleźć kierunek migracji z Tri-Cities?
- Trzeba ją powstrzymać, zanim zniszczy cały ekosystem - oświadczyłam, jedynie na w pół żartując. -1 znam tylko jeden sposób. Moja siostra uciekła, podczas gdy mama organizowała jej ślub, i pobrali się z mężem po kryjomu. Skoro ona mogła, to ja też.

Roześmiał się, a zmęczenie opuściło go po części.
- Uwielbiam twoją matkę - powiedział ze szczerym afektem, który obniżył jego głos do pomruku. -Myślę, że ochrona ekosystemu Tri-Cities jest warta sięgnięcia po ciężką artylerię. Wobec tego pobierzmy się. Mam przy sobie paszport. A ty? Masz tu swoją metrykę czy musimy najpierw podjechać do domu?

Okazało się to nieco bardziej skomplikowane, więc potrzebowaliśmy dwóch dni na dopełnienie formalności i usankcjonowanie naszego związku. Nie robi się tego tak szybko jak kiedyś, no chyba że się mieszka w Vegas. W zasadzie udałoby nam się załatwić to w jeden dzień, ale uparłam się, żeby ślub dał nam

pastor Arnez, a on miał akurat w grafiku dwa pogrzeby i jeszcze jeden ślub.

Adam utracił wiele, walcząc w Wietnamie, między innymi człowieczeństwo i wiarę w Boga. Nie był zachwycony ceremonią kościelną, jednak nie mógł oponować, nie przyznając, że nie tyle brak mu wiary, co raczej czuje gniew na Boga. Byłam zadowolona, że rozmowa na ten temat odsunęła się w czasie.

Chcieliśmy, aby ślub był bardzo skromny - tylko my, Jesse i świadkowie. W domu zatrzymał się akurat Peter, jedyny uległy wilk w stadzie, został więc jednym świadkiem. Na drugiego wprosił się Zee, mój mentor. Został wciągnięty w nasz plan ze skutkiem natychmiastowym, bo tylko on mógł poprowadzić mój warsztat podczas naszej zaimprovizowanej podróży poślubnej. Wbrew powszechnemu przekonaniu magiczne istoty nie mają problemu z przebywaniem w kościele czy świątyni, obojętne, jakiego wyznania. To nie sama religia, a sprowadzona przez chrześcijaństwo stała się śmiertelna dla ludzi - choć bywa, że nawet same magiczne istoty o tym zapominają.

Jednak na przekór naszym planom stado dowiedziało się o ślubie i gdy wtorkowego poranka dotarliśmy z Jesse do kościoła, większość watahy już tam była. Aby uczynić zadość tradycji, pan młody przyjechał osobno. Musieli się z Peterem zatrzymać po paliwo, więc byliśmy pierwsze.

- Wieści szybko się roznoszą - powiedziałam na widok zaparkowanych na placyku znajomych samochodów.

Jesse przytaknęła poważnie.

- Pamiętasz, jak Auriela próbowała zorganizować przyjęcie niespodziankę dla Darryla? Może udałoby nam się wyłączyć z tego stado, gdyby ślub odbył się już wczoraj. Przeszkadza ci to?

- Mnie nie, ale mamie będzie przykro, że pojawiło się tyle osób, a ona nie. - Poczułam, jak ściska mnie w żołądku. Chciałam urządzić ten szybki ślub właśnie dlatego, by nie zranić niczyich uczuć. Może koniec końców nie był to wcale taki świetny pomysł?

W kościelnym przedsionku okazało się, że tłum składał się nie tylko z wilkołaków. Przy wejściu powitał nas Wujek Mike - pewnie powiadomiony przez Zee. Szynkarz przyprowadził ze sobą towarzyszy włącznie - ku mojej konsternacji - z dziewczynką z jo-jo, którą ostatni raz widziałam, kiedy zajadała prochy królowej wróżek. Istota nie miała na imię „dziewczynka z jo-jo” - w rzeczy samej nigdy nie poznałam jej imienia. Po prostu, gdy spotkałam ją pierwszy raz, wyglądała jak dziewczynka i bawiła się jo-jo. Była niezwykle groźną, potężną istotą, a miała powierzchowność dziesięciolatki z kwiatkami we włosach, odzianej w letnią sukienkę. Uśmiechnęła się do mnie. Przypuszczam, iż wiedziała, jakim napawa mnie lękiem, i bardzo ją to bawiło.

Nie zamierzałam kroczyć ceremonialnie do ołtarza, ale kiedy ludzie zaczęli gromadzić się w przedsionku, Samuel, mój były chłopak i równie były współlokator, odciągnął mnie na bok i wręczył bukiet białych oraz złotych kwiatów. Odgarnął mi kosmyk włosów z lewego ucha, nachylił się i wyszeptał:

- No, będziesz miała pełne ręce roboty z naszą małą Jesse. Wystarczyły jej trzy dni i zorganizowała cały ślub.

- Trzy? - zdumiałam się. - Przecież zdecydowaliśmy się dopiero wczoraj.

Uśmiechnął się i ucałował mnie w czoło.

- Naprawdę? Ja wiedziałem już w sobotę.

Czyli zanim jeszcze Adam wrócił z podróży!

Zerknęłam na Jesse, która rozpromieniła się i powiedziała bezgłośnie: „Niespodzianka”. Dopiero wtedy rozejrzałam się dokładniej. Podczas gdy czekałyśmy na Adama, przedsiomek nabrał odświętnego wystroju. Większość przybyłych miała ze sobą pudła i kwiaty udekorowane szerokimi białymi wstążkami. Jeśli się nie myliłam, kilkoro niełudzi używało magii, żeby dodać coś od siebie.

Miałam na sobie suknię ślubną wybraną miesiąc wcześniej. Myślałam, że taki strój - dopasowana jedwabna góra i zwiewny dół - nie będzie odpowiedni do skromnej ceremonii, ale sukienka była już kupiona, a Jesse nalegała, żebym wobec tego ją założyła. Sama też ubrała się w swoją sukienkę drużny, mówiąc przy tym: „A co innego mam na siebie włożyć?” A ja niczego nie podejrzewałam! Pewnie dlatego, że suknia była zachwycająca i nie potrzebowałam silnych argumentów, żeby w niej wystąpić.

Drzwi do nawy zostały otwarte i goście weszli, żeby zająć miejsca. Wiele ławek już było pełnych. Przyszli nie tylko wilkołaki i magiczne istoty, ale też biznesowi znajomi Adama i paru moich stałych klientów. Zjawili się również Gabriel, moja prawa

ręka w warsztacie, oraz Tony, przyjaciel policjant z komendy w Kennewick. Zapуściłam żurawia do nawy, żeby zobaczyć, kogo jeszcze Jesse ściągnęła na mój skromny ślub w tajemnicy. Ujrzałam tam prawdziwe tłumy.

Samuel przytrzymał mnie, dopóki przedśionka nie opuścili wszyscy oprócz naszej trójki i Darryla. Organista zaczął grać Wagnera.

Jesse, pod ramię z Darrylem, weszła przodem do nawy i zatrzymała się przed szpalerem ławek, przepuszczając moje siostry, Nan i Ruthie, prowadzone przez Warrena i Bena, także należącego do Adamowego stada. Dziewczyny musiały się ukrywać już w kościele, specjalnie, żebym nie zobaczyła ich za wcześnie.

Adam wraz z pastorem czekali na mnie przy ołtarzu.

Zamrugałam, strzepując z rzęs łzy, i pociągnęłam nosem. W tej samej chwili Samuel puścił moje ramię, ale zanim popatrzyłam, co robi, jego miejsce zajął ktoś inny.

- Zee chciał koniecznie poprowadzić cię do ołtarza - rzekł Bran, ojciec Samuela, Marrok, przywódca wszystkich wilkołaków w Ameryce Północnej, Alfa watahy Montany, wśród której mnie wychował. - Jednak ja miałem pierwszeństwo.

- Ostro się kłócili - potwierdził Samuel. - Już myślałem, że poleje się krew.

Potoczyłam wzrokiem po kościele. Spośród wilkołaków wiele przybyło z Montany. Także Charles, brat Samuela, ze swoją towarzyszką u boku. Kiedy

mnie zobaczył, uśmiechnął się. A Charles mało kiedy się uśmiechał.

W tej właśnie chwili, aby uczynić zadość samoupokorzeniu, rozryczałam się.

Bran przysunął się i, prowadząc mnie powoli, zaczął mówić szeptem niesłyszalnym dla postronnych:

- Zanim utoniesz we łzach wzruszenia, myśląc o tym, jacy jesteśmy kochani, że tu dla ciebie przybyliśmy, powinnaś o czymś wiedzieć. Wszystko zaczęło się od zakładu...

Kiedy tak gładko, jakbyśmy to ćwiczyli, dotarliśmy pod ołtarz, nie byłam już ani wzruszona, ani nie płakałam. Nan, Ruthie i Jesse stały po mojej stronie nawy, podobnie jak Bran, który trzymał mnie pod rękę. Darryl, Warren i Ben ustawili się po drugiej stronie, przy Adamie.

Moja zdradziecka mama, siedząca w pierwszej ławie, wysłała męża, aby przypiął mi do bukietu motyla monarcha. Ojczym ucałował mnie w policzek, skinął głową Branowi i wrócił na miejsce obok matki, która uśmiechnęła się do mnie radośnie, jakby wcale nie była nikczemną intrygantką.

„Balony”, powiedziałam bezgłośnie i uniosłam brew, żeby pokazać, co myślę o jej wybiegu.

Dyskretnie wskazała w górę, a tam, u sufitu, kłębiły się dziesiątki złotych balonów. Do każdego sznureczka uczepony był jedwabny motylek.

Bran zachichotał, bez wątpienia w reakcji na moją głupkowatą minę.

- Widzisz, twoja mama nie kłamie - wyszeptał. -Całkiem jak niebudzie. Po prostu prowadzi cię na

|
sznureczku tam, gdzie chce. A wszystko dla twego dobra. Jeśli cię to pocieszy, nie jesteś sama. Przyszła do mnie z kojocim szczenięciem i patrz, co z tego wynikło. Ty przynajmniej nie jesteś jej dłużna stu dolarów.

- Dobrze ci tak, nie trzeba było zakładać się z moją mamą - podsumowałam. Rozbrzmiały ostatnie tony i Bran podprowadził mnie do Adama. Zatrzymał się, przygarnął mnie do siebie i spojrzał groźnie na Adama, a powietrze w kościele zgęstniało od charyzmatycznego autorytetu, jakim emanował. Bran z powodzeniem udawał takiego, na jakiego wyglądał - gibkiego młodzieńca, całkiem przeciętnego. Jednak od czasu do czasu pozwalał ujawnić się temu, czym naprawdę był. A był starym, bardzo starym i bardzo potężnym wilkiem. Przewodził wilkołakom w tym rejonie świata i nikt z zebranych, nawet ludzie, nie musieli zastanawiać się, jak to się dzieje, że ma bezwarunkowy posłuch u innych Alf. Pod ciężarem tej powagi nawet organista przestał grać.

- Szczeniaku - rzekł Bran, a jego głos zadźwięczał w nagłej ciszy - dzisiaj oddaję ci jeden z moich skarbów. Opiekuj się nią odpowiednio.

Adam, nie dając po sobie poznać strachu, skinął głową.

- Zatrzymaj się o nią.

I nagle niebezpieczna istota, którą był Bran, skryła się ponownie za fasadą zwykłego młodego człowieka w świetnie skrojonym szarym smokingu.

- Wywróci twoje życie do góry nogami.

Adam uśmiechnął się, a ja kątem oka ujrzałam, jak mama się wachluje. I bez uśmiechu widok Adama, wymuskanego, w smokingu, zapierał dech w piersiach.

- Robi to od dziesięciu lat, sir - odparł. - Nie wyobrażam sobie, że teraz mogłoby być inaczej.

Bran puścił mnie, a Adam ujął moją rękę.

- Straciłeś ostatnio jakieś pieniądze? - szepnęłam.

- A czy wyglądam na głupca? - odpowiedział pytaniem i uniósł moją dłoń do ust. - Czasami muszę sypiać. Nie wiedziałem o tym, póki twoja mama nie zadzwoniła do mnie do hotelu zaraz po tym motylowym telefonie do ciebie. Najwyraźniej knuły to z Jesse już od paru tygodni. My mieliśmy się dowiedzieć na samym końcu.

Przyjrzałam mu się, a potem popatrzyłam na wesolutkiego pastora. Pogrzeby, a juści.

-Ja też się nie zakładałem - zapewnił mnie pastor.

- Większość ludzi - rzekł Adam z namysłem na tyle głośno, że słyszeli go nawet goście pozbawieni super słuchu - miewa urodzinowe przyjęcia niespodzianki. Ty masz ślub niespodziankę.

Wtedy, zupełnie jakby wcześniej zostali pouczeni - choć potem kilkoro stanowczo temu zaprzeczało - wszyscy obecni krzyknęli: „Niespodzianka!”.

Gdy echo umilkło, jeden z baloników pękł z trzaskiem, a smętne resztki wraz z motylkiem spadły na ziemię za pastorem. Jeśli był to omen, nie miałam pojęcia, co oznacza.

W podziemnych salkach kościoła czekała na gości masa jedzenia i picia, skorzystałam więc z okazji i zdybałam moją młodszą siostrę, Nan.

-Jakim cudem tobie udało się wyjść za mąż w tajemnicy, a mnie przytrafił się ten ślub niespodzianka? - zapytałam.

- Masz tort na brodzie - powiedziała roześmiana, wytarła mnie i rozejrzała się za serwetką, lecz z braku takowej oblizała palec.

- Blee - skomentowałam.

- Ciesz się, że nie pośliniłam palca wcześniej. -Wzruszyła ramionami. - Poza tym krem jest rewelacyjny i szkoda, żeby się zmarnował. A jeśli chodzi o twoje pytanie, ja zviałam, zanim mama i moja przyszła teściowa się pozabijały. W moim przypadku ślub niespodzianka skończyłby się krwawą jatką. A ty masz swój, bo mama, Bran i... kilkoro innych miało wyrzuty sumienia wobec ciebie.

- Wyrzuty sumienia? Ty może, bo masz sumienie, ale mama? Nigdy.

- Niewykluczone - zachichotała Nan. - Ale zakład to twoja wina, nie nasza.

- Moja? - Uniosłam niedowierzająco brwi.

- Zaczęło się, kiedy zauważyliśmy, że na wspomnienie o ślubie wyglądasz jak przerażona sarenka. Nie mogliśmy się oprzeć i trochę żartowaliśmy sobie twoim kosztem.

Rzeczywiście, siostra dzwoniła parę razy, by mi powspółczyć zamieszania. Łypnęłam na nią spod zmarszczonego czoła.

- Wiesz, tak jakoś wyszło - tłumaczyła się spłoszona. - I któregoś dnia tata powiedział: „Dziesięć do jednego, że uciekną przed wyznaczoną datą”.

- Tata brał w tym udział? - Rzadko nazywam ojczyrna „tatą”, nie żebyrn go nie lubiła, po prostu poznałam go, kiedy miałam szesnaście lat, choć już wtedy byli z mamą małżeństwem od dwunastu lat. Zaczęłam mówić do niego po imieniu, Curt, i tak zostało.

- Oczywiście, że nie - powiedziała moja najmłodsza siostra, Ruthie, podchodząc do nas z ciasteczkierm w dłoni. Nan, wysoka, o łagodnych rysach, odziedziczyła urodę po ojcu, Ruthie natomiast była kopią mamy: drobna, śliczna i tupeciarska. - Tata był wstrząśnięty tym, do czego doprowadził. Nan, mama i ja postawiłyśmy na samym początku, ale

i Bran przyłączył się jako jeden z pierwszych. - Jakby mimochodem zabrała ze stołu kieliszek z ponczem. Odebrałam kieliszek i odstawiłam z powrotem.

- Brakuje ci jeszcze do oczka - przypomniałam.

- Mam urodziny w przyszłym miesiącu - nadeła się.

- Zakładałaś się, to cierp - oświadczyłam z satysfakcją i aż się wyprostowałam, bo wpadłam na wspaniały pomysł. - Wilki - rzekłam, wzmacniając przekaz odrobiną mocy pochodzącej z więzi stadnej, mocy, którą dopiero uczyłam się posługiwać. Nie musiałam mówić głośno, głowy wszystkich wilkołaków, aktualnie w ludzkiej postaci, zwróciły się ku mnie. - Moja siostra Ruthie nie skończyła

jeszcze dwudziestu jeden lat. Nie wolno jej pić alkoholu. - A potem na wypadek gdyby nie załapała, dodałam: - Jeśli zbliżysz się dzisiaj do tego ponczu albo innego alkoholu, wilki zareagują.

Ruthie tupnęła nogą i spiorunowała wzrokiem Nan.

- Poczekaj tylko. Ty też się zakładałaś. A kiedy tobie się dostanie, to ja będę rechotała pod nosem. - Odeszła, urażona, odprowadzana spojrzeniem przeze mnie i Nan.

- Kiedyś trafi na nią jakiś biedak - podsumowała Nan, potrząsając głową.

- Nawet nie będzie wiedział, w co się wpakował - zaśmiałam się. - Curt nadal jest przekonany, że mama to słodka istotka, która zginęłaby bez niego. I jest mu z tym dobrze. - Przypomniawszy sobie, że miałam być na siostrę złą, zmarszczyłam czoło. - Dosyć o Ruthie i mamie, miałaś mi powiedzieć, jakim cudem zakład zamienił się w ślub niespodziankę.

- No przecież mówiłam, to twoja wina. Gdy mama zobaczyła, jak strasznie się tym wszystkim przejmujesz, postanowiła załatwić za ciebie całość od a do zet. - Roześmiała się na widok mojej miny. - Tak, wiem, to przerażające. Ale patrz, tak naprawdę wcale nie bawiły cię te przygotowania. - Zerknęła z zamyśleniem na Brana, który prowadził ożywioną rozmowę z Curtem. Ojczym był dentystą, Bran trzymał władzę nad wilkołakami. Zaciekawiałam się, o czym z takim zapamiętaniem rozprawiają. - No, w każdym razie zaczęliśmy cię wkręcać - podjęła Nan. - Na początku dla zabawy, ale z czasem zakład

zrobił się poważniejszy. Kiedy stawka przekroczyła dwadzieścia dolarów, instynkt macierzyński mamy przegrał z żyłką hazardzistki. Mama obstawiła, że uciekniesz jutro, więc uknuła ten gołębiowo-motyłowy plan. Tyle że chyba ruszyło ją sumienie, że tym samym pozbawi cię prawdziwego wesela. Dlatego postanowiła sama wszystko zaplanować i zrobić. To dowodzi, że jednak ma sumienie, nawet jeśli znikome. Tak więc wyznaczyła Jesse na swojego adiutanta i z właściwą sobie skutecznością zorganizowała tę imprezę. - Nan przełknęła spory haust ponczu i aż jej oczy załzawiły. - Tak się cieszę, że mnie i Toddowi udało się uciec - zwierzyła się. - W naszym przypadku nie było innego sposobu na ominięcie katastrofy. Ale ty zasłużyłaś na piękne wesele i cieszę się, że wszystko się udało. - Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. - Ten twój Adam to niezłe ciacho - wyszeptała mi do ucha. - Jak ci się udało go usidlić?

- Łobuzica. - Uśmiechnęłam się i uścisnęłam siostrę. - Twój Todd też nie pasztet.

- Ano nie. - Wyprostowała się dumnie i łyknęła ponczu.

- Zawsze można to naprawić - rzekł Ben zza moich pleców. Brytyjski akcent przydawał mu dystynkcji, całkiem niezasłużonej. - Przerobić go na pasztet, słonko?

Odwróciłam się, pilnując, by zasłonić sobą Nan.

- Moje siostry są nietykalne - przypomniałam mu. Przez twarz wilkołaka przemknął wyraz żalu.

W przypadku Bena szanse, że to szczere uczucie, były pół na pół, ale intuicja podpowiedziała mi, że

tym razem to autentyczne uczucie. Dlatego uderzyłam w żartobliwie ganiący ton.

- Ruthie jest dla ciebie za młoda, a Nan ma dobrego męża. Dlatego bądź grzeczny.

Nan także musiała dostrzec przebłysk przykrości. Miała miększe serce niż mama, była bardziej podobna do ojca także z charakteru. Nie potrafiła stać beczynną, kiedy komuś było niemiło.

- Ech, tylu przystojniaków, a ja jestem skazana tylko na jednego - westchnęła melodramatycznie.

Ben uśmiechnął się do niej. -Jeśli będziesz chciała coś na to zaradzić... Kuksnęłam go pod żebra. Mógł zrobić unik, ale nie chciało mu się.

- Dobra, dobra - zaczął wycofywać się z udawanym strachem.
- Będę już grzeczny, przyrzekam, tylko nie bij!

Powiedział to na tyle głośno, że stojący najbliżej spojrzeli na nas.

Adam przepchnął się do nas i, mijając Bena, zmierzwił mu włosy.

- Zachowuj się przyzwoicie.

Dawny Ben zareagowałby nieprzyjemnie na tę serdeczną połajankę, jednak ten dzisiejszy uśmiechnął się do mnie.

- O nie, nigdy w życiu - odpowiedział Adamowi. Lubiłam Bena, ale jeśli znalazłabym się z nim

i Ruthie czy Jesse sama, bez wahania bym go zastrzeliła w razie potrzeby. Był spokojniejszy niż na początku, po przystąpieniu do stada Adama, ale i tak groźny. Pozostały w nim jeszcze resztki nie-

nawiści do kobiet i nadal bywało, że patrzył na nas niczym drapieżnik na ofiarę. I jak długo tak będzie, tak długo należało się mieć przed nim na baczności.

- Chciałbym ci kogoś przedstawić - zwrócił się do mnie Adam i skinął przepraszająco do Nan.

Wziął mnie za rękę i powiodł w stronę tortu. Tort był cudowny, udekorowany białymi i niebieskimi kwiatami oraz srebrnymi dzwoneczkami. Mimo że wszyscy obecni dostali swój kawałek, nadal był ogromny. Ktoś go zamówił i nie odebrał. Jesse powiedziała, że tylko tak mogli zdobyć tort w tak krótkim czasie. Wesele, na które został zrobiony, musiało być znacznie tłumniejsze niż moje. Potoczyłam wzrokiem po zatłoczonej sali i usiłowałam wyobrazić sobie większe przyjęcie.

- Chodź szybko - ponaglił mnie Adam, ciągnąc w stronę tylnego wyjścia. - Uciekamy.

Udało nam się niepostrzeżenie dostać na parking, gdzie czekał na nas samochód Adama, do którego jakimś cudem umocowano przyczepę kempingową, chyba większą od mojego niegdysiejszego bungalowu, tego, w którym mieszkałam jeszcze do zeszłej zimy, a który został spalony przez królową wróżek. Samochód został zaparkowany tak, żeby można było nim szybko odjechać.

- Skąd ten pośpiech? - zapytałam, kiedy Adam wepchał mnie na siedzenie pasażera przez fotel kierowcy, wskoczył za mną i ruszył w biegu, zatraskując drzwiczki.

- Niektórzy z magicznych wpadli na pomysł, żeby zorganizować pożegnanie panny młodej - wyjaśnił,

opuszczając parking, kiedy jeszcze sadowiłam się na miejscu.
- Które to pożegnanie, według Zee, miało obejmować porwanie oblubienicy. Uznaliśmy, żeby lepiej czymś takim nie zaskakiwać Brana, i Zee obiecał zająć gawiedź, dopóki nie znikniemy.

- Całkiem o tym zapomniałam - powiedziała wstrząśnięta własną niefrasobliwością. - Ale nie ludzie to jeszcze nic w porównaniu z Branem i Samuelem. Kiedyś ci opowiem o co oryginalniejszych wygłupach weselnych, które wspominał Samuel. - Przy niektórych porwanie to pestka.

Zapięłam pasy, pomogłam zrobić to samo Adamowi i popatrzyłam do tyłu.

- W razie gdybyś nie zauważył, do samochodu przyczepiło nam się coś sporego.

Uśmiechnął się, radosny, szczęśliwy, jak nigdy.

- To moja niespodzianka. Mówiłem ci, że zaplanowałem miesiąc miodowy.

Zamrugłam, zdumiona.

- Wpadłeś na pomysł, żeby zabrać ze sobą własny pokój motelowy? - Przyczepa wydawała się olbrzymia, była na pewno wyższa od i tak wysokiej furgonetki Adama. Szersza również. Panele po bokach najpewniej rozkładały się, tworząc dodatkową przestrzeń. - Jest większa niż mój były dom.

Adam zerknął za siebie i parsknął wesoło.

- No, możliwe. Nie widziałem jej wcześniej. Peter i Honey zabrali ciężarówkę i wszystko podłączyli.

- Kupiłeś?

- Nie, pożyczyłem.

- Mam nadzieję, że nie będziemy jechać wąskimi serpentynami ani zatrzymywać się na małych parkingach.

- Pomyślałem, że zatrzymamy się na noc na znajomym postoju dla ciężarówek w Boardman w Oregonie. - Adam skręcił na autostradę wiodącą na południe. - Romantyczna noc poślubna w zapachu oleju napędowego i przy akompaniamencie warkotu wielkich silników... - Zaśmiał się, widząc moją minę. - Spokojnie, zaufaj mi.

Rzeczywiście zatrzymaliśmy się w Boardman, żeby przebrać się ze ślubnych strojów. Wnętrze przyczepy robiło jeszcze większe wrażenie.

Adam rozpiął milion maleńkich guziczków, których rząd biegł na moim gorsecie od bioder aż po szyję. Na swoją kolej czekały następne dwa miliony maleńkich guziczków przy rękawach. Ponieważ wymagały obsługi obu rąk, mogłam spokojnie stać i podziwiać nasz mobilny pałac.

-Jest jak Bezmierna Sakwa. Wielka na zewnątrz i jeszcze większa w środku.

- Twoja sukienka? - zapytał Adam zaintrygowany.

- Bardzo śmieszne - prychnęłam. - Przyczepa. Wiesz, co to Bezmierna Sakwa, prawda? Taki gadzeciarski magiczny przedmiot, który potrafi pomieścić tyle rzeczy, że w życiu nie zmieściłyby się do torby tej wielkości.

- No co ty? Westchnęłam.

-Taki zmyślony magiczny przedmiot, z gry „Lochy i smoki”. - Wykręciłam szyję. - Tylko nie mów,

że nigdy nie grałeś w DnD. Czy jest jakaś zasada, zabraniająca wilkołakom oddawać się bezproduktywnym przyjemnościom?

Adam, śmiejąc się, oparł czoło o moje ramię.

- Może i urodziłem się w średniowieczu. - W rzeczywistości urodził się w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, choć wyglądał jak dwudziestopięciolatek. Wilkołactwo hamowało i cofało proces starzenia. - Ale grałem w DnD. Natomiast mogę z całą pewnością zaręczyć ci, że na przykład taki Darryl nigdy nie oddawał się bezproduktywnym przyjemnościom tego rodzaju. Woli paintballa.

Wyobraziłam sobie Darryla grającego w paintballa.

- Przerażające - mruknęłam. -1 to jak.

Adam przytulił się policzkiem do mojego i wrócił do swojego zadania.

- Może po prostu rozedrę to, zamiast rozpinać? - zaproponował dziesięć minut później. Mówił całkiem poważnie, tonem pełnego nadziei skazańca.

- Spróbuj tylko, a będziesz własnoręcznie przyszywał każdy guziczek - zagroziłam. - Jesse ma zamiar ją założyć.

- Niedługo?

- Nic o tym nie wiem.

-Jakoś mnie to nie pociesza - mruknął grobowo.

-Jesienią Gabriel wyjeżdża na uczelnię w Seattle - przypomniałam mu. - W tym roku chyba jesteś bezpieczny. - Moja warsztatowa prawa ręka, Gabriel, spotykał się z córką Adama. Teraz chłopak mieszkał

w małym mobilnym bungalowie, który ubezpieczyciel postawił mi w miejsce poprzedniego, spalonego. Adam nie był z tego powodu szczególnie szczęśliwy. Jako wilkołak, Alfa, był wobec swojej córki nadopiekuńczy ponad wszelkie wyobrażenie.

Wreszcie Adam uporał się z guzikami. Podczas gdy wieszałam sukienkę w szafie - tak, w przyczepie była szafa! - Adam przebrał się w dżinsy i koszulkę. Rzadko ubierał się w ten sposób. Poza siłownią najswobodniejszym jego strojem była koszula i luźne spodnie. Ja zazwyczaj i od święta ubierałam się w dżinsy i T-shirt. Jako mechanik, rzadko miewałam całkiem czyste paznokcie. Mimo to pasowaliśmy z Adamem do siebie.

W pobliskim barze Adam kupił przekąskę -hamburgera dla mnie i cztery dla siebie - i koktajle mleczne, zatankował i znów ruszyliśmy w drogę.

-Jedziemy do Portland? - zapytałam. - Czy do Multnomah Falls?

- Prześpij się. - Uśmiechnął się. Odczekałam trzy sekundy.

- Daleko jeszcze?

Uśmiechnął się szeroko, a resztki napięcia z jego oblicza ustąpiły. Za taki uśmiech oddałabym... wszystko.

- No co? - odezwał się.

Przytuliłam się, składając głowę na jego ramieniu.

- Kocham cię - wyznałam.

- Owszem - zgodził się z satysfakcją. - Kochasz.

Przełom Kolumbii to blisko stu pięćdziesięciokilometrowej długości kanion, przecinający Góry Kaskadowe. Wyznacza on częściowo granicę pomiędzy Waszyngtonem i Oregonem. Główny ruch odbywa się autostradą po stronie Oregonu, ale istnieje też droga po stronie waszyngtońskiej, biegnąca wzdłuż kanionu. Po zachodniej stronie stoki pokrywa wilgotny las strefy umiarkowanej, jednak strona wschodnia to suchy step porośnięty stokłosą i bylicą oraz zapierające dech w piersiach skalne urwiska, niekiedy w formie słupów bazaltowych.

Adam skręcił w zjazd na Biggs i przeprawiliśmy się przez most na stronę waszyngtońską. Ten most jest jednym z moich ulubionych. Przerzucony przez szeroką w tym miejscu Kolumbię, długi na prawie półtora kilometra, wznosi się łagodnym łukiem i opada, kończąc się w miasteczku Maryhill.

Miasteczko to zostało założone na początku dwudziestego wieku przez finansistę Sama Hilla. Zaprojektował w tym miejscu rajską osadę rolniczą dla kwaków i nazwał miasteczko na cześć swojej żony, Mary Hill. Pewnie uznałaby, że to dużo fajniejsze, gdyby osada nie leżała pośrodku pustyni nieomal, gdzie grubość warstwy ziemi nie przekraczała kilku centymetrów. Niewiele zostało z miasteczka - parę niewielkich sadów i winnic oraz państwowe pole kempingowe - żaden z tych obiektów nie czynił z Maryhill miejsca wyjątkowego.

Jednakże Sam Hill nie poprzestał na miasteczku. Wzniósł pierwszy w kraju monument upamiętniający ofiary pierwszej wojny światowej - w for-

mie pełnowymiarowej repliki Stonehenge, świetnie widocznej z autostrady po oregońskiej stronie kanionu.

My jednak, po zjechaniu z mostu, skręciliśmy w lewo, oddalając się od Stonehenge i Maryhill. Po kilkunastu minutach jazdy drogą po stepowej części Przełomu Kolumbii dotarliśmy do pola kempingowego. Choć teren wyglądał jak spod igły, świecił pustkami. Adam zatrzymał się na podjeździe, wydobyl z za osłony przeciwsłonecznej kartę i przesunął nią przez czytnik przy szlabanie. Zabłyśła zielona lampka i mogliśmy wjechać na kemping.

- Cały dla nas - powiedział. - Instalowałem tu urządzenia monitorujące i właściciele powiedzieli, że mogę tu przyjechać i zostać, jak długo zechcę, choć oficjalnie otwierają to miejsce dopiero na wiosnę. Prysznic w przyczepie na pewno działa, ale w łazienkach kempingowych są dużo większe.

Rozejrzałam się. Wysypane żwirem miejsca parkingowe dla przyczep ocienione były wysokimi dębami i klonami. Tak potężne drzewa nie rosły w tym rejonie, podobnie jak soczyście zielona trawa. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by zadbać o roślinność.

Adam zaparkował w połowie drogi pomiędzy łazienkami, mieszczącymi się w budynku z szarego kamienia, a brzegiem rzeki. Zmarszczyłam brwi, wpatrując się w jedno z wielkich drzew. Miało ze dwadzieścia metrów, a głęboko położone korzenie nie zakłócały płaszczyzny równiutkiego placu.

- Dziesięć dni - powiedziałam.

Adam wiedział, jakim torem biegną moje myśli.

- Zee zajmuje się warsztatem - rzekł. - Darryl i jego towarzyszką opiekują się Jesse, która zresztą zdążyła się oburzyć, że nie potrzebuje niańki.

- Na co odpowiedziałeś, że to nie niańki, a ochroniarze. A ona, że ochroniarze nie wyznaczają podopiecznym godziny powrotu do domu.

- A ciebie nawet przy tym nie było - zdziwił się Adam. - Darryl powiedział: „Ale rodzina owszem” i było po sprawie. Czym się tak martwisz?

- Stefanem. Prosiłam Warrena, żeby do niego zajrzał, ale...

- Rozmawiałem ze Stefanem. Nie mam takich oporów jak ty, więc powiedziałem mu wprost, że musi uzupełnić menażerię. Problem w tym, że nie chce polować w pobliżu domu, a nie może zostawić swoich ludzi samych. Dlatego Ben zaproponował, że popilnuje jego domu, kiedy z Warrenem pojedą do Portland. Jutro. Coś jeszcze?

- Dziesięć dni! - powiedziałam rozpromieniona. - Dziesięć dni wakacji z tobą. I żadnych kłopotów.

Adam pochylił się i pocałował mnie - i wszelkie moje troski chwilowo uleciały.

ROZDZIAŁ 3

Pływaliśmy - a raczej ja pływałam, podczas gdy Adam brodził zanurzony po pierś. Wilkołaki nie mogą pływać, natychmiast idą na dno, bo ich mięśnie są zbyt masywne, by ciało utrzymało się na powierzchni.

Koryto rzeki przy polu kempingowym wrzynało się dość głęboko w łąd, tworząc coś w rodzaju zatoczki, prąd tutaj był na tyle silny, by woda nie stała, i na tyle łagodny, by dało się pływać. Strategicznie nasadzone oliwniki oraz zarośla, których nazwy nie znałam, a także kilkumetrowa skarpa zapewniały pływającym prywatność. Musiało być dobrze ponad trzydzieści stopni, więc kąpiel okazała się czystą przyjemnością.

Chlapaliśmy się i podtapialiśmy jak dzieciaki, a zaśmiewałam się tak, że w końcu musiałam wyjść na brzeg, żeby złapać tchu.

- Tchórz! - zawołał Adam z rzeki. Stał z rękami zanurzonymi pod wodą, gotowy mnie ochlapać.

- Żaden tchórz - zaprotestowałam, ciężko dysząc, czułam, jak słońce usiłuje natychmiast odparować wodę jednocześnie z moich włosów, stroju i skóry.

- To co tam robisz?

Otworzyłam oczy i otaksowałam go spojrzeniem.

- Obserwuję naturę. - Powędrowałam wzrokiem w dół, gdzie wyraźnie zaznaczały się różne cudowne mięśnie brzucha. Wilkołaki rzadko nie bywają atletycznie zbudowane, ale Adam był umięśniony mocniej niż przeciętny wilkołak. - Mam stąd piękne widoki - zamruczałam.

Jęknął cicho, a kiedy popatrzyłam mu w oczy, płonęło w nich pożądanie.

- Nie mogę się nie zgodzić - powiedział i ruszył powoli do brzegu, zmierzając w moją stronę.

Zerwałam się z piskiem i śmiechem, gdy naraz coś w wodzie za jego plecami przykuło mój wzrok. Odwrócił się, by sprawdzić, co zobaczyłam, ale to coś tymczasem zniknęło. Pomyślałam, że może to kłoda płynąca tuż pod powierzchnią. Trudno było ocenić rozmiar z takiej odległości, ale na rybę wydawało się zbyt duże.

Jeśli wierzyć Zee, zanim zbudowano zapora, tutejsze jesiotry miały nawet ponad trzy i pół metra. Jednakże to, co widziałam, było znacznie większe. Cokolwiek to było, zniknęło, a ja zatrzymałam Adama, który właśnie miał rzucić się w pogoń.

Kiedy patrzył za siebie, wykorzystałam okazję i pognałam w stronę przyczepy.

Wilkołaki są szybkie. Nie tak jak gepardy, ale szybsze od wilka czy psa. Ja też jestem szybsza. Prześcignęłabym większość wilkołaków, może więc nie biegłam z całych sił. A może chuć dodaje samcom wszystkich gatunków skrzydeł? Tak czy owak, Adam złapał mnie w połowie drogi i, nawet nie zwalniając, poderwał z ziemi i zarzucił sobie na ramię. Piszczalam i śmiałam się jak podłotek, nie mogąc przy tym złapać tchu. Adam przyparł mnie do boku przyczepy i postarał się, żebym nie żałowała przegranej w wyścigu.

Sama nie wiem, kiedy i jak znaleźliśmy się w przyczepie, na wielkim łożu, na pachnącym nowością materacu. Przyszło mi do głowy, że właściwie wszystko tu pachniało nowością, a ponieważ takie przyczepy są niezwykle drogie, zaczęłam się zastanawiać, kto pożyczył Adamowi coś takiego.

Wszelkie myśli uleciały mi jednak z głowy, a kiedy skończyliśmy, byłam tak samo spocona, jak przed kąpielą w rzece, przyczepa pachniała nami, a Adam drzemał.

Więź pomiędzy towarzyszami jest dużo trwalsza niż małżeństwo. Po części pewnie dlatego, że jeśli już znajdzie się towarzysza, to nie jest on kimś, z kim chciałoby się rozstać. Przemoc w zasadzie nie ma miejsca w związku połączonym taką więzią, ponieważ daje ona wgląd w uczucia partnera i pozwala unikać poważniejszych awantur, które

prowadzą po pewnym czasie do zaniku bliskości i ochłodzenia uczuć. I po części dlatego, że magię trudniej przełamać, niż odkręcić coś zapisane na papierku, a więc pomiędzy dwojgiem towarzyszy to magia watahy.

Biorąc to pod uwagę, nie spodziewałam się, że sformalizowanie związku będzie dla mnie znaczyć aż tyle.

- Podoba mi się obrączka na twoim palcu - powiedział Adam, błyskając żółtymi ślepiami spod półprzymkniętych powiek. Czasami więc działa skuteczniej wobec to jednego, to drugiego z partnerów. Tym razem najwyraźniej sprzyjała jemu, bo reagował, dotykając sedna moich myśli, podczas gdy ja tkwiłam w mroku. - Odpowiada mi, że ktokolwiek na ciebie spojrzy, będzie wiedział, że jesteś zajęta, że jesteś moja. - Zamknął oczy i roześmiał się. - I tak, wiem, że sentymentalne wynurzenia są na pierwszym miejscu listy wojujących feministek: „Czego nie należy mówić nowoczesnej kobiecie”.

Pomyślałam, że coś go gryzie. Ostatnia wypowiedź była nieco zbyt ostra.

Przekręciłam się na brzuch, żeby móc zlizać kropelkę potu z jego piersi. Smakowała Adamem. I komu potrzebny szampan?

- Ty lepiej nie zdejmuj swojej obrączki bez dobrego powodu - ostrzegłam go, pozwalając wyrzeć mojej wewnętrznej kojocicy, żeby ją widział. Może potrzebował upewnić się, że moja zaborczość jest co najmniej tak silna, jak jego. - I wiedz, że w pobliżu twojej ekszony lub innej atrakcyjnej kobiety w wieku

od trzynastu do siedemdziesięciu lat żaden powód nie jest wystarczająco dobry.

Roześmiał się, a ja okręciłam się raz jeszcze, tak żeby znaleźć się na nim.

Nie zgadłam, nie udało mi się rozpracować kwestii, która go dręczyła. Może nasza więź przemawiała do niego, ale wobec mnie milczała na temat wszystkiego, co kryło się poza jego oczyma - które na powrót pociemniały. To właśnie problem z magią. Jak tylko zaczynasz się na niej opierać, znika ci spod nóg, pozostawiając zagwozdkę gorszą, niż gdyby w ogóle nigdy jej nie było. Jedyne, na co mogłam liczyć, to to, czego wszystkie kobiety używały w celu interpretacji nastrojów partnera.

Znałam Adama od dekady, znałam też jego ekszönę, Christy. Może korzenie problemu tkwiły w jego małżeństwie? Dla Christy niezwykle ważna była wolność osobista, póki była to jej wolność. Christy czuła zazdrość o watahę, a także, jak podejrzewałam, o Jesse, ich córkę. Nie kochała Adama, ale pragnęła być pępkiem jego świata, jedynym; nie znosiła konkurencji.

Może czuł, że teraz on powtarza jej schemat wobec mnie? Oboje potrzebowaliśmy swobodniejszej atmosfery, przestrzeni i czasu, by uporać się ze zmianami.

Skubnęłam go w ucho.

- Gdyby było to społecznie akceptowalne, wytatuowałabym ci moje imię na czole.

- Ale widzę je tylko, gdy patrzę w lustro - zauważył. - Znacznie częściej oglądam rękę.

- Nie zrobiłabym tego dla ciebie. Dobrze wiesz, do kogo teraz należysz. Zrobiłabym to dla innych kobiet. Powinny wiedzieć, że nieodpowiednie słowo może ściągnąć na nie nieszczęście. W postaci kłów pewnej kojocicy.

W piersiach Adama zawibrował śmiech, który jednak nie wydostał się jeszcze na zewnątrz. Jego napięcie zelżało odrobinę.

- Wiesz, mówię ci to dlatego, bo pomyślałam, że skoro budzi to w tobie takie prymitywne instynkty, to powinieneś wiedzieć, że we mnie również -oświadczyłam beztrąsko.

Potem sturlałam się na łóżko i zeskoczyłam na ziemię. Odkopnęłam mokry, zimny strój kąpielowy.

- Nie zapominaj tylko, że ja nie mogę pracować w warsztacie z obrączką, chyba że chciałabym zyskać ksywkę Dziewięciopalca Mercy. A co do reszty... - wskazałam palcem wytatuowany na brzuchu odcisk łapy - mam już wszystkie tatuaże, jakie chciałam. Dlatego też nie wydziargam sobie twojego imienia na czole ani nic w tym stylu.

Zeskoczył z łóżka i podszedł do swojej torby podróżnej. Rozpiął zewnętrzną kieszeń i wyjął z niej płaskie pudełeczko, które mi wręczył.

Otworzyłam. W środku spoczywał podniszczony nieśmiertelnik przyczepiony do grubego złotego łańcuszka. Na blaszce wygrawerowano „Adam Aleksander Hauptman”. Kiedy ostatnio widziałam ten nieśmiertelnik, leżał na komodzie u Adama, zawieszony wraz z drugim na stalowym łańcuszku.

- Na tym będziesz mogła nosić obrączkę podczas pracy - wyjaśnił, zabrał ode mnie wisiołek i zapiął mi łańcuszek na szyi, przy okazji muskając ustami kark. Przez moment przytrzymał mocno nieśmiertelnik, zanim go puścił.

Ofiarował mi swój nieśmiertelnik. Nie byłam w wojsku, ale studiowałam historię. Wiedziałam, kiedy zaczęto je stosować. Blaszkę z nazwiskiem nosili żołnierze. Umożliwiały one - w razie ich śmierci - identyfikację zwłok, w przypadku kiedy towarzysze nie mogli zabrać ciała ze sobą. Były podwójne, bo gdy jedna zostawała przy poległym, drugą zabierano, żeby dołączyć do raportu o śmierci.

Ten nieśmiertelnik znaczył dla Adama o wiele więcej niż obrączka, wobec czego dla mnie również znaczył więcej. Zauważyłam, że łańcuszek jest na tyle masywny, bym mogła nosić go także w formie zwierzęcej.

- Muszę się przebiec - powiedział Adam, odsuwając się, i klepnął mnie lekko po nagim pośladku. Jego palce muskały przez moment moją skórę w miejscu, gdzie śrut zostawił niewielkie blizny, kiedy nieopatrznie zbliżyłam się do krewkiego farmera. - Potowarzyszysz mi?

- Długa ta przebieżka, krótka? - zapytałam ostrożnie. Wilki uwielbiały biegać, ale mało który kochał to tak jak Adam.

Zastanawiał się, zakładając bieliznę, szorty, skarpety i buty.

- Długa - odpowiedział wreszcie, jakby zaskoczony. - Jest coś, co nie daje mi spokoju... - Urwał

i uśmiechnął się lekko, niemal z zawstydzeniem. -Wilcze instynkty to rzecz dobra, ale czasami ciężko uchwycić, co je łączy. Bieganie pomaga uzyskać połączenie pomiędzy płatem czołowym i tyłomózgowiem.

- Naprawdę? - zainteresowałam się żywo. Okropnie drażniło mnie, kiedy coś wiedziałam, a nie miałam pojęcia, skąd to wiem.

- Czasami. - Roześmiał się. - A czasami wracam tak zmęczony, że jest mi to obojętne. Idziesz czy zostajesz?

- Rozleniwiłam się - powiedziała, uznawszy, że lepiej będzie, jak wybiega swoje problemy w samotności. - Zostaję. Ale jeśli chcesz biegać przy drodze, lepiej załóż koszulkę, inaczej twoje adonisowe kształty staną się przyczyną wypadku.

-Uśmiechnął się, myśląc pewnie, że żartuję. - A ja tymczasem wezmę prysznic i poczytam. A potem może pomyślimy o posiłku... Ugotujemy coś albo zapolujemy?

Wyraźnie się wahał.

- Adam, jesteśmy przecież pośrodku pustkowia. Nikt, kto dybie na moje życie, nie wie nawet, gdzie jesteśmy, chyba że pożyczyleś tę obrączkę od Marsilii. Idź, wybiegaj się. Będę tu, gdy wrócisz, przyrzekam.

Na odchodnym obrzucił mnie taksującym spojrzeniem i wreszcie wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Prysznic w przyczepie okazał się całkiem znośny. Spodziewałam się czegoś tylko dla pigmejów, ale nie. Tak czy owak, nie zamierzałam z niego korzystać, mając pod nosem tusze kempingowe.

Te również mnie zaskoczyły. Oczekiwałam zwykłych, prymitywnych pryszniców, z jakimi miewałam dotychczas doświadczenia - bez zasłon, z zimną wodą, a czasem tak obrzydliwych, że wychodząc, człowiek czuł się brudniejszy niż przed kąpielą. Tutaj spotkałam się z czymś zupełnie różnym.

Budynek łazienek był klimatyzowany, w porównaniu z temperaturą na zewnątrz zapewniał miły chłodek. Podłogę wyłożono płytkami, lustra oprawiono w drewniane, ręcznie rzeźbione ramy, a ciemnozielone marmurowe blaty kontrastowały pięknie z mosiężnymi bateriami. Takie same baterie znajdowały się w każdej z czterech wyflizowanych kabin.

W życiu nie widziałam czegoś podobnego na kempingu - w hotelu także, mówiąc szczerze. Woda spływająca z zamontowanej w suficie ogromnej deszczownicy była gorąca i przyjemnie spłukiwała ze mnie pot i troski dotyczące Adama. Mimo że stałam pod prysznicem i stałam, woda nie ochłodziła.

Kiedy już byłam równie pomarszczona co zrelaksowana, wytarłam się i założyłam szorty oraz koszulkę z obrazkiem pochyłej chatynki i napisem: „Złodzieje mile widziani. Nie karmić wilkołaków”. Dostałam ją od Jesse.

Włosy zdążyły mi wyschnąć w drodze do przyczepy. Weszłam do środka tylko wziąć książkę, a potem wyciągnęłam się na trawie, żeby poczytać.

Przebieżka Adama trwała naprawdę długo.

Czytałam może kwadrans, kiedy od książki oderwał mnie odgłos szurania po ziemi. Rozejrzałam się, w zasięgu wzroku nie było nic prócz ptaków i owadów. Podjęłam czytanie, ale dźwięk się powtórzył. Brzmiało to tak, jakby ktoś parę metrów ode mnie szorował po chodniku miękkimi podszewkami. Tyle że na drodze nikogo nie było. Wciągnęłam nosem powietrze, usiłując wyłapać jakiś zapach - mam dobry słuch, ale węch zdecydowanie lepszy.

Spodziewałam się wyczuć kreta czy wiewiórkę, coś, co mogłoby robić hałas, pozostając niewidoczne. Jednak powiew przyniósł ze sobą woń tradycyjnie wyprawianej skóry, dymu z ogniska, nutę tytoniu i trudny do pomylenia zapach obcego człowieka. Odłożywszy książkę, wstałam.

Okręciłam się wokół własnej osi, lecz nic nie zobaczyłam, natomiast nagle ogarnęło mnie znajome uczucie i podniosły mi się włoski na karku.

Jestem zmiennokształtną, czyli ogólnie rzecz ujmując, potrafię na życzenie przybrać formę kojota. Mam również wyostrzony słuch oraz węch, jestem szybsza od zwykłego człowieka i do tego posiadam umiejętność wyczuwania duchów.

Nie miałam wątpliwości, że w pobliżu znajduje się duch. Nie widziałam go, ale wyczuwałam i szóstym zmysłem, i nosem.

Szuranie powtórzyło się, a ponieważ dzień był w pełni, dzielnie ruszyłam w stronę drogi, skąd jak się wydawało, dźwięk dochodził.

Rozległ się krzyk jastrzębia - chociaż na niebie nie widziałam żadnego ptaka. Nie tylko ja go usłyszałam - urwało się ćwierkanie, jakie towarzyszyło mi podczas czytania. Dopuszczałam możliwość, że to zwykły jastrząb, choć intuicja podpowiadała mi coś innego, mimo że większość duchów, z jakimi się zetknęłam, było duchami ludzi.

Szuranie nabrało rytmu, coś jak w wolnej polce. Szur-szur, cisza, szur-szur, cisza. Zapach zintensywniał i udało mi się rozróżnić jeszcze jedną woń -kojota.

Musiałam tak stać trzy, cztery minuty, w tym czasie taneczne szuranie przybrało na intensywności, i dopiero wtedy go ujrzałam. Najpierw zobaczyłam skórzane ubranie, reszta była zamazana, nieczytelna, jak we śnie. Ale frędzle na rękawach i nogawicach oraz ozdobne plecionki stanowiły wyraźne linie.

Bluza i spodnie nie należały do tych, jakie widuje się na naradach plemiennych. Te są zwykle zadbane, piękne, kolorowe i bogato zdobione. Widać, że zakłada się je tylko na wyjątkowe okazje.

Strój, który widziałam, wyglądał na noszony latami, a pasował jak druga skóra. Po wewnętrznej stronie nogawic widniały wytarte miejsca, jakby właściciel spodni dużo jeździł konno. Pod pachami i na krzyżu skóra pociemniała od potu tańczącego. Całości dopełniał pas z plecionych kolców jeżozwierz, z którego boku wisiał ogon kojota. Kolory barwionych kolców wyblakły, a kita trochę wyleniała.

Zacząłam słyszeć muzykę, do której tańczył. Żadnych zaświatowych bębniarzy czy flecistów. Duch sam sobie akompaniował, nucąc nosową pieśń bez słów, która aż wibrowała w moich kościach. Wtedy też zobaczyłam jego ręce, spracowane, pokryte bliznami i odciskami, ale nie były to dłonie starego człowieka. Jeden z palców, niegdyś widać złamany, nie zrósł się dobrze i pozostał wykrzywiony.

Włosy, splecione w dwa warkocze związane czerwonymi rzemykami, sięgały za łopatki. Rozpoznałam kilka ruchów z jego tańca. Widziałam tańczących Indian na paru naradach plemiennych, w których uczestniczyłam podczas studiów, przechodząc fazę fascynacji własnym dziedzictwem. Mężczyzna z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy, coraz silniej odbierałam jego obecność wszystkimi zmysłami, aż wreszcie, gdybym nie była świadkiem jego materializacji, przysięgłabym, że stoi przede mną żywy człowiek. Nie widziałam dobrze tylko jego twarzy - krył ją, odwracając ode mnie głowę.

Rytm tańca fluktuował od szaleńczego po niesamowicie powolny. I cały czas ciężar ciała rozkładał się równo na obie nogi, pewnie wsparte na ziemi na śródstopiu. To był taniec wojenny, emanujący mocą, magią i zapowiedzą przemocy. Wojownik był jednak tym, kim był, a istota obrzędowych ruchów nie pozbawiała tańca charakteru radosnej celebracji.

Duch zatrzymał się plecami do mnie. Wyglądał jak ktoś, kto łapie oddech po dużym wysiłku. Zastanawiałam się, jak długo tańczył tak za życia i dlaczego zrobił to teraz.

- Hej - zawołałam cicho.

Niektóre duchy powtarzają tylko najważniejszy moment swego życia. Założyłam, że tak właśnie jest w tym wypadku, bo świadome zjawy, które posiadają wolę działania, zdarzają się rzadziej. Poza tym szybko nawiązują kontakt. Ten nosił wszelkie znamiona powtarzacza - jego taniec, pełen pasji i uczucia, robił wrażenie czegoś takiego, co robi się w kulminacyjnym momencie życia.

Jednakże na dźwięk mego głosu ramiona ducha zeszywniały. Zjawa powoli zwróciła się ku mnie i po chwili spoglądałam w twarz mężczyzny, którego nie znałam, a którego rysy były tak znajome, jak te, które widywałam codziennie w lustrze, pomimo że posiadałam tylko jedno jej zdjęcie, czarno-białe, z gazety, pod wzmianką o śmierci człowieka, do którego należała.

Mojego ojca.

Zaniemówiłam, dech zamarł mi w piersiach. Zupełnie jakby ktoś grzmotnął mnie w splot słoneczny, paralizując przeponę.

Patrzył na mnie poważnie. A potem powoli, niemal ceremonialnie, skłonił głowę. Moment później przemienił się w kojota z taką łatwością i szybkością, jak ja to robiłam. Dziwne, ale kojot wydawał się bardziej materialny niż człowiek. W formie zwierzęcej spoglądał na mnie tak samo bezpośrednio, jak w formie ludzkiej. I nagle niespodziewanie zerwał się do biegu i zniknął w zaroślach kilka metrów dalej.

Na zdjęciu z gazety ojciec miał na sobie strój do rodeo, kowbojską koszulę z długim rękawem

i charakterystyczny kapelusz. Moja matka, młodsza wtedy niż teraz Jesse, zbuntowana nastolatka pragnąca uwolnić się spod skrzydeł surowych rodziców, poznała ojca na rodeo, kiedy wygrała nagrodę pieniężną w slalomie między beczkami, który pokonała na koniu przyjaciółki. Zanim zdążyła powiedzieć memu ojcu o ciąży, zginął w wypadku samochodowym. Znała tylko imię, jakie podał, Joe Kojot.

Nigdy wcześniej nie widziałam ducha ojca. Nie przybył do mnie, kiedy uciekłam z Montany, opuściwszy jedyny dom, jaki znałam. Ani kiedy kończyłam liceum czy studia. Ani nawet wtedy, gdy walczyłam na śmierć i życie z magicznymi istotami, demonami i innymi paskudnymi potworami. Nie przybył też na mój ślub.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu śladów łap. Uważałam, że sporo wiem o wilkołakach i że posiadam jaką taką wiedzę na temat wampirów. Jeśli chodzi o nie-ludzi, to co innego - miałam świadomość, że istnieją też stworzenia, o których nie mam pojęcia, niektóre z nich jedyne w swoim rodzaju, inne dobrze ukryte.

Byłam całkiem pewna, że widzę ducha, dopóki nie ochłonęłam i nie zaczęłam zastanawiać się, jaki cudem mój ojciec, który zginął setki kilometrów stąd, pojawił się tutaj. A potem zmienił się w kojota, zupełnie jak ja, a jeszcze później pobiegł w chaszczę. Większość duchów nie musi uciekać, potrafią zniknąć. Jednakże nie dostrzegłam śladów, a dobrze wiem,

jak ich szukać. Odcisków nie było nawet w miękkiej ziemi przy krzewach, w które wbiegł.

Mimo upału poczułam na ramionach gęsią skórę.

- Więc uważasz, że to nie był duch? - zapytał Adam i ugryzł kawał hot doga.

W przyczepie była kuchenka z piekarnikiem, ale tuż przy naszym miejscu parkingowym znajdowało się palenisko i grill, więc właśnie tam postanowiliśmy opiec kiełbaski. Adam biegał do zmroku. Po powrocie wpadł tylko do przyczepy, dał mi buziaka, zabrał czyste ubranie i poszedł pod prysznic.

Zanim wrócił, rozpałam ogień i przygotowałam jedzenie do pieczenia.

Z tyłu wozu kempingowego w specjalnych uchwytach znajdowały się meble turystyczne, ale zignorowaliśmy je i usiedliśmy obok siebie na ziemi. Gdyby nie pojazd Behemota i przystrzyżony trawnik, mogłabym udawać, że jesteśmy na prawdziwym biwaku. To było jak idylliczna reklama biwaku. Mogłabym do tego przywyknąć.

- Uhm - wymiędliłam i szybko przełknęłam kęs. - To znaczy nie do końca. Ale ojciec nie żyje. Jeśli to on, to był duchem. Jednak możliwe, że to coś innego. Istnieją podania o niezemskich plemionach Indian, ale wiele dawnej wiedzy zostało zaprzepaszczonej gdy rząd wprowadził program asymilacji

rdzennych mieszkańców w kulturę euroamerykańską. Większość legend, które krążą teraz, została zmyślona na pniu. Nikt nie umie snuć tak niesamowitych opowieści jak Indianie. I w końcu nie wiadomo już, co pochodzi z prawdziwych legend, a co zostało wyssane z palca.

Może Charles, syn Brana i jego żony Indianki, mógłby rzucić nieco światła na tę sprawę, ale ku mej nieustającej frustracji rzadko mówił o swoich tubylczych korzeniach. Może udałoby mi się coś z niego wyciągnąć, tyle że Charles to jedna z niewielu osób, przed którymi czułam zaprawiony lękiem respekt. Nawet dawniej, kiedy interesowałam się żywo historią mojej rodziny, nie naciskałam go nigdy tak mocno, jak bym chciała.

- Myślisz, że może jakiś tutejszy duch udaje twego ojca?

Adam skończył swojego hot doga, a następnego dopiero robiłam. Lubił mocno spieczone, ja natomiast tylko podgrzane.

Pilnowałam, żeby nie przedobrzyć mojej kiełbasy, i udawałam, że rozważam na poważnie jego wersję.

- Może? A może istnieje coś w rodzaju doppelgamera, sobowtóra pojawiającego się nie pierwowzorowi, a innym ludziom. Albo postmortalny doppelganger, który zamiast przed, przychodzi dopiero po śmierci oryginału?

Adam przyjrzał mi się z ukosa, a potem pokręcił głową.

- Skoro naprawdę uważasz, że to jakiś tutejszy stwór, to powinnaś zadzwonić do Charlesa.

Miał rację. Jeśli Charles uznałby, że znajduję się w niebezpieczeństwie, zrobiłby wszystko, żeby pomóc. Może i straszny, ale był rodziną. W pewnym sensie.

Adam rzucił mi przenikliwe spojrzenie.

- Po prostu nie podoba ci się myśl, że ojciec cię nawiedził, a ty nie wiesz dlaczego.

I dlaczego Joe Kojot nie pojawił się wcześniej?

Cholera, skarciłam się za bezmyślność. Przecież duch nie był człowiekiem, tylko tym, co po nim pozostało. Może i zjawa była duchem mojego ojca, ale nie nim samym.

Byłam pogrobowcem, lecz nie cierpiałam z tego powodu. Wychowali mnie Bryan i Evelyn, moi przybrani rodzice, którzy mnie kochali. Kiedy zmarli, opiekę nade mną przejęli Bran i reszta jego watahy, a potem moja mama. Nie byłam dzieckiem niekochanym, maltretowanym, a teraz w ogóle nie byłam już dzieckiem, dlaczego więc pojawienie się zjawy, która przybrała postać mojego ojca, dotknęło mnie do żywego?

- No dobrze - przyznałam. - Tak. Masz rację. Skoro może mnie nawiedzać, dlaczego nie pojawił się wcześniej? Czemu teraz, gdy go nie potrzebuję? - Wolałam wierzyć, że to jednak nie ojciec.

Adam otoczył mnie ramieniem.

- Może to coś w rodzaju Poszukiwania Wizji, tylko bez postu?

- Nie. - Potrząsnęłam głową. - Przeszłam już przez swoje Poszukiwanie Wizji.

Odchylił się, żeby spojrzeć mi w twarz.

- Naprawdę?

- Uhm. Tego lata, kiedy Charles nauczył mnie naprawiać samochody. Pewnego dnia zabrał mnie ot tak, do lasu. Pościliśmy trzy dni, a potem zabronił mi się zmieniać w kojota i wysłał w góry.

- I co widziałaś? A może nie wolno o tym mówić?

- Wolno, nie wolno, nie wiem. - W rzeczywistości jedyną osobą, której powiedziałam, co wtedy widziałam, był Charles.

- Moja wizja była dziwna. Pytałam Charlesa, czy przypadkiem coś poszło nie tak, ale on popatrzył na mnie w ten sposób... - Usiłowałam unieruchomić mięśnie twarzy, żeby wyglądała jak obojętna, acz groźna maska, ale Adam się roześmiał.

- Co powiedział, gdy pokazałaś mu tę minę? -zapytał.

Tylko głupiec robiłby sobie żarty z Charlesa prosto w jego nos. Adam naprawdę dobrze mnie znał...

- Zapytał, czy zjadłam coś nieświeżego. Ale odwrócił głowę, więc nie widziałam jego twarzy. Niewykluczone, że się uśmiechnął.

Adam zaśmiał się wesoło.

- A wracając do wizji...

- No tak. Moja wizja była trochę... Charles powiedział, że nie ma poprawnych i złych wizji. One po prostu są. A potem opowiedział o człowieku, który podczas inicjacji odkrył, że może rozmawiać z duchami natury. Pojawił się przed nim duch łościa i powiedział, że musi mu służyć, a żeby to robić, ma się ubierać tylko na żółto. Albo na niebiesko, nie pamiętam już. No więc ten człowiek zakładał przez kil-

ka lat odzież w tym kolorze, aż przyszedł do niego duch niedźwiedzia i powiedział, że rozmawiał z duchem łosia i postanowił, że od tej pory mężczyzna ma słuchać jego, ducha niedźwiedzia. I kazał mu pomalować twarz na czerwono i chodzić do tyłu. Kiedy dziadek Charlesa, plemienny uzdrowiacz, spotkał tego człowieka, ten chodził do tyłu już od wielu, wielu lat. Dziadek Charlesa, który znał jego historię, powiedział: „To, że słyszysz duchy, nie oznacza, że masz się ich słuchać”. - Prawie już zapomniałam, że Charles podzielił się ze mną tą opowieścią. Pewnie dostrzegł moje rozczarowanie tym, że nie miałam wizji, jakiej oczekiwałam - z orłami i jeleniem, które wiodą mnie do objawienia. -1 co? - zapytał Adam.

- Hot dog ci się pali.

Wyciągnął zwęglone resztki z ognia, rzucił na ziemię, i wdeptał czarne okruchy w ziemię. Wziął nową kielbaskę, nabił na szpikulec i przysunął do ognia.

- Mów, co się stało z tym człowiekiem, który chodził do tyłu - ponaglił mnie.

- Umył twarz i zaczął chodzić normalnie. Po kilku krokach wywrócił się i złamał nogę.

- Zmyślasz - zarzucił mi Adam, wyciągając kielbaskę, żeby sprawdzić, czy jest już gotowa. Nie była poczerniała, więc włożył z powrotem do ognia.

- Słowo skauta, że tak mi powiedział Charles. Sam go zapytaj, skoro nie umiesz ocenić, czy kłamię, czy nie. - Takie stwierdzenie było czymś w rodzaju obelgi pośród wilkołaków. Tylko całkiem nowy wilk nie potrafił odróżnić fałszu od prawdy. - Ale

powiedział też, że mimo to człowiek ten już nigdy nie chodził do tyłu.

- Nie możesz jako dziewczyna mówić: „słowo skauta” - wytknął mi Adam.

- O, wypraszam to sobie. Rozmawiasz z zastępową skautek. - Postukałam się palcem po mostku. - Prawie. Czasem wyręczałam mamę. Dobrze, ale chciałeś usłyszeć o mojej wizji.

- No? No?

Otworzyłam usta z zamiarem przedstawienia mu wesołej wersji, jednak powiedziałam coś zupełnie wbrew zamysłom.

- W jednej chwili siedziałam sama, pośrodku lasu, a w następnej szłam całkiem gdzie indziej. Wszystko wokół było szare, prawie jak w czarno-białym filmie, tyle że bez czerni i bieli, same odcienie szarości. Nie było żadnych drzew, trawy, tylko niekończące się pole wydmowe. Czuło się tam... pustkę. Coś jak w postapokaliptycznych horrorach. Pusto i strasznie.

Poczułam to, co wtedy, ucisk w piersiach, duszności i wrażenie, że jakieś zło czai się gdzieś tam, obserwuje mnie, wrażenie tak silne, że aż zjeżyły mi się włoski na karku.

Adam wyjął kielbaskę z ognia, ale nie zaczął jeść, wbił rączkę szpikulca w ziemię tak, że wyglądała jak jakaś dziwaczna ozdoba ogrodowa. A potem objął mnie mocno i po chwili napięcie zelżało, mogłam swobodniej oddychać.

- Wybacz - powiedziałam. - Nie wiedziałam, że tak zareaguję.

- Nie musisz o tym mówić.

- Wiem. Ale chcę.

Naprawdę tak czułam. Charles mówił, że będę wiedziała, kiedy nadejdzie właściwy moment i znajdzie się odpowiednia osoba, żeby o tym opowiedzieć. Niektórzy dzielili się swoimi doświadczeniami związanymi z wizją z każdą napotkaną osobą, lecz większość powierzała swoje przeżycia nielicznym.

- No więc wędrowałam po tym wymarłym miejscu, a oprócz piachu znajdowały się tam tylko ruiny budynków. Na początku mijałam nowoczesne konstrukcje ze stali i szkła. W tych szyby były potraskane, a metal przeżarty rdzą. Im dalej szłam, tym budynki stawały się starsze. Pamiętam, że widziałam ruiny wiktoriańskiego domu, wywróconego na bok; wyglądał jak domek dla lalek potracony nogą przez dziecko. Potem pojawiły się budynki rodem z westernów, opuszczone i pozostawione na całe dekady. Poczerniałe belki sterczące z na wpół pograżonych w piasku ceglanych murów, połamane koniowiązy i resztki deskowanych, zarośniętych uschłymi chwastami deptaków. Byłam jedyną żywą istotą w tym miejscu. W końcu zamiast budowli pojawiały się już tylko słupy namiotowe, a ja mijałam je i płakałam, łkałam, ciekło mi z nosa, choć nie wiedziałam nawet, za czym tak rozpaczam.

- Ile miałaś wtedy lat?

-To było zaraz po śmierci Bryana. Tuż po. -Samo mówienie o wizji sprawiało, że cała się trzęsłam, drżała mi nawet szczęka, jakbym marzła, choć Adam emanował ciepłem. Tulił mnie, materialny, rzeczywisty, ale tamta wizja przeszłości również

wydawała się rzeczywista. - Jakoś około czternastu. - Opowiadając, przeżywałam wszystko na nowo. Emocje, których doznawałam, były prawdziwe, intensywne, były chyba najprawdziwszą rzeczą w tej wizji. - A potem dotarłam do samochodu. Starego modelu Forda T, zakopanego w piachu po osie. Był taki smutny, czułam w sercu jego żal, i ta rozpacz odwróciła moją uwagę od tego, przez co płakałam wcześniej. Położyłam dłonie na masce, ale nie było sposobu, by odkopać wóz albo go naprawić. Wyjaśniłam mu to, jakby mógł zrozumieć, co mówię, bo naprawdę czułam, że rozumie. Powiedziałam, że jest mi ogromnie przykro, że nie jestem w stanie zrobić dla niego nic więcej. I naraż poczułam, że zaczyna wibrować, a potem już trząść się tak mocno, że nie mogłam tego wytrzymać. Zamknęłam oczy, bo wzbijał tumany piachu, a gdy jej otworzyłam, byłam w lesie sama.

Pamiętam, jak się wtedy bałam. Serce tłukło mi jak oszalałe, miałam gęsią skórę. Powinno mi ulżyć, że jestem w lesie, a nie w tej okropnej szarej martwocie, las był przecież moim drugim domem. Ten jednak wypełniały złowrogi, obserwujące mnie oczy, a tym, którzy na mnie patrzyli, nie podobało się, że tam jestem.

- To była mroczna puszcza. Choć rosły tam jedynie drzewa iglaste, ich korony tworzyły gęsty dach, niczym w lasach tropikalnych. Czułam, że jestem obserwowana, ale na próżno się rozglądałam; nikogo nie wypatrzyłam. Zaczęłam iść, ale wzrok tych, którzy mnie obserwowali, nieustannie za mną po-

dązał. Wreszcie spanikowałam i rzuciłam się do ucieczki jak przerażony królik. Wydawało mi się, że biegnę tak godzinami, a kiedy tylko zwalniałam, pojawiał się wrażenie, że coś się do mnie zbliża, otacza. Dlatego pędziłam z całych sił. - Na wspomnienie tamtego strachu zaczęłam się pocić, a mięśnie na karku napięły mi się jak postronki. - I przez cały ten czas nikogo ani niczego nie widziałam, po prostu wiedziałam, że coś mnie ściga, że to polowanie, a ja jestem ofiarą. I wiedziałam, że jeśli dam się złapać, jestem martwa. Kiedy kolejny raz obejrzałam się przez ramię, potknęłam się o powalone drzewo, przekoziółkowałam przez nie, stoczyłam się ze zbocza i wylądowałam przy fotelu r-L-ax.

- Przy czym? - zdumiał się Adam.

- Mówiłam, że to dziwaczne. R-L-ax, tak się nazywał; jeden z tych wielkich foteli z odchylanym oparciem i wysuwającym podnóżkiem. Ten miał duży napis „r-L-ax”. Powinien wydawać się nie na miejscu, tam w lesie, ale to nie ten mebel tam nie pasował, tylko ja. - Fotel miał pomarańczowo-niebieską tapicerkę. Był ohydny.

W pierwszej chwili zobaczyłam tylko ten fotel, jednak szybko zorientowałam się, że siedzi w nim wysoki, przystojny Indianin. Nie był zaskoczony moim widokiem, nie ukrywał też niechęci.

Zabawne. Pamiętałam kolor tapicerki fotela, jakbym go miała przed oczyma, ale nie umiałam przypomnieć sobie rysów twarzy Indianina ani nawet jego stroju. Wydawało mi się, jakbym widziała wtedy jedynie jego oczy.

- Podniosłam się. Miałam podziurawione dzinsy i podarty podkoszulek, a na boku duże, bolące zadrapanie. We włosach tkwiło mi pełno patyków. Czułam się wyobcowana, nie na miejscu, jak niemile widziany natręt. Podniosłam głowę i popatrzyłam mężczyźnie w oczy, choć w głębi duszy wiedziałam, że to niemądre posunięcie. - Panika wyparowała, pozostawiając po sobie pustkę, bezdenną, przejmującą. Zdawało mi się, że nic nie jest w stanie jej zapełnić.

Poczułam, że spoczywająca na moim ramieniu ręka Adama zaciska się w geście dodającym otuchy.

- Kątem oka zobaczyłam wychodzące z lasu zwierzęta, lisa, rysia i niedźwiedzia, a z nieba sfrunął ogromny orzeł. Zwierzęta wpatrywały się we mnie, a ja nie odwracałam wzroku od mężczyzny w fotelu.

Świadomość, że nie należę do tego miejsca, do tego lasu, była niezrozumiale potworna. Nie należałam do tego kręgu zwierząt i Indianina, byłam obca, osobna.

- Spokojnie - mruknął Adam.

- Mężczyzna wreszcie przemówił. „Kimże jesteś, by chodzić po moim lesie, mieszańcu?” Czułam, że nie chodzi o moje imię. Chciał wiedzieć, czym jestem. - Nie umiałam wytłumaczyć tego jaśniej. - Pytał o istotę tego, kim jestem.

- I co mu odpowiedziałas?

- Że jestem kojotem. - Odchrząknęłam. - Wstał. Wyprostował się. Prostował się i prostował. Był znacznie wyższy, niż podejrzewałam. Tak wysoki, jak otaczające nas drzewa. I bardziej rzeczywisty niż one. Wiem, że to, co opisuję, może wydawać się

dziwne, ale tak to wyglądało. Indianin, nie spuszczać ze mnie wzroku, powiedział: „Ja jestem Kojotem”. Był urażony. - Ze świstem wciągnęłam powietrze. - Pewnie powinnam powiedzieć mu, jak się nazywam. Nie byłaby to należyta odpowiedź, ale nie byłaby też błędna. Ale ja na to: „Dobrze, możesz być Kojotem. Ja jestem po prostu kojotem”. Indianin przemyślał moje słowa, a potem nachylił się i wyszeptał mi do ucha... - Przed opowiedzeniem końcówki miałam opory, zrobiło mi się głupio.

- No? Co powiedział?

- Powiedział: „Dobrze. Ty też możesz być kojotem. Ale ty jesteś małym głuptaskiem, a ja starym głupcem”. Wtedy się ocknęłam.

- Zrozumiałaś znaczenie tych słów? - zapytał Adam.

Roześmiałam się, kręcąc przecząco głową.

- Ej, kłamiesz - szepnął, przyciągając mnie bliżej.

- Znaczyło to tyle, że nie jestem prawdziwą Indianką - powiedziałam. - Że nigdzie nie przynależę.

Adam zaczął przypalać kolejną kielbaskę. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu zapatrzeni w płomienie.

- Myślę, że się mylisz - rzekł wreszcie. - Nie wydaje mi się, żeby Kojot cię odrzucał.

- Mówił o mojej kojocie połówce - zaprotestowałam.

Adam uśmiechnął się i zakołysał mną w ramionach.

- Niełatwo mieć tyle połówek. Kojocią połówkę, ludzką, indiańską, białą...

Parsknęłam śmiechem. Poczułam się lepiej. Branie siebie nazbyt poważnie nie było w moim wypadku najlepszym pomysłem.

- W każdym razie wszystkie cztery połówki są szczęśliwe, będąc twoją połowicą. Masz rację, może źle to zrozumiałam, może po prostu powinniśmy kupić fotel r-L-ax. - Oczywiście w innym kolorze. - Jeśli nie wyciągniesz zaraz tej kiełbaski, pójdziesz spać wygłodniały.

- Hm... - zamruczał mi w ucho. - Myślałem, że żonaty facet nigdy nie zasypia wygłodniały.

Po pewnym czasie wróciliśmy do paleniska, roznieciliśmy na nowo ogień i upiekliśmy resztę kiełbasek.

ROZDZIAŁ 4

Nazajutrz, pozostawiwszy przyczepę na opustoszałym kempingu - w końcu Adam zakładał tu zabezpieczenia - przejechaliśmy z powrotem na drugi brzeg rzeki i minawszy miasto o obco brzmiącej nazwie Dalles, a następnie miasteczko nazwane bardziej swojsko, bo po znanym admirałe, Hood River, skierowaliśmy się ku kaskadzie Multnomah. Ktoś powiedział mi kiedyś, że w tej okolicy im dalej na zachód, tym większe roczne opady - różnica wynosi aż półtora centymetra co każdy kilometr. Nie znam się na tym, ale rzeczywiście kawałek na zachód od Hood River stepowy krajobraz zastępuje gęszcz drzew, bujne krzewy i w ogóle masa zieleni. Trochę dalej zaczynają się wodospady.

Najpiękniejszym z nich jest kaskada Multnomah, ale nie jedynym. Na Larch Mountain jest ich kilkanaście, więc cały dzień jeździliśmy szlakiem widokowym, od jednego do drugiego. A ponieważ pogoda

była piękna, nie byliśmy jedynymi podziwiającymi widoki. Nie przeszkadzało mi towarzystwo i myślę, że Adamowi również. Czuliśmy się jak uczestnicy wycieczki złożonej z obcych sobie ludzi, których połączyło zauroczenie niezwykle pięknym spienionej wody spadającej kaskadami po skalnych ścianach. Spoiwem naszej grupy było poczucie nabożnego podziwu. Więż ta nie była prawdziwa, jak w przypadku watahy, ale tworzyła coś na kształt początku wspólnoty. Tkwiła w tym odrobina magii, iskra, podsycona radością i piękną pogodą.

To poczucie przynależności do większej całości było darem Adama dla mnie.

Całe życie byłam outsiderem, najpierw kojotem w stadzie wilkołaków, potem istotą nadnaturalną wśród zwyczajnych domowników w domu mamy, a wreszcie samotniczką mającą zbyt wiele tajemnic, by doświadczyć prawdziwej przyjaźni. Umiałam wpasowywać się w towarzystwo, wtapiać tak, by pozostać niezauważoną.

Aż do czasu, kiedy poznałam Adama. Przy jego boku czułam, jakbym do czegoś przynależała, jakby był nicią łączącą mnie z resztą świata. Dzięki niemu mogłam być jak jeden z tych radosnych turystów cieszących się zwiedzaniem. Odrzuciłam cień pozostawiony przez wspomnienie wizji. Indianka czy nie, kojocica czy nie, nie byłam już sama.

Niektóre ze szlaków prowadzących do miejsc widokowych są łatwe, czasem dostępne nawet dla niepełnosprawnych. Ale niedaleko Multnomah kończy

się dziecinna zabawa, a zaczyna prawdziwa przyjemność. Szczyt znajduje się na wysokości tysiąca dwustu metrów, a podejście wcale nie jest łagodne.

Usłyszałam płacz i przekonana, że ktoś ma kłopoty, puściłam się w górę biegiem. Adam deptał mi po piętach.

- Słoneczko, nie mogę cię nieść - dobiegł nas rozpaczliwy głos kobiety. - Nie dam rady. Jesteś dużym chłopcem, musisz mi pomóc.

Chłopiec odpowiedział coś niezrozumiale, łkając.

Za zakrętem naszym oczom ukazała się zdenerwowana parka, umęczona kobieta około czterdziestki i dzieciak z umorusaną, zapłakaną buzią.

- Hej - powiedziałam. - Coś się stało? Możemy jakoś pomóc?

Kobieta już otwierała usta, żeby odmówić pomocy, lecz jej wzrok padł na Adama, a oczy zapłonęły pożądliwością. Rozumiałam ją w pełni, ale ucieszyłam się szczerze, kiedy zauważyłam, że nie kontempluje urody Adama, a raczej ocenia siłę barków.

Jej syn za to nie wydawał się zachwycony. Robert, jak przedstawiła go nam matka, miał osiem lat, ale cierpiał na mongolizm i bał się obcych jak dwulatek. Nie spodobał mu się pomysł, że miałby być niesiony przez Adama na parking u podnóża wzniesienia.

Matka przez chwilę usiłowała go przekonać, aż w końcu Adam ukląkł przed chłopcem i zajrzał mu głęboko w oczy. Nic przy tym nie mówił. Wpatry-

wał się tak w niego jakąś minutę, aż Robert kiwnął głową. Wtedy Adam wstał i chłopak bez dalszych protestów wdrapał się na jego grzbiet. Nadal nie był zachwycony, jednak widać przyjął do wiadomości, kto tu rządzi.

- Hm... - chrząknęła osłupiała matka.

- Mój mąż umie sobie podporządkować ludzi - wyznałam jej. - Nawet nie musi nic mówić.

Tak więc Adam ruszył szlakiem w dół, niosąc zmęczonego, naburmuszonego ośmiolatka ze skreconą kostką, a jeszcze bardziej zmęczona matka chłopca szła za nim, dziękując całą drogę.

- Nie przypuszczałam, że będzie tak stromo - tłumaczyła się, kiedy Adam wysforował się naprzód.

Pomyślałam, że przyspieszył, żeby przerwać ten potok podziękowań, choć może źle go oceniałam.

- Robert był już udręczony siedzeniem w samochodzie, a do Eugene jeszcze kawał drogi. Wpadłam na pomysł ze spacerem, żeby mógł dać upust energii. Liczyłam, że potem resztę trasy prześpi. Mam nadzieję, że pani mąż nie nadwyręży sobie kręgosłupa. Robert waży prawie czterdzieści kilogramów.

- Proszę się nie martwić - uspokoiłam ją. - Adam służył w wojsku. Spokojnie może znieść z góry czterdziestokilogramowy ładunek. No i stąd też może ocenić, czy kostka jest skrecona, zwichnięta, czy złamana.

Nie zamierzałam mówić, że jest również wilkołakiem, który prawdopodobnie mógłby nieść całą naszą trójkę, gdyby udało się nas związać w wygodny pakunek. Co prawda Adam się dawno ujawnił, ale

mały Robert i jego matka nie wyglądali na takich, którzy w obecnej sytuacji przeszliby gładko do porządku dziennego nad towarzystwem wilkołaka. To o wojsku było prawdą, a wcale nie musieli wiedzieć, że chodziło o Wietnam.

- Ale i tak powinna mu pani zrobić rentgena -odezwał się Adam, który mimo odległości świetnie słyszał naszą rozmowę.
- Nie jestem lekarzem, jednak urazy stawu skokowego bywają problematyczne.

Podczas drogi Robert mimo nadwyreżonej kostki odzyskał rezon, a głos jego matki stracił histeryczne tony. Podziękowała nam jeszcze raz, a Robert cmoknął Adama w policzek.

- Mój ty bohaterze - powiedziałam, kiedy obserwowaliśmy, jak samochód nieszczęsnych spacerowiczów odjeżdża. - To co? Wracamy czy idziemy na górę?

Ku mej nieklamanej uciechu spacerowaliśmy jeszcze dwie godziny, a potem pojechaliśmy zjeść coś w Hood River. Nigdy dotąd nie udało mi się spędzić tyle czasu z Adamem bez żadnych zakłóceń. Tu mieliśmy całkowity spokój od codziennych spraw.

Byłam zachwycona. Z radością obserwowałam, jak z jego twarzy i ciała ulatuje napięcie związane z troską o watahę, o córkę, o mnie i o interesy.

Zazwyczaj Adam wyglądał na mężczyznę dobrze po trzydziestce - choć wilkołaki się nie starzeją. Nim wróciliśmy na pole kempigowe, ubył mu dziesięć lat i wyglądał niewiele doroślej niż jego własna córka. Pierwszy raz widziałam jego twarz tak rozjaśnioną uśmiechem.

I to była moja zasługa. Moja. No dobrze, moja, boskich wodospadów i górskich lasów. Nawet jeśli nie było dnia, żebym nie wciągnęła go w swoje problemy. Nawet jeśli musiał przeze mnie walczyć z wampirami, demonami i wodnymi potworami. Nawet jeśli musiał przeze mnie brać się za bary z własnym stadem, to i tak dzięki mnie czuł się dobrze.

Widywałam go już w gniewie, w cierpieniu, w smutku. Nie potrafiłam opisać radości, jaką sprawiało mi patrzenie na szczęśliwego Adama.

- No co? - zapytał, kończąc drugi z ćwierćkilogramowych, średnio wypieczonych steków. - Czemu tak na mnie patrzysz?

Modna mała restauracyjka, umiejscowiona w wiktoriańskiej kamienicy, trochę mnie onieśmielała, choć nie dałabym nikomu, a tym bardziej Adamowi, tego po sobie poznać. Chyba nie widziałam, żeby Adam był kiedykolwiek czymkolwiek onieśmielony, no może z wyjątkiem mojej mamy. Mało tego. Adam tu pasował. Pasował także na turystę wędrującego po górskich szlakach i na bohatera ratującego małego chłopca. Dla kogoś takiego jak ja, kogoś, kto musiał walczyć wszędzie o swoje miejsce, bo nigdy nigdzie nie pasował, Adam był... Cóż, zasadniczo chodziło o to, że pasował także do mnie.

Choć sądząc z ukradkowych spojrzeń, rzucanych nam przez innych klientów restauracyjki, nie wszyscy podzielali moje przekonanie. Adam miał na sobie koszulkę i dżinsy, ale mimo to wyglądał, jakby zszedł właśnie z planu sesji zdjęciowej. Ja zaś, mimo

że w łazience powyciągałam z włosów liście, wyglądałam jak zmachana turystka po całodziennym wędrowaniu.

Westchnęłam teatralnie, położyłam łokcie na stole i wsparłam brodę na rękach.

- Jesteś zdecydowanie zbyt przystojny, wiesz? - powiedziałam na tyle głośno, by ludzie przy sąsiednich stolikach mogli mnie słyszeć.

W oczach Adama zapłonęły diabelskie iskierki, co oznaczało, że zauważył spojrzenia, jakimi nas obrzucano. Odpowiedział z całkiem poważną miną:

- To co, mówisz, że jestem wart tej kasy, którą mi dajesz, mała?

Uwielbiałam, jak ze mną żartował.

Westchnęłam ponownie, przeciągle, melodramatycznie, postanawiając w duchu odpłacić mu się za tę „małą”. Jeszcze popamięta.

- No jasne - ciągnęłam dialog przeznaczony dla naszej widowni. - Muszę podziękować Jesse. To ona powiedziała: „Bierz się za to ciacho i nie żałuj szmalu”.

Odrzucił głowę i zaczął się tak śmiać, że aż musiał ocierać łzy.

- Rany, Mercy, niezła jesteś.

Pochylił się i mnie pocałował. Potem usiadł z powrotem, uśmiechając się radośnie.

Potrzebowałam chwili, żeby odzyskać oddech.

- Nie mogłam lepiej wydać tej piątki - oświadczyłam z przekonaniem.

Nadal chichotał, kiedy zapinaliśmy pasy.

- Dobrze, że tu nie mieszkamy - powiedział. - Już nigdy nie pokażę się w tej restauracji. Pięć dolców. Jak rany... - Adam, dżentelmen wychowany w latach pięćdziesiątych, pilnował się bardzo, żeby nie przeklinać przy kobietach.

- Heh, najlepsza była ta babka, która usiłowała wcisnąć ci dwudziestkę. - Wzbudziłam w nim kolejny atak śmiechu.

- Najgorsza była ta przy stoliku obok - powiedział, wjeżdżając na autostradę. - Wyglądała, jakby wszystko wzięła na serio, chociaż reszta się śmiała.

Straszna damulka. Obserwowała nas oczami jak talerze i z otwartą buzią, a mimo to wyraz jej twarzy był kamienny. Pomyślałam, że to albo psychopatka, albo magiczna istota, co w zasadzie wychodziło na to samo. Mogłam podejść, żeby sprawdzić za pomocą węchu - znałam zapach ludzi - ale miałam swój miesiąc miodowy i wołałam nie wiedzieć.

- Z tobą u boku nigdy nie będę się nudził - powiedział Adam. Co lepsze, brzmiało to tak, jakby się z tego cieszył.

- Masz ochotę na przebieżkę? - zapytał Adam, wyskakując z łóżka kilka godzin później.

Położyliśmy się, żeby odpocząć po wędrówce, aczkolwiek był to nader aktywny wypoczynek. Nie żebym narzekała... Tak czy owak czułam każdą kosteczkę, a on chciał jeszcze biegać?

- Uramm - tyle zdołałam z siebie wydusić.
- Nie udawaj - zaśmiał się. Machnęłam słabiutko ręką.
- Założę się, że pierwszy złapię królika.

Ach, o taki rodzaj biegania mu chodziło. Wróciliśmy do przyczepy o zmierzchu, więc teraz było już całkiem ciemno. A mrok, wspomagany odrobiną wataszej magii, oznaczał, że jeśli nawet ktoś Adama zobaczy w formie wilkołaka, pomyśli, że to pies. Ta sama magia, pozwalająca ludziom widzieć rzeczy zgodne z oczekiwaniami, działała także w świetle dziennym, ale ciemność potęgowała efekt.

- Czemu nie mówiłeś od razu? - mruknęłam i wyskoczyłam z łóżka. Miałam na sobie połowę koszulki i skarpety. Druga część koszulki leżała na przeciwległym końcu pomieszczenia. Obiecałam sobie porządnie posprzątać przyczepę, zanim oddamy ją właścicielom, by uniknąć żenujących sytuacji.

Przypomniałam sobie o czymś, o co dawno już chciałam go zapytać.

- Hej, Adam. - Rzuciłam na ziemię strzęp koszulki i stanęłam na jednej nodze, żeby zdjąć skarpetkę. - Od kogo pożyczyłeś nasz pałac na kółkach? Poza tobą, Kyle'em i Samuelem nie znam nikogo, kto mógłby sobie na coś takiego pozwolić. Samuel w życiu nie kupiłby sobie czegoś tak... pokaźnych rozmiarów, a mówiłeś, że twoja też nie jest. Kyle kupił tę przyczepę w ramach kompromisu dla marzącego o kempingowaniu Warrena?

- Nie, należy do Wujka Mike'a.

Zamarłam ze zgrozy z jedną nogą w powietrzu.

- Co?! - Pożyczył coś od magicznej istoty? Adam podtrzymał mnie ręką.

- Nie jestem pierwszym naiwnym - powiedział z nutą urazy. - Mike sam zadzwonił. Powiedział, że słyszał o moich planach zabrania cię na kemping, a tak się składa, że dysponuje ładniutką przyczepką i że możemy ją zabrać.

- Pożyczyłeś coś od Wujka Mike'a?

- Sam zaproponował... Zaraz, jak on to dokładnie ujął? „Za wykonane do tej pory usługi”. Mercy, albo zdejmij tę skarpetę, albo stań normalnie, bo zaraz się wywrócisz.

Zdjęłam skarpetkę i stanęłam na obu nogach.

- Nieludzie nigdy nie dają niczego za darmo - oświadczyłam przejęta. - Nawet Zee, choć jest moim przyjacielem.

Magiczne istoty potrafiły nakłonić do oddania pierworodnego albo życia za kawałek balonówki, i to tak, że umowa wydawała się niezwykle korzystna dla człowieka.

- Podejrzywałem już coś, jak na godzinę przed Mikiem zadzwonił właściciel tego kempingu, też magiczny, i zaoferował, żebyśmy tu się zatrzymali.

Jego głos był jak zwykle spokojny, ale po sposobie, w jaki Adam zdjął koszulkę, widziałam, że jest poirytowany. Mogłam zostawić tę sprawę, ale... Adam nie znał nieludzi z tej strony, z której ja ich poznałam.

- Po telefonie Mike'a - ciągnął beznamiętnie - wiedziałem już na pewno, że jest jakiś powód, dla którego chcą nas tu ściągnąć. Mogłem odmówić. Zrobiłem wcześniej rezerwację w San Diego. Ale

pomyślałem, że tu ci się bardziej spodoba niż w hotelu. I wiem, że miałem rację.

Popatrzyłam na niego chmurnie.

- Niczego im nie obiecywałem - zapewniał Adam, okazując przesadną cierpliwość. - Nie zapominaj, kim teraz jesteś. Nie mogą ot tak, so... - Urwał na moment i z wyraźnym wysiłkiem powściągnął nerwy. Mimo to wysiłek nie był wystarczający, nie udało mu się powrócić do neutralnego tonu. - Mercy, nie mogą sobie już ot tak grać w kulki, bo zadzierając z tobą, zadzierają też ze mną, całą moją watahą, a na dodatek z Samuelem, Branem i pewnie też nawet Stefanem. Nie wiem, czego chcą. Może chcieli tylko, żebyśmy nie jechali do San Diego? Mike wspomniał o San Diego, mimo że nikomu nie mówiłem, gdzie się wybieramy. Może chcieli, żebyśmy trzymali się bliżej domu? Wilkołaki są potężnym sprzymierzeńcem w kwestiach politycznych, bo jesteśmy jedynymi nadnaturalnymi istotami, poza magicznymi, które ujawniły swe istnienie światu. A może jest tu coś...? - Zatoczył ręką krąg, wskazując okolicę kempingu. - Na przykład nasza obecność ma odstraszyć jakiegoś przeciwnika Edythe, który zamierza zniszczyć to miejsce.

Pewnie właścicielem tego pola kempingowego była właśnie Edythe. Dowiedziawszy się, że magiczna istota stworzyła to miejsce, przestałam się dziwić super zielonej trawce i gigantycznym drzewom.

Adam miał rację. Zapomniałam, że zadzierając ze mną, nie ludzie zdarliby również ze stadem. I nie tylko. Dzięki Adamowi i przyjaciołom byłam teraz kimś

więcej niż mechanikiem naprawiającym volkswageny i zmieniającym się w kojota. Rok, dwa, a jaka różnica.

Gdyby w tym punkcie porzucił dyskusję, nie rozzłościłabym się. Może nawet przyznałabym mu rację i przestała się martwić. Ale Adam, choć wspaniały i mądry, nie był idealny.

- Mogłem szaleć z niepokoju - wymknęło mu się, gdyż najwyraźniej nasza nieprzewidywalna więź przestała spełniać swoje zadanie. Nie wiedział, że się z nim zgadzam. Że wygrał.

- Albo, co bardziej prawdopodobne, dopuścić, byś to ty doprowadziła nas oboje do szaleństwa, zastanawiając się, jakąż to podstępłą intrygę obmyślił Wujek Mike, który zresztą nie raz dowiódł, że jest jeśli nie przyjacielem, jak uważasz, to co najmniej wartościowym sprzymierzeńcem. Albo zachować to dla siebie, dopóki twoja ciekawość nie skłoni cię do zadawania pytań, a tym samym zapewnić nam przynajmniej chwilę beztrudnej radości podczas miodowego miesiąca, zanim zaczniemy się zamartwiać, co, do k... - Zaczął ciężiej oddychać i o mało co nie wyrwało mu się słowo na „k”.

Pochyliłam się i pocałowałam Adama w zuchwę, której napięta, wyraźna linia bielała niczym barwa wojenna za każdym razem, kiedy zaciskał szczęki.

- Wystarczyło powiedzieć, że panujesz nad sytuacją, skarbie - rzekłam lekko i zatrzepotałam rzęsami. - Jestem tylko twoją żoną. Nie muszę sobie zaprzętać swojej małej główki jakimiś tam nieлюдźmi, bo przecież przed wszystkim mnie obronisz.

Tak, też mnie krew zalała. Zachował się wobec mnie protekcjonalnie.

Mimo to nawet wtedy jeszcze gotowa byłabym przyznać mu rację - nie było sensu przejmować się tak magicznymi.

Zmarszczył brwi.

- Nic takiego nie powiedziałem. Nie przekręcaj moich słów.

Sięgnęłam za jego plecy i otworzyłam drzwi. Zanim skończył zdanie, zmieniłam się w kojota i wyprysnęłam na zewnątrz.

Miałam przewagę, bo przemiana w wilkołaka trochę trwa. Pewnie mógłby pobiec za mną jako człowiek, ale wilkołak czy nie, nie dałby rady złapać mnie na dwóch nogach. Poza tym był goły. Ukształtowanie terenu i roślinność zapewniały mieszkańcom pola kempingowego sporo prywatności, ale nie sto procent. A magia stada nie pomogłaby ukryć faktu, że nieopodal drogi biega nagi facet.

Wykorzystałam sytuację i uciekłam, zanim sprzeczka rozgorzała na dobre.

- Czy wiesz, co robisz, poślubiając Alfę? - grzmiała matka kilka miesięcy wcześniej, kiedy jechałyśmy do kolejnego sklepu ślubnego w Portland. W życiu nie sądziłam, że na świecie jest tyle koszmarnych sukien ślubnych. Co dziwniejsze, im strój był paskudniejszy, tym droższy.

- Tak, mammo - powiedziałam, cudem unikając stłuczki z brązowym LTD 77 prowadzonym przez staruszkę, która ledwie co widziała znad deski rozdzielczej. - Znam Adama od dawna i wiem, w co się pakuję.

- Każdy charyzmatyczny facet lubi rządzić - ciągnęła, jakbym nie odezwała się słowem. - A wilkołaki mają świra na punkcie kontrolowania wszystkiego i wszystkich. Alfy są jeszcze gorsze. Jeśli nie będziesz uważała, obudzisz się z ręką w nocniku, robiąc to, co ci każą.

Zaciekawiała mnie ostrzejsza nuta w jej głosie. Zaczęłam się zastanawiać, ile razy Bran nakłonił matkę do zrobienia czegoś po jego myśli. Dałabym rękę sobie uciąć, że nie tak często, jak by chciał, ale z pewnością częściej, niż ona by tego chciała.

- Umiem o sobie zadbać. - Wcale się tym nie przejmowałam. Owszem, Adam był dominujący, ale nie raz dowiodłam, że w razie potrzeby potrafię mu się sprzeciwić.

- Wiem, że umiesz - przyznała mama z zadowoleniem. - Pamiętaj jednak, że w przypadku Alfy konfrontacja nie daje efektu. Można tylko na tym stracić. Albo co gorsza, doprowadzić go do utraty panowania.

- On mnie nie skrzywdzi, mammo.

- Oczywiście, że nie. Ale kiedy mężczyzna w rodzaju Adama traci panowanie nad sobą, bardzo to potem przeżywa. Zadręcza się, że mógłby cię skrzywdzić. A popsucie takiemu samopoczucia nie jest dobrym pomysłem. - Przerwała, zastanawiając się moment nad własnymi słowami, a potem się po-

prawiła: - O ile oczywiście popsucie mu samopoczucia nie jest zasadne. Jednakże z doświadczenia wiem, że w większości przypadków nie przynosi efektów. Udręczony facet robi się nieprzewidywalny.

Ciekawe, czy mój ojczym zdawał sobie sprawę, jakie ma szczęście, że jego żona uważa, iż w jej najlepszym interesie jest, by był szczęśliwy. Pewnie tak. Był mądrym facetem.

-Jestem mistrzynią wojny podjazdowej. Minimum ryzyka, maksimum zysku.

- To dobrze. Tylko uważaj, żeby nie zmienił cię w potulną żonkę. Pewnie przez chwilę dałabyś tak radę. Udało ci się nawet być grzeczną dziewczynką przez cały czas, kiedy mieszkałaś w domu przed pójściem na studia.

Zadrzał jej głos, zupełnie jakbym ją zraniła. A przecież nie takie miałam intencje. Kiedy opuściłam watahę Brana i zamieszkałam z mamą oraz ojczymem, miałam szesnaście lat, a oni przez ten czas stworzyli własną rodzinę. Nie tylko rodzinę, ale rodzinę idealną. Nie chciałam tego psuć i w miarę możliwości bardzo się pilnowałam.

- Nie próbuj tego samego w małżeństwie - ciągnęła - bo taki związek w końcu runie, pozostawiając za sobą pole zasłane ofiarami.

- Adam wcale nie pragnie potulnej żony - powiedziałam.

- Oczywiście, że nie - rzekła z przekonaniem, a przecież nie znała Adama tak dobrze jak ja. Założyłam więc, że tylko przyznaje mi rację. Do czasu, gdy podjęła: - Ale wychował się w czasach, kie-

dy żona była skrzyżowaniem kucharki, sprzątaczk i pełnej poświęcenia matki, a mąż był jej niezbędny do opieki i zapewnienia stabilizacji finansowej. W głowie i sercu wie, że jesteście równi, jednak przekonania na temat małżeństwa wyryły się w nim dawno temu. Będiesz mu musiała z tym pomóc, a do tego potrzeba cierpliwości.

Moja mama nie byłaby tak przerażająca, gdyby tak często nie miewała racji.

Właśnie dlatego zamiast zostać i wyklócać się z Adamem, wybiegłam, żeby obojgu nam dać czas na ochłonięcie. Musiałam odczekać, aż uraza po jego protekcyjnych uwagach zelżeje i będę mogła jasno myśleć, bo nie potrafiłabym wykazać się cierpliwością, gdy wszystko się we mnie gotowało. No chyba że chciałam wziąć odwet, ale aż tak zła nie byłam. Na razie.

Jakiś czas biegłam pełnym pędem, a potem zwolniłam do truchtu.

Nie zamierzałam pozwolić, by traktował mnie jak swoją pierwszą żonę. Nie pozwolę wsadzić się pod klosz.

Ale o tym wiedział.

Ufałam mu. Informacje, które dla siebie zatrzymał, nie mogły zagrozić mi śmiercią. Miał rację. Magiczne istoty nie naraziłyby się na wejście w konflikt z Alfą watahy dorzecza Kolumbii. Już pojedynczy wilkołak mógł być groźnym przeciwnikiem, ale

prawdziwa siła wilkołaków tkwiła w stadzie. Rozumiałam, że nie chciał, by nasz miesiąc miodowy został zakłócony zmartwieniami. No dobrze, dobrze.

Wobec tego dlaczego nasza rozmowa zmieniła się w kłótnię i tak nadszarpnęła nam nerwy? I sprawiła mi ból, jakby nie burknął na mnie, a co najmniej mnie uderzył? Nawet nie rozzłościł się na dobre, a ja czułam się okropnie.

Niemal spod łap wyskoczył mi królik. Nie planowałam polowania, ale skoro głupie stworzenie samo pchało mi się w zęby... Skoczyłam naprzód, ruszając w pogoń.

Dojadałam resztki królika, kiedy pojawił się Adam. W pełnej futrzanej krasie i z królikiem w pysku. Adam jest pięknym mężczyzną i równie wspaniałym wilkiem. Ma ubarwienie jak kot syjamski, tyle że stalowoszare z czarnymi znaczeniami.

Upuścił zdobycz przed moim pyskiem i legł naprzeciwko, z pyskiem na łapach i położonymi uszami.

Nic nie nadaje się lepiej na przeprosiny ukochanej niż martwy królik.

Przypomniałam sobie, że swoją pierwszą żonę, Christy, musiał przeproszać bardzo często, i to za rzeczy, którym nie zawinił. Ja nie chciałam, żeby mnie przepraszał. Chciałam tylko zrozumieć, dlaczego się pokłóciliśmy i czemu wcale mi się to nie podobało.

A przecież lubiłam sprzeczki z Adamem.

On pierwszy się rozzłościł.

Wzięłam to pod rozwagę.

Adam wpadał w gniew z trzech powodów. Najczęstszym i moim ulubionym była frustracja. Zwykle, kiedy się na mnie wściekał, to właśnie frustracja była zapalnikiem. Sfrustrowany, rozzłoszczony na mnie Adam wybuchał jak fajerwerki, dając po drodze upust nagromadzonej adrenalinie, a potem się uspokajał.

Druga rzecz, która burzyła mu krew w żyłach, to niebezpieczeństwo grożące komuś znajdującemu się pod jego opieką. Ale ustaliliśmy, że nieludzie w tym wypadku nie planują nas zabić ani nie knują śmiertelnej w skutkach prowokacji.

Trzecim powodem był ból - fizyczny lub emocjonalny.

Skoro wykluczyłam frustrację i zabójcze intrygi, zostawało to ostatnie. W jakiś sposób go zraniłam.

Przyjrzałam mu się, mrużąc ślepią. Zazwyczaj Adam mówił prosto z mostu, co niezwykle sobie w nim ceniłam. Ale odkrycie powodu jego złości nie powinno być trudne.

Chciał mnie chronić, a ja się postawiłam. Jednak często się na tym gruncie spieraliśmy, a on nie tracił zimnej krwi, chyba że naprawdę działa mi się krzywda.

Zależało mu, żebyśmy mogli się prawdziwie cieszyć naszym miesiącem miodowym. Zdawał sobie sprawę, że zdenerwuję się na wieść, iż pożyczył przyczepę od Wujka Mike'a, ale jednocześnie wie-

dział, że ten rodzaj wyjazdu spodoba mi się bardziej niż klasyczna podróż poślubna.

Denerwował się na myśl, że źle zareaguję, dowiedziawszy się o przemilczeniu prawdy na temat przyczepy. A więc bolało go założenie, że wpadnę w złość. Ułożyłam się wygodniej i postanowiłam przez chwilę myśleć jak Adam - bystry facet, którego umysł zatruwa testosteron.

Przed wszystkim wiedział, że wścieknę się o ukrywanie ważnych rzeczy. Ale ta wiedza by go nie zraniła...

Nagle zrozumiałam, co zaszło.

Podniosłam się, obeszłam królika i resztki drugiego, liznęłam Adama po pysku, a potem zmieniłam się w człowieka.

- Niepotrzebnie zakładałeś pewne rzeczy - powiedziałam z mocą. - Zapamiętaj, zanim zaczniesz się na mnie wściekać, poczekaj, aż zrobię coś głupiego.

Adam wpatrywał się we mnie, nie potrafiłam jednak odgadnąć, co myśli.

- Zaczynamy dopiero budować to małżeństwo i jak przy każdym projekcie w toku, nie raz popełnimy różne błędy. Rzeczywiście, w pierwszej chwili przeraziłam się na myśl o pożyczeniu przyczepy od nie ludzi, ale zaraz doszłam do wniosku, że nie zrobiłbyś tego, nie upewniwszy się wcześniej, że poradzisz sobie z konsekwencjami. - Gwałtownie wypuściłam powietrze z płuc. - Zirytowałeś się, bo uznałeś, że nie ufam twojej ocenie sytuacji. To nie fair. Bardzo, bardzo nie fair. Oczywiście ja ciągle coś

przed tobą ukrywam. - Wyszczерzyłam się do niego. - Ale ty przecież jesteś lepszym człowiekiem ode mnie. W każdym razie uważam, że słabość mojego charakteru oznacza, że nie musisz mnie przeproszać za coś, co zrobiłabym sama. Jeśli więc o mnie chodzi, w kwestii ukrywania przed sobą pewnych spraw jesteśmy kwita.

Teraz on łypał na mnie znacząco.

- Masz rację - rzekłam, jakby mi odpowiedział. Zaczął dokuczać mi chłód nocy, więc położyłam się obok Adama, żeby mnie ogrzał. - Wiem, co powiedziałam przed wyjściem. Sprowokowałeś mnie. Nie przeproszam, ty też nie musisz, ale królika przyjmę. Tylko weź pod uwagę, że jeśli jeszcze raz potraktujesz mnie protekcyjnie, ukrywając przede mną coś ważnego, przed moim gniewem nie ocali cię nawet najtłustszy, najsoczysty królik na świecie.

Miałam wyrzuty sumienia, że ja mogę mówić, a on nie, dlatego zmieniłam się z powrotem w kojota. A ponieważ kierowałam się zasadą przyjmowania darów Adama z wdzięcznością, zjadłam królika. Poza tym po kłótniach zawsze chciało mi się jeść, a nie miałam pod ręką czekoladek.

Zjedzenie podarunku bez przyjęcia przeprosin uznał za coś zabawnego, co odczytałam jako powrót do dobrych stosunków. Zdawałam sobie sprawę, że przed nami jeszcze wiele sprzeczek i generalnie cieszyłam się na nie. Życie z Adamem również zapowiadało się ciekawie.

W drodze powrotnej do obozowiska natknęliśmy się na łódź. Wcześniej, zamiast wzdłuż rzeki, pobiegłam granią przełomu, omijając rozsiane tu i ówdzie domostwa i winnice, a Adam podążał moim śladem. Potem truchtaliśmy brzegiem. Na niebie świecił sierp księżyca, w czarnych wodach odbijały się gwiazdy.

Na autostradzie po stronie Oregonu jak zwykle panował spory ruch. Po naszej stronie, waszyngtońskiej, było znacznie spokojniej. Szerokość rzeki sprawiała, że szum jadących przeciwnym brzegiem samochodów stanowił jedynie tło dla innych odgłosów nocy. Jeden z dźwięków wydawała obijająca się o brzeg łódka.

Zatrzymałam się, bo akurat w tym miejscu trudno byłoby przycumować. Kiedy tylko skierowałam tam całą uwagę, poczułam krew i strach - pozostałości po walce. Zerknęłam na Adama. Wyczuł to samo. Nie wydał żadnego odgłosu, ale zjeżył sierść.

Łódź kołysała się pod niewielką kępą drzew i krzewów. Podeszłam bliżej i zauważyłam, że to mała jednostka, na dwóch, trzech wędkarzy. Choć z powodzeniem można było poruszać nią z pomocą samych wiosł, posiadała niewielki silnik zaburtowy. Przez gęstwiny nie widziałam wnętrza, ale czułam człowieka i słyszałam jego głos.

- Niech mnie nie znajdzie. Niech mnie nie znajdzie - powtarzał tak w kółko, bardzo, bardzo cicho, ciszej niż szeptem. Mimo świetnego słuchu nie potrafiłam rozróżnić słów, póki nie podeszłam niemal na skraj brzegu. Stukanie kołysanej prądem łodzi o kamienie prawie całkiem zagłuszało głos męczyzny.

Wycofałam się z gąszczy i porozumiałam z Adamem wzrokiem. Goliznę trudno byłoby wyjaśnić, a wolałam nie przedzierać się bez ubrania przez te krzaki. Z drugiej strony Adam potrzebował więcej czasu na przemianę i do tego też byłby nagi, a jeśli człowiek w łódce obawiał się powrotu napastnika, Adam w wilkołaczej formie był naszą najlepszą opcją obrony.

Może komu innemu nie przyszłoby do głowy, że ten człowiek bał się czegoś, co wymagałoby pomocy wilkołaka. W okolicy nie mieszkały inne wilkołaki, wampiry preferowały lepiej zurbanizowane tereny, a rezerwat magicznych istot znajdował się po drugiej stronie Tri-Cities, ponad trzysta kilometrów stąd. Jednakże potęga lęku tego mężczyzny w łódce usprawiedliwiała moją paranoję.

Przemieniłam się.

- Hej - zawołałam - ty tam, w łódce. Co z tobą? Odezwij się.

Szept mężczyzny rozlegał się nadal, jakby w ogóle mnie nie usłyszał.

- Łatwiej mi będzie dostać się do niego z wody -zwróciłam się do Adama. - Łódka unosi się na powierzchni, nie osiadła. A jeśli facet jest tak ciężko ranny, jak sugeruje to zapach krwi, to i tak nie damy rady go ciągnąć przez te zarośla.

Wygodne miejsce do zacumowania znajdowało się dziesięć metrów w dół rzeki. Nocą woda była lodowata. Potknęłam się na jakimś kamieniu na dnie i przewróciłam z chlupnięciem. Mimowolnie pisnęłam, zaskoczona uczuciem zimna na rozgrzanej skó-

rze. Człowiek w łódce wrzasnął. Sądząc po chrypie, nie pierwszy raz tej nocy.

- Wszystko w porządku - uspokoiłam go, stając znów na dnie.
- Jesteś bezpieczny.

Przestał wrzeszczeć, choć wątpiłam, czy mnie zrozumiał. Czasami strach jest tak wielki, że wyłącza świadomość. Człowiek tak skupia się na przetrwaniu, że wszystko inne odsuwa na bok. Wiem, bo sama to przeżyłam.

Kamienie na dnie miały ostre krawędzie, gdy weszłam do wody po pas, nie stapałam już po nich tak ciężko. Gdybym poruszała się w dół rzeki zamiast pod prąd, mogłabym nawet podpłynąć. Adam krążył niespokojnie na brzegu.

Drzewa pochylały się nad wodą, brzeg pod nimi był wymyty, tworząc wrzynkę, w której zbierał się różny rzeczny śmieć. Brodząc po omacku, weszłam w kępę jakiegoś wodnego zielska. Nocą widzę całkiem nieźle, ale rzeka była czarna niczym atrament i nie sposób było zobaczyć cokolwiek pod powierzchnią. Nienawidzę nic nie widzieć. Poza tym kto wie co pływa w tej Kolumbii?

Coś otarło się o moją nogę mocniej niż reszta glonów. Znów pisnęłam, a Adam aż zaskomlał, zdenerwowany.

- Przepraszam. Nic mi nie jest. Wlazłam w jakieś zielsko. Nic nie widzę w tej cholerniej wodzie, a ten facet emanuje takim strachem, że sama zrobiłam się nerwowa. Przepraszam.

Głupie zielsko okazało się uparte. Oplątało mi łydkę, opierając się moim niezbyt dynamicznym

zabiegom, by się uwolnić. Właśnie zaplątanie się w rośliny wodne jest jedną z wiodących przyczyn utonięć pływaków. Przypomniałam sobie jednak szybko, że sięgam stopami dna, w tym przypadku zielsko nie stanowiło śmiertelnego zagrożenia, choć było wkurzające. Nie miałam powodu do paniki.

Złapawszy się łodzi, szybko zapomniałam o glonach. Skraj burty znajdował się na linii mojego wzroku, nie mogłam porządnie przyjrzeć się rannemu.

-Już wszystko dobrze - powiedziałam. - Zaraz cię z tego wyciągniemy.

Na próbę pociągnęłam łódkę, ale stałam teraz w wodzie po piersi i prąd omal nie zbił mnie z nóg. Kiedy usiłowałam pchać, to ja się poruszałam.

Przesunęłam się bliżej dziobu. Ciągnięcie łodzi przodem do wybranego kierunku powinno być łatwiejsze niż bokiem. W ostateczności mogłam wdrapać się do środka i odpalić silnik, ale po pierwsze, gałęzie znajdowały się tuż nad relingiem, a po drugie, nie uśmiechało mi się włożenie do łódki.

Poderwałam głowę, słysząc jakiś dźwięk. Kilka metrów dalej z wody wychynęły cztery łebki. Wydry.

Świetnie. Po prostu wspaniale. Tylko tego brakowało.

- To wydry - wyszczękałam do Adama. Zimno dawało mi się we znaki. - Jeśli zacznę krzyczeć, znaczy, że mnie atakują.

Warknął nisko, groźnie i łebki zniknęły. Niezbyt mi ulżyło. Na szczęście nie czułam ostrych zębów wpijających się w jakąś część mojego ciała. Na razie.

Za to przekłete zielsko nadal trzymało mnie za nogę, i to całkiem mocno.

Mam znajomą, która nurkowała kiedyś z morskimi wydrami u wybrzeża Kalifornii. Mówiła, że to coś niesamowitego. Ponoć tamtejsze wydry były słodkie i chętne do igraszek z nurkami. Tyle że lubiły nieco ostre zabawy, więc bawiący się w ich towarzystwie nurkowie musieli często kupować nowe pianki. Jednak uważali, że to niewielka cena za tak wspaniałe doświadczenia.

Wydry rzeczne były mniejsze i jeszcze słodsze niż ich morscy kuzyni. Tyle że miały milusi temperament skacowanego borsuka. Nie przeszkadzałoby mi to normalnie, bo sama też mogłam mieć w każdej chwili ostre zęby. Teraz jednak to one były w swoim środowisku naturalnym, a ja ich nie widziałam, i co gorsza, nie czułam ani nie słyszałam. Mogłam nie robić nic, czekając, aż zaatakują, albo jak najszybciej wyjść z rzeki.

Chwyciłam mocniej dziób łódki i wreszcie udało mi się ją trochę ruszyć. Jeszcze metr, dwa i prąd pomoże mi ją pchać w odpowiednią stronę.

Mężczyzna zaczął się miotać. Dopiero po chwili zrozumiałam, że nie panikuje, tylko usiłuje zapuścić silnik. W chwili, gdy noc rozdarł głuchy ryk, złapałam się burty z całej mocy, odrywając stopy od dna.

Łódka wyrwała naprzód, a glony zacisnęły się wokół mojej kostki tak boleśnie, że przez moment myślałam, że nie puszcza. Ale żadne zielsko nie jest aż tak mocne. Łódka wyszarpnęła mnie z opłotu. Przepłynęła jeszcze kilka metrów, zanim zdołałam

wdrapać się do środka. W tym momencie mężczyzna znów stracił przytomność, wypuszczając z dłoni rumpel, który przejęłam w locie.

Usiadłam na ławeczce i skierowałam łódkę ku brzegowi, gdzie niecierpliwiał się Adam.

Mężczyzna złapał mnie za rękę, a ja o mało nie wywróciłam łódki. Z trudem zbalastowałam jego ciężar. W butach zapewne poślizgnęłabym się na mokrych deskach i runęła na niego.

- Musimy uciekać - powiedział. Po bliższym przyjrzeniu się okazał się Indianinem. Mimo że miał ciemną skórę, jak ja, jego usta wydawały się białe.

- Musimy dostać się na brzeg - z trudem przekrzyczałam silnik. - Inaczej wykrwawisz się na śmierć.

Kiedy łódka zaszurała o dno, Adam potężnym szarpnięciem za cumę wyciągnął nas na ląd. Gdybym zauważyła wcześniej cumę, sama bym jej użyła.

Udało mi się zgasić silnik, a szarpnięcie wykorzystałam, żeby wytoczyć się z łódki na brzeg. Inaczej upadłabym na człowieka, którego usiłowaliśmy uratować. Runęłam na ziemię, na szczęście z małej wysokości, choć i tak mogłam spodziewać się sińca na ramieniu.

Adam przypadł do mnie.

- Nic mi nie jest - uspokoiłam go. - Sprawdź lepiej, co z nim.

Podszedł do burty, a ja wygramoliłam się w końcu i zrobiłam to samo. Nie wiem, czy sprawiła to utrata krwi, czy też widok ostrych kłów wielkie-

go wilka, ale nasz podopieczny stracił przytomność. Krew sączyła się z rozległej rany na pozostałości stopy. Adam popatrzył na mężczyznę, potem na mnie i rzucił się biegiem w stronę obozu. To jedno spojrzenie wystarczyło. Kazał mi czekać, a sam poszedł sprowadzić pomoc. W sytuacjach awaryjnych wilki porozumiewają się niewerbalnie znacznie lepiej niż ludzie.

Nawet przy największej prędkości Adam potrzebował około dziesięciu minut na dotarcie do odległego prawie dziesięć kilometrów pola kempingowego. Tam kolejnych dziesięciu na przemianę, jeśli się postara. Nie miałam pojęcia, gdzie znajduje się najbliższy szpital ani ile zajmie transport rannego do placówki. Zostawiłam to wszystko w rękach Adama.

Nocne powietrze było chłodne, woda w rzece zimna, więc oboje, i ranny, i ja szybko bardzo zmarzliśmy. Niestety, nic nie mogłam na to poradzić.

Ułożyłam mężczyznę wygodniej w łódce, zranioną nogę umieściłam na drewnianym krzyżaku służącym za siedzisko. Dziwne, że przy takiej ranie krew się tylko sączyła. Może zimno, choć niebezpieczne, na coś się w tej sytuacji przydało.

Zaczęłam zastanawiać się, czy przemienić się w kojota, licząc, że moje mokre futro da nam obojgu nieco ciepła, czy raczej znaleźć sposób na zdjęcie z rannego koszuli i wykorzystanie jej jako opatrunku, i to bez pomocy noża. Obie opcje mogły narobić więcej szkód niż pożytku. Z zadumy wyrwał mnie odgłos silnika na rzece. Brzeg omiotły snopy reflektorów, a potem światło wróciło, zatrzymując się

na białej łodzi, w której stałam. Zaczęłam machać i wołać do ludzi w drugiej łodzi. Usłyszałam wrzawę podniesionych głosów, ale przez ryk silnika nie dałam rady rozróżnić słów. Mała, zwinna, nowoczesna i oświetlona łódka zbliżała się ku brzegowi z pełną prędkością.

Nim dobiła, do wody wskoczyło trzech ludzi. Jeden z nich złapał cumę, a ten, który został w łodzi, natychmiast zgasił silnik i też wyskoczył.

Okrzyki „Benny?!”, „Faith?!” i „Kim jesteś?” zmieniły się w pośpieszną prezentację, której dokonał najstarszy z mężczyzn, Jim Alvin.

Jim wyglądał na jakąś sześćdziesiątkę i pachniał dymem z ogniska oraz tytoniem. Calvin Seeker dobiegał dwudziestki albo dopiero co ją przekroczył. Hank i Fred Owensowie, tak podobni, że mogli być bliźniakami, byli mniej więcej w moim wieku.

Dopiero kiedy bracia przynieśli z łodzi apteczkę, uświadomiłam sobie, że wszyscy, ja, ranny i ratownicy, jesteśmy Indianami. A nieśmiertelników Owensów nie zauważyłabym pewnie wcale, gdyby Adam nie podarował mi niedawno swojego. Natomiast w szybkiej reakcji braci na widok rannego Benny'ego Jamisona i ich pewnych, skutecznych gestach na pewno dostrzegłabym znajomość podstaw pierwszej pomocy.

Podczas gdy Owensowie starali się jak najlepiej opatrzyć rannego, Jim spokojnym, cichym głosem zadawał mi szereg pytań.

- Nie wiedzieliście nikogo więcej? - upewnił się, kiedy opowiedziałam, jak z Adamem natknęliśmy

się na łódź, i poinformowałam go, że mąż kazał mi tu zostać, a sam pobiegł po pomoc.

- Nie. - Otuliłam się szczelniej kocem, który mi wręczyli.

Benny ocknął się na chwilę, kiedy Owensowie opatrywali mu nogę. Z odgłosów wynikało, że bardzo cierpi.

Jim westchnął.

- Benny wybrał się na ryby ze swoją siostrą Faith. Mieli wrócić do domu na wieczór, a ponieważ Benny nie odbierał komórki, jego żona Julie zadzwoniła do Freda. Byliśmy już na przystani, ale Jamisonowie to porządni ludzie. Wypłynęliśmy z powrotem, żeby poszukać Benny'ego i Faith. Z jakiego mówiłaś, że jesteś plemienia?

Nie mówiłam, mimo że oni przedstawili się, podając nazwy swoich. Wszyscy należeli do plemienia Jakimów. Owensowie byli Jakimami po obojgu rodzicach, a Jim i Calvin potomkami Jamimów i Wishramów.

Ja nie identyfikowałam się z żadnym szczepem. Byłam zmiennokształtnym i mechanikiem samochodowym, a jedno i drugie częściej wyróżniało mnie spośród ludzi, niż zapewniało przynależność do jakiejś grupy. Potem byłam towarzyszką Adama, co łączyło mnie z nim i z watahą.

Poza tym byłam zziębnięta i zmęczona. Musiałam pomyśleć, nim sobie przypomniałam.

-Jestem z Czarnych Stóp - powiedziałam z wahaniem, przypominając sobie, że istnieją dwie grupy rdzennych mieszkańców określane tym mianem.

- Nie wiesz na pewno, kim jesteś? Jak to? - zdziwił się Calvin. Odezwał się po raz pierwszy, choć nie przestawał mnie obserwować od chwili zejścia na ląd. Gdyby nie jego mina, zanim podali mi koc, zapomniałabym, że jestem gołą. Pewnie trudno oczekiwać uprzejmej obojętności od wszystkich, a wynik trzech na czterech nie był wcale najgorszy.

- Nie znałam ojca, a matka jest biała. Ojciec powiedział matce tylko tyle, że jest z Browning w Montanie - wyjaśniłam. Wełniany pled spełniał zadanie. Czułam, jak się rozgrzewam. Normalnie nie byłabym skrupowana ledwie okrytą nagością, nawet wśród obcych. Może gdyby Calvin przestał zerkać na fragmenty mojego ciała, których koc nie zakrywał, puściłabym w niepamięć wcześniejsze gapienie się na mnie. Ale w tej sytuacji mogłam tylko chować się trochę za Jimem.

- Więc wychowali cię biali? - stwierdził Calvin z nutą dezaprobaty w głosie.

Żałowałam, że nie przyznałam się do latynoskiego pochodzenia. Mogłam powiedzieć, że w moich żyłach płynie krew co najwyżej Indian z Południowej Ameryki. Połowa moich klientów i tak brała mnie za Latynoskę. Czułam, że udając Latynoskę, oszukiwałam mniej, niż mówiąc prawdę, bo tak naprawdę niewiele łączyło mnie z rdzenną ludnością.

- Skoro z Browning w Montanie, to należy do Czarnych Stóp - objaśnił mi Jim. - Do Pikuni. Bo są też Kainai i Siksika. A tamte Czarne Stopy to Dakoci.

Wiedziałam o tym, ale jakoś się w tym wszystkim zaplątałam.

- Co tu robiliście? Dziwne miejsce na uprawianie biegów nocą. - Jim nie dodał „nago”. Nie musiał. -Chłopcze! - zwrócił się ostro do Calvina. - Przynosisz wstyd swojej matce.

Młody człowiek zacisnął usta, ale przestał się na mnie gapić. Jeszcze parę lat temu jego zainteresowanie nie zrobiłoby na mnie wrażenia, ale od tamtej pory wiele się wydarzyło i nie czułam się komfortowo prawie naga w towarzystwie czterech nieznajomych. Pięciu, jeśli liczyć nieprzytomnego Benny'ego.

-Jesteśmy świeżo po ślubie - wyjaśniłam, napominając nieco roztrzęsione serce, że Adam jest już w drodze powrotnej. Gdyby coś miało się stać, a nie miałam powodów, by się czegokolwiek obawiać, szczególnie że natychmiast i bez zbędnych słów dostałam koc, Adam zdąży dotrzeć, zanim cokolwiek się wydarzy. Nie chciałam popaść w obsesję, zakładając z góry, że każdy mężczyzna jest zły, ale musiałabym być pozbawiona ludzkich odruchów, gdybym po tym wszystkim nie nabrała nieufności. -Pływaliśmy.

- Na szczęście dla Benny'ego - podsumował Jim. - Przepływaliśmy tędy dwa razy. Pewnie dopiero rano zdołalibyśmy dostrzec łódź pod drzewami, a wtedy byłoby już dla niego za późno.

Fred (rozdzieliłam braci po kolorach koszul; Fred nosił czerwoną, zaś Hank szarą) zostawił Benny'ego pod opieką brata i podszedł do nas. Musiał wszystko słyszeć, bo powiedział:

- Dzwoniłem na dziewięćset jednaście, odebrali już wezwanie od jej męża. Karetka jest w dro-

dze. Powiedziałem dyżurnemu, że przeniesiemy Benny'ego na drogę, choć będzie ciężko. Szosa znajduje się co prawda tylko kilkaset metrów stąd w linii prostej, ale teren jest piekielnie trudny do nocnych wędrówek. Tyle że ratownicy musieliby przebyć tę samą drogę dwukrotnie.

- Może przewieziemy go łodzią? - zaproponował Calvin.

Fred pokręcił głową.

- Byłoby szybciej niż karetką, ale w karetce jedzie lekarz i dotrze tu prędzej niż my do szpitala. A w tym wypadku liczy się każda minuta. Benny jest w szoku i jeśli potrwa to dłużej, stracimy go, ale kiedy się rozgrzeje, ze stopy buchnie krew.

- Zrobimy tak, jak uważasz ty i Hank - orzekł Jim, który najwyraźniej podejmował decyzje za wszystkich.

ROZDZIAŁ 5

Jedyne drzewa i krzewy niezasadzone ludzką ręką, a i tych było w okolicy niewiele, rosły tuż przy rzece. Większość naszej drogi biegła po bazaltowych rumowiskach porośniętych trawą, co nie stanowiłoby takiego wyzwania, gdybym miała buty.

Łatwiej byłoby mi iść w formie kojota, ale nie znałam tych ludzi, a nie mam w zwyczaju ogłaszać wszem wobec, czym jestem. Zbyt wiele złych rzeczy przytrafiło się tym, którzy przyznawali się do swej natury bez wsparcia potężnej grupy, a czasem i tym, którzy takie wsparcie mieli. Ja przetrwałam tak długo, trzymając głowę nisko i nie wychylając się z tłumu, i nie zamierzałam tego zmieniać z powodu bolących stóp.

Bracia Owensowie i Calvin nieśli Benny'ego na zmianę. Jim szedł przodem z flarą w rękę, oznaczając naszą pozycję dla karetki. Wszyscy, prócz tego, który akurat niósł ранego, mieliśmy latarki, co

skutecznie zakłócało moje nocne widzenie. Ja zamykałam pochód, choć mężczyźni sugerowali, że powinnam zostać przy rzece.

Mogłam zostać, obawiałam się jednak, że wpadną na Adama. Normalnie nic by im nie groziło, ale dzisiaj Adam przeszedł dwie przemiany i był wystawiony na wiele czynników stresujących. Musiał zostawić mnie samą, nagą i bezbronną. A do tego Benny, który tak się bał, cierpiał i krwawił.

Adam nie był człowiekiem, i to od bardzo dawna. Umiał świetnie nad sobą panować, lecz tej nocy lepiej, żeby nie natknął się na czterech obcych niosących rannego, krwawiącego mężczyznę. Dlatego postanowiłam iść z nimi. Może do szosy było tylko kilkaset metrów, za to stromym zboczem najeżonym kamieniami i głazami od niewielkich, półmetrowych, do takich, które miały pięć, a nawet dziesięć metrów wysokości. Te pierwsze pokonywaliśmy górą, te drugie musieliśmy obchodzić naokoło.

Przeszliśmy z grubsza połowę drogi, kiedy znalazł nas Adam. Był w ludzkiej formie i ubrany, ale jego oczy lśniły żółtym blaskiem od nadmiaru adrenaliny i bólu pospiesznej przemiany.

- Ubranie, buty, apteczka - powiedział, wręczając mi plecak. Głos miał niski, ochryply, a jego ręka drżała.

- Dziękuję. Panowie się o mnie zatroszczyli. - Uświadomiłam sobie, że naprawdę czułam się przy nich bezpieczna, i poczułam ulgę. - Mógłbyś ponieść Benny'ego do szosy? Mamy tam czekać na ka-

retkę. - Nie był to może najlepszy na świecie pomysł, ze względu na krwotok rannego, ale Indianie byli już zmęczeni, a zmęczonemu piechurowi łatwo może powinąć się noga.

Adam unikał patrzenia na nieznajomych, żeby przypadkiem nie spojrzeli mu w oczy. To był zły znak. Mówił mi, że Adam nad sobą panuje, ale nie dowierza sobie i nie wie, ile jeszcze wytrwa.

Adam bez słowa zabrał Benny'ego i zaczął nieść go w ramionach jak dziecko, trzymając ranną nogę wyżej, choć znacznie trudniej radzić sobie z nieprzytomnym w tej pozycji, niż przerzucając go sobie przez ramię, jak robili to Indianie.

Hank oddał swoje brzemię bez najmniejszego gestu sprzeciwu, po prostu stał nieruchomo, jakby przeczuwał niebezpieczeństwo. Adam raz podniósł głowę, omiótł wzrokiem mężczyzn i ruszył biegiem do góry.

- Kto to, u diabła, jest? - zdumiał się Calvin. Na pewno nie miał wątpliwości co do tego, że

Adam jest moim mężem, bo Adam przyniósł mi ubrania, chodziło mu raczej o to, jakim cudem Hauptman z rannym w ramionach pognał stromym zboczem w górę z prędkością godną mistrza olimpijskiego.

- Mój mąż jest wilkołakiem - oświadczyłam nonszalancko, wyjmując z plecaki a dzinsy. - Hank wykazał się nie lada bystrością, potulnie oddając Benny'ego.

Natura Adama nie była tajemnicą, choć wiele wilkołaków nadal się ukrywało. Adam natomiast

to gwiazda w Tri-Cities, chociaż liczyliśmy, że ta fascynacja nim szybko wygaśnie. Wyjawienie natury Adama nikomu nie szkodziło, a mogło sprawić, że nieznajomi będą mieli się na baczności.

Z trudem naciągnęłam spodnie na wilgotne jeszcze ciało, szybko zrobiło mi się cudownie cieplej. Wydobyłam też z plecaka pachnącą Adamem grubą bluzę dresową, która sięgała mi do kolan i była cieplejsza niż wszystko, co ze sobą zabrałam. Otrzeptałam bolące, poranione stopy i założyłam skarpety, a potem tenisówki. Poczułam się jak w niebie.

Kiedy podniosłam głowę, moi towarzysze wpatrywali się we mnie.

- Nie patrzcie mu prosto w oczy, jeśli możecie, ma za sobą naprawdę ciężki dzień - rzuciłam, a potem podniosłam koc i ruszyłam za Adamem, zostawiając mężczyzn w tyle. Zachowali przytomność umysłu na widok ciężko rannego przyjaciela, nie wątpiłam więc, że szybko otrząsną się po wilkołaczych nowinach.

Adam czekał na poboczu. Ranny leżał nieco dalej, gdzie spory głaz umożliwił utrzymanie nogi wyżej.

- Hej. - Przykryłam Benny'ego kocem. - Jak się czujesz?

- Tak sobie - przyznał Adam, nie patrząc na mnie. - Muszę kogoś zabić. - Choć miał to być żart, zabrzmiał dość poważnie.

Usłyszałam głosy zbliżających się Indian. Stopy mnie bolały nawet w butach, a łydka pulsowała w miejscu, gdzie oplątały mnie glony, tak gwałtów

nie później zerwane. Trochę się wlekłam do szosy, a oni, pozbawieni brzemienia, szli dużo szybciej. Zbliżyłam się do Adama.

- Nikt tu nikogo nie będzie zabijał - powiedziałam z naciskiem. - Tamci wypłynęli, żeby szukać przyjaciela. To dobrzy ludzie, nie możesz ich zabić.

Adam nadal nie patrzył mi w oczy, ale roześmiał się szczerze rozbawiony.

- Nie powinienem. -Co?

- Nie powinienem ich zabijać, Mercy, a nie, że nie mogę.

Wsparłam się czołem o jego ramię.

- Dla ciebie to żadna różnica - szepnęłam konfidencyjnie.

Odetchnął głęboko i odwrócił się do nadchodzących. Ci zbliżali się do nas z pewną dozą ostrożności - nie byli głupcami.

- Cześć. - Głos Adama nadal brzmiał odrobinę warkliwie i pół oktawy niżej niż zwykle. - Nazywam się Adam Hauptman i jestem Alfą watahy dorzecza Kolumbii.

-Jim Alvin - przedstawił się Jim, robiąc krok w stronę Adama. Mówiłam Indianom, żeby nie patrzyli Adamowi w oczy, Jim zachował się jeszcze stosowniej. Może to zrządzenie losu, a może wiedział coś o wilkołakach lub tylko dzikich zwierzętach, bo stanął z ramieniem wysuniętym naprzód, przekrzywił i spuścił ulegle głowę, a dopiero potem wyciągnął rękę. - Z plemienia Jakimów. Dziękujemy za pomoc. Benny to dobry człowiek.

Zauważyłam, że Adam, w przeciwieństwie do mnie, nie zwrócił uwagi na tak szczegółowe podkreślenie pochodzenia.

- Co mogło mu się stać? - zapytał Adam, uściskawszy dłoń Jima. W świetle laterek jego oczy lśniły groźnie żółtym blaskiem.

- Nie mam pojęcia.

Do przodu wysunął się Fred Owens. Spuścił trochę głowę, ale patrzył Adamowi w twarz.

- Widziałem niejedną ranę. Niedźwiedź mógłby odgryźć człowiekowi pół stopy. Niedźwiedź lub inny duży mięsożerca.

Powiało wyzwaniem. Wstrzymałam oddech. Napięcie opuściło nagle ramiona Adama.

- Myślisz, że to ja? - roześmiał się. - Spokojnie, żołnierzu, a raczej marynarzu, właśnie się ożeniłem. Mam lepsze rzeczy do roboty.

- Barakuda - powiedział Hank. - Wygląda jak ugryzienie barakudy. Albo rekina tygrysięgo. Mają te takie zęby, którymi piłują.

- Kolumbia to wody słodkie - przypomniał Jim.

- Widywano już rekiny w słodkich wodach - upierał się Hank.

- Ale nie w dole, poniżej zapór - rozstrzygnął jego brat i zwrócił się do Adama: - Skąd wiedziałeś, że służyłem w marynarce?

Oczy wilkołaka przypominały już do barwą ciemny miód, i choć do ciemnoczekoladowego brązu jeszcze im brakowało, największe niebezpieczeństwo minęło.

- Łatwiej was rozpoznać niż gliniarza. Mógłbyś mieć równie dobrze wytatuowane to na czole. - Zawiesił głos dla efektu i dokończył: - No i nieśmiertelniki.

- Ty nie służyłeś w marynarce.

- Nie, w rangerach. Nigdy nie umiałem pływać, a kiedy zostałem wilkołakiem, idę na dno jak kamień.

- A może złapał się w jeden z tych starych potrzasków? - przemówił Calvin. - Pułapka mogłaby zostawić takie rany.

- Ostatnie potrzaski widziałem, kiedy byłem dzieckiem, a już wtedy były zabronione - rzekł Jim. - Ale to prawda, mógłby tak załatwić nogę.

- Pułapka na niedźwiedzie nie schwytałaby dwójki ludzi - zaoponował Hank. Adam mógł zdobyć zaufanie Freda, odwołując się do braterstwa broni, ale jego brat pozostał podejrzliwy. - Gdzie jest Faith?

- Wasz przyjaciel czegoś się bał - powiedziałam, mrużąc oczy w stronę rannego. - Bardzo się bał. Ale nie Adama.

Fred odwrócił się gwałtownie do brata.

- Żaden komandos nie zostawiłby żyjącego świadka.

Najwyraźniej uważał, że to wykluczy Adama z kręgu podejrzeń.

Hank rzeczywiście jakby stracił przekonanie. Po-masował się po żebrach, jakby go bolały. Albo nadwyrężył się, niosąc Benny'ego, albo był to jego gest zakłopotania.

W sam czas nadjechała karetka, a za nią radiowóz szeryfa. Ratownicy błyskawicznie położyli Benny'ego na noszach, załadowali do furgonetki i odjechali na sygnale. Szeryf został, żeby spisać dane i zeznania świadków. Wyglądało na to, że zna Indian, z mowy ciała wywnioskowałam, że są w przyjaznych stosunkach. Kiedy Fred wspomniał, że Adam jest wilkołakiem, szeryf zeszywniał, a potem omiótł nas snopem światła z latarki.

Kiedy jego wzrok padł na mnie, zatrzymał się i opuścił światło na moją nogę.

- Pani jest ranna.

Miał rację. Podniosłam zaplamioną krwią nogawkę. Było zimno, a moje nogi były tak zmaltretowane, że nie czułam niczego szczególnego. To znaczy owszem, bolało, ale nie łączyłam tego z konkretną raną. A rana okazała się nielecha. Skóra wokół łydki została zdarta do żywego, i to głęboko. Przypominało to poważne otarcie od liny.

- Zaplątałam się w glony, kiedy usiłowałam ciągnąć łódkę - wyjaśniłam. - Benny akurat odzyskał przytomność i odpalił silnik, wyszarpując mnie gwałtownie z zielska.

- Wątpię, żeby roślina mogła spowodować taką ranę - powiedział Fred, świecąc na moją nogę. - Podwodne rośliny mogą mieć ostre krawędzie i nawet mocno podrapać, ale to wygląda bardziej na konopny sznur.

- W rzece jest pełno śmiecia - stwierdził szeryf. - Miała pani szczęście, że tam jest płytko. Karetka już w drodze, ale mogę panią podrzucić do szpitala.

- Nie, nie - zaprotestowałam. - Wygląda to paskudnie, ale szczepienia mam aktualne, więc wystarczy to opatrzyć. Mamy ze sobą wszystko, co trzeba.

Adam ukląkł, żeby przyjrzeć się ranie z bliska. Usłyszałam, jak wciąga nosem powietrze i przysuwa twarz do mojej kostki. Potem podniósł się i potrząsnął głową.

- Przez chwilę myślałem, że czuję coś dziwnego, ale trudno powiedzieć, w co się zaplątała.

Szeryf, przypomniawszy sobie, z kim ma do czynienia, przełknął nerwowo ślinę.

- Wy popłyniecie z powrotem waszą łodzią, tak? -zwrócił się do Indian. - Dobrze. Łódkę Benny'ego zostawcie. Wyślę ludzi, żeby ją obejrżeli. Może się czegoś dowiemy. Ale pewnie będziemy musieli poczekać, aż Benny powie nam, co się stało i gdzie jest Faith. Jak na razie uważam, że to wypadek.

- Widziałem człowieka zaatakowanego przez barakudę. - Adam spojrzał na Hanka. - Zgadza się, że jego rany przypominały tę Benny'ego. Ale na pewno nie był to metalowy potrzask - zwrócił się do Calvina. - Tamte stare pułapki były tak skonstruowane, żeby zatopić się w kończynie i przytrzymać zwierzę, a nie przeciąć kość. Pułapka na niedźwiedzie mogłaby zmiążdżyć stopę i część tkanek Benny'ego jest zgnieciona, ale kikut jest generalnie odcięty. Zaatakowało go coś z ostrymi zębami.

- W Kolumbii nie ma barakud - stwierdził Fred bez zaczepki. - Zresztą rekinów też nie. Mnie to wygląda bardziej jak odcięcie przez jakąś maszynę

rolniczą. Z tym że nie natknąłem się nigdy w rzece na kombajn czy kosiarkę.

Teraz, kiedy wiedziałam już o ranie, czułam swędzenie. Sądząc po głębokości i powierzchni urazu, powinno boleć znacznie bardziej, a jak na razie tylko swędziało. Możliwe, że idąc na bosaka, weszłam w pokrzywy albo coś podobnego.

- Muszę zabrać Mercy do obozu - oświadczył Adam, spojrzawszy na mnie.

- Płyńcie już do domu - zwrócił się szeryf do Indian, a potem do nas. - Mogę państwa podrzucić na pole.

Wyraźnie bał się Adama. Kiedy wsiedliśmy do radiowozu, wewnątrz wypełnił zapach jego strachu. Przeciętny człowiek pewnie by tego nie zauważył, nie sądziłam też, żeby Adama rozdrażniło coś takiego.

Adam potrafił sobie radzić z przestraszonymi ludźmi. Zanim dotarliśmy na miejsce, byli z szeryfem pogrążeni w rozważaniach na temat wpływu, jaki na okolicę będzie miało nowe pole kempingowe.

- Tak naprawdę potrzebujemy tu jednej, dwóch porządnych restauracji - perorował szeryf. - W muzeum znajduje się niezły barek, a w Biggs dwie knajpki, ale wszystko jest zawsze zapchane, bo na autostradzie panuje ruch. Żeby naprawdę dobrze zjeść, trzeba jechać aż do Goldendale, Dalles albo Hood River, a te trudno znaleźć turystom parkującym przy muzeum lub Stonehenge. Myślę, że sporo pieniędzy ucieka z Maryhill tylko dlatego, że nie ma tu gdzie zjeść. - Wysadził nas przy bramie. - Będę wdzięczny,

jeśli państwo zostaną tu parę dni, gdybym musiał zadać wam jeszcze jakieś dodatkowe pytania.

- Na razie nigdzie się stąd nie wybieramy - zapewnił go Adam. - A w razie czego ma pan moje zamiary.

- Lepiej nie zdradź się przed Branem ze swoimi zdolnościami dyplomatycznymi - powiedziałam, kiedy szeryf odjechał. - Bo każe ci jeździć po kraju i wygłaszać mowy o tym, jakie to wilkołaki są miłe i przyjazne i nie trzeba się ich wcale bać.

Adam uśmiechnął się i wziął mnie na rękę.

- Ciii.

Nie protestowałam. Swędzenie nie ustąpiło, a ból pojawił się w drodze do obozowiska. Poza tym niesienie mnie nie wymagało od wilkołaka wielkiego wysiłku.

- Hej, zauważyłeś? - odezwałam się. - Cały dzień robisz za heroicznego jucznego muła. Najpierw Robert, potem Benny, a teraz ja.

Postawił mnie przed przyczepą i otworzył drzwi. Kiedy usiadłam na miękkiej skórzanej kanapie, włączył światła i podwinął mi nogawkę. W jaskrawym świetle uraz wyglądał jeszcze gorzej. Ranę, szeroką na ponad dwa centymetry i głębszą, niż sądziłam, okrywała skorupa zaschniętej krwi i czegoś żółtawego. Brzegi były spuchnięte, a skóra wokół zaczynała sinieć. Adam obwąchał ranę jeszcze raz, a potem przyniósł puszysty ręcznik, położył sobie na udzie pod moją kostką, którą polał płynnym żarem. Wiem, że niektórzy twierdzą, iż dezynfekcja wodą utlenioną nie boli. Fajnie mają. Ja tego nie znoszę.

Podskoczyłam, kiedy zaczęła mnie palić, i wcisnęłam się w oparcie, obserwując, jak pieni się gwałtownie. Adam usunął resztki wilgotnym ręcznikiem i jeszcze raz powąchał.

- To nie była żadna lina - warknął. - To coś żrącego albo trującego. Czuję to.

- To dlatego swędzi?

- Pewnie tak. - Wręczył mi dwie tabletki.

- Co to?

- Antyhistamina. Na wszelki wypadek, gdyby to puchnięcie oznaczało reakcję alergiczną.

- Jak je wezmę, padnę. - I tak połknęłam pigułki. Kiedy pieczenie po wodzie utlenionej ustało, rana zaczęła swędzieć tak, że ledwie powstrzymywałam się, by jej nie rozdrapać. - Musimy zadzwonić do Wujka Mike'a - zauważyłam nieśmiało, nie chciałam wywoływać kolejnej kłótni.

Musiał wychwycić to w moim tonie, bo poklepał mnie po kolanie.

- Zadzwonię zaraz, gdy tylko tu skończę. Choć wątpię, by Mike wysłał nas tu z tego powodu.

- Żeby było jasne, bo nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałam. Ty i Owensowie uważacie, że to jakaś ryba odgryzła Benny'emu stopę?

- Zbyt wcześnie na takie wnioski. Mogli przecież zatrzymać się na brzegu na obiad i natknąć się na niedźwiedzia.

- Są tutaj niedźwiedzie?

- Nie tutaj, ale wyżej, w okolicy wodospadów, owszem. Trudno powiedzieć, jak daleko odpłynął Benny od miejsca ataku.

- To co w takim razie złapało mnie za nogę?
- A to akurat Mike może wiedzieć. Ile widziałaś tych wydr?
Zamrugałam. Zaczynałam odczuwać już otepiające działanie leków. Wydry. Usiadłam prosto.

- Czekał, to nie mogły być wydry rzeczne. - Miały trochę inny kształt łbów. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi.

- Widziałem jedną w drodze powrotnej do łodzi. Założysz się, że to gatunek europejski? Wilkołaki nie są tu jedynymi zmiennokształtnymi z Europy.

- Są selkie i kelpie, ale o zmiennokształtnych wydrach nie słyszałam.

- Ja też nie. - Adam spoglądał na mnie spod zmarszczonych brwi. - Selkie nie stronią od ludzi. Za to słyszałem, że kelpie są rzadsze i dużo groźniejsze. To jasne, że krążą o nich legendy. A wydry nie są straszne.

Mówił tak, bo nie siedział z nimi goły w wodzie. Może i były niewielkie, ale na pewno zwinne i wredne.

Rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzeliśmy po sobie zaskoczeni. Brama była zamknięta i znajdowała się na tyle blisko, że na pewno usłyszelibyśmy zatrzymujący się przed nią samochód. Adam uniósł brwi w niemym pytaniu, pokręciłam głową przecząco - też nikogo nie słyszałam. Adam wyjął ze swojej torby broń, zatknął z tyłu za pasek i zakrył koszulką.

Niegłośne pukanie powtórzyło się.

- Kto tam? - zawołał Adam.

- Nazywam się Gordon Seeker, jestem dziadkiem Calvina. Wnuk mówił, że pana żona została ranna, kiedy pomagała mojemu przyjacielowi, Benny'emu.

Adam ostrożnie otworzył drzwi. Kiedy się odsunął, ujrzałam stojącego przed przyczepą nieznanego. Choć jego głos nie brzmiał starczo, chyba w życiu, poza domem nestora, nie widziałam nikogo bardziej wiekowego od naszego gościa.

Bystre brązowe oczy wyglądały na mnie z twarzy wysuszonej słońcem do granic możliwości. Ze skórą koloru suszonej wołowiny kontrastowały śnieżnobiałe włosy zaplecione w opadający na plecy francuski warkocz. Starzec miał na nosie okulary w rogowej oprawie i małe złote wkretki w uszach. Choć jego plecy przygiął czas, a palce powykręcał artretyzm, do przyczepy wspinał się zaskakująco sprawnie.

Zastanawiałam się, czy kurtka Redskinów, która dopełniała stroju złożonego z dżinsów i czerwonego T-shirta, stanowiła deklarację zagorzałego kibica futbolu, czy po prostu narzucił ją dla ochrony przed chłodem. Przez ramię miał przewieszoną jedną z tych skórzanych toreb, która powinna wyglądać jak damska torebka, choć wcale jej nie przypominała. Na nogach natomiast nosił najbardziej krzykliwe kowbojki, jakie kiedykolwiek dane mi było ujrzeć, a to o czymś świadczy, bo przecież pochodziłam z krainy kowbojów, a ci lubują się w jarmarcznych strojach. Buty były po oczach strażacką czerwienią, cholewki połyskiwały białymi, czerwonymi i niebieskimi dżetami, które tworzyły rysunek flagi amerykańskiej.

Mężczyzna pachniał świeżym powietrzem i tytoniem, ale nie takim z papierosów. Raczej fajkowym albo innym, który nie zawierał toksycznych substancji dodawanych do papierosów. Podobnie pachniał duch ojca.

- Calvin mi o panu powiedział, panie Hauptman - podjął starzec. - Dawno już nie widziałem wilkołaka. Nie ma ich za wiele w tych stronach. A to pewnie pańska żona, Mercedes...

Spojrzał na mnie i aż wstrzymał oddech.

- To ty! - zawołał. - Nie spodziewałem się, że to będziesz ty! Calvin mówił, że jesteś z Czarnych Stóp i wyszłaś za białego wilkołaka. Powinienem był sam siebie zapytać, ile kobiet Czarnych Stóp związałyby się z wilkołakiem. A zastanawiałem się, co się z tobą stało. - Zmrużył oczy. - Nie wyglądasz jak Stary Kojot. Ach, widzę go w twych oczach i kolorze skóry, choć bardziej przypominasz białą, niż oczekiwałem.

Znał mojego ojca.

Nagle, mimo leków, opuściła mnie senność. Ale zerwało się też połączenie pomiędzy galopującymi mi przez głowę myślami a językiem. Popatrzyłam na Adama, który z obojętną miną obserwował przybysza spod półprzymkniętych powiek. Język jego ciała wyraźnie mówił: „Ciekawe, ciekawe. Zobaczmy, co będzie dalej”.

Starzec aż syknął, zauważywszy moją nogę.

- Fatalnie. Wygląda na to, że wrócił diabeł rzeczny. - Usiadł obok mnie, otworzył torebkę, która nie była torebką, i wyciągnął z niej zawiniątko okryte jedwabną chustką. Rozkładając, zaczął śpiewać.

Trudno opisać muzykę rdzennych Amerykanów komuś, kto wcześniej jej nie słyszał. Czasami melodii towarzyszą słowa, lecz Gordon nucił bez nich. Dźwięk rodził się głęboko w jego piersiach i wibrował aż w zatokach, zupełnie jak ten, który towarzyszył tańcowi ojca. Nie przestając śpiewać, Gordon zapalił ręcznie robioną świecę z wosku pszczelego. Wydawało się, że zrobił to za pomocą magii, ale zwykle wyczuwam, kiedy ktoś to robi, a choć nie widziałam zapalki, poczułam zapach siarki.

Niuchnęłam podejrzliwie. Starzec uśmiechnął się wesoło, prezentując brak jednego z przednich zębów. Pokazał mi pustą rękę, zacisnął ją, a kiedy znów rozprostował palce, na dłoni leżała wypalona zapalka.

Z zawiniątka wyjął kawałek suchego liścia, który przytknął do świecy. Liść zajął się błyskawicznie, wtedy Gordon wypuścił go z palców. Drgnęłam, gotowa złapać palący się strzęp, zanim spadnie i spali przyczepę, lecz płomienie pochłonęły go całkowicie jeszcze w powietrzu. Została jedynie drobina popiołu i zaskakująco gęsty kłęb dymu.

Choć nie rozpoznałam rośliny po budowie liścia, po zapachu owszem. Tytoń. Pewnie nasz gość nie palił jednak fajki.

Gordon pochylił się i dmuchnął dym na moją ranę. Wszystkie te czynności ani na moment nie zakłóciły jego śpiewu. Potem przekrzywił głowę tak, że widziałam tylko jedno oko.

I w tym oku ujrzałam drapieżnego ptaka, coś jak orła. Miał tak ciemne upierzenie, że w pierw-

szej chwili pomyślałam o orle przednim, który jest prawie czarny. Tyle że ten inaczej się poruszał.

Starzec przymknął powieki, dmuchnął ponownie, a kiedy otworzył oczy, były jasne, drapieżne i nie latał w nich żaden ptak. Uznałam, że leki musiały być silniejsze niż zwykle i mam po nich przywidzenia.

Gordon otworzył słoiczek, nabrał trochę żółtawej maści i posmarował nią ranę na nodze. Ulga była niemal natychmiastowa.

Stary Indianin przestał nucić, wytarł palce o dzinsy i zgasił świecę.

Adam spojrzał na mnie wyczekująco.

-Jest o wiele lepiej.

- Magia? - zapytał naszego gościa.

- Możliwe - uśmiechnął się stary i wręczył mi ceramiczny słoiczek. - A może krowia maść. Sam stosuję ją na skaleczenia i oparzenia.

Wiedziałam, że specyfik pachnie jakoś znajomo. Na pewno coś do niej dodał, ale bazę stanowiła zdecydowanie krowia maść. Moja zastępcza matka stosowała ją jako panaceum na wszelkie urazy. Sama trzymałam pudełko maści w pracy.

- Słyszałem, że poraniłaś sobie też stopy. Zobaczmy - zachęcił mnie.

- Skąd mnie znasz? - zapytałam, zdejmując skarpetki i buty.

Adam uznał dziwaczego starca za potencjalne zagrożenie. Poznałam po tym, że cofnął się poza zasięg Indianina i stanął czujnie, gotów zareagować stosownie do okoliczności, resztę zaś pozostawiając mojej ocenie. Ja ze swojej strony zaufałam jego osądowi.

Nasz przeciwnik może i był stary, ale oboje z Adamem żyliśmy pośród bardzo starych i bardzo niebezpiecznych istot. Nie pozwolilibyśmy sobie na zlekceważenie staruszka pachnącego tytoniem, dymem i... magią. Nie była to magia nie ludzi, dlatego nie wyczułam jej w pierwszej chwili. Ta była subtelniejsza, słodsza, co nie znaczy, że mniej potężna.

Czasami Charles pachniał podobnie.

Starzec nadal wyciągał ku mnie słoiczek z maścią.

- A jak mógłbym nie znać Mercedes Thompson, żony Adama Hauptmana, Alfego watahy dorzecza Kolumbii?

Dobrze wychodziło mu nie-kłamanie. Wiele Innych rozpoznaje kłamstwo, niektórzy nie ludzie, wilkołaki, część wampirów... i ja. Sztuka nie-kłamania bez mówienia prawdy jest cenną umiejętnością, jeśli ma się do czynienia z istotami należącymi do Innych.

Gordon nie wiedział, kim jestem, zanim mnie nie zobaczył, ale wystarczył jeden rzut oka, żeby mnie rozpoznać. Jego zaskoczenie było bez wątplenia szczere.

- Wiesz, kim jestem - powiedziałam nagle całkowicie pewna swego i aż mi serce podskoczyło z podniecenia na myśl, że naprawdę wie, czym jestem i kim był mój ojciec.

- Nasmaruj maścią stopy - poradził. - Wyglądają na obolałe. - Nie spuszczać ze mnie wzroku, odwrócił głowę ku Adamowi. - Masz może coś, czym mógłby pokrzepić się stary człowiek?

- Może być woda mineralna albo sok jabłkowy.

- A piwo korzenne? - zapytał Gordon z nadzieją.

Adam sięgnął po ściereczkę, zmoczył ją, a potem z miniaturowej lodówki wyciągnął srebrną puszkę. Napój podał przez ramię Gordonowi, mnie rzucił ściereczkę, a sam powrócił na swój punkt obserwacyjny.

Oczyściłam stopy. Łydka nadal bolała, lecz nie był to już rwący ból. Swędzenie też ustąpiło. Teraz rana wydawała się zwyczajnym otarciem. To, co zraniło mnie w nogę, musiało posiadać jakąś magię, którą zneutralizował stary Indianin.

Jestem generalnie odporna na magię, choć nie na każdą. Zwykle im silniejsza, tym większe szanse, że będę na nią podatna.

Gordon pstryknął otwieraczem i opróżnił puszkę jednym haustem. Kiedy byłam dzieckiem, wypicie całej butelki lub puszki napoju jednym ciągiem nazywaliśmy zniszczeniem jej. Próbowaliśmy bez przerwy, ale tylko jeden ze starszych chłopców umiał zniszczyć butelkę. Nie potrafiłam przypomnieć sobie jego imienia. Zmarł, zanim wyjechałam z Montany - nie przeżył Przeistoczenia.

Mogliśmy z Gordonem przerzucać się słowami przez całą noc - koniec końców wychowałam się w wilkołaczej watasze, więc dobrze wiedziałam, jak nie-kłamać. Czasami jednak lepiej jest przystąpić prosto do sedna.

-Jestem z tych, którzy biegają jak zwierzęta - powiedziałam, wcierając maść w stopy. Celowo użyłam nazwy stosowanej przez wielu Indian. - Skąd wiedziałeś?

Roześmiał się, klepiąc z rozbawienia po udach.

- Czyli uważasz się za tak zwaną skórokształtną? Tak to nazywają biali, tak? To pewnie przez tych wynaturzeńców z Południa. Ale ty przecież nie zabijasz zwierząt i nie nosisz ich skór, prawda? Nie możesz być więc skórokształtną. Plugastwo - wycedził, świszcząc przez brak zęba. - Ty jesteś przekształceńcem. Kojotem, prawda? Ha! - Pokręcił głową. - Kojoty przynoszą zmiany i chaos. - Przekrzywił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Zerknęłam na Adama, ale on wpatrywał się w starca spod oka. Gordon się zaśmiał. - To i tak lepiej, niżby miały sprowadzać śmierć i zniszczenie, choć te i tak często następują po zmianach. No dobrze. - Zwrócił na mnie rozjarzone oczy i dotknął zranionej nogi. - Piętno rzeki. Oznacza, że masz być jej niewolnikiem. Szczęściem dla ciebie marne z kojotów sługi. Jest jednak coś jeszcze. I to mi mówi, że jutro pojedziesz do Muzeum Maryhill. Podziwiał sztukę i meble zrobione przez zagraniczną królową, a potem idź zobaczyć, co mają w piwnicy. W południe spotkasz się z moim wnukiem przy Horsethief Lake, a on zabierze cię do Tej, Która Pilnuje.

Słyszałam o Tej, Która Pilnuje, choć nigdy nie widziałam na własne oczy tego najsłynniejszego piktogramu z Horsethief Lake.

- Muzeum można zwiedzać tylko w piątki - zauważył Adam. - O dziesiątej rano.

Starzec mruknął.

- Indianie mogą tam wchodzić, kiedy zechcą. To nasze miejsce. - Poklepał mnie znowu. - Ona jest Indianką, bez względu na to, co o sobie myśli. Mój

wnuk jest Indianinem. Dwoje może zabrać białego wilkołaka, który należy do indiańskiej kojocicy.

Wstał i rzucił do Adama puszkę, którą ten złapał.

-Już czas na starego Indianina. - Popatrzył na mnie. - Jeśli chcesz używać słów białych na nazwanie siebie, lepiej będzie pasował „awatar”.

Zabrał torbę i brodą wskazał słoiczek z maścią.

- Lepiej go zatrzymaj, mała sestro. Kojot może się nieźle poobijać, biegając z wilkami.

Po tych słowach wyszedł.

Czekaliśmy, wstrzymując oddech, ale żadne z nas nie usłyszało odgłosów kroków, samochodu czy łodzi.

Po chwili zrzuciłam ubranie i jeszcze raz zmieniałam się w kojota. Łatwiej jednak było mi to zrobić niż Adamowi. Otworzył mi drzwi, a ja wyszłam i natychmiast zaczęłam iść z nosem przy ziemi po śladzie starca. Poszedł w kierunku rzeki, nie szosy.

Tropiłam go aż do miejsca, gdzie pływaliśmy z Adamem. Jakieś dwa metry przed miejscem, gdzie zaczynała się plaża, woń Gordona Seekera i ślady jego kowbojek zniknęły.

-Jak myślisz? Jest duchem? - zapytał Adam, czyszcząc mi znowu podeszwy stóp.

Próbowałam go przekonać, że nic mi nie jest, ale uparł się, usadził mnie na kanapie i zabrał do roboty. A przecież nie biegałam na bosaka, tylko na łapach. Tym razem zabieg nie był zbyt nieprzyjemny,

bo mazidło zaleczyło mniejsze ranki dużo lepiej, niż mogłaby zwykła krowia maść. Zostały mi tylko siniaki.

- Wiesz, Horacy, więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi... - odparłam słowami dramaturga. - Zwykle potrafię ocenić, czy ktoś jest duchem. A jeśli nie, to o tym nie wiem. A ty co sądzisz?

- Pachniał dymem i drapieżnikiem. Oddychał, słyszałem bicie jego serca. Gdybym miał zgadywać, stawiałbym, że nie jest duchem. Ale nie widziałem nigdy ducha, więc rzeczywiście zgaduję. Po prostu duch nasunął mi się jako najprostsze wyjaśnienie jego rozpląnięcia się w powietrzu.

- Nigdy nie widziałeś ducha? - Ja widywałam je ciągle, więc czasem zapomniałam, że inni tego nie potrafią.

- Nie. Wobec tego czym jest ten Gordon Seeker?

- Wiesz, jest taki stary indiański zwyczaj, o którym opowiedział mi Charles. Jeśli gość w twoim domu pochwali na głos jakąś rzecz, powinienes mu ją sprezentować. Charles mówił, że są tego trzy powody. Po pierwsze - odgięłam jeden palec - hojność jest piękną cechą i trzeba ją pielęgnować. Po drugie - wyprostowałam drugi - zwyczaj ten uczy, że nie należy zbyt przywiązywać się do przedmiotów, bo najważniejsze w życiu są rodzina, przyjaciele i wspólnota, a nie rzeczy materialne. Wiesz, jaki jest trzeci?

- Mnie też Charles o tym opowiadał - uśmiechnął się Adam. - Uważaj, kogo zapraszasz do wigwamu. Pomyślałem o tym, kiedy Gordon był już

w przyczepie. Może jest indiańską wersją wiedźmy? Szamanem?

- Charles twierdzi, że wiedźmy to zupełnie co innego niż szamani.

Poczułam swędzenie, podciągnęłam nogawkę i zaczęłam rozważać podrapanie się.

- Piętno rzeki. - Adam dotknął lekko śladu.

- Był tak samo okropny jak nie-ludzie. - Nie dość, że nie odpowiedział na żadne pytanie, to zostawił nas z dodatkowymi.

Adam pocałował mnie w kolano, co w rzeczy samej nie powinno przyspieszyć mi pulsu. Z tego, co wiedziałam, kolano znajduje się daleko od stref erogennych. Ale w końcu chodziło o Adama, więc serce zabiło mi mocniej.

Opuścił moje nogi na podłogę.

- Ta magiczna maść spisała się doskonale. Myślę, że nie potrzebujesz już dzisiaj smarowania. Za to mam przecucie, że jeszcze ci się przyda. A propos nie-ludzi, skoro ludzie giną i są ranni, to myślę, że już czas zadzwonić do Wujka Mike'a i sprawdzić, w co nas wpakował.

Wyjął komórkę i wybrał numer. Usłyszałam dźwięk głośnej muzyki i głos mówiący po kornwalijsku.

- Tu Hauptman. Poproś Wujka Mike'a. - Adam zaczął krążyć po przyczepie, jak zawsze podczas rozmów telefonicznych, podciągnęłam więc nogi, dając mu dodatkowe pół metra trasy. Mimo starań powieki same mi się zamykały.

Rozległo się parę kliknięć i muzyka umilkła jak nożem uciął, jakby Wujek Mike poszedł w jakieś spokojniejsze miejsce.

- Witaj, Adamie. Jeszcze raz wieszczę. Czemuż to dzwonisz do mnie podczas swej podróży poślubnej?

- Wydry - rzucił Adam krótko. - Dokładniej, wydry, które wyglądają bardziej, jakby pochodziły ze Starego Kraju i w dodatku pachną iluzją.

A więc on także to wyczuł. Lekka woń, kiedy mocowałam się z łodzią. Nie należała do Benny'ego, nie pochodziła też z jego łódki. A jedynymi istotami w pobliżu były wydry.

Po krótkiej chwili milczenia Wujek Mike odetchnął z ulgą.

- A więc są tam. Edythe mówiła, że od dawna już ich nikt nie widział.

- To dlatego nas tu ściągnęła? Wujek Mike odchrząknął.

- Nie do końca. Edythe miewa czasami wizje. Jednej doświadczyła, kiedy do Irlandii przybył były niewolnik rzymski, Patryk. Wszyscy żałujemy, że nie zabiliśmy go od razu, jak nam radziła, choć prawdopodobnie Kościół wysłałby w jego miejsce kogoś innego. Przybyłby jakiś święty Aiden czy święty Conner albo jeszcze inny. Wysłannicy zła są zwykle jak siedmiogłowy smok. Na miejscu jednej odciętej wyrastają trzy nowe.

-Jak hydra.

- To też. W każdym razie Edythe nie miewa tych objawień zbyt często, mniej więcej raz na stulecie.

Ostatnio miała wizję wybuchu Świętej Heleny. A po tej sprawie z Patrykiem zawsze jej słuchamy. Tydzień temu powiedziała mi, że miała widzenie i że dobrym pomysłem byłoby namówienie was, żebyście spędzili miesiąc miodowy na jej kempingu i przy okazji sprawdzili, o co chodzi z tymi wydrzakami.

- A o co chodzi? - zapytał Adam czujnie. Ta cała jakaś Edythe miewała wizje raz na sto lat, a ostatnia dotyczyła naszej dwójki w tym miejscu. To brzmiało dużo poważniej niż człowiek z odgryzioną stopą czy tańczące duchy, bez względu na moje osobiste odczucia w tej kwestii.

- Najwyraźniej o przetrwanie - stwierdził Wujek Mike ponuro. - To lepiej, niż się spodziewaliśmy. Wydrzaki są jak selkie, zresztą są z nimi spokrewnione. Istnieją i inni magiczni przybierający formę wydr, ale oni nie mają nic wspólnego z wydrzakami. Przede wszystkim wydrzaki nie żyją w zgodzie z ludźmi. Te, które przeżyły, zabraliśmy do Walla Walla i wypuściliśmy je do naszych rzek.

- Nie macie u siebie rzek - zauważył Adam, masując nasadę nosa. - To była jedna z tych rzeczy, której rząd bardzo pilnował. Żadnej wody wypływającej czy wpływającej do rezerwatu. - Adam nie spierał się, tylko dawał rozmówcy do zrozumienia, że obaj wiedzą o dziwnych sprawach, jakie dzieją się w rezerwacie.

Świeża woda miała być źródłem energii niektórych istot magicznych. Dziwiło mnie, że ktoś w rządzie, kto nie należał do magicznych, znał ten sekrecik.

Tak czy owak, były to bezcelowe środki ostrożności. Sama widziałam ocean w rezerwacie, tam gdzie nieładzie otworzyli przejście do Podgórza. O tym, między innymi, nie mogłam nigdy opowiedzieć Adamowi ani nikomu innemu. Obiecałam, a poza tym wyjawiając sekret, naraziłabym różne istoty, w tym mojego mentora Zee.

- Mamy sadzawki - stwierdził Wujek Mike, nie--kłamiąc nawet lepiej niż Gordon Seeker. - Ale nie wystarczyły. Dlatego Edythe kupiła ten kawałek pustyni i zmieniła w pole kempingowe.

-1 wypuściła tu wydry.

- Wydrzaki. Edythe stworzyła dla nich rezerwat niedaleko plaży. Powinno być im tam dobrze, ale zniknęły i od pół roku nie mogliśmy ich odnaleźć. Nie były w najlepszym stanie, kiedy je tu przywieźliśmy, więc zakładaliśmy, że nie żyją, dopóki Edythe nie postanowiła nagle was tu przysłać.

- Powiedz coś więcej o tych wydrzakach. Zapadło milczenie.

- Są trochę tacy jak ty - rzekł Mike wreszcie. -Należą do metamorfów, które potrafią przyjąć formę ludzką, choć ich naturalną stanowi wydra. W ludzkiej postaci przypominają autystyków i z tego powodu dawniej często ginęły na stosach.

- Zabijają ludzi? Dłuższa przerwa.

- Nie dla pożywienia.

- Wilkołaki też nie. Mimo to gdzie żyje stado, tam pojawiają się trupy. Jak jest z wydrzakami?

- Nie tak, żeby zwrócić to czyjąkolwiek uwagę. Są terytorialne. Czasami zdarza się, że jakiś człowiek tonie w pobliżu ich gniazda.

- A wy umieściliście je tuż przy kąpielisku! - Jest chronione magią - obruszył się Wujek

Mike. - Nawet dziecka by tam nie utopiły. Mogą pływać, łowić ryby, ale nie mogłyby skrzywdzić kogokolwiek.

- Wobec tego przeniosły się tam, gdzie mogą to robić. Widzieliśmy je kilka kilometrów w górze rzeki. Powinniśmy coś zrobić? Powstrzymać je?

- Do tego was bym nie potrzebował - zniecierpliwił się Wujek Mike. - Jest ich siedem. Łyknąłbyś je wszystkie na obiad i nie mógłbyś doczekać się kolacji. Dysponują odrobiną magii, są sprytne, potrafią jej używać i współpracować ze sobą. Byłyby groźne w gromadzie liczącej setkę. Istnieją nieładnie o wyglądzie wydry i są to potężne istoty, ale zostały w Starym Kraju i świetnie sobie tam radzą.

- Wydrzaki należą do tych pomniejszych magicznych istot - powiedziała do Adama. Nie tak dawno czytałam książkę o magicznym ludzie, autorstwa nieczłowieka. Całkiem wypadły mi z głowy te wydrzaki, bo tylko o nich wspomniano. - Kiedyś były powszechne, ale nie posiadają wiele mocy. Nie są groźniejsze od zwykłych wydr. A wydry rzeczne zwykle unikają ludzi, na szczęście dla ludzi zresztą.

- To Mercy? Co tam mówi?

To nie oznaczało wcale, że Wujek Mike mnie nie słyszał. Mógł po prostu nie życzyć sobie, żebyśmy

wiedzieli, że może mnie słyszeć. Mimo to Adam uprzejmie przekazał mu moje słowa.

- Z tego, co wiem, wydrzaki powinny być przyjazne i pomocne - dodałam.

- Owszem, ale wieki prześladowań i groźba wymarcia wiele zmieniają. W każdym razie nie stanowią poważnego zagrożenia dla kogokolwiek.

Chyba że dla kogoś rannego i bezbronnego, jak Benny.

- Zapytaj, czy mogłyby odgryźć tak stopę, jak u Benny'ego - poprosiłam Adama. Trudno było mi sobie wyobrazić coś podobnego, ale głupio nie skorzystać z okazji i nie zapytać.

Kiedy Adam przekazał moje pytanie, usłyszeliśmy:

- Nie. Odgryzłyby co najwyżej palec. Owszem, przypuszczam, że w pewnych okolicznościach potrafią pozbawić człowieka życia, ale raczej przez przegryzienie arterii. - Po chwili dodał z przekąsem: - Coś w stylu kojota zabijającego wilkołaka. - Co miało miejsce w moim przypadku i czego powtórki zamierzałam uniknąć za wszelką cenę. Łut szczęścia to nie to, na czym lubię się opierać.

- I Edythe uważała, że powinniśmy sprawdzić, co z tymi siedmioma wydrzakami, tak? - upewnił się Adam.

- Hm. Jej przepowiednie nie dotyczą jedynie magicznego ludu. Możliwe, że wydarzy się coś bardzo złego, jeśli tego nie powstrzymacie. Albo i nie. Jej wizje nie są idealne. Możliwe, że ta w ogóle nie do-

tyczy nie ludzi. Dopilnowaliśmy tylko, żebyście znaleźli się w odpowiednim miejscu.

- Dobrze - zgodził się Adam chłodno. - Niech będzie po waszemu, jak na razie. Porozmawiamy o tym, gdy wrócimy z Mercy do domu.

Rozłączył się.

- Myliłam się.

- Co do czego?

- Gordon nie jest taki jak nie ludzie. Przynajmniej nie wmanewrował nas w jakąś katastrofę.

- Myślisz, że siedem wydrowatych istot z odrobiną magii może doprowadzić do katastrofy?

- Nie, ale dzieje się coś niedobrego. Nie wydaje mi się, żeby przepowiednie Edythe miały przestrzegać przed utratą palca czy nawet stopy przez jakiegoś biedaka. I Wujek Mike dobrze o tym wiedział, kiedy nas tu wysyłał.

ROZDZIAŁ 6

Jednym z powodów, dla których nie znoszę brać leków przeciwuczuleniowych jest to, że wywołują specyficzne sny. Sny te zwykle pozbawione są sensu, ale nie da się na nie nic poradzić, a następnego dnia ciężko o nich zapomnieć.

Tej nocy śniłam, że zostałam unieruchomiona w kamieniu. Bez względu na starania i wysiłki nie mogłam się ruszyć. Zaczął dokuczać mi głód i w żaden sposób nie mogłam go zaspokoić.

Śniłam, że wreszcie się najadłam. Pożarłam wydrę, która nasyciła mnie niepomiernie, całkiem gasząc mój wielki apetyt. Dlatego nie musiałam zjeść pozostałych wydr, które pływały wokół.

A wyglądały dokładnie jak te, które obserwowały mnie szarpiącą się z łodzią Benny'ego.

Obudziłam się z wyschniętymi ustami, walącym mocno sercem i przeczuciem nieuchronnej grozy, co było niezwykle po lekach antyhistaminowych.

Podobnie czułam się po atakach wampira, demona czy magicznego. Po, ponieważ, nie byłam jasnowidzem, żeby wiedzieć, kiedy spadnie na mnie miecz Damoklesa.

Wiedziałam, że ten sen nic nie oznacza, ale wiedza ta nie miała znaczenia. Nie trzeba było Junga, żeby domyślić się, skąd wydry. Podejrzywałam, że poczucie uwięzienia bezpośrednio związane było z lekami, które mnie otępiały. A głód? Jeszcze łatwiejsze do wyjaśnienia. Poprzedniego dnia dokonałam wielu przemian w tę i we w tę. Po czymś takim każdy umierałby z głodu.

Przy śniadaniu, przyrządzonym na porządnej, czteropalnikowej kuchence, mój apetyt nie ustępował wilkołaczemu.

- Złe sny? - rzucił Adam mimochodem, udowadniając, że więź znów zadziałała w najmniej stosownym momencie, dając mu pełny wgląd w moje przeżycia.

- Czy kiedykolwiek będziemy w stanie kontrolować więź, kiedy tak robi? - zapytałam, wsuwając pełne łyżki smażonych ziemniaków tak szybko, jak się dało bez niekontrolowanego wysypu kącikiem ust. - Ile widziałeś? Wszystko?

Przytaknął z uśmiechem.

- No, wydry i resztę. Dobrze, że pożarłaś choć jedną. - Jadł prawie tak szybko jak ja, ale robił to znacznie lepiej. Musiałam specjalnie patrzeć, żeby zarejestrować, jak łyżka z jedzeniem pokonuje drogę do jego ust. I nie była to kwestia szybkości, a raczej dobrych manier i rozproszenia uwagi.

-Jak noga i stopy? - zapytał, kiedy zmywałam. On gotował, więc ja sprzątałam po śniadaniu. Poruszyłam palcami u stóp i kilka razy zgięłam kolano.

- Łydka trochę boli, ale stopy już nie.

- Robimy to, bo tak kazał nam Gordon Seeker? -zapytałam, kiedy jechaliśmy do pobliskiego maryhillskiego muzeum sztuki.

-I tak planowałem wizytę w muzeum - odparł Adam powoli. - Choć muszę przyznać, że jestem ciekaw.

- Wiesz, możemy jechać do domu albo do Seattle, Portland, a nawet Yakimy i tam znaleźć jakiś przytulny hotelik - powiedziałam, kładąc mu rękę na udzie. Spojrzałam na płynącą poniżej rzekę. Z wysokości autostrady wydawała się taka mała i spokojna. - Mam przeczucie, że jeśli zostaniemy, może się zrobić ciekawie.

Zerknął na mnie z uśmiechem i szybko znów odwrócił wzrok na drogę.

- Tak? A skąd to przeczucie? Przez ludzi z odgryzionymi stopami? Ducha ojca? Tajemniczego Indianina rozpływającego się nagle w powietrzu? A może apokaliptyczną przepowiednię dziewczynki z jo-jo?

-Jo-jo?! - Aż się zachłysnęłam. - Edythe to dziewczynka z jo-jo?! To dziewczynka z jo-jo nas tu przysłała?!

Wyszczерzył się.

- Co, obleciał cię strach? Chcesz jechać gdzieś, gdzie będzie bezpiecznie?

Nie mogłam się powstrzymać. Przytuliłam się policzkiem do jego ramienia.

- Nic na to nie poradzę, prawda? - mruknęłam po chwili. - I tak wpadlibyśmy na Godzillę albo wampira z piekieł. Ty i kłopoty chadzacie zawsze tymi samymi drogami.

Zmierzwił mi włosy.

- Hej, Kłopotku, może najpierw sprawdzimy, czemu ten tajemniczy Indianin nas tu przysłał.

W Seattle czy Portland muzeum maryhillskie byłoby po prostu fajnym muzeum. Tu, pośrodku pustkowia, robiło ogromne wrażenie. Teren wokół był zielony i zadbane. Wprawdzie kiedy szliśmy z parkingu do wejścia, nie zauważyłam pawi, ale słyszałam je i czułam. Nie raz widziałam muzeum, jadąc do lub z Portland, ale nigdy wcześniej go nie zwiedzałam.

Kiedy pierwszy raz ktoś opowiedział mi o tutejszych zbiorach, byłam pewna, że postradał zmysły. Pośrodku wschodniego Waszyngtonu, setki kilometrów od Portland i dwieście pięćdziesiąt od Tri-Cities, wystawiano kolekcję wiktoriańskich mebli królowej Rumunii oraz dzieła Augusta Rodina.

I tę kwestię poruszano w pierwszych zdaniach folderu wręzonego nam przy wejściu. Sam Hill, finansista, budowniczy dróg, miast oraz tego muzeum, które miało być jego domem, przyjaźnił się z Loie

Fuller. Fuller była europejską tancerką w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, sławną z nowatorskiego wykorzystania tkanin i woali. Ona z kolei, obracając się w kręgach dworskich i artystycznych, była blisko z Marią, rumuńską królową - która w ramach hobby projektowała meble - oraz francuskim rzeźbiarzem Rodinem.

W ten to sposób królewskie meble oraz spora kolekcja rzeźb znamienitego artysty znalazły się na tym wygwizdowie.

Właśnie ze względu na oddalenie od miast spodziewałam się, że będziemy z Adamem jedynymi zwiedzającymi. Myliłam się jednak. Już w pierwszej sali, mieszczącej wystawę mebli oraz pamiątek z ery wiktoriańskiej, kręciły się grupki turystów, dwie starsze kobiety, pięcioosobowa rodzina z wózkiem i para w średnim wieku. Sala była na tyle przestronna, że mimo to nie wydawała się zatłoczona.

Bogato zdobione meble, choć piękne, sprawiały wrażenie gołych i niewygodnych. Nadawały się bardziej na elementy scenografii niż wyposażenie domu. Może kilka poduszek zmiękczyłoby kanciastość i sprawiło, że byłyby bardziej przytulne?

Resztę tego piętra zajmowała wystawa malarstwa. Obrazy wyeksponowano w kilku połączonych ze sobą pomieszczeniach.

Już w pierwszym rozeszliśmy się z Adamem, wybierając różne kierunki. Większość malowideł była dobra, nawet wyjątkowa, ale przy jednym aż zaparło mi dech w piersiach. Na widok oleju na płótnie znanego artysty musiałam chyba nawet wydać jakiś

dźwięk, bo Adam natychmiast znalazł się przy mnie i stanął z tyłu, opierając brodę na moim ramieniu.

- Co? - zapytał cicho, żeby nie przeszkadzać innym.

- Widzisz? - Wskazałam mu obraz, który podziwiałam.

Nie był to najpiękniejszy obraz na wystawie, daleko mu było do innych pod względem detalu czy kunsztu artystycznego. Jednakże przemawiał do mnie bardziej niż pozostałe. Wydawał się nawet nie na miejscu: kowboje pomiędzy angielskimi i greckimi pejzażami, polnymi kwiatami i portretami dam.

Adam pochylił się, przyciskając do mnie - choć zachował granice przyzwoitości - żeby przeczytać tabliczkę informacyjną. Prychnęłam, udając zgrozę.

- Nie jesteś prawdziwym zachodniakiem, skoro nie rozpoznałeś go z miejsca.

- Nie, psze pani - wycedził, przeciągając głoski, a w jego policzku pojawił się cień dołeczka. Uwielbiałam ten dołeczek, a jeszcze bardziej lubiałam, kiedy Adam mówił do mnie z akcentem z czasów młodości. A już w ogóle najbardziej szalałam za ciepłem jego silnego ciała tuż przy moim. Prosta ze mnie babka. - Jestem południowcem.

- Tak jak większość kowbojów, których malował. Zachód stał się popularny przez południowców, którzy nie chcieli walczyć w wojnie secesyjnej, i przez tych, którzy przybyli tu po przegranej. To, mój drogi nieobyty kulturowo wilkołaku, jest Charlie Russell, kowboj-artysta. Bez niego historia Montany byłaby zaledwie przypisem w powieści Zane'a Greya.

Charlie malował to, co widział, a widział wiele. Nie był romantykiem, a realistą. Do tej pory zdarza się, że jakiś ranczer z Montany znajduje w starej szopie zwinięte w rulon akwarele jego autorstwa. To jakby trafił w totka, tylko jeszcze lepiej. Adam poruszył ramionami.

- Co za pasja! - rzucił niegłośno, łaskocząc mnie w ucho oddechem. - To historia tak do ciebie przemawia czy sztuka?

- No dobra - powiedziałam, drżąc. - Ja pokazałam ci mój. A tobie który się podoba?

Odsunął się i pociągnął mnie w stronę obrazu na sąsiedniej stronie. Malowidło przedstawiało kobietę siedzącą w jaskini. W tle po lewej malarz umieścił ciemny wodospad, a u stóp kobiety sadzawkę. O wyjątkowości dzieła stanowiła poświata otaczająca pierwszoplanową postać, uzyskana za pomocą koloru i tekstury skóry kobiety oraz jej ubrań, w połączeniu ze szczególną pozą. Obraz zatytułowano „Samotność”.

Dziełu brakowało prawdziwości i surowej prostoty detalu, którym ujmował mnie Russell. Namalowana nie należała zapewne do kobiet, które musiały wstawać o świcie, prac i gotować. Mimo to...

- W porządku. Tym też nie znudziłabym się, gdyby wisiał na mojej ścianie - podsumowałam. - Tylko ostrzegam, że wyglądałby dziwacznie w parze z Russellem.

Roześmiał się i pocałował mnie w ucho. Wystawa dzieł rdzennych artystów znajdowała się w piwnicy. Sam Hill najwyraźniej oprócz sztuki

zbierał również ludowe wyroby z wikliny. Na dole królowały kosze. Wiele, wiele koszy. Z czasem do zbiorów dokładano inne eksponaty, na przykład koszmarne zdjęcia i ogromne głazy pokryte petroglifami. Jednak największe wrażenie robiły setki koszyków i parę innych przedmiotów.

Tu też nie byliśmy sami. Rodzina oglądała głazy. Najstarsza dziewczynka oddaliła się od rodziców i przyciskała buzię do pleksi chroniącego petroglify.

Była także samotna Indianka w średnim wieku, o poważnej twarzy, choć bardziej nawykłej do uśmiechu niż smutku, o czym świadczyła siateczka zmarszczek mimicznych. Kobieta wpatrywała się we mnie i Adama.

Nie wiem czemu, ale dziwnie się poczułam, dlatego odwróciłam się od niej i pokrytych glifami gładów, kierując w stronę drzwi prowadzących do kolekcji koszy.

Te były niesamowite. Na niektórych od złożonych niemal z kilku kresek postaci zwierząt biła moc, której trudno się spodziewać po wzorach możliwych do uzyskania techniką plecenia.

- Dobrze, że nie urodziłam się w tamtych czasach. Miałam na studiach zajęcia ze sztuki i na jedno z zaliczeń musiałam zrobić koszyk. Mój wyglądał jak krzywy, podziurawiony hamak - zwierzyłam się Adamowi. - A pałak za nic w świecie nie chciał się trzymać obu boków jednocześnie.

Nawet zainteresowanie podsycane pasją historyczną nie było w stanie zmusić mnie do uważnego obejrzenia miliona koszyków, choćby nie wiem

jak pięknych. Aczkolwiek i tak wytrzymałam dłużej niż Adam. Takich koszy nie używało się na co dzień. Większość wykonywano na sprzedaż jako pamiątki dla turystów albo kolekcjonerów.

Oglądając je, przypomniałam sobie jednego z moich wykładowców, biadającego nad utratą przedmiotów użytku codziennego. Każde muzeum ma w swoich zbiorach stroje ślubne, chrzcielne, indiańskie ubiory ceremonialne i wyszywane koralikami albo zębami łosi suknie zakładane na wyjątkowe okazje, mówił. Ale nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby zachować babciny fartuch roboczy czy dziadkową kurtkę myśliwską.

Zastanawiałam się, z jakiego powodu wysłał nas tu Gordon Seeker. Rodzina przeszła do innej sali -dobiały mnie stamtąd głosy dzieci. Samotnej Indianki też nie było w pobliżu.

Przystanąłam przy wielkim głazie stojącym w przejściu do reszty sal wystawowych. Było tu kilka takich, a na każdym znajdowały się petroglify. Jeden przedstawiał wielkiego drapieżnego ptaka, który łypał prosto na mnie.

- Ciekawe, kiedy powstał - myślałam na głos, prawie dotykając palcami powierzchni kamienia. Mogłam naprawdę go dotknąć, inni zwiedzający tak robili, ale jakoś nie potrafiłam się do tego zmusić. Jakbym mogła zniszczyć rysunek, któremu nie zaszkodziło setki, może tysiące lat deszczu i wiatru. -I ile czasu zajęło wyrzucie go.

- Zabrano je z pierwotnej lokalizacji, kiedy budowano tamę, a miejsce, w którym się znajdo-

wały, miało zostać zalane. - Adam czytał powoli tabliczkę informacyjną. - Myślę, że wyrzeźbiono go dawno temu, inaczej byłoby więcej nierówności w liniach. Tysiąc lat ma na pewno. Może nawet dziesięć tysięcy.

Po zwiedzaniu usiedliśmy w muzealnym barku, obok ekspozycji rzeźb Rodina, i zjedliśmy kanapki. Po posiłku ruszyliśmy w drogę do Horsethief Lake, położonego dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od muzeum.

Janice Lynne Morrison była nauczycielką w podstawówce i miłośniczką fotografii. Jej zdjęcia nie należały do tych, które wiszą w galeriach, ale uwielbiała dokumentować wyprawy rodzinne. Zdjęcia z tej chciała mieć tym bardziej, bo przeczuwała, że jej życie lada moment legnie w gruzach.

Zatrzymali się na obiad w restauracji w turystycznym rejonie Kolumbii, jednym z ostatnich lokali na drodze do Wyoming, gdzie mieszkali rodzice Lee. Wszyscy zjedli, resztki zapakowano na wynos, a chłopcy poszli bawić się na skałach.

Lee siedział w samochodzie, rozmawiając przez telefon. Sama nie była pewna, kiedy po raz pierwszy zauważyła te telefony. Chyba po zakończeniu roku szkolnego, bo wtedy zaczęła więcej przebywać w domu. Mąż pracował zdalnie, więc odbierał wiele telefonów i często rozmawiał w odosobnieniu. Jednakże ten rozmówca dzwonił zawsze kwadrans po jedenastej, a po zakończeniu

rozmowy mąż starał się być miły dla Janice, w ten sposób, w jaki jest się miłym dla osoby, wobec której ma się poczucie winy. Co jeszcze bardziej podejrzanego, po tych telefonach nie patrzył jej w oczy. Albo więc uprawiał hazard, albo miał romans.

Zamierzała porozmawiać z nim o tym po wakacjach, zatem tym bardziej zależało jej, by zachować jak najwięcej wspomnień.

Nie mogła zrobić chłopcom zdjęcia, bo od strony brzegu miała nieodpowiednie światło, dlatego zrzuciła sandały i weszła do wody. Słońce uniemożliwiało zobaczenie obrazu na cyfrowym ekranie, musiała więc użyć wizjera i przystawić aparat do oka. Nadal jednak nie była zadowolona, potrzebowała szerszego kadru. Zrobiła krok do tyłu i dno umknęło jej spod nóg.

Wywracając się, poczuła, że coś łapie ją za nogę i ciągnie pod prąd. W pierwszej chwili zaczęła się miotać, ale nagle spłynął na nią spokój. Woda omywała ją, zabierając troski.

Zielone ślepia przyglądały się jej z zainteresowaniem, a jasne, trzepotliwe macki, tworzące kryzę wokół ostrego nosa, gładziły delikatnie. Istota rozwarła paszczę, ukazując długie, cienkie zęby. A potem fala zabrała ją z powrotem.

Nie chciała oddalać się od istoty, ale nie miała siły walczyć z jej wolą. Stała niepewnie na dnem, krztusząc się i wykastując wodę, którą się zachłysnęła. Z głębokiej rany na udzie, tuż pod linią nogawki szortów, kapła krew. Janice bolała głowa, piekły oczy, ale była spokojna i szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Pragnął jej.

- Mamo, mamusiu, nic ci nie jest? - Chłopiec, jej syn, jak on miał na imię?, zastanowiła się przelotnie, złapał ją za rękę. - Nic ci nie jest? Gdzie twój aparat?

Chwyciła go mocniej, a potem wzięła też za rękę drugiego, młodszego chłopca, który nic nie powiedział. Miał na sobie podkolanówki i tylko jeden bucik. Wiedziała, że kiedy indziej przejęłaby się brakiem jednego buta, ale teraz nie przejmowała się niczym.

- Janny? - zawołał mężczyzna, zatrzymując ją, zanim weszła do rzeki. Spojrzała na niego niezadowolona. Ach, to mąż. - Janny, co ci się stało? Co z tobą?

Wiedziała, że nie pozwoli jej zabrać chłopców, więc kiedy w jej głowie pojawił się nowy plan, puściła ich.

- Janny? - Mówił miękko, łagodnie, ale z jakiegoś powodu zdenerwowało ją to. - Jesteś ranna, krew ci leci. Wpadłaś do rzeki?

- Muszę omyć ranę - powiedziała. Głos miała nieswój, lecz uznała, że to nieważne. - Pomożesz mi?

Niechętnie, jednak wszedł z nią do wody.

- To niehigieniczne, Janny. W samochodzie mamy czystą wodę.

Kiedy mówił, ona prowadziła go coraz głębiej. Istota porwała go bliżej niż ją i uniosła tak szybko, że nie zdążył krzyknąć.

- Tatusiu?

Chłopcy wciąż stali na brzegu, a kiedy ujęła ich za ręce, poszli za nią. Nawyk posłuchu i zaufanie były silniejsze niż instynkty.

- Mercy.

- Mamusiu, co się dzieje? - dopytywał się starszy.

- Mercy, obudź się.

- Tatuś poszedł sobie popływać. - Uśmiechnęła się łagodnie. Istota pragnęła jej, ale nie wystarczyłaby jej, więc odesłała Janice po więcej. I nadal była głodna. - Chodźcie, popływamy z tatusiem.

Otworzyłam oczy ze świadomością, że oddycham zbyt szybko i ślinię się na nogę Adama.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Nie zamierzałam zasypiać.

- Wymęczyłem cię wczoraj - powiedział bez nuty skruchy w głosie. Raczej z satysfakcją. Chełpliwie. Nie żyliśmy w celibacie przed ślubem, ale trudno było o prywatność z Alfą watahy i ojcem nastolatki. Może powinniśmy kupić sobie taką przyczepę? - Odsypiaj, kiedy tylko możesz - ciągnął. - Tym razem nie odebrałem niczego wyraźnego, ale stawiam na koszmar, hm?

-1 to jaki. - Nadal czułam mdłości. - Z tych przerażających, gdzie wszystko dzieje się powoli, a ty nie możesz nic zrobić. Chyba przez Gordona i jego sugestie co do mojej rany zaczęły mi się przypominać stare horrory.

Kojoty nie są dobrymi niewolnikami, powiedział wtedy, a zaraz potem, że zostałam napiętnowana przez rzekę. Cała jego wizyta była tak dziwna, że zapomniałam o tych słowach, ale musiały mi utkwąć w podświadomości i teraz zaowocowały tym mrożącym krew w żyłach prywatnym seansem. Zastanawiałam się, co według niego zostawiło piętno na

mojej nodze. Może po południu dowiemy się czegoś więcej.
- Skoro nie jesteśmy jeszcze na miejscu, to chyba nie spałam długo?

- Jakieś dziesięć minut. O, tam jest parking.

- To nie Horsethief Lake - zauważyłam, kiedy zjechał z autostrady w stronę rzeki i wjechał na długą, lekko zakręcającą drogę ze znakiem „Park Stanowy Columbia Hills”.

- W dwa tysiące trzecim zmienili nazwę. I stanowa, i krajowa Agencja Badawcza zmienia nazwy na politycznie poprawne. Zapytaj Brana. Godzinami może gadać o Potoku Jełopa. Twierdzi, że osobiście znał jełopa, po którym nazwano rzekę.

- Dobrze, że w Agencji nie znają francuskiego, bo przemianowaliby też Grand Tetons*.

Adam roześmiał się, rozbawiony

- Od razu wiadomo, jak bardzo francuscy traperzy tęsknili za domem, kiedy nadawali im nazwę.

Po drodze mijaliśmy indiański cmentarz, wciąż czynny, sądząc z ilości balonów i innych przedmiotów pozostawionych na grobach. Sprawiały, że teren wyglądał niczym po imprezie urodzinowej, z której goście wyszli, nie dając solenizantowi prezentów. Cmentarz okolono wysokim ogrodzeniem z łańcuchów, do których przytwierdzono tabliczki „Wstęp wzbroniony”.

Mam zdolność widzenia duchów, ale nigdy nie widziałam żadnego na cmentarzu. Cmentarze są dla

* Teton (fr.) - cycek (przyp.tłum.)

żywych. Z moich doświadczeń wynikało, że duchy trzymają się raczej miejsc, w których żyły.

Ciekawe więc, co ojciec robił przy polu kempingowym obok Kolumbii, skoro pochodził z Browning w Montanie?

Kiedy parkowaliśmy na placu przy przystani dla łódek, Calvin już na nas czekał, oparty o ogrodzenie. Był wyraźnie zmęczony i wyglądał starzej niż przedtem, przynajmniej na te skończone dwadzieścia lat. Nie drgnął nawet, obserwując, jak zamykamy samochód i wchodzimy na drogę.

Łącuch ogrodzeniowy, który stanowił jego podpórkę, ciągnął się aż do torów kolejowych biegnących równoległe do rzeki, a potem wzdłuż nich, aż znikał za skarpą. Za Calvinem wisiał jakiś znak, ale nie mogłam go odczytać.

- Wuj Jim kazał mi się tu z wami spotkać w południe - powiedział uprzejmie, niż wyrażała to jego postawa. - Najwyraźniej mam być waszym przewodnikiem.

- Dzięki - skwitowałam.

- Nie ma sprawy. - Wzruszył ramionami. - Latem czasami i tak zgłaszam się do oprowadzania turystów. - Zaszurał butem po ziemi i łypnął podejrzliwie na Adama. - Jak skontaktowałeś się z wujem Jimem? Kazał mi tu przyjść, gdy czekaliśmy w szpitalu, żeby dowiedzieć się, co z Bennym, a nie widziałem, żeby rozmawiał przez telefon. Zresztą nie dawałeś mu swojego numeru, kiedy czekaliśmy wczoraj na karetkę.

- Ano nie - przyznał Adam. - Rozmawialiśmy z twoim dziadkiem.

Calvin aż oderwał się od podpórki i stanął prosto.

- Dziadkiem? - Zdumiał się, szeroko otwierając oczy. - Z którym dziadkiem?

- Przedstawił się jako Gordon Seeker - rzekłam. - Wpadł jeszcze wczoraj, mówił, że twój wuj go przysłał. Dał mi mazidła na rany, zresztą fantastyczne.

- Ach, ten dziadek. - Calvin nie wyglądał na uszczęśliwionego, a w dodatku byłam pewna, że to właśnie myśl o Gordonie postawiła go na baczność. - No tak, mogłem się domyślić.

- Coś nie tak? - zainteresował się Adam. - Jak zwykle, kiedy dziadek Gordon zaczyna

mącić wodę - westchnął chłopak, spojrzał na mnie, a potem na Adama. - Wilkołak, hm? Adam przytaknął.

- No dobrze. Skoro to dziadek was tu przysłał, zrobimy to trochę inaczej. A mówił, po co macie tu przyjść? - Potrząsnął głową, jeszcze zanim któreś z nas otworzyło usta. - No jakżeby. Oczywiście, że nie. Woli patrzeć, jak biegamy niczym kurczaki, kiedy wyczują lisa. Pewnie uważa, że to zabawne.

- Byłeś w szpitalu? - ożywiłam się. - Co z Bennym? Mówił, co się stało?

- Tak - odparł Calvin i zmrużył oczy przed blaskiem słońca. Ten ruch mimiczny sprawił, że zobaczyłam podobieństwo pomiędzy nim i Gordonem. - Benny wydobrzeje. Ale myślę... Myślę, że powiem wam o Bennym po tym, jak odwalę szopkę

z oprowadzaniem. Nie wiem, czy to pomoże wam lepiej to zrozumieć, ale przynajmniej będziecie wiedzieli, czemu dziadek chciał, żebyście tu przyszli. - Popatrzył na nas spode łba. - Nie mam pojęcia, czemu uważa, że powinniście w ogóle cokolwiek wiedzieć. Mógłbym zapytać wuja Jima, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie wypytuje dziadka Gordona. Jeszcze mógłby dostać odpowiedź...

Popatrzył na drugi brzeg rzeki, jakby szukał tam inspiracji, a kiedy znów się odezwał, mówił ciszej:

- Wuj Jim jest szamanem. To przechodzi z pokolenia na pokolenie, zwykle po linii rodzeństwa. Ani dzieci Jima, ani jego ojciec nie byli szamanami, ale jego wuj tak. W ten sposób się to dziedziczy.

- Gordon też jest szamanem? - zapytałam, usiłując rozwikłać genealogiczną łamigłówkę. Odpowiedź powinna być przecząca, jeśli Gordon był dziadkiem Calvina i nosili to samo nazwisko, chyba że Jim był wujem Calvina ze strony matki. Co uznałam za bardzo prawdopodobne, skoro nie noszą tego samego nazwiska.

- A czy nocą panuje mrok? - uśmiechnął się Calvin, rozchmurzając, co sprawiło, że wyglądał nawet sympatycznie. - Może tak, może nie. Zależy, co masz na myśli i z czyjej perspektywy. Czymś jest, to pewne. Ja w każdym razie jestem uczniem wuja Jima. Zacznę z wami jak z normalnymi turystami, a jeśli zrobię to dobrze, po drodze coś może się wydarzyć. - Odchrząknął, nieco zakłopotany. - Jeśli najdzie mnie natchnienie. Albo i nie. Tak więc... -wziął głęboki oddech - witajcie na tej świętej ziemi.

Mówcie cicho i okazujcie szacunek zmarłym, proszę. Dwadzieścia lat temu musieliśmy ogrodzić to miejsce i zamknąć dla zwiedzających, bo dochodziło tu do aktów wandalizmu. Jednak nikt nie był z tego zadowolony, bo to wszystko jest opowieścią o tych, którzy odeszli przed tymi, którzy są teraz. Dlatego miejsce zostało ponownie udostępnione, choć pod pewnymi warunkami. Gdybyście przyszli tu sami... -Urwał i popatrzył na mnie, a kiedy podjął, nie recytował już płynnie. - Tobie nic by się nie stało. Wyglądasz jak Indianka. Ale ci, którzy wchodzą tu bez pozwolenia, dostają wyroki. Nie patyczkujemy się, bo zależy nam na bezpieczeństwie tego miejsca.

Odwrócił się i zaczął iść szlakiem, a my za nim. Trasa przypominała labirynt, tu i tam ściany bloków skalnych i głazów.

- To Szlak Temani Peshwa - mówił Calvin, prowadząc nas, choć nie było to konieczne, bo ścieżki nie dało się zmylić. - To znaczy „zapisane w kamieniu”. Tutejsze piktogramy powstały prawdopodobnie pięćset do tysiąca lat temu.

Przegonił nas w górę stromizny, nie przestając mówić.

- Dawniej rejony te zamieszkiwało wielu Indian. Lewis i Clark zatrzymali się niedaleko stąd, a z informacji w dziennikach wynika, że żyła tu prawie dziesięcioletnia grupa rdzennej ludności. Wiemy też, że jedna z wielu osad znajdowała się tam. -Wskazał stronę, z której przybyliśmy. Tam, w oddali, widać było koliste wzniesienie wcinające się w rzekę. Brzegi stanowiły bazaltowe urwiska, na dole ginące

w wodzie. Z miejsca, w którym staliśmy, nie mogłam dojrzeć, czy od płaskowyzu dzieli nas woda. Wzniesienie przypominało kształtem tort weselny, łącznie z tym, że pośrodku znajdowała się druga, mniejsza warstwa.

W chwili, gdy miałam odwrócić się z powrotem do Calvina, zauważyłam, że nie jesteśmy sami na szlaku. Ta sama Indianka, którą widziałam w muzeum, skręcała właśnie w boczną ścieżkę. Patrzyłam jeszcze, jak obchodzi grupę głazów, a potem zniknęła mi z pola widzenia.

- Dwa razy do roku odbywał się potlach - mówił Calvin. - Święto, na które zapraszani byli ludzie z bliska i daleka. Częścią potlachu było Poszukiwanie Wizji, w którym brali udział dwunasto-, trzynastoletni chłopcy i dziewczęta. Po powrocie przychodzili tutaj i na kamieniach zapisywali wspomnienia ze swoich wizji.

Zaprowadził nas pod bazaltową ścianę, maleńką w porównaniu z urwiskiem, które pokazywał nam przed chwilą. Zatrzymał się, ale milczał. Zadarłam głowę. Minęło trochę, zanim dotarło do mnie, co widzę, mimo iż właśnie po to tutaj przybyliśmy. Stara farba zlewała się z kamieniem, jakby od zawsze tu była, ja zaś byłam z zewnątrz. Ujrzawszy jeden rysunek, zobaczyłam je wszystkie.

Były wszędzie, całe mnóstwo. Niektóre dało się zidentyfikować z łatwością, przedstawiały ludzi i zwierzęta. Inne były nie do odczytania, często z powodu zbyt wyblakłej farby, jeszcze inne - ponieważ symbolika okazała się dla mnie zbyt odległa,

niejasna. Znaczenia części znaków domyślałam się bez trudu, na przykład płynącą wodę symbolizowały równoległe faliste linie, ale reszta była bardziej tajemnicza, jak czerwono-biała tarcza strzelecka, długie sinusoidalne linie czy koła.

Podeszłam bliżej, trzymając ręce za plecami jak dziecko, któremu nie wolno czegoś dotknąć. Setki lat temu ktoś także stał w tym miejscu i dotykał tej skały. Pięćset lat temu, tysiąc.

Przyszło mi do głowy, że Bran, Marrok, żył już, kiedy malowano te rysunki. Na pewno pięć stuleci. A sądziłam, że dziesięć.

Zastanawiałam się, czy dziewczyna albo chłopak, którzy namalowali czerwono-białą tarczę, podejrzewali, że ich dzieło przetrwa tyle lat, by dać świadectwo, że kiedyś chodzili po tej ziemi.

Stojący obok mnie Adam zeszywniał nagle i słyszalnie odetchnął. Odwrócił się i spojrzał w dół, skąd przyszliśmy. Podążyłam za jego wzrokiem. W miejscu, gdzie przed chwilą staliśmy, na nawisie, który zasłaniał dolną część szlaku, siedział wpatrujący się w nas myszołów. Wydawało się, że podobnie jak piktogramy, należy do tego miejsca. Jednak w jego wyraźnym zainteresowaniu nami było coś osobliwego. Przypominało trochę skupienie, z jakim patrzyła na nas samotna Indianka w muzeum. Ptak poderwał się do lotu i, przefrunąwszy nad naszymi głowami, skierował się nad rzekę, a potem zniknął z pola widzenia.

Kiedy przelatywał, ogarnął mnie niepokój, taki sam, jaki czułam w swojej wizji, podczas gdy zwie-

rzęta ścigały mnie, budząc uczucie obcości, dopóki nie dotarłam do Kojota. Takie wizje przeżywali ci, którzy dawno temu pokryli skały malunkami. Naraz przyszło mi do głowy, że może ja także powinnam narysować na skale fotel r-L-ax. Podejrzywałam jednak, że zostanę oskarżona o wandalizm, bo nikt nie uwierzy, że jedynie kontynuuję tradycję.

Gdyby nie było z nami Calvina, powiedziałabym o tym Adamowi. Popatrzyłam na niego. Obserwował uważnie Indianina złotymi oczyma, w których tańczyły niebezpieczne ogniki.

Położyłam mu rękę na ramieniu. Złoty kolor nie był oznaką niczego dobrego, jeśli pojawiał się, gdy znajdowaliśmy pośród przyjaciół.

Adam przykrył dłonią moją rękę i przesunął się, wkraczając pomiędzy mnie i Calvina.

- Czy w trakcie nauki na szamana słyszałeś o ludziach, którzy zamieniają się w zwierzęta? - zapytał zaskakująco spokojnie.

Zmarszczyłam brwi i znacząco uściśnęłam go w ramię. Nie znaliśmy Calvina, nie widziałam powodu, by zdradzać mu swoją naturę. Coś musiało się wydarzyć, kiedy całą uwagę poświęciłam obserwowaniu myszołowa.

Nie miałam pojęcia co, ale Adam był nieźle wkurzony na Calvina. Zastanawiałam się, czy stanął pomiędzy nami, by mnie chronić przed Calvinem, czy też przeszkodzić przed próbą wzięcia go w obronę.

- Nie - skłamał Calvin, popełniając duży błąd. Źle, że nie nauczył się od dziadka, jak nie kłamać.

Poza tym legendy Indian były pełne takich istot, zwierząt zamieniających się w ludzi i ludzi zamieniających się w zwierzęta. No i wiedział, kim jest Adam, człowiekiem zmieniającym się w zwierzę właśnie.

Adam uśmiechnął się, błyskając zębami. Nie widziałam tego bezpośrednio, lecz mina Calvina wystarczyła mi aż nadto. Najwyraźniej Adam porzucił oblicze miłego faceta i pokazał chłopcu prawdziwą naturę.

- Nie da się okłamać wilkołaka - poinformowałam młodzieńca. - Równie dobrze mógłbyś wrzasnąć: „Tak, ale nie odpowiada mi, że o to pytasz”.

Calvin przełknął nerwowo ślinę, roztaczając wokół silną woń strachu.

- Mercy? - zachęcił mnie Adam.

Coś chciał tym osiągnąć, a póki panował nad sobą, ufałam, że wie, co robi. Wilkołaki to potwory. Wychowałam się pośród nich i kochałam Adama -wiedziałam, że nigdy mnie skrzywdzi. Immunitet ten nie dotyczył jednak osób obcych. Uznałam, że im szybciej sytuacja znajdzie rozwiązanie, tym lepiej dla wszystkich.

Czasem można zdobyć informacje, wzbudzając w oponencie przekonanie, że i tak nie są tajemnicą. Do tego zachęcał mnie Adam - do wyjawienia Calvinowi, czym jestem.

- Potrafię zamieniać się w kojota - wyznałam. -Mama twierdzi, że to po tacie.

Calvin otworzył ze zdumienia usta, a potem zamarł na moment.

- Twoja matka jest biała - powiedział, otrząsnąwszy się z szoku. - Nie możesz zamieniać się w kojota - zaprotestował żywo.

- Ależ mogę - obruszyłam się. Co innego, kiedy ja wytykałam chłopakowi, że kłamie, wiedziałam, że mam rację, co innego natomiast, kiedy on zarzucał mi kłamstwo.

- To niemożliwe.

- Możliwe.

- Niemożliwe.

- Możliwe.

- Mercy - odezwał się Adam teatralnie udęczony, acz rozbawiony. Wiedział, że zachowuję się tak celowo. A powrót poczucia humoru oznaczał, że nie jest już zły.

- To niemożliwe - upierał się Calvin.

- Dość tego. Zachowujecie się jak pięciolatki -zbeształ nas Adam i spojrzał na Calvina. - I tak powiedział mi to, co chciałem wiedzieć. Ten myszołów nie był zwykłym ptakiem i ten tu dobrze o tym wiedział.

Nikt nie odczytuje tak dobrze mowy ciała jak wilkołaki. I naraz dotarło do mnie, co Adam właśnie powiedział.

Krew uderzyła mi do głowy tak gwałtownie, że aż się zachwiałam, a urwisko znajdowało się tuż za mną. Adam chwycił mnie i przyciągnął do siebie, nie pozwalając spaść.

- Nic ci nie jest? - zatroskał się. Pokręciłam głową bez przekonania.

Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo podobnego do mnie. Po ponad trzydziestu latach nabrałam przekonania, że jestem jedyna w swoim rodzaju.

Zawsze też zakładałam, że inni byliby, tak jak ja, kojotami. Przecież nawet stary Indianin coś takiego sugerował. Od razu wiedział, że jestem kojotem, choć powiedziałam tylko, że się przemieniam w zwierzę.

Tak naprawdę nie wiedziałam wiele o zmienno-kształtnych. Tyle ile powiedział mi Bran, a on sam niewiele wiedział - chyba że udzielił tylko tych informacji, których udzielić chciał. Dorastałam przekonana, że nie wyjawiał mi wszystkiego, lecz ostatnio zaczęłam skłaniać się ku tej pierwszej opcji.

- Mercy jest zmiennokształtną - oświadczył Adam dobitnie. - Upieranie się, że to niemożliwe, niczego nie zmieni, bombardowanie argumentami też nie. Wiem o tym najlepiej. Zostałem ukąszony przez wilkołaka w Wietnamie, a nawet teraz nie posiadam żadnych informacji, żeby w Azji żyły jakieś wilkołaki, bo mieszkają tam istoty, które nie darzą nas sympatią, a ich niechęć może być śmiertelna w skutkach. Mimo to jakiś tam był. Mercy zamienia się w kojota. Nie możesz zaprzeczać rzeczywistości. Trzeba ją zaakceptować i przejść nad tym do porządku dziennego. Czy ten ptak to twój dziadek?

Gdyby Gordon Seeker mógł przemieniać się w ptaka, wyjaśniałoby to jego tajemnicze zniknięcie nad rzeką. Z tym że zostałyby tam gdzieś kupka

ubrań. Jednak przemiana w zwierzę wyjaśniałaby większość zagadek z nim związanych.

- Dziadek może się przemieniać - przyznał Calvin, patrząc na mnie z kwaśną miną.

Jego umiejętność nie-kłamania nie była zbyt zaawansowana. Może u szamanów przychodzi to z wiekiem? Miałam przeczucie, że jego wuj, Jim, potrafił nie-kłamać tak dobrze jak każda magiczna istota, a jeśli chodzi o dziadka, sama byłam tego świadkiem. Ciekawe wobec tego, dlaczego wysłali z nami Calvina? Może chcieli, żeby ich sekrety wyszły na jaw?

A powód tego, że mieliśmy się dowiedzieć, wiązał się zapewne z przepowiednią dziewczynki z jo-jo, Edythe, oraz tym, co spotkało Benny'ego i jego siostrę, a o czym Calvin miał nam opowiedzieć później.

Kiedyś, przekonywałam się w duchu, spotkam jakąś nadprzyrodzoną istotę, która zawczasu powie mi wszystko, co powinnam wiedzieć, a zrobi to pełnym głosem i bez owijania w bawełnę. Z tym że nie będę wstrzymywać oddechu w oczekiwaniu na to.

- Ale tym myszołowem Gordon nie był - podsumował Adam, umiejący rozpoznać kiepskie nie-kłamstwo tak dobrze jak ja. - Wobec tego kto to?

Jeśli Gordon mógł się przemieniać, ale nie on był myszołowem, oznaczało to, że jest nas troje. Troje zmiennokształtnych. Gordon wiedział, że istnieję, lecz spotkaliśmy się przez przypadek. Zostaliśmy wmanewrowani w tę sytuację przez Edythe i Gordon nie maczał w tym palców. Nie chcieli mieć ze mną do czynienia. I dobrze. Wobec tego ja będę traktowała ich tak samo.

Calvin obserwował mnie przez chwilę, a potem wyrzucił ręce w górę w geście poddania się.

- Kojocica, he? Może to dlatego dziadek Gordon chciał, byście to zobaczyli. - Potarł twarz. - Wiecie co? Nie wiem, czy to jest to, co powinniście według dziadka zobaczyć, czy nie, ale pokażę wam Tę, Która Pilnuje. Wujek Jim nie mówił nic konkretnego, ale tak będzie najlepiej, a poza tym to najbardziej znany piktogram. Potem pójdziemy do petroglifów, a na końcu opowiem wam, co mówił Benny, i dam numer do wuja Jima. Jeśli będziecie chcieli o coś zapytać, zadzwonicie sobie do niego, dobrze?

Podobał mi się ten plan, a Adam przytaknął za nas oboje.

Calvin odwrócił się i powiodł nas z powrotem aż do rozgałęzienia, gdzie wcześniej widziałam Indiankę. Po drodze mijaliśmy wiele malunków na skałach.

- Te głazy, na których są rysunki, nie są porośnięte żadnymi mchami ani porostami - zauważył Adam.

Calvin potwierdził skinieniem. Uspokoił się wyraźnie, zapach strachu osłabł na tyle, że nie budził już we mnie ochoty do pościgu.

- Owszem. Mieli jakiś sposób na oczyszczenie kamieni do żywego i utrzymanie ich w tym stanie przez tysiące lat. Możliwe, że po prostu je obdrapywali i wygładzali. Porosty potrzebują nierówności, żeby się wczepić. Są tu też głazy oczyszczone, na których nie ma piktogramów. - Wskazał nagie płaszczyzny. - Może były przygotowane pod rysunki albo farba, która je pokrywała, została źle zrobiona

i całkiem wypłowiła? W dobrym świetle widać na nich drobiny kolorów.

- Wiesz, do jakiego plemienia należeli tutejsi mieszkańcy? - zapytał Adam.

Calvin zaprzeczył.

- Kiedy przybyli tu Europejczycy, wszyscy się wynieśli. Niektóre szczepy wymarły całkiem. Historia większości plemion bazuje na przekazach ustnych, po części jest niekompletna. Mamy prawdopodobne przypuszczenia, ale inne plemiona również, i czasem nasze domysły się nie pokrywają.

Skreśliśmy w ścieżkę, którą obrała wcześniej Indianka. Czulałam jej zapach. Wzdłuż szlaku biegło ogrodzenie, a za nim, równoległe do rzeki, tory. Ogrodzenie kończyło się przy bazaltowej ścianie. Na niej, zwrócone w stronę rzeki, znajdowało się największe, najbardziej wyraźne malowidło, jakie tu widziałam. Wyglądało, jakby farby naniesiono dziesięć lat temu, a nie setki.

Ta, Która Pilnuje była podobna do szopa. Miała tulipankowate uszy na górnej części czaszki, a jej usta otwierały się w szerokim uśmiechu. Pomiedzy wargami widniał prostokąt nieco wyblakłej czerni. Możliwe, że niegdyś był to język albo ktoś podjął próbę zamalowania czegoś, tak czy owak wyglądał obco, nie na miejscu. Dojrzałam również zarys kłów. Mogłam się założyć, że dawniej, gdy były wyraźniejsze, oblicze to nie wyglądało przyjaźnie.

Większość rysunków, które oglądaliśmy, przedstawiała postaci zaznaczone w sposób prymitywny,

prostymi kreskami. To malowidło posiadało głębię, artyzm.

-Jest wiele legend o Tej, Która Pilnuje - powiedział Calvin. Otworzył usta, żeby coś dodać, ale zmienił zdanie. - Nie po to jednak tu przyszliśmy. -Wydawał się zaskoczony, jakby zdumiony własnymi słowami.

- Może opowiesz nam o niej mimo wszystko -poprosił Adam.
- Nie spieszy nam się.

Calvin, zaniepokojony, obejrzał się przez ramię, ale byliśmy tu sami.

- Dobrze. - Odetchnął, żeby się uspokoić. - Dobrze. Ta o Kojocie będzie najlepsza, nie? To jedna z kilku opowiadających, skąd Ta, Która Pilnuje się tu wzięła, ale we wszystkich, które znam, występuje Kojot. Pewnego dnia Kojot szedł brzegiem Kolumbii i natknął się na tę wioskę. Błądził między mieszkańcami, lecz nie mógł znaleźć wodza. Podszedł więc do starej kobiety, która robiła pułapkę na ryby. „Gdzie wasz wódz?”, zapytał. „Naszym wodzem jest Tsagaglalał, Ta, Która Pilnuje”, odpowiedziała kobieta. „Jest na wzgórzu”. Tak więc Kojot wspiął się na górę, gdzie napotkał kobietę stojącą tu, gdzie wy teraz stoicie. „Co tu robisz?” zapytał Kojot. „Przecież twoi ludzie są tam na dole.” „Pilnuję”, odpowiedziała. „Pilnuję, czy moi ludzie mają jedzenie. Pilnuję, czy mają wygodne wigwamy do spania. Pilnuję, żeby nie zagrozili im wrogowie”. Kojot uznał, że robi dobrze, więc wziął kobietę i rzucił na tę skałę, aby zawsze mogła pilnować swego ludu.

- Założę się, że to nie wszystko - rzekł Adam. - Nie rzuciłby jej ot tak, o skałę, jeśli nie poczęstowałaaby go jakimś złośliwym komentarzem.

- Hm - odezwałam się, bo patrzył na mnie. - Na jej miejscu, gdybym wykonywała swoje obowiązki, a ktoś przyszedł do mnie i zawracał mi głowę, pewnie miałabym ochotę powiedzieć mu coś do słuchu, żeby mu w pięty poszło. - Nie raz potraktowałam Adama dość bezceremonialnie i po jego oczach widziałam, że też sobie o tym przypomniął.

- Może tak było - zgodził się Calvin. - Chodźmy do petroglifów.

Ruszył ścieżką z powrotem, ja jeszcze zwlekałam. Obróciłam się w zakątku, w którym się znajdowaliśmy, i wciągnęłam nosem powietrze, ale nie wyczułam kobiety. Na rozwidleniu wychwyciłam jej woń, a przecież tu droga się kończyła i nie było gdzie iść. Nawet gdyby przeszła przez ogrodzenie, zostawiłaby ślad zapachu.

- Czy któryś z was widział kobietę, która szła tędy trochę wcześniej niż my? - zapytałam. Może to ona była tym myszołowem?

- Jaką kobietę? - zareagował Calvin. Adam potrząsnął przecząco głową.

- O kim mówisz?

- O Indiance, która była wcześniej w muzeum, w sali z indiańskimi wyrobami - wyjaśniłam pewna, że Adam też ją widział. Adam jest bardzo spostrzegawczy. Po części pewnie dlatego, że jest wilkołakiem, a po części chyba zostało mu to z czasów,

kiedy należał do oddziału przeprowadzającego głębokie zwiady w wietnamskiej dżungli.

- Była tam tylko rodzina - odparł. - Ojciec, matka i trójka dzieci.

- Ale też Indianka w średnim wieku. Miała na sobie błękitną bluzkę z wyhaftowanymi na plecach dwiema papugami. Pachniała miętą i kawą.

- Nie widziałem jej - zaprzeczył Adam. Przecież przeszliśmy tuż obok niej!

- O co chodzi? - zainteresował się Calvin.

-Jeszcze nie wiem - odparłam. Calvin nie potrafił wyczuć kłamstwa. Widać było, że wierzy w to, co powiedziałam. Mogłam się założyć, że z Jimem by mi się nie udało. Adam spojrział na mnie uważnie.

Sporo się tu działo. Tajemnice mnożyły się i nic nie łączyło się w sensowną całość. Do tego okazało się, że istnieje jeszcze dwoje zmiennokształtnych, a jeden z nich wiedział o mnie, jeszcze zanim poznaliśmy się osobiście. Znikająca kobieta stała się kroplą, która przelała czarę tajemniczości. Nie wątpiłam jednak, że akurat ona jest wyłącznie moją zagadką, a nie czymś, w czym maczali palce Gordon Seeker czy ktoś inny stąd.

- Obejrzymy petroglify, a potem opowiesz nam o Bennym, dobrze? - zwróciłam się do Calvina. -Zobaczmy, czy ta Indianka gdzieś się wpasuje.

Nie podejrzewałam go o nic. Miałam wrażenie, że błądzi w ciemnościach jeszcze gęstszych niż ja i Adam. Ktoś prowadził tu jakąś grę, a ja byłam już tym zmęczona.

ROZDZIAŁ 7

Piktogramy to malunki nałożone na powierzchnię czegoś, obojętne czego. Nawet graffiti zrobione sprayem na murze to piktogramy, choć zwykle termin ten odnosi się do obrazków wykonanych przez dawne ludy. Petroglify natomiast to symbole wygrawerowane w kamieniu. Wymagają więcej wysiłku i czasu od wykonawcy. Podobnie jak te z muzeum, petroglify z Horsethief Lake znajdowały się na wielkich głazach odrąbanych od skał. Jednak w przeciwieństwie do tamtych, te tutaj ogrodzono, aby zabezpieczyć przed dotykiem.

Pierwszy, przy którym przystanęliśmy, przypominał coś w rodzaju ananasa.

Calvin nie zdołał ukryć uśmiechu, kiedy powiedziałam mu o swoich skojarzeniach.

- Zanim w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku postawiono tamy na Kolumbii, rzeka była tutaj wąska i głęboka, a nie taka jak teraz,

wielka i leniwa. Wtedy spływały tu wodospady. Wodospady Celilo. Mamy ich zdjęcia. - Młody człowiek zapatrzył się z zadumą w rzekę. - Nie było mnie wtedy na świecie. Nawet moja mama jeszcze się nie urodziła. Ale starsi do tej pory żałują rzeki, jakby była czymś żywym, co umarło.

- Zmiany są trudne do zaakceptowania - rzekł Adam. - I nieważne, czy są to zmiany na gorsze, czy na lepsze.

Calvin spojrzał na niego.

-Tak, niektóre rzeczy zmieniły się na lepsze, inne na gorsze. Tam był kanion. Ludzie mówią, że na jego ścianach znajdowało się więcej petroglifów niż gdziekolwiek indziej na świecie. Nie wiem, czy aż tak, ale na pewno było ich bardzo dużo. Kiedy stało się jasne, że postawią tu tamę, podjęto wielki wysiłek, by zachować jak najwięcej z nich. Te stąd stały przy tamie, zanim je tu przywieziono. Inne są w muzeum, a wiele w prywatnych zbiorach; plemiona prosiły ludzi, żeby ci zabierali, ile mogą, byle tylko o nie dbali. Reszta została zatopiona i pewnie zostanie pod wodą już na zawsze.

Szliśmy, kiedy snuł swoją opowieść. Podobnie jak malunki, większość obrazów wyrytych w kamieniu okazała się prymitywna. Część, tak jak w przypadku ananasowego człowieka, przypominała nieudolne próby artystyczne przedszkolaka i miałam kłopot, żeby się domyślić, co przedstawiają. Inne były niesamowite, mimo specyficznej stylizacji. Na orła mogłabym patrzeć godzinami. Ale to stado górskich owiec przykuło moją uwagę.

- A niech mnie! - wykrzyknęłam. - To dlatego wysłał nas na wystawę tych koszy.

Adam i Calvin spojrzeli na mnie pytająco.

- No, może i nie. - Zmieniłam zdanie, przypominając sobie kobietę, która wpatrywała się w nas w sali wystawowej i poszła za nami do piktogramów. - Ale te zwierzęta wyglądają jak te wplecione w koszach. Jeśli jedynymi znanymi dziełami sztuki były te z koszy i koców, to ktoś chcący wygrawerować coś na skale, zrobiłby to w stylu tych z koszy.

- Kiedy wrócimy, będziesz mogła napisać do pisma antropologicznego i zapoznać ich ze swoimi teoriami - podsunął Adam.

Zmarszczyłam brwi.

- Żebyś wiedział. Napiszę artykuł naukowy i zrobię doktorat. A potem będę mogła wieść życie doktora antropologii.

- Czyli? - zaciekawiał się Calvin.

- Nie zachęcaj jej - ostrzegł go Adam poważnie, choć oczy mu się śmiały.

- Czyli takie, jakie wiodą ludzie z doktoratem z historii. Będę mechanikiem, kioskarzem albo sprzedawcą w fast foodzie.

- Wuj kazał mi wam pokazać ten tu - zmienił temat Calvin.

Głaz pękł, ale części dopasowano do siebie dokładnie. Istota na skale przypominała lisa, zmutowanego lisa z ogromnymi kłami i mackami. Stwór miał ciało węża. Ogólnie wyglądał jak skrzyżowanie chińskiego smoka z lisem o paskudnych kłach zębacza.

- O petroglifach nie wiemy tyle, co o piktogramach - podjął Calvin. - Mogły zostać zrobione dziesięć tysięcy lat temu przez pierwszych ludzi, lecz równie dobrze przed stuleciem. Nie mamy pojęcia, co przedstawia ten, ale mamy dla niego nazwę. To diabeł rzeczny.

Ślepia stwora były żywe, inteligentne i wygłodniałe.

Widziałam je już wcześniej. Jaskrawozielone ślepia w rzece z mojego snu. Zamrugałam i oczy stwora z kamienia stały się znów zwyczajne. Choć niezwykle wyraziste, były tylko oczyma podobizny wyrytej w skale. Ale ja wiedziałam, co widziałam.

- Wiecie? Jest taka legenda o Kojocie i potworze, który mieszkał w Kolumbii za czasów pierwszych ludzi, jeszcze zanim my, Indianie tu zamieszkaliśmy -powiedział Calvin ożywiony.

Adam przyglądał mi się w napięciu. Posłałam mu uspokajający uśmiech. Podejrzywałam, że wyczuł moje poruszenie, kiedy rozpoznałam wizerunek na skale. „Później”, poruszyłam bezgłośnie ustami. Skinął głową.

To był sen, napominałam się w duchu gorączkowo. Tylko sen.

Calvin na szczęście nic nie zauważył.

- Potwór - zaczął swoją opowieść - pożarł wszystkich pierwszych ludzi, którzy mieszkali w rzece. Pożarł wszystkich pierwszych ludzi, którzy łowili w niej ryby. W końcu ludzie przestali chodzić nad rzekę i zwrócili się do Wielkiego Ducha o pomoc. Wielki Duch wysłał Kojota, żeby ten zobaczył, co

robić. Kojot zszedł na brzeg i zobaczył, że nic tam nie mieszka. A kiedy obserwował rzekę, z wody wynurzył się wielki potwór. „Ach!”, zakrzyknął. „Jestem taki głodny! Podejdź tu, to cię zjem”. Kojotowi nie podobał się ten pomysł, poszedł więc na wzgórze, gdzie mógł spokojnie pomyśleć. „Ha, ha”, odezwały się jego siostry, które były jagodami w jego brzuchu.

- Co proszę?! - zapytałam tak zaskoczona, że aż zapomniałam o przerażeniu, który obudziło we mnie wspomnienie zielonych oczu ze snu.

- To przyzwoita wersja - oświadczył Calvin. -Jeśli chcesz poznać pikantną, popytaj. Poza tym nieładnie przerywać opowiadającemu.

- Przepraszam - rzuciłam, usiłując rozgryźć, jak jagody będące siostrami w brzuchu Kojota mogą mieć nieprzyzwoitą wersję.

- „Dlaczego się śmiejecie?”, zapytał Kojot. „Wiemy, co powinieneś zrobić”, odparły jego siostry. „Ale ci nie powiemy, bo jak zwykle całą zasługę przypiszesz sobie”. Ale były jego siostrami, a Kojot potrafił być przekonujący. Obiecał, że tym razem opowie wszystkim, kto wymyślił ten sprytny plan. Wreszcie powiedziały mu, co robić. Za ich radą Kojot wziął dziewięć kamiennych noży, worek suszonego mięsa, krzesiwo, łuczywo i trochę bylicy, a potem zszedł nad rzekę. „Chodź, zjedz mnie”, zawołał do potwora. I ten go pożarł. Gdy tylko został połknięty, Kojot użył krzesiwa, by zapalić łuczywo. W brzuchu potwora siedzieli wszyscy pierwsi ludzie, których ten połknął. Byli bardzo, bardzo głodni, bo nie jedli nic od czasu, kiedy potwór ich pożarł. Byli także

zmarznięci, bo potwór był zimny w środku tak, jak rzeka wokół niego. Kojot zapalił bylicę i rozdał im suszone mięso. Powiedział im także, że chce zabić potwora. Potem powiedział, że muszą znaleźć drogę i uciec z brzucha potwora. Sam wziął pierwszy nóż i zaczął torować sobie drogę do serca potwora. Nie zaszedł daleko, bo ciało potwora było twarde i nóż się złamał. Musiał wziąć drugi nóż. Drugi nóż też się złamał, tak samo trzeci i czwarty. W końcu Kojotowi został ostatni nóż. Ale tym udało się zranić serce potwora. „Uciekajcie!”, krzyknął Kojot do uwieczonych pierwszych ludzi. I zaczęli uciekać, wychodząc z umierającego potwora wszystkimi drogami, jakie udało im się znaleźć, przez paszczę, przez skrzela i przez kuper.

- Mówiłeś, że to łagodna wersja - przypomniałam.

Calvin uśmiechnął się, ale kontynuował:

- Ostatni był bóbr. Ledwie udało mu się przecisnąć przez zwieracz potwora. To dlatego bobry mają płaskie, bezwłose ogony.

Jęknęłam.

- W końcu w rzece zostali tylko Kojot i potwór, a Kojot miał przewagę. „Oszczędzę ci życie”, powiedział. „Pod warunkiem że obiecasz już nigdy nikogo nie pożreć”. Potwór złożył obietnicę, więc Kojot pozwolił mu żyć. Pokonany potwór osiadł na dnie Kolumbii i słuch o nim zagał. Wdzięczni pierwsi ludzie wyprawili ucztę na cześć Kojota, a Kojot zjadł na niej dwakroć tyle, co inni. „Powiedz nam”, prosili pierwsi ludzie, „jak udało ci się wymyślić taki spryt-

ny plan?" A Kojot zapomniał o obietnicy złożonej siostrze, bo jest próżny i ma krótką pamięć. Przypisał sobie całą zasługę uratowania pierwszych ludzi. - Calvin skończył opowiadać i odwrócił się, żeby spojrzeć na wizerunek potwora wyrytego na skale. - Nie wiadomo, czy potwór z legendy o Kojocie i diabeł rzeczny to ta sama istota, ale miałem wam opowiedzieć tę legendę, gdy zobaczycie petroglif.

- Miałeś nam też powiedzieć o Bennym - przypomniał mu Adam.

- Wygrzebie się z tego. W każdym razie fizycznie. Policja trochę go dręczyła, bo powiedział, że nie pamięta, co się stało i gdzie jest jego siostra, a lekarze nie wiedzą, co było przyczyną utraty stopy. Benny nic im nie powiedział, bo to nie ich sprawa, a i tak niczego by nie zrozumieli. - Calvin oparł się o ogrodzenie chroniące petroglif i zmierzył nas wzrokiem. - Nie rozumiem, co to ma wspólnego z wami. I czemu dziadek i wuj uważają, że ma. To znaczy rozumiem, dlaczego uważają, że nie uciekniecie, gdzie pieprz rośnie, gdy zaczniemy opowiadać historie o rzecznych potworach, które pożerają ludzi, ale nie wiem, czemu myślą, że to wasza sprawa.

- Też się nad tym zastanawiamy - zgodziłam się. - I byłabym wdzięczna, gdyby ktoś udzielił nam jakichś odpowiedzi.

- Powiedz, co mówił Benny - poprosił Adam, który z przyzwyczajenia brał na swe szerokie barki ciężar odpowiedzialności za cały świat. Jeśli pojawiał się problem, a on uważał, że jest w stanie coś nań zaradzić, brał się do roboty.

Calvin spojrział na Adama, jakby widział go po raz pierwszy. Może także usłyszał w głosie Adama gotowość do nadstawienia karku za obcych ludzi. Po chwili kłopotliwego milczenia odezwał się wreszcie.

- Benny opowiedział wujowi, że wyprawili się z Faith na ryby, jak robili to często o tej porze roku. Złapali dwie i już mieli się zbierać, kiedy coś szarpnęło wędkę Faith tak mocno, że ta myślała, że żyłka zaczepiła się o jakiś śmieć. Mogła przeciąć żyłkę, ale ona i Benny należą do tych porządnych, co nie zostawiają w rzece haczyków i linek.

Zdążyliśmy zejść już prawie na parking, kiedy na placu, przy samochodzie Adama, zaparkowała poobijana furgonetka. Jasnopomarańczowa karoseria pyszniła się dodatkowymi trzema kolorami, a silnik mruczał jak zadowolony lew.

- To wuj - powiedział Calvin niepotrzebnie, bo Jim właśnie wysiadał. - Może on odpowie na wasze pytania.

Adam zerknął przez ramię na zbliżającego się Jima, a potem znów na Calvina. -1 co zrobiła Faith?

Calvin, jak większość ludzi, mimowolnie uległ tonowi Adama i podjął opowieść.

- Zaczęła ciągnąć żyłkę, a ta wynurzała się i wynurzała. Faith przechyliła się przez burtę. Benny balastował łódź po przeciwnej stronie, więc nie widział tego, co ona. A Faith powiedziała...

- „Złapało się coś dziwnego, Benny. Wygląda, jak jakieś macki. Co to może...” - Jim zawiesił głos, a potem podjął rzeczowo: - Benny widział, jak siostra

wpada do wody. Skoczył za nią, coś zderżyło się z jego nogą. Później mówił, że to pewnie wtedy stracił stopę. Woda zaczęła się kotłować, a jemu wydawało się, że pływa w niej coś wielkiego. Faith wynurzyła się na powierzchnię, więc chwycił ją jedną ręką, a drugą złapał reling. Otworzyła oczy i powiedziała: „Tu jest tak spokojnie”, i nagle jej oczy znieruchomiały. Benny widywał umierających, wiedział więc, że Faith już nie żyje. I nagle dotarło do niego, że trzyma tylko górną część ciała siostry, że poniżej żeber już nic nie ma. Puścił ją, żeby samemu wdrapać się na łódź. Położył się nieruchomo na dnie, a coś obijało się o burty i rzucało łódką po całej rzece. Benny łowił kiedyś rekiny w oceanie. Mówił, że to było tak, jakby w wodzie szalała ryba większa od jego łodzi. Wreszcie stracił przytomność. Potem odzyskiwał ją i mdlał jeszcze kilka razy, aż ty go znalazłaś. - Jim zamilkł i popatrzył na nas. - Kiedy to usłyszałem, skontaktowałem się od razu z Gordonem, bo nie znam nikogo, kto wiedziałby o takich sprawach więcej niż on. Gordon wysłuchał opowieści Benny'ego i postanowił wybrać się na pole kempingowe, żeby zobaczyć, co to za wilkołak. Nie wiem, co stało się w waszej przyczepie, ale przekonało go to, że jesteście we wszystko wplątani. Częściowo pewnie dlatego - skupił wzrok na mnie - że jesteś teraz napiętnowana przez rzekę. Cokolwiek by to nie znaczyło.

Jim nie odnosił się do nas tak przyjaźnie, jak poprzedniej nocy, ale to wydawało się całkiem zrozumiałe. Choć był człowiekiem, widać, że z natury wesołym, Jim Alvin posiadał niewątpliwie cechy

charakterystyczne dominującego mężczyzny, a my byliśmy intruzami na jego terytorium.

- Teraz wiecie tyle co my - powiedział. - A co wy wiecie?

- Co nieco powiedzieliśmy już Calvinowi - przejął pałeczkę Adam. - Potrzebujemy chwili, żeby sobie to wszystko poukładać. Przywieźliśmy ze sobą jedzenia jak dla armii. Może zabierzesz Gordona i tych, których uznasz za potrzebnych, i przyjedziecie za dwie godziny na pole kempingowe. Zjemy i pogadamy.

- Czy mi się wydaje, czy jednak wiesz na ten temat więcej ode mnie? - zapytał Adam, kiedy wracaliśmy na pole kempingowe.

- Wiedza to niewłaściwe słowo. Raczej posiadam szersze pole w zakresie stawiania pytań.

Wydał dźwięk pomiędzy warknięciem a jękiem.

Przez ponad trzydzieści lat byłam sama. Od niedawna należałam do Adama, a on do mnie. Czasami ulga, jaką z tego powodu czułam, była obezwładniająca.

- Podejrzewam, że ta kobieta z muzeum, którą widziałam też w Horsethief Lake, to Faith, siostra Benny'ego. Oczywiście może to też być jakiś przypadkowy duch, ale wydawała się zbyt konkretnie zainteresowana nami, żeby nie była z tym związana. Siostra Benny'ego nasuwa się sama. Jeśli uważasz, że trzeba, zapytam ich, jak wyglądała, zanim cokolwiek

powiem. Co prawda ta informacja na nic im się nie zda, stanowiłaby tylko potwierdzenie faktu, że Faith nie żyje, choć opowieść Benny'ego i tak nie pozostawia wątpliwości.

- Masz rację. I w sumie, jeśli już się nie pojawi, nie ma potrzeby o tym wspominać.

- Poza tym - udałam, że podziwiam mały sad, który właśnie mijaliśmy, bo nie chciałam, by Adam widział moją twarz - jeśli przyprowadzą zmienno-kształtnego, on też ją zobaczy i będzie mógł sam z nią porozmawiać.

Adam jednak zbyt dobrze mnie znał, by dać się zwieść. Położył mi rękę na kolanie.

- Gordon prawdopodobnie jest zmiennokształtnym.

-Uhm.

-1 wiedział o twoim istnieniu, jeszcze zanim przyszedł do przyczepy. Nie wiedział tylko, że będziesz tu ze mną.

-Uhm.

Po rzece pływało wiele łódek, które wydawały się małe w porównaniu z dwiema barkami sunącymi pod prąd.

- Porzucili cię, zostawili wilkom na wychowanie. Ich strata. Wolałabyś ich zamiast Brana i watahy?

Adam miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, które zakładał czasem do jazdy. Kiedyś, gdy ludzie nie wiedzieli jeszcze o wilkołakach, nosił je częściej. Teraz zakrywały jego oczy, minę miał kamienną, a głos obojętny.

- Masz irytujący zwyczaj stwierdzania rzeczy oczywistych - prychnęłam, dotykając jego ramienia, żeby wiedział, że żartuję. Jedną z fajniejszych rzeczy w byciu towarzyszką Adama, a teraz i żoną, było to, że mogłam go dotykać, kiedy tylko przyszła mi na to ochota. A im więcej Adama dotykałam, tym większą miałam na to ochotę.

- Dobrze, że uważasz to za oczywistość. Może Gordon i inni zmiennokształtni mieli dobry powód, żeby trzymać się od ciebie z daleka. Ale teraz nie ma to już znaczenia. Jak myślisz, kto jest tym drugim zmiennokształtnym, myszołowem, Jim?

- Możliwe - powiedziałam, intensywnie myśląc. - Ale nie posiadam żadnej magii, nawet szamańskiej. Wprost przeciwnie, bo magia na mnie nie działa tak, jak na innych. Możliwe jednak, że może być zarazem i zmiennokształtnym, i szamanem. A możliwe, że to ktoś, kogo jeszcze nawet nie spotkaliśmy.

- Co cię poruszyło tak mocno, kiedy oglądaliśmy petroglif tego diabła rzecznego? - zapytał Adam, skręcając na zjazd na pole kempingowe. Zatrzymał się i przesunął kartą w czytniku, żeby otworzyć wejście. - Wyczułem silne emocje, ale nic konkretnego.

- Pamiętasz ten koszmar, który miałam, gdy jechaliśmy do Horsethief Lake? Śniło mi się wtedy coś, co mogłoby zainspirować autora tego petroglifu. - Opowiedziałam Adamowi swój sen.

Kiedy skończyłam, dojeżdżaliśmy do przyczepy. Adam milczał, kiedy przygotowywaliśmy się do ugoszczenia nieznaney liczby biesiadników.

- Często miewasz takie sny? O nieznajomych? -zapytał wreszcie.

- Nie. Zwykle ci, których znam, wystarczają aż nadto na obsadę głównych ról całej masy różnorodnych koszmarów. Nie potrzebuję dodatkowych.

Porzucił przygotowywanie jedzenia i wyciągnął swój magiczny telefon.

No, może nie magiczny, ale zdolny poradzić sobie świetnie z tym, z czym problemy ma mój komputer.

- Świetnie. Mamy zasięg. Pamiętasz, jak ta nauczycielka się nazywała?

-Janice Lynne Morrison.

Zerknął na mnie, zaskoczony natychmiastową odpowiedzią. Zwykle mam problem z zapamiętaniem nazwisk ludzi, których znam. Spora część klientów moich i Zee posiada przezwisko w rodzaju Garbus w Żółte Ciapki albo Niebieski Busik. Żeby przypomnieć sobie ludzi, których znam całe wieki, muszę zaglądać do dokumentacji.

Wzruszyłam ramionami.

- Nic tak nie działa na poprawę pamięci jak horror.

Adam stukał przez chwilę w magiczny telefon. Gdybym miała podobne ustrojstwo, musiałabym zatrudnić Jesse do jego obsługi.

- Istnieje Janice Lynne Morrison, która uczy trzecią klasę w szkole w Tigard, to na przedmieściach Portland - powiedział Adam ze zmarszczonymi brwiami. Pokazał mi ekranik telefonu. Twarz, która patrzyła na mnie ze zdjęcia, była trochę niewyraźna i miała oficjalną minę.

- To ona - powiedziałam z walącym sercem. -Co to ma znaczyć? Dlaczego śnią mi się prawdziwi ludzie? I czemu śni mi się ich śmierć? - Złapałam Adam za przegub, bo potrzebowałam chwycić się czegoś solidnego. - Czy to może być prawda? Nie śni mi się chyba rzeczywistość, nie? A może to przyszłość i powinnam ją ostrzec? - Wiedziałam, że mam słowotok, ale nie przejmowałam się. W końcu mówiłam do Adama, a on zdawał sobie sprawę, że nie oczekuję od niego konkretnych odpowiedzi. Schował telefon i przytulił mnie tak mocno, jak tego chciałam.

- Nie wiem. Wszystkiego się dowiemy. Potrzebujemy więcej informacji, bo ostrzeżenie jej z tym, co mamy, nic nie da. Ludzie z reguły nie biorą na poważnie ostrzeżeń przed potworami, które miałyby ich pożreć. Szczególnie jeśli mówią im coś takiego nieznanymi.

- Co prawda, to prawda - powiedział Gordon poważnie, wyłaniając się zza tyłu przyczepy. - To dlatego właśnie ci, którzy posiadają wiedzę, muszą mówić zagadkami. To jak łowienie ryb. Tajemniczość to przynęta, a prawda to haczyk. Ta ostatnia czasem boli.

- A ryby zwykle kończą martwe - dodałam sucho.

- Nie na takie zakończenie mamy nadzieję - westchnął Gordon. - Choć zawsze istnieje taka możliwość.

Tym razem miał na sobie dzinsy i T-shirt z Dresden Dolls.
Zwrócił się do mnie.

- Kim był twój ojciec, Mercedes Thompson?

- Hauptman - skorygował Adam zimno. - Mercedes Athena Thompson Hauptman.

- Nazywał się Stary Joe Kojot - odpowiedziałam, opierając się o Adama i przestając się w niego tak kurczowo wczepiać. Oba sygnały miały oznaczać, że choć doceniam jego starania, musi wyciszyć instynkt opiekuńczy.

- Ach tak. Miał wypadek, a potem wykończyły go wampiry. Mówiłem mu, że za szybko jeździ, ale rzadko kiedy słuchał dobrych rad. Wiesz, kim był twój ojciec?

- Możesz grzotnąć mnie w łeb i wsadzić do koszyka z resztą martwych pstrągów - fuknęłam. -Do rzeczy.

Gordon rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Niektórzy lubią łowić ryby - wycedził Adam. -Nawet dla samej przyjemności łowienia.

Gordon roześmiał się na głos. Miał dobry śmiech.

-Ja lubię, owszem. Ale czasem w zmaganiach można zyskać więcej niż innym sposobem. - Spoważniał. - Czasami ryby doznają krzywdy. Opowiem wam legendę, a tymczasem wy przygotujcie jedzenie dla gości. Będzie jeszcze trzech oprócz nas. -Uśmiechnął się na widok mojej miny. - Jestem stary, a starzy ludzie lubią tajemniczość. Rozmawiałem z Jimem jakieś dziesięć minut temu. Jest w drodze, wiezie ze sobą braci Owensów. Calvin siedzi w szpitalu, bo z Bennym jednak nie jest tak dobrze, jak lekarze zakładali. Ciągle próbuje wstać z łóżka, musieli go przywiązać.

Pomyślałam o Janice Morrison, która w moim śnie wchodziła tak chętnie do rzeki, prowadząc opierające się dzieci.

- Co wiesz o tych, którzy są tacy jak ty, Mercy? -zapytał Gordon.

- Prawie nic.

Adam obrzucił nas uważnym spojrzeniem, a potem odszedł, żeby przygotować kempingowy grill. Zapewnił nam tym samym iluzję prywatności, bo Gordon najwyraźniej chciał ze mną porozmawiać, aczkolwiek nie zrezygnował ze słuchania.

Trochę ukłuła mnie ta nadopiekuńczość Adama, ale wiedziałam już teraz, że to działa w obie strony. Niechby ktoś chciał skrzywdzić mojego wilka, a miałby ze mną do czynienia. Może jestem niewielkim kojotem, ale znam różne sztuczki.

Gordon chrząknął ukontentowany.

- Pewnego razu, dawno, dawno temu, Kojot przyszedł do wioski, w której mieszkał wódz ze swą piękną córką. Kojot przebrał się za przystojnego myśliwego. Zabił jelenia, zarzucił go sobie na plecy i przyniósł w darze wodzowi. „Wodzu”, powiedział, „pozwól mi się starać o rękę twojej córki”.

- To grzeczna wersja? - przerwałam mu. Gordon pokazał brak przedniego zęba, ale nie porzucił opowiadania.

- Wódz nie wiedział, że to Kojot chce się starać o jego córkę. „Myśliwcze”, rzekł, „możesz starać się o moją córkę, ale ona sama wybierze sobie męża”. Tak więc Kojot zaczął zalecać się do córki wodza. Przynosił jej świeże mięso, wyprawione skóry

i piękne kwiaty, a ona dziękowała mu za podarunki. Wreszcie Kojot udał się znów do wodza i zapytał: „Wodzu, jaki dar mam przynieść twej córce, by zrobił na niej na tyle duże wrażenie, żeby zechciała zostać moją żoną?”. „Zapytaj o to moją córkę”, odparł wódz. Kojot-myśliwy poszedł więc do córki i zapytał, czego najbardziej pragnie, a ona mu odpowiedziała: „Najbardziej chciałabym jezioro spokojnej, czystej wody, w którym mogłabym się kąpać”. Kojot znalazł spokojne miejsce w lesie i stworzył jezioro u stóp wodospadu, który zrobił, zmieniając bieg rzeki tak, by woda wpadała do zbiornika. Kiedy córka wodza zobaczyła jezioro, zgodziła się wyjść za Kojota, który nadal był w przebraniu myśliwego. Poprosiła, żeby wszedł z nią do wody, i śmiali się, i bawili, aż las wypełnił się echem ich szczęścia. - Starzec przerwał na chwilę. - Myślę, że tyle wystarczy. Legenda kończy się źle, tak jak to zwykle bywa, kiedy kochankowie tak się od siebie różnią. -Ostra nuta w ostatniej wypowiedzi, aż nadto jasno dała mi do zrozumienia, że wcale nie mówi o córce wodza i Kojocie.

Łypnęłam na Gordona gniewnie.

- Wiele osób, ważniejszych od ciebie, mówiło nam to samo, a my i tak ich nie posłuchaliśmy.

- Co ci bardziej przeszkadza, to, że jestem wilkołakiem czy że jestem biały? - zapytał Adam, niosąc wór z gotowymi hamburgerami. Poza tym pytaniem nic nie świadczyło o tym, że zwraca na nas szczególną uwagę, kiedy przechodził do grilla.

- Wilki zjadają kojoty - zauważył Gordon. Z mowy jego ciała łatwo wywnioskowałam, że wcale nie zawadza mu nasze małżeństwo, po prostu lubi mącić wodę.

Miałam ochotę wypalić coś niezbyt przyzwoitego, ale powstrzymałam się ze względu na jego zaawansowany wiek.

-To fakt - zgodził się Adam beznamiętnie. -A Mercy smakuje wyjątkowo.

Ha. Miałam te same skojarzenia. A Adam nawet się nie zarumienił, kiedy to mówił. Może Gordon i nie złapał podtekstu, ale i tak uśmiechnął się do Adama wesoło.

- A wiecie - odezwałam się jakby od niechcienia -że Czarne Stopy w swoich legendach opowiadają nie o Kojocie, a o Starcu, a u Lakotów rolę chytrego bohatera-oszusta gra Iktomi, pajak? Choć ten ostatni zbacza częściej na stronę zła niż chaosu.

Gordon uśmiechnął się przebiegle.

- To dlatego, że Kojot pojawia się w różnych przebraniach. Poza tym - machnął ręką w moją stronę -chaos nigdy nie jest niczym prostym, jeśli nie jest się Kojotem.

-I co ta opowieść ma wspólnego ze mną? - zapytałam, nie licząc na odpowiedź.

- Córka wodza, ta, która przez jakiś czas była żoną Kojota, miała córkę, która mogła być i kojotem, i człowiekiem. Podobnie jak synowie tej córki.

-Jestem więc potomkiem Kojota, a ten myszołów, którego widzieliśmy w Horsethief Lake - nie

miałam wątpliwości, że Gordon wie o naszym spotkaniu - jest potomkiem Sokoła.

- A tak. Każdy zmiennokształtny - wypowiedział to z naciskiem, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie akceptuje tego terminu, który jednak według mnie był odpowiedniejszy niż jakiś „awatar”. Awatar kojarzył mi się z grą komputerową albo wygenerowaną komputerowo postacią niebieskiego faceta z filmu. - Każdy zmiennokształtny jest potomkiem śmiertelnika i nieśmiertelnego. Dawno jednak już minęły czasy, kiedy wielu z was żyło pomiędzy nami, ludźmi, i od dawna także tacy jak wy rodzą się tylko rodzicom, którzy oboje są przekształceńcami.

- To dlatego Calvin upierał się, że nie mogę być zmiennokształtna. Przodkowie mojej mamy, z tego, co wiem, pochodzą z zachodniej Europy. Głównie z Niemiec i Irlandii.

- Tak, tak. Nie wątpię w to - zgodził się Gordon. - To dlatego właśnie pytałem, czy wiesz, kto jest twoim ojcem.

Usłyszałam to, co chciał, żebym usłyszała. Nie wiedziałam, dlaczego gra ze mną w te swoje gierki, ale miałam dość. Mój ojciec w żaden sposób nie wiązał się z tym, co zaatakowało biednego Benny'ego i jego siostrę. Nie obchodziło mnie, kim jest Gordon Seeker, dla mnie był nikim.

- Ojciec był kowbojem, jeździł na rodeo - powiedziałam. Gdybym teraz siedziała w formie kojota, miałabym uszy położone do tyłu. - Ujeżdżał byki i był w tym średnio dobry. Moja matka jeździła na koniu przyjaciółki, żeby zdobyć pieniądze na

życie. Ojciec pozwolił jej pomieszkać u siebie jakiś czas. Zginął w wypadku, zanim w ogóle matka dowiedziała się, że jest w ciąży.

Adam obserwował nas spod grilla. Beznamiętne spojrzenie żółtych oczu spoczywało na starcu. Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. Nie chciałam, by ten obcy zranił mnie jakimiś historyjkami, które powstały wcześniej, niż się urodziłam. Emocje przepływały przez więź znacznie łatwiej niż słowa czy myśli. Teraz, gdy Adam mógł je odbierać, starałam się lepiej je kontrolować.

- Tak, oczywiście - zgodził się Gordon łagodnie. - Na pewno jest tak, jak mówisz. Stary Joe Kojot zginął trzydzieści trzy lata temu gdzieś na autostradzie we wschodniej Montanie. - Podniósł głowę. - O, już są.

Poszłam do furgonetki po kartę dostępu.

- Wpuszczę ich - powiedziałam i ruszyłam biegiem do wejścia.

To, co sugerował starzec, było nienaturalne. Nawet jeśli przez moment kusila mnie wizja, że mój ojciec żyje, ponieważ Kojot umierał w każdej legendzie i zawsze odradzał się następnego rana, wystarczyło, że przypomniałam sobie ducha tańczącego na drodze. Mój ojciec nie żył. Przyspieszyłam, wyciągając krok, licząc, że wysiłek rozjaśni mi w głowie.

Otworzyłam wejście. W samochodzie rzeczywiście, oprócz Jima, jechali Fred i Hank Owensowie.

- Wskakuj na tył - zawołał Jim, wjechawszy na teren kempingu. - Podwiozę cię.

Od dziecka nie jechałam na pace, okazało się jednak, że jest tak fajnie, jak to zapamiętałam. Zeskoczyłam, zanim się zatrzymał, żeby sprawdzić, czy jeszcze potrafię to zrobić. Wylądowałam na nogach, wykorzystując rozpęd, zrobiłam salto w tył i dopiero po nim stanęłam pewnie. Trik polegał na tym, żeby wyczuć odpowiedni moment. Ojciec zastępczy mnie tego nauczył, kiedy przyłapał na naśladowaniu go. „Lepiej nauczyć ją tego porządnie, niżby miała sobie skręcić kark”, odwarknął labiedzącej matce. „A zabranianie nic tu nie pomoże, bo i tak będzie robiła swoje”.

Był cudownym człowiekiem.

I co z tego, że jakiś stary Indianin uważał, że moim ojcem jest Kojot? Naprawdę był nim Bryan, mężczyzna, który mnie wychował. Stał przy mnie, kiedy go potrzebowałam, aż do chwili śmierci Evelyn. Bryan nie potrafił pogodzić się ze stratą. A potem miałam Brana.

Gdyby Bran i Kojot mieli ze sobą na pieńku, postawiłabym na Brana. Na tę myśl poweselałam.

Otrzepałam tyłek z kurzu z paki. Adam przewrócił oczyma. Przypominał w tym momencie swoją córkę, gdy tak robiła.

- Założę się, że Bryan nie pozwalał ci tak zeskakiwać - powiedział, ale nie był zły.

- Dawno tego nie robiłam - przyznałam. - Wygląda fajnie, nie?

Adam zaśmiał się, zmierzwił mi włosy i zaprosił gości do stołu.

Jedliśmy hamburgery, chipsy i sałatkę makaronową. Rozmawialiśmy o pogodzie, rzece, życiu w Waszyngtonie, życiu w Montanie, o służbie w armii, zdobywając dzięki temu wiedzę o charakterach ludzi, którzy jeszcze kilka godzin wcześniej byli dla nas całkiem obcy. Wspólne biesiadowanie sprzymierzeńców jest rytuałem, odkąd na ziemi pojawili się ludzie, i wszyscy byliśmy świadomi znaczenia tego posiłku.

Zauważyłam, że Gordon Seeker nie mówił zbyt wiele. Siedział rozparty w krzeselku turystycznym i obserwował wszystkich żywym spojrzeniem, które odrobinę przypominało wzrok diabła rzeźnego. Kiedy dostrzegł, że na niego patrzę, uśmiechnął się niczym Kot z Cheshire.

- Myślę - zaczął Jim, wyrzuciwszy do śmietnika papierowy talerzyk - że powinniśmy się jeszcze raz przedstawić. Dobrze jest znać swoich sojuszników. Jestem Jim Alvin z plemienia Jakimów. Moja matka była z Wishramów, a ojciec z Jakimów. Posiadam odrobinę magii plemiennej. - Zajął swoje miejsce na ławce przy stoliku piknikowym i odwrócił głowę do Owensów.

- Fred Owens - powiedział Fred, mimo iż to Hank siedział obok Jima. - Były żołnierz piechoty morskiej. - Zerknął na Adama i uśmiechnął się lekko. - Także myszołów, kiedy mi pasuje. I jestem ranczerem.

- Hank Owens. Były żołnierz piechoty morskiej. Ranczer. Spawacz. I myszołów, kiedy jemu pasuje. -

Kiwnął brodą na brata. Najwyraźniej był to jakiś ich rodzinny żarcik, bo przez twarz Freda przemknął cień uśmiechu. - To Fred uznał, że trzeba przypilnować Calvina.

- Calvin jest... - wtrącił Jim, ale Gordon przerwał mu w pół słowa:

- W szpitalu. Już im mówiłem.

Chwilowe napięcie, jakie zawisło pomiędzy Jimem i Gordonem, przypominało to, jakie panowało w pomieszczeniu, w którym znalazły się dwa wilkołaki, Alfy. Mogli być sojusznikami, nawet przyjaciółmi, jednak czujnie obserwowali się w poszukiwaniu najlżejszego śladu słabości bądź agresji.

- Adam Hauptman - odezwał się mój mąż, zajmujący drugie z naszych turystycznych krzeseł. -Alfa watahy dorzecza Kolumbii, honorowo zakończyłem służbę wojskową w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim. Towarzysz i mąż Mercedes Thompson Hauptman. W wolnym czasie prowadzę firmę ochroniarską.

Jim spojrzał na Adama zaskoczony. Sama byłem zdumiona. Wilkołaki ujawniły swoje istnienie, ale nie podały do wiadomości publicznej wszystkiego, co ich dotyczyło. Jednym z faktów, które Bran utrzymywał w sekrecie, był ten dotyczący ich nieśmiertelności.

- Sporo czasu minęło - zauważył Fred.

- Wietnam - oznajmił Hank odkrywco. - Byłeś rangerem w Wietnamie.

Siedząc na przenośnej lodówce, obserwowałam minę Adama. Zaproponował, żebym siadła na krze-

sełku, ale nie znoszę mebli turystycznych. Po dziesięciu minutach na czymś takim cierpną mi stopy.

Ciekawiło mnie, co knuje. Bran nie byłby zachwycony, gdyby się o tym dowiedział. Ale Adam nigdy nie robił nic bez powodu. Zwykle odkrywałam to jakieś pięć lat po fakcie. Na razie wyglądało na to, że obserwuje Gordona. Może chodziło po prostu o uświadomienie wszystkim, że wyznamy swoje sekrety, zanim cała sprawa znajdzie swój koniec.

- Paskudne czasy - podsumował Jim.

Adam uniósł swoją butelkę z wodą ku Jimowi, a potem ku niewidocznej czapce. Później popatrzył na mnie.

- Mercedes Thompson Hauptman - wyrecytowałam, posłuszna jego nagłacemu spojrzeniu. - Mechanik samochodowy. Zmiennokształtna, kojot, towarzysza Adama Hauptmana.

- Gordon Seeker - rzekł Gordon. - Ale imiona Indian zmieniają się. Miewałem inne. Zajmuję się po trosze uzdrawianiem, po trosze magią, po trosze tym i owym. Za młodu byłem wyśmienitym myśliwym, od tamtej pory minęło już wiele czasu. Może nawet więcej - zerknął na Adama - niż od kiedy ten tutaj był tak młody, na jakiego teraz wygląda.

- W porządku - podsumował Adam, kiedy stało się jasne, że starzec powiedział wszystko, co zamierzał. - Jim i Calvin powiedzieli nam dzisiaj to i owo. A dokładniej, że w rzece grasuje potwór, który zabił co najmniej jedną osobę. Choć mało prawdopodobne, by poprzestał na siostrze Benny'ego. Pozwólcie, że teraz ja zdradzę wam kilka faktów, które

może nawet nie są powiązane z tym, co się tu dzieje. - Opowiedział im o magicznych istotach, które zaplanowały naszą podróż poślubną, o przepowiedni Edythe i o wydrzakach, które przeniesiono do Kolumbii.

Fred skrzywił się do Jima.

- Mówiłem ci, że te wydry są jakieś dziwne. Łby miały nie takie, jak trzeba.

- Też je widziałem - oświadczył Gordon lekceważąco, jawnie bagatelizując znaczenie wydrzaków. -A przepowiednia to zbyt słaby fundament, żeby się na niej opierać.

- Spotkałeś kiedyś Edythe? - zapytałam z ciekawością. - Mała, zwykle wygląda na dziesięć lat.

Gordon uniósł brwi, a ja odniosłam wrażenie, że odpowiedź może być twierdząca. Uśmiechnęłam się radośnie.

- Magiczne istoty potrafią być zwodnicze. Im słabiej i bardziej nieszkodliwie wyglądają, tym bywają groźniejsze. Edythe jest chyba najstraszliwszym ze strasznych stworów. Nie zamierzam traktować lekko żadnego jej słowa. I nie jestem przekonana, choć nasze źródło dotyczące nie ludzi zdaje się to potwierdzać, czy zaliczanie wydrzaków do nieszkodliwych stworzeń jest mądre.

- Przecież nie pożerają ludzi - zaprotestował Fred.

- Tego nie wiesz - stwierdziłam równocześnie z Adamem, który rzucił krótko:

-Jak na razie.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Przyznaję, że raczej nie są częścią tej sprawy, ale i tak nie podoba mi się, że tutaj są. Obserwowały Mercy, kiedy wyciągała łódkę z Bennym.

-Jeszcze ja mam kilka rzeczy do dodania - oznajmiłam i w tej chwili zerwał się silniejszy wiatr, a obok mnie, na lodówce przysiadła Faith. Spojrzałam na pozostałych, Freda, Hanka i Gordona, którzy byli przecież zmiennokształtnymi, oczekując, że... Sama nie wiedziałam czego. Chyba jakieś reakcji, że ją poznali. Żaden z nich jednak nie drgnął ani nie wykrzyknął imienia nieżyjącej kobiety. W ogóle nie zrobili nic, co świadczyłoby, że ją widzą. Nawet Gordon Seeker.

- Pragnie go - powiedziała Faith, nie patrząc na mnie, a na Hanka.

-Jego, to znaczy kogo? - dopytałam.

- Benny'ego - westchnęła. - Głupia ja. Nie powinnam się tak wychylać za burtę. Ale on nie lepszy. Wiedział, że umiem pływać, niepotrzebnie skakał. Ale cóż... Jest jak ten krokodyl z „Piotrusia Pana”. Zjadł kawałek i teraz chce reszty.

- Dopilnujemy, żeby nic mu się nie stało - obiecałam.

Teraz wszyscy na nas patrzyli. A w każdym razie na mnie. Adam wstał i powstrzymał pozostałych gestem, żeby mi nie przeszkadzali. To nie musiało mieć żadnego znaczenia - czasami duchy nie reagowały na nic. Ale bywało, że głośniejszy dźwięk lub nagły ruch sprawiały, że znikwały jak zające.

- Nie jestem pewna, czy będziecie w stanie - powiedziała smutno Indianka. - Wiesz, w tej legendzie

wszyscy pierwsi ludzie pożarci przez potwora wyszli żywi po jego śmierci.

- Myślałam, że Kojot go oszczędził. Wreszcie odwróciła się do mnie z uśmiechem.

Nie był to uśmiech, który spodziewałabym się ujrzeć na twarzy martwej kobiety. Był na to zbyt dobry, zbyt żywy.

- Istnieje kilka wersji tej legendy. Calvin jako dziecko lubił najbardziej tę, w której nikt nie umierał.

Wstała i podeszła do grilla. Przesunęła dłoń na wskroś kratki i przycisnęła do rozżarzonych węgli.

- Uważaj - rzekła, wpatrując się w żar. - Gdy kogoś naznaczy, ten ktoś do niego należy. - Jej wzrok znów powędrował ku Hankowi. - Zawsze mi się podobał. Już w szkole. Ale nigdy nie zwracał na mnie uwagi. - Nagle odwróciła się do mnie zaniepokojona. - Ale nie mów mu tego. Nie chcę, żeby miał poczucie winy.

- Nic nie powiem - zapewniłam.

-1 nie wierz w to, że Jim jest jakimś tajemniczym magiem-szamanem. Skończył psychologię i wykładał na uniwersytecie w Seattle. Dopiero rok temu przeszedł na emeryturę.

Znów przyłożyła ręce do grilla, ale tym razem nie przeszły przez metal, zatrzymały się na nim. Poruszyła palcami, jakby zafascynowana, że może trzymać ręce w ogniu i nic jej nie jest. Ja natomiast miałam ochotę przyskoczyć i odciągnąć Faith, mimo że wiedziałam, iż nie czuje już bólu.

Popatrzyła na Owensów.

- A Fred trenuje konie cuttingowe. Zaczyna mieć sukcesy. Hank pomaga mu ogarnąć interes, a potem dorabia spawaniem, żeby wyszli na zero.

- Czemu mi to wszystko mówisz?

- Bo chcę pamiętać - szepnęła. - Powiedz im, żeby nie wymawiali mojego imienia. Nie chcę tu zostać. I powiedz Benny'emu, że u mnie wszystko dobrze. I żeby w tym roku położył za mnie kwiaty na grobie mamy.

Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z tak spójnie mówiącym duchem. Zwykle nawet mnie nie zauważały. A te, które zauważały, zdawały się nie wiedzieć, że nie żyją.

- Przekażę im - obiecałam, nie mogąc zrobić dla niej nic więcej.

Spojrzała mi prosto w oczy. W jej źrenicach mignęły jaskrawozielone skry, tego samego koloru, co ślepie diabła rzecznego.

- Pamiętaj. Odeszła.

Obserwujący mnie Adam opuścił dłoń.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Co to, do licha, miało być? - warknął Hank. -Z kim rozmawiałaś?

- Myślałam, że wszyscy zmiennokształtni widzą duchy... I że to dlatego wampiry nas nie znoszą.

- Wampiry?! - zdziwił się Fred. - To one istnieją? Jim się zaśmiał.

- Nie wszyscy zmiennokształtni są tacy sami, Mercy. Dwóch ludzi nie może jednocześnie nosić tej samej koszuli.

Zwróciłam się do Gordona.

- Nie moja broszka. - Starzec rozłożył ręce. - Poza tym ja nie jestem zmiennokształtnym. Kogo widziałaś?

Calvin twierdził, że Gordon potrafi przyjąć formę zwierzęcą, i nie kłamał. Ale przecież w legendach rdzennych mieszkańców Ameryki przewijało się wiele stworzeń mogących zmieniać kształt. Jednak zamiast drążyć kwestię, odpowiedziałam na jego pytanie:

- Nie życzę sobie, by używać jej imienia. Może będę wiedziała więcej, jeśli opiszecie mi siostrę Benny'ego? Zanim przekażę wam, co mówiła, chcę się upewnić, że to ona.

- O nie - zaprotestował Jim chłodno. - To ty nam ją opisz, a my wtedy powiemy, czy się zgadza.

Żaden problem.

- Trochę niższa ode mnie i lepiej umięśniona. Nie tak zwyczajnie, takie mięśnie mają ci, którzy ciężko pracują albo uprawiają sport. Przy lewym uchu mała blizna. - Pokazałam palcem miejsce.

- Ma stronę w sieci - stwierdził Hank wrogo. - Ze zdjęciem.

- O nie, tak to nie będziemy się bawić - uniósł się Adam. - Jeśli nie wierzycie, że Mercy widziała siostrę Benny'ego, nic was do tego nie przekona.

- Mówiła Calvinowi, że widziała Indiankę - odezwał się Jim, grzebiąc butem w ziemi. - Opisała jej niebieską bluzkę z papugami na plecach. Poza tym nie widzę powodu, dla którego miałaby udawać, że widziała Fai... - zająknął się, zmieniając końców-

kę wypowiedzi: - Siostrę Benny'ego. Nic by na tym nie zyskała.

- To była jej ulubiona bluzka - mruknął Hank. - Pamiętam, jak kupiła sobie nową maszynę do szycia, taką, która mogła też haftować. Ta bluzka to było jej pierwsze dzieło.

- Benny wyśmiewał się z tych papug - dodał Fred. - Mówił, że wyglądają jak białe kakadu. - Roześmiał się, potrząsając głową.

Pomyślałam, że polubiłabym Faith, gdybym spotkała ją, kiedy jeszcze żyła.

- Co mówiła? - Adam przywołał wszystkich do rzeczywistości.

- Mówiła, że potwór posmakował Benny'ego i teraz chce reszty. Mówiłam, że możemy go ochronić, ale nie wydawała się przekonana. - Potoczyłam wzrokiem po mężczyznach siedzących na ławie. - Poza tym kilka innych rzeczy. I zostawiła wiadomość dla Benny'ego. Mam mu przekazać, że z nią wszystko w porządku i żeby zaniósł od niej kwiaty na grób mamy. - Podwinęłam nogawkę, pokazując ślad na nodze. Krew i opuchlizna zniknęły, ale kostkę okalała brązowa obwódka strupa. Trochę swędziało, ale nie dotykałam nogi. - Mówiłeś, że to piętno rzeki - zwróciłam się do Gordona. - Co to oznacza?

Oparł stopę w szkarłatnym bucie o drugie kolano i wydał wargi. Jednak zanim otworzył usta, rozległ się huk wystrzału, a siedzący obok mnie Adam drgnął gwałtownie.

ROZDZIAŁ 8

Hank trzymał broń ze znanostwem zawodowca. Rzuciłam się ku niemu, ale choć byłam szybka, musiałam pokonać prawie cztery metry, a jemu wystarczyło jedynie pociągnąć za spust. Na szczęście nie tylko ja zareagowałam. Fred podbił uzbrojoną rękę brata w chwili, gdy broń wypaliła ponownie. Potem chwycił ją i skierował ku ziemi, w którą Hank wystrzelił trzeci pocisk.

- Co ty wyprawiasz?! Hank! Przestań! Hank nie miał szansy strzelić po raz czwarty, bo chwyciłam kij, o który się potknęłam, i grzmotnęłam nim w potylicę Indianina.

Nie obchodziło mnie, czy go zabiłam, czy nie, a z powodzeniem mogłam to zrobić, bo kij w mojej ręce okazał się magicznym kosturem, który podążał za mną - o ile można nazwać to podążaniem - odkąd natknęłam się nań po raz pierwszy.

Nieistotne, że nie miał nóg i nie był żywą istotą, posiadał magię i najwyraźniej to wystarczyło, żeby chodził za mną niczym wierny pies. Choć zgrabny i smukły, końcówka była ciężka, okuta srebrem. Równie dobrze mogłabym uderzyć Hanką ołowianą rurą.

Pewien dębiec tuż przed zabiciem wyjątkowo paskudnego wampira powiedział mi, że wszystko, co stworzył Lugh, w razie potrzeby mogło posłużyć za broń. Lugh żył w pradawnych czasach i należał do Tuatha De Danann - później poszukałam o nim informacji. Jeśli dębiec nie mylił się co do pochodzenia kostura, przedmiot ten został stworzony jeszcze przed naszą erą. Na długo przed nią. Może nawet był starszy niż sam Bran.

Rzuciłam artefakt - który był już stary, kiedy Kolumb postawił stopę na wyspach Bahama - jak niepotrzebny rupieć i znalazłam się u boku mego towarzysza, zanim ktokolwiek się poruszył.

Hank strzelił do Adama.

Adam się nie poruszył. Siedział zgarbiony na tym przeklętym fotelu turystycznym. Od razu wiedziałam, że jest źle. Bardzo źle. Czułam zapach krwi.

Gordon podbiegł z drugiej strony. Błyskawicznie zdjął Adama z krzesła, i to z łatwością, o jaką go nie podejrzewałam. Adam był umięśniony, ciężki nawet w formie człowieka. Gordon nie ważył połowy tego co Adam.

Jednak nie miało to wpływu na zwinność jego ruchów.

Rozerwałam koszulę Adama, żeby zobaczyć ranę.

Na piersiach widniała okrągła dziurka, w której znajdował się odprysk kości. Z dobrych nowin, serce biło, bo krew wypływała falami. Ze złych, na plecach nie zauważyłam rany wyjściowej, a krwotok był bardzo silny.

- Nie ma rany wylotowej - mruknął Gordon.

- Zauważyłam. Musimy natychmiast wyciągnąć pocisk. - Trudno mi było stwierdzić, czy Adam oberwał kulą srebrną, czy z ołowiu, ale na wszelki wypadek zakładałam najgorszy scenariusz. Wszyscy tu wiedzieli, że Adam jest wilkołakiem, a o srebrze mówiło się w legendach.

Popędziłam do furgonetki, gdzie mieliśmy super-wyposażone apteczki na-wypadek-katastrof-wszelakich. Trzymaliśmy je za siedzeniami w trzech torbach. W jednej znajdował się zestaw narzędzi chirurgicznych, w drugiej różne opatrunki, a w trzeciej pełen wachlarz maści i innych akcesoriów pierwszej pomocy. Nie sprawdzałam, która jest która, choć miały różne kolory. Chwyciłam wszystkie i pognałam z powrotem do Adama.

Rzuciłam je na ziemię i uklęknęłam przy jego głowie. Gordon za pomocą dziwnego czarnego nożyka poszerzał ranę, która już zaczęła się zasklepieć. To był dobry znak. Rany od srebra goiły się tak wolno, jak u zwykłych ludzi.

- Przytrzymaj go - stęknął Gordon. - Jim, Fred, Hankowi nic nie będzie. Żyje. Chodźcie tu. Jeśli się ocknie, będę potrzebował pomocy was wszystkich.

- Jest przytomny - poinformowałam starca. - Nie będzie się ruszał. I lepiej, żeby tamci trzymali się

z daleka. Wyczuje ich, w zasadzie obcych, i zerwie się do walki, a wtedy i cała nasza czwórka go nie utrzyma.

Nie wiedziałam, czy Fred albo Jim ruszyli się na wezwanie Gordona, ale na pewno posłuchali mnie, bo nie podeszli. Choć utrata przytomności ułatwiłaby wyjęcie kuli, nie byłaby oznaką niczego dobrego. Wyjaśnienie bezwładności Adama znalazłam, gdy obróciłam jego głowę. Skroń przecinała czerwona szrama w miejscu, gdzie drasnęła go kula. Już zaczynała się leczyć, więc i ten pocisk nie był srebrny. Mimo wszystko, gdyby Hank trafił w czoło, mógłby go zabić. Wiele zawdzięczałam Fredowi, bo nie udałoby mi się wystarczająco szybko powstrzymać Hanka.

Przesunęłam palcami po policzku Adama, żeby mógł poczuć mój zapach, żeby wiedział, że przy nim jestem, a potem patrzyłam, co robi Gordon. Adam był przytomny, czułam to. Jednak ufał, że pomogę mu, podczas gdy sam cały wysiłek wkładał w utrzymanie się przy życiu. Co prawda pierwsza kula nie była srebrna, ale i tak należało wyjąć ją jak najszybciej, inaczej przez kilka dni, dopóki sama nie wyjdzie, Adam będzie bardziej chory niż dziecko po Halloween.

Wtedy właśnie zorientowałam się, że nóż Gordona to nie żaden poczerniony pseudomilitarny gadżet, a najprawdziwsze w świecie obsydianowe ostrze. Kamienne noże, przypominałam sobie z wprowadzenia do antropologii, były ostrzejsze, a zarazem bardziej kruche od stalowych. Jednak w tej chwili

ważniejsze od wyjątkowości noża było to, że Gordon najwyraźniej potrafił się nim posługiwać.

- Wyjmowałeś już kule? - upewniłam się i zaczęłam przegrzebywać torby, aż znalazłam zgłębnik i kleszcze.

Gordon obrzucił spojrzeniem narzędzia, które mu podawałam.

- Zwykle robię to palcami - powiedział. Wilkołaki nie musiały obawiać się zakażenia.

Gordon chyba również nie bardzo się tym przejmował.

- Zgłębnik i kleszcze są delikatniejsze, jeśli pocisk tkwi głęboko - rzekłam nieustępliwie. - Jeśli nie chcesz, sama to zrobię.

Jak na razie udało mi się uniknąć wyjmowania kul z ludzi, nie miałam więc złudzeń, że jestem w tym dobra. Jednak ja plus kleszcze stanowiły lepszą opcję niż Gordon i jego palce.

Uraczył mnie szczerbatym uśmiechem i wziął zgłębnik.

- W wypadku wilkołaka trzeba się spieszyć - stwierdziłam.

- No, szybko się zabliznia - stęknął, wsuwając instrument w ranę, którą poszerzył nożykiem. - To dobrze, oczywiście, jeśli uda nam się usunąć pocisk.

- Dominujące wilki tak mają. Ale nie stają się przez to jeszcze bardziej dominujące. - Na szczęście.

Pomimo tego, co Gordon wcześniej sugerował, umiał posługiwać się narzędziami.

- Nie po raz pierwszy używasz zgłębnika - zauważyłam.

Przełożył instrument do lewej ręki, prawą ujął kleszcze.

- Setny, może dwusetny. - Przymknął oczy. - Mam. Jest przy łopacie.

Srebrna kula nie spłaszcza się tak jak ołowiana. Jeśli przejdzie na wskroś, zostawi czysty otwór na wejściu i taki sam wyjściowy. Ta, którą wyjął Gordon, była zdeformowana. Bez wątpienia odbijała się wewnątrz, rozdzierając mięśnie i narządy. Na pewno powodowała więcej bólu, ale ostatecznie nie była śmiertelnie groźna.

Kiedy Gordon skończył, otarłam palce o spodnie i chwyciłam telefon, żeby zadzwonić do Samuela.

- Do kogo dzwonisz? - zainteresował się Gordon.

- Do lekarza, naszego przyjaciela.

Poczułam dłoń zamykającą się na mojej ręce z telefonem.

- Nie rób tego - wychrypiął Adam. - Najpierw dowiedzmy się, o co tu chodzi.

Podciągnął się do siadu, napinając mięśnie brzucha. Nie zrobił tego, żeby się popisywać, po prostu podparcie się ramionami sprawiłoby mu ból.

- Dzięki za operację - zwrócił się do Gordona. - To chyba najszybszy zabieg ekstrakcji kuli, jakiego doświadczyłem.

Gordon uniósł brew.

- Aż takie masz doświadczenie w tej kwestii? Jeśli tak, zalecam zmianę trybu życia.

Adam uśmiechnął na znak, że pojął aluzję, ale kiedy się odezwał, podniósł całkiem inny temat.

- Wczoraj wspomniałeś o piętnie rzeki i o tym, że z Mercy nie będzie dobry niewolnik. O co chodzi z tym piętnem? To sprawka diabła?

Cierpiał, czułam, jak bardzo. Jednak nie zamierzał tego okazywać.

- Piętno rzeki - powtórzył Gordon i spojrzał na Freda, który oglądał uraz brata. - Rozumiem, czemu pytasz. Kiedyś była indiańska osada. Inni ludzie ostrzegali wszystkich: „Jeśli tam pójdziecie, już nie wróćcie. Nakarmię wami rzekę”. Mieszkańcy tej osady nosili brązowe piętna na swoich ciałach i we wszystkim byli posłuszni głodnej rzece. Tyle pamiętam.

- Obejrzyjcie Hanka - nakazał Adam z lekką tylko zadyszka. - Nie wygląda mi na kogoś, kto najpierw strzela, a potem pyta. Nawet takie świry jak piechociarze zwykle nie strzelają bez powodu.

Fred odpuścił zniewagę. Bez słowa rozebrał brata ze spodni i koszuli. Na plecach Hanka ciemniała świeża rana, podobna do tej, jaką miałam na nodze, zanim Gordon mnie opatrzył.

Podciągnęłam nogawkę.

- Wygląda jak moja.

- To musiało się stać, kiedy wracaliśmy łódką w nocy stąd do domu - powiedział Jim. - Nic nie mówił, ale Hank taki już jest. Zmiennokształtne kojoty są na to piętno odporne?

- Ta kojocica najwyraźniej tak - mruknął Gordon. Kiedy Hank jęknął i zaczął się poruszać, Jim zerwał się i ruszył w stronę swojego samochodu.

- Mam w wozie linę - wyjaśnił.

- Lepiej, żeby stado trzymało się od tego z daleka - szepnął do mnie Adam, chcąc zapewne wyjaśnić, dlaczego nie chciał, bym dzwoniła do Samuela. -Po pierwsze, wilkołaki nie radzą sobie w wodzie. A po drugie, pomyśl tylko, co by się stało, gdyby to coś przejęło kontrolę nad watahą wilkołaków.

- Myślisz, że magia stadna by temu nie zapobiegła? - zapytałam. Skoro bestia miała taką władzę nad Hankiem, też przecież zmiennokształtnym, to może mnie chroniło coś innego, jak właśnie więź z watahą albo nawet więź partnerska z Adamem.

Adam potrząsnął głową.

- Może i tak, ale nie zamierzam ryzykować. Nie chcę ich w to wciągać, w każdym razie dopóki nie zrobi się naprawdę gorąco.

- Szybko do siebie dochodzisz - zauważył Jim neutralnie, kiedy wrócił z liną.

-Jak to wilkołak - powiedziałam i przypomniałam sobie, że jednym z efektów ubocznych tak szybkiego samoleczenia jest potrzeba ogromnych ilości jedzenia. Adam musiał zjeść mięso, dużo, dużo mięsa. A im bardziej surowe, tym lepiej. Na razie panował nad głodem, co z pewnością nie było łatwe w sytuacji, kiedy rannego widziało go tylu, niewykluczone, że wrogo nastawionych, obcych. Alfa nie mógł pozwolić sobie na okazywanie słabości. Świetnie maskował cierpienie, jednak wszyscy wiedzieli, że został postrzelony, i widzieli krew.

- Pójdę po jedzenie - zaproponowałam.

- Nie. - Adam przytrzymał mnie za rękę, zanim wstałam. - Nie teraz. Niech się najpierw stąd zabiorą.

Nie chciał w obecności Indian odsłaniać się z kolejnymi słabościami. Mogłam to zrozumieć, choć bez entuzjazmu. Cóż, był przywódcą watahy, a ja jego towarzyszką. Mogłam pokłócić się z nim sam na sam... Ha, kogo ja chciałam oszukać? Nie miałabym oporów, by zrobić mu awanturę nawet na oczach stada. Ale nie przy obcych. W każdym razie nie, kiedy był ranny.

Popatrzył na mężczyzn, którzy wiązali liną Hanka. Gordon nadzorował pracę.

Adam wyciągnął rękę i poprosił cicho:

- Pomóż mi wstać.

Pomogłam, starając się ukryć, jak wiele wysiłku musiałam w to włożyć. Poszedł już bez mojego wsparcia, tylko trochę sztywno. Zatrzymał się przy stoliku, opierając oń biodrem. Chyba był zadowolony z efektów pracy Freda, bo nic nie mówił, dopóki Hank nie został związany niczym baleron.

Tak naprawdę nie jest wcale łatwo spętać człowieka tak, by nie mógł uciec. Kiedy miałam dziesięć lat, razem z grupką dzieciaków z Aspen Creek, zainspirowani jakimś filmem, przez cały miesiąc na przerwach wiązaliśmy jedno drugie, dopóki Bran nie położył kresu naszej zabawie. Pewnie nie zawracałby sobie tym głowy, gdybyśmy już po dzwonku nie zostawili przywiązanego do huśtawek Jema Goodnighta. Czuliśmy się jednak usprawiedliwieni, bo Jem twierdził, że żadna dziewczyna nie zwięże go tak, żeby nie mógł się uwolnić. „Dziewczyny nie umiały robić węzłów”, oświadczył.

Próbowaliśmy przez trzy przerwy, ale wreszcie, po pół godziny starań, trzeba było noża Brana, żeby uwolnić Jema. Choć byłam dziewczyną, umiałam robić porządne węzły. Nauczył mnie Bryan, który kiedyś pływał na statkach żaglowych. Zaczął, kiedy po raz pierwszy wiązałam buty.

Zadzwoił telefon. Adam skrzywił się, zerknąwszy na ekranik, zanim odebrał.

- Nic mi nie jest, Darryl - powiedział. - To zwykłe nieporozumienie. - Czasami więź stadna może być uciążliwa, jak na przykład teraz, gdy Adam został ranny, a zależało mu, żeby nie alarmować całej watahy.

- Zostałeś postrzelony! - rozległ się głos Darryla i chyba tylko Jim go nie słyszał.

- To nic takiego.

- Nie powiedziałbym. To postrzał. Wiem, jak odczuwa się postrzał. Zwykłe nieporozumienie podczas podróży poślubnej i skończyło się strzelaniną? Będziemy u was za dwie godziny.

- To było nieporozumienie - warknął Adam dobitnie, jakby chciał skłonić Darryla do uległości. - Zostańcie w domu. W razie czego po was zadzwonię.

Darryl zamilkł na moment.

- Dobrze, daj mi Mercy do telefonu.

- Kto tu jest Alfą? - W głosie Adama brzmiała groźba.

- Ty - zapewniłam Adama, wykradając mu aparat. - A to zemsta za to, że zmusiłeś biednego Darryla do pilnowania mnie, kiedy byłeś w stolicy. Cześć,

Darryl. Dostał z trzydziestkiósemki w ramię, ołów. Jeszcze nie wiem, co się dzieje, ale na tę noc fajerwerki mamy już za sobą. W razie czego damy znać. W tej chwili wasz przyjazd byłby raczej kiepskim pomysłem.

- Z szefem w porządku?

- Marudzi. - Eufemizm na określenie bólu, lecz miałam pewność, że Darryl zrozumie, że nie chcę nazywać rzeczy po imieniu. Wilki nie przyznawały nigdy, jak bardzo cierpią. - To nic poważnego. Nic nam nie grozi i nie potrzebujemy wsparcia.

- No dobrze. Na wszelki wypadek spakuję torbę.

- A jak tam z Jesse? - spytałam, zmieniając temat. - Imprezuje i uprawia dzikie harce? - Dobrze zrobiłam, bo i Darryl, i Adam odprężyli się odrobinę.

- Pofarbowała włosy na pomarańczowo i na to położyła fioletowe brokatowe pasemka - powiedział Darryl z odrobiną zgrozy i fascynacji jednocześnie. - Ale pomyślałem, że skoro robi to także, gdy rządzi Adam, to jakoś przeżyje. Czy ta dziewczyna wie, że jeśli przesadzi z farbowaniem, skończy z zielonymi włosami?

- Już miała zielone włosy - parsknęłam. - Nie zauważyłeś?

- Rzeczywiście, zapomniałem. Może bezdzietność nie jest wcale taka zła? Powiedz szefowi, że u nas wszystko gra.

- Jasne. Dobranoc.

Oddałam aparat wilkowi, który był moim towarzyszem.

- Zostaną w domu.

Bez słowa schował telefon, ale widziałam, jak na jego policzku pojawia się cień dołeczka. Niepokoje, o jakie przyprawiała Jesse inteligentnego i mocarnego Darryla, były dość zabawne.

- Wybaczcie - zwrócił się Adam do Indian. -Sprawa niecierpiąca zwłoki. Inaczej lada moment zalałaby nas fala wilkołaków.

- Wiedzieli, że jesteś ranny? - zdziwił się Fred.

- Należą do stada - odparł Adam lakonicznie. A potem, możliwe, że chcąc w ten sposób ubiec pytania o sprawy, których Bran nie chciał upubliczniać, podjął szybko: - Oto, co powinniśmy ustalić w sprawie tej istoty z rzeki: jakie szkody wyrządza. Nie mamy na jej temat wielu informacji, prócz strasznych historii, które przecież zawsze krążą o różnych potworach. Jako przedstawiciel potworów czuję się w obowiązku upewnić, że nasza ocena będzie obiektywna. Przykro mi, że siostra Benny'ego nie żyje, a on sam został ranny. Jednakże ludzie bywają także atakowani przez... - zawahał się - na przykład niedźwiedzie. To, że istota jest niebezpieczna, nie oznacza od razu, że jest zła. Może broniła terytorium? Czy jesteśmy pewni, że jest tylko jedna? Czy jest inteligentna? Czy możemy przekonać ją, by zostawiła ludzi w spokoju? Czy powinniśmy zabić ostatniego albo jednego z ostatnich osobników tego gatunku dlatego, że spowodowała śmierć jednej i okaleczyła drugą osobę? Czy istnieje sposób na rozwiązanie tej sytuacji bez uciekania się do ostateczności?

Pomyślałam, że kiedy jest się wilkołakiem, trudno wytknąć palcem innego potwora i powiedzieć:

„To straszny potwór! Trzeba go zabić!”. Pomasowałam łydkę, mimo że akurat mnie nie swędziała.

Hank otworzył oczy, ale milczał i nie patrzył na nikogo. Wpatrywał się w rzekę, i to tak intensywnie, że przyprawił mnie o ciarki.

- Mam kumpla w straży rzecznej - powiedział Fred. - Dowiem się, ile osób zginęło na rzece. - Spojrzał na Gordona. - Istnieje jakieś podanie, w jaki sposób pozbyć się tego piętna?

Gordon pokręcił przecząco głową.

-Ja takiego nie znam, ale popytam. To nie jest coś, z czym można się układać, panie Hauptman. To Głód.

-Jestem wilkołakiem - odparł Adam. - Jeszcze sto lat temu ludzie mogliby powiedzieć o mnie to samo.

- Ta istota nie jest tak łagodna jak wilkołak czy grizzly.

Kłęczący obok związanego brata Fred łypnął nagle podejrzliwie na Gordona.

- Myślałem, że jesteś z nimi. - Wskazał brodą na przyczepę, sugerując, że ma na myśli mnie i Adama. - Aż do chwili, kiedy nazwałeś się dziadkiem Calvina. Dziadek Calvina ze strony ojca nie żyje, a tego ze strony matki znam osobiście. Jak wobec tego możesz być jego dziadkiem?

Gordon Seeker posłał Fredowi dziurawy uśmiech, z którym wyglądał całkiem nieszkodliwie, a ja nagle nabrałam pewności, że jest wprost przeciwnie.

-Jestem już bardzo stary. Pamięć już nie ta...

-Ja ręczę za Gordona - odezwał się Jim, choć bez entuzjazmu i przekonania. - Calvin też za niego poręczy. A na razie powinniśmy zabrać Hanka do szpitala, niech go zbadają. Wygląda tak, jakby nie kojarzył, co się z nim dzieje.

- Uderzyłam go dość mocno - przyznałam niemal przeproszająco. Tyle tylko mogłam, bo przecież strzelał do Adama. - Nie wiedziałam nawet, że mam w ręku kostur, a nie pierwszy lepszy kij.

- Nikt nie ma ci za złe - rzekł Fred nieoczekiwanie. - Moja żona też grzmotnęłaby człowieka, który by mnie postrzelił.

- Ba, nawet to zrobiła - wtrącił Jim. - Pamiętam. I wtedy to też był Hank, prawda?

- To był wypadek - tłumaczył brata Fred. - W Iraku braliśmy udział w operacji Pustynna Burza. Podszedłem zniecacka, kiedy stał na warcie, i oberwałem. Odesłali mnie do domu miesiąc wcześniej niż jego. Kiedy przyszedł mnie odwiedzić, Molly złapała kij bejsbolowy syna i goniła Hanka po podwórku, aż rąbnęła go nim przez grzbiet. Dobrze, że kij był plastikowy, bo inaczej Hank jeździłby teraz na wózku.

Nareszcie odjechali. Umieścili związanego Hanka na pace, Fred jechał z nim, a Jim prowadził. Podjechałam z nimi, żeby ich wypuścić, a kiedy wróciłam, Adam nadal stał, bojąc się chyba, że jeśli usiądzie, już się nie podniesie.

-Jedzenie - rzuciłam.

- Nie - zaprzeczył. - Pryszyć. Potem jedzenie. Jak zjem, będę chciał od razu spać. Jeśli się położę upaprany krwią, to wilk może obudzić się sam i spanikuje.

Obawiał się, że jest tak słaby, że podczas snu nie będzie w stanie kontrolować swojego wilka. A dla wilka obecność krwi będzie wystarczająca, żeby przyjąć postawę „gotów do obrony i walki”. I miał rację. Ciemność ukrywała trochę problem, ale oboje z Adamem byliśmy pokryci jego krwią.

- Dobrze. - Pobiełam do przyczepy po ręczniki i ubrania na zmianę. Kiedy pomagałam Adamowi dojść do prysznic, nie protestował, co pokazywało wyraźnie, jak ciężko był ranny.

Wzięliśmy prysznic w męskiej łazience, bo tam się skierował, a przecież i tak znajdowaliśmy się tu sami. Męską część urządzono w brązach, ale miała tak samo wielkie kabiny jak damska. Pod koniec Adam opierał się na mnie już bardzo mocno.

- Powinienem był umyć się mokrym ręcznikiem i tylko zmienić odzież - przyznał.

Ciemnoczerwony ślad na jego piersi, miejsce, które Gordon naciął, żeby dostać się do kuli, wyglądał paskudnie, wiedziałam jednak, że po jedzeniu, przemianie w wilka i drzemce szybko się zagoi.

- Wszystko będzie dobrze, Mercy - zapewnił mnie.

Powinnam lepiej nad sobą panować, bo i bez martwienia się o mnie trudno było mu uspokoić wilka.

- Przepraszam, wiem, że wyzdrowiejesz - powiedziałam trochę warkotliwie, ale nie na poważnie. Chciałam tylko, żeby wiedział, że się przejmuję. -Denerwuję się, kiedy coś ci jest, a jeszcze bardziej denerwuję się na myśl, że mogło być dużo gorzej.

- To dobrze - oświadczył, wsadzając głowę pod strumień wody. - Dopilnuję, żeby się to nie zmieniło. Moja mama wiecznie straszyla, że zastrzeli ojca.

Ledwie stał na nogach, a mimo to żartował. Skubnęłam Adama zębami w ramię.

- Chyba potrafię zrozumieć jej zapędy. Coś ci powiem. Jeśli doprowadzisz mnie do tego, żebym podniosła na ciebie broń, będę mierzyła pomiędzy oczy.

- Żebym miał szybką śmierć? Skubnęłam go jeszcze raz, bardzo delikatnie.

- Nie, żeby kula odbiła się od twojej twardej głowy.

Roześmiał się.

- Swój do swego ciągnie.

Gdyby Hank nabił broń srebrem, mogłabym już nigdy nie słyszeć tego śmiechu.

Jeszcze dwa lata temu srebrną kulę trzeba było sobie odlać własnoręcznie. Sama tak robiłam. Po tym, jak wilkołaki ujawniły swoje istnienie światu, nagle można było kupić je w markecie. Policja miała z tym problem, bo srebrne kule mogły przebić kamizelkę, ale nie zmieniało to faktu, że zgodnie z prawem każdy, kto dysponował trzydziestoma dolarami, mógł sobie taki pocisk zakupić. Hank wiedział, że Adam jest wilkołakiem, a mimo to nie postarał się o odpowiednią amunicję. Wynikało z tego, że nie

planował strzelać do Adama. No, chyba że był tak splukany, że nie miał nawet tych trzydziestu dolców.

Przyszło mi do głowy jeszcze jedno: dlaczego obrał na cel właśnie Adama, a nie mnie, Freda, Jima czy Gordona?

Zakładając, że kierowała nim wola rzecznego diabła czy czym tam była ta istota, może stwór bądź stwory uznały, iż Adam stanowi największe zagrożenie. Nie ulegało wątpliwości, że ja lub Fred nie jesteśmy szczególnie niebezpieczni. Kto by się tam przejmował myszołowem albo kojotem, skoro w grupie był wilkołak. A przepowiednia Edythe wskazywała, że Adam grał w tym wszystkim ważną rolę. Może ten diabeł rzeczny wiedział dlaczego?

Oparłam Adama o ścianę, szybko go osuszyłam i obserwowałam uważnie, kiedy sama się wycierałam i ubierałam.

- Możesz się już zmienić - zasugerowałam.

- Nie, najpierw zjem. Wilk jest rozdrażniony. Grozi nam niebezpieczeństwo, a nie może cię bronić. Mógłby cię skrzywdzić w tym stanie.

Prychnęłam lekceważąco.

- Sugerujesz, że jestem krucha? Chyba pomyliłeś mnie z inną żoną. Nie roztrzaskuję się na kawałki, odbijam się. Poza tym należymy do siebie, pamiętasz? Wilk nie skrzywdziłby swojej towarzyszki.

- To nie do końca tak - stęknął Adam, kiedy pomagałam mu zakładać spodnie. - Zapytaj Brana. Nie zamierzam ryzykować.

- No dobrze - ustąpiłam. - Chodźmy do przyczepy.

- Koszula.

- No co ty. Przecież jesteśmy sami. Nikt nie zobaczy tego śladu, a nawet jeśli, nie pomyśli, że to rana. - Nie chciałam dodawać, że i tak wystarczy spojrzeć, jak chwiejnie się porusza, żeby nie mieć wątpliwości co do jego stanu. Nawet siła woli, dzięki której się trzymał, nie była niewyczerpana.

- Koszula - powtórzył uparcie.

Sprzeczką pochłaniała energię i jego, i moją, a żadne z nas nie miało jej teraz w nadmiarze. Złapałam koszulę i pomogłam Adamowi założyć. Włoski jedwab wyglądał dziwacznie w zestawieniu ze spodniami dresowymi, ale kto by się tym przejmował.

W przyczepie usiadł przy stole i zaczął jeść z dzikim zapamiętaniem. Zanim sięgnęłam po mrożonki, postawiłam przed nim resztę hamburgerów i rozmrożone wcześniej steki. Na szczęście w naszym wehikule cudów i dziwów znajdowała się kuchenka mikrofalowa. Kończąc kroić zamrożone mięso, wiedziałam już, sądząc z szybkości, z jaką pochłaniał kolejne porcje, że to mu nie wystarczy.

Odpaliłam więc naszą małą kuchenkę i zabrałam się do robienia racuchów. Kiedy skończył z mięsem, miałam już górę złotych placków. Spojrzał na mnie z wyrzutem, gdy postawiłam przed nim talerz, ale zjadł racuchy w takim samym miarowym tempie, jak wcześniej mięso. Mięso było lepsze, lecz kalorie to kalorie.

Skończył, zanim wylałam na patelnię ostatnią porcję ciasta, odsuwając talerz, żebym wiedziała.

- Dobra - powiedziałam. - Teraz przemiana.

- Musisz wyjść. To będzie bolało. Daj mi ze dwadzieścia minut.

Wyszłam, ale więź szybko uświadomiła mi ogrom cierpienia, jakie przeżywał. Przemiana w wilkołaka to nie igraszka nawet u zdrowego osobnika. Wytrzymałam na zewnątrz pięć minut. Nie mogłam mu pomóc, jednak nie potrafiłam znieść myśli, że go tak zostawiam.

- Wchodzę! - zawołałam, żeby wiedział, że to ja, nie ktoś obcy. Jedynym ustępstwem, jakie uczyniłam na rzecz bezpieczeństwa, było trzymanie się w tyle przyczepy, dopóki wilk nie stanął na czterech łapach. Chciał się otrząsnąć, żeby pozbyć się resztek mrowienia po przemianie, ale zmarł. Musiało zboleć.

- Do łóżka - rozkazałam stanowczo. - Mam ci pomóc?

Wilk prychnął lekceważąco i prawie nie kulejąc, potruchtał ku łóżku. Gdyby był sam, pewnie mocno by utykał na przednią łapę, jednak skoro zależało mu, by ukryć przede mną słabość, to oznaczało, że będzie z nim dobrze.

Położyłam się przy nim i lekko dotknęłam, ale kiedy ze zniecierpliwionym westchnieniem wtulił się we mnie, przestałam się martwić, że sprawię mu ból. Po chwili nakryłam nas kocami. On nie potrzebował przykrycia, ja owszem. Noc była ciepła, więc i mnie powinno być ciepło, szczególnie tak blisko futrzastego Adama, ale zaczynałam się trząść.

Włożyłam cały wysiłek, żeby przeczekać, aż zaśnie, gdy tylko Adam zapadł w drzemkę, zaczęłam dygotać.

Mógł zginąć. Gdyby Fred spóźnił się ułamek sekundy, a Hank był ułamek sekundy szybszy.

Mój. Był mój i nawet śmierć nie mogłaby mi go odebrać - nie, jeśli mogłam temu zaradzić.

Przekonana, że śnię, wygrzebałam się z łóżka, zostawiając Adama śpiącego pod górą koców. Wyglądał na zgrzanego, wywiesił język, więc go odkryłam.

Ubrałam się i uległam dziwnemu wewnętrznemu przymusowi, który nakazał mi opuścić przyczepę i iść w stronę rzeki. Musiał być środek nocy, bo nawet autostradą po drugiej stronie Kolumbii przejeżdżało tylko kilka ciężarówek.

Po jednej stronie kąpieliska znajdowała się wysoka skała. Wspięłam się na nią i usiadłam na szczycie, zwieszając nogi. Moje stopy znajdowały się jakieś trzy metry nad ciemną rzeką, której wody niezmordowanie płynęły ku Pacyfikowi.

Nie wystraszyłam się, kiedy obok mnie usiadł mężczyzna. Jego twarz kryła się w cieniu. Wyciągał do mnie rękę, w której coś trzymał - źdźbło trawy. Wzięłam je i wsunęłam w zęby. Spojrzałam na ciemny profil mężczyzny. On także żuł swoją trawkę, kłós podrygiwał lekko w powietrzu.

Dwoje prostaczków w księżycową noc. Mogłoby brzmieć prawie romantycznie, tyle że tak naprawdę było spokojnie.

Siedzieliśmy tak w życzliwym milczeniu kilka dobrych minut, zanim się odezwał:

- Wiesz, że nie śpisz, prawda?

Wyciągnęłam źdźbło i rzuciłam do wody. W każdym razie taki miałam zamiar. Trawka, porwana porywem wiatru, wylądowała na plaży.

- A nie powinnam mieć ochoty wrzasnąć i uciekać?

- A masz? - zainteresował się trochę.

- Nie. - Zastanowiłam się chwilę. - Aczkolwiek jestem przekonana, że raczej jednak śpię. - Przepraszająco wzruszyłam ramionami. - Mimo że twierdzisz, iż tak nie jest.

Podniósł oczy na sierp księżycy i przymrużył powieki, jakby mógł zobaczyć tam coś, czego ja nie widziałam.

- To pewnie dlatego, że spałaś, kiedy cię tu wezwałem. Nie wiedziałem, czy się uda. Nie mogę robić wielu rzeczy, do których przywykłem. Ale nie kłamię. Jesteś całkiem przytomna.

Poświata padła na oblicze mężczyzny, który zmarł trzydzieści lat wcześniej. Mężczyzny, który był duchem tańczącym przy mnie w środku dnia. Młody, przystojny, musiał mieć niefrasobliwe usposobienie, widać to było nawet po tak krótkiej znajomości.

- Ty jesteś moim ojcem? - zapytałam. Pokręcił przecząco głową, potrząsając kłosem sterczącej z ust trawy.

- Nie. Przykro mi i tak dalej, ale twoim ojcem był Stary Joe Kojot. - Ostatnie słowo wypowiedział jako jedną sylabę zamiast dwóch, „kjot” zamiast „ko-jot”. - Miał wypadek samochodowy, a dzieła do

kończyły dwa wampiry. Nie przepadają za zmiennie-kształnymi, a na twojego ojca były wyjątkowo cięte.

Pomyślałam, że wiem, dlaczego na dzisiejszym spotkaniu nikt oprócz mnie nie widział ducha. Jeśli widzi się duchy za dnia, łatwo znaleźć kryjówkę śpiących wampirów, bez względu na to, ile magii użyją do jej zamaskowania. Umiejętność tę zawsze łączyłam ze zmiennokształtnością, ale pozostali zmiennokształtni nie widzieli dzisiaj Faith. Może więc było coś w sugestiach Gordona Seekera.

- Ach, jeśli o to chodzi - powiedział, jakbym myślała na głos. - To, że możesz coś widzieć, nie znaczy, że musisz to widzieć. Zakładałem, że ktoś, kto żyje wśród wilkołaków, powinien o tym wiedzieć. No wiesz, tylko idiota na widok wilkołaka pomyśli: „To pies”. Ale tak właśnie się dzieje.

- To magia stada.

- Częściowo. Owszem. Chociaż nie do końca. Zmiennokształtni widzą duchy, lecz tamci dwaj już „dawno, dawno temu, w odległej galaktyce” nauczyli się ich nie widzieć. Nie mogliby walczyć na wojnie, widzieć zmarłych i pozostać przy zdrowych zmysłach. Postanowili więc odrzucić tę umiejętność.

- Widziałeś „Gwiezdne wojny”?

- Joe oglądał - odpowiedział, jakby to miało sens. - Uwielbiał te filmy. To coś w rodzaju westernu, w którym Indianie to ci dobrzy i wszyscy walczą na miecze.

- Western? - zdziwiłam się po chwili, nadal usiłując przetrwać pierwszą część wypowiedzi.

- No sama zobacz. Walka dobra ze złem. Wróg posiada lepsze uzbrojenie i wydaje się niepokonany, to najeźdźcy z Europy. Tych dobrych jest mniej i mogą liczyć tylko na paru dzielnych bohaterów, czerpiących siłę z tajemniczej Mocy. Indianie.

Nigdy w ten sposób o tym nie myślałam, ale przypuszczam, że można to widzieć z tej perspektywy. W końcu niektórzy twierdzą, że bohaterowie „Kubusia Puchatka” cierpią na zaburzenia psychiczne. Jak dla mnie „Gwiezdne wojny” są klasycznym filmem o kosmitach, a „Kubuś” to bajka dla dzieci.

- A Ewoki to co? Czy to nie oni powinni być Indianami?

Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- E-e. Indianie nie przypominają słodkich pluszaków. Ewoki idealnie nadają się na gadzety reklamowe.

Wciągnęłam nosem powietrze i poczułam go. Ducha, który tańczył, a potem zamienił się w kojota.

- Czemu tańczyłeś? Wzięłam cię za ducha.

- Tamten był duchem. To był Joe. Martwił się, bo zmierzałaś w paszczę lwa. - Obrzucił mnie wesołym spojrzeniem. - Nie żebyś nie bywała już wiele razy w takich sytuacjach. Ale to co innego, istnieje powód, dla którego zostałem tu wezwany. A bywa, że wydarzenia z moim udziałem zmieniają się w chaos, zaś w wyniku chaosu często obrywają postronni.

- Nie jestem osobą postronną - obruszyłam się.

- Ale on jest twoim ojcem i ma prawo się martwić.

- Co to był za taniec?

- Nic magicznego. Czasami taniec jest jak zaklęcie, jak taniec deszczu, czy taniec duchów. To był taniec obrzędowy. Indianin mógłby jego znaczenie streścić tak: „Spójrz, Apistotoki, to moja córka. Patrz, widzisz, jaka jest zgrabna i piękna? Chroń to mojej dziecię”. - Zerknął na mnie figlarnie. - Albo tak: „Patrz, Wielki Duchu, spójrz, co stworzyłem. Ładna jest, co? Popilnujesz jej, dla mnie?”.

Dla mnie. Tańczył dla mnie.

- Opowiedz. - Przełknęłam emocje, które się we mnie kotłowały. Tyle chciałam wiedzieć, a możliwe, że miałam tylko jedną szansę. - Opowiedz mi o Starym Joem Kojocie. - Było w tym coś dziwnego. Istniała jakaś więź pomiędzy moim ojcem a Kojotem, a ja nie mogłam jej zrozumieć. Bezpośrednie pytania nie przynosiły efektu, liczyłam więc, że może uda mi się nakłonić go do zdradzenia jakichś szczegółów określną drogą. I niewykluczone, że dowiem się o moim ojcu więcej, niż mogła powiedzieć mi matka.

Mężczyzna, który wyglądał jak mój ojciec, chrząknął.

- Był ujeżdżaczem byków.

Czekałam, ale wyglądało na to, że tyle miał do powiedzenia.

- To wiem - ponagliłam go.

- Nie był z Czarnych Stóp. Ani też nie należał do Czarnej Stopy.

To coś nowego.

- Mamie powiedział, że tak.

- Nie - zaprzeczył mężczyzna stanowczo. - Nie. Jestem pewien, że mówił jej o Browning. Resztę sama wywnioskowała.

- A był z Browning? - zapytałam. Serce mi się ścisnęło, choć nie wiedziałam dlaczego. Może na myśl o mamie, która była taka młodziutka?

- Byłem samotny, nudziłem się - rzekł z nieszczerą nieśmiałością. - Niewykluczone, że postanowiłem na jakiś czas pobyć kimś innym. Niewykluczone. Joe wszedł do baru w Browning. Pogadał chwilę z jakimiś gośćmi, a potem poszedł na rodeo. - Mężczyzna westchnął z zadowoleniem. - Rodeo to skomercjalizowany chaos. Joe to uwielbiał. Kochał te zapachy, kochał ból w kościach po dobrej przejażdżce i kochał zmagania z bykami, głównie dlatego, że byki miały z nim fantastyczną zabawę. Mierzyły się z nim na siły. Mogłem ujeżdżać je godzinami, a potem byki mogły mnie nawet zabić. Ale Joe był inny. Czasami on zwyciężał, czasami one. Jak podczas „zaliczania ciosów”. Grał według zasad i wszyscy go za to kochali.

Kojot postanowił pobyć sobie Starym Joem Kojotem? Dlaczego więc mówił o nim w trzeciej osobie?

- Więc Joe urodził się w Browning? - chciałam uściślić.

- Można tak powiedzieć - przystał Kojot. - Joe tak zwykle mawiał.

- Joe to człowiek, którym się stałeś - stwierdziłam, jakbym była tego pewna, a on skinął potwierdzająco.

- Dokładnie.

- Więc byłeś Starym Joem Kojotem, ale on nie był tobą.
- Tak jakby. - Kojot poklepał rękami ziemię. - To całe wyjaśnianie to nie moja specjalność. Stworzyłem Joego, a potem żyłem w nim, dopóki nie umarł. On nie był mną, a ja nie byłem nim, ale przez jakiś czas chodziliśmy w tej samej skórze. Dopóty Joe chodził po tej ziemi, ja chodziłem z nim, choć on o tym nie wiedział. Po prostu nie przejmował się pewnymi rzeczami, jak swoim dzieciństwem. Kiedy umarł, ja się odrodziłem, ale on nie.

Może to przez tę noc, może dlatego, że siedziałam na skale z Kojotem, ale naraz wszystko to zaczęło mieć sens. Sprawa wyglądała jak z tym robalem w „Facetach w czerni”, Kojot ubrał się w Joego. Tyle że w przeciwieństwie do człowieka, którego robił nosił jako ubranie, Joe miał własne życie.

-Joe istniał naprawdę?

Kojot potaknął.

- Podobnie jak jego duch, mimo że po części jest mną.

Nakazałam sobie nie kwestionować ostatniej uwagi. Wydawało mi się, jakbym rozumiała już wszystko, a duch osoby, która nie do końca była osobą, znów zamieszały mi w umyśle.

- Skoro urodził się w Browning - drążyłam -może jednak był z plemienia Czarnych Stóp? Pikuni? - Naraz uzmysłowiłam sobie, skąd to imię, i aż potrząsnęłam głową. - W podaniach Czarnych Stóp rolę bohatera-szelmy pełnił Starzec, prawda? To Łakoci i Wrony w tej części Ameryki opowiadają

O Kojocie. Starzec, Kojot. Stary Kojot. A Joe, bo był po prostu jakimś tam Joem.

Kojot roześmiał się łagodnie, radośnie.

- Może rzeczywiście był wobec tego z plemienia Czarnych Stóp. W każdym razie po części. Lubił Browning. Tamtejsi Indianie wiedzieli, jak imprezować.

- A potem spotkał moją matkę. - Mój ojciec był wytworem Kojociej nudy. A może samotności? Powinam się przez to czuć jak ktoś gorszy, ale tak się nie stało. Ojciec zawsze był dla mnie kimś nierealnym, zaledwie czarno-białym zdjęciem i kilkoma opowieściami matki. Ale widziałam, jak tańczy,

i słyszałam echo jego głosu w głosie Kojota.

Kojot odrzucił w tył głowę, śmiejąc się głośno, a w kanionie odpowiedziało mu chóralne wycie kojotów.

- Marjorie Thompson. Marji. No, to dopiero była sztuka - rzekł z podziwem zabarwionym szacunkiem. - Kto by pomyślał, że to dziecko jest tak twarde, nie będąc zimne? Jeśli ktokolwiek mógłby usidlić Joego, to tylko Marji. On tak w każdym razie uważał.

- Ale kojoty nie łączą się w pary na całe życie, prawda? - zapytałam, starając mówić obojętnie.

- On by to zrobił. O, z pewnością. Bardzo ją kochał.

Jego szczerość i głębia emocji wycisnęły mi łzy. Musiałam otrzeć oczy.

- Gdyby wiedział o Marji wcześniej, nie wyczyściłby wampirzego gniazda w Billings. Ale należało zabić te wampiry, a on znalazł się na miejscu. Joe

zawsze postrzegał siebie jako bohatera, wiesz, nie takiego jak ja, ale takiego w rodzaju Luke'a SkyWalkera. Uratować księżniczkę, zabić wrogów. - Kojot zapatrzył się w wodę, a potem rzucił, jakby odkrył jakąś nowość: - Może to właśnie stąd to masz. Zawsze zakładałem, że to od nadmiaru „Gwiezdných wojen”, ale może to dziedziczne? - Podumał chwilę i potrząsnął głową. - Nie. Wiem, skąd pochodzą jego geny. To jednak musiały być „Gwiezdne wojny”.

- Co z wampirami? - przypominałam.

- Ach tak. Wiedział, że likwidując rój, ściągnie na siebie pościg, ale nie martwił się tym, jak to on. A potem pojawiła się Marji i zapomniał o całym świecie. A już na pewno nie myślał o wampirach. W każdym razie dopóki pewnego wieczoru nie zobaczył, jak te dwa rozmawiają z Marji. W tym momencie zaczął o nich myśleć, i to bardzo intensywnie. Wystawił się, żeby ich zanęcić, a potem wciągnął w szalony pościg. Szło mu świetnie, dopóki nie złapał gumy. - Gwałtownie wyrwał z ust źdźbło i cisnął do rzeki. - Nie wiem, czy wampiry to zaplanowały, czy nie, ale dopadły go, kiedy został uwięziony w samochodzie, i wykończyły.

Słuchałam tego z bolącym sercem, ale nie w złym sensie. Ból był taki, jak w ranie polewanej jodyną albo wodą utlenioną. Piekło, lecz pomyślałam, że potem będzie lepiej.

- Więc kiedy ojciec umarł, ty odszedłeś?

-1 tylko ja. - Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu; może oboje żalowaliśmy Joego. Ciszę przerwał mężczyzna, który wyglądał jak mój ojciec.

- Nie wiedział o tobie.

- Tak, mama mi mówiła.

- Ja też dowiedziałem się dużo, dużo później. Wpadłem wtedy, żeby sprawdzić, co u ciebie. Ganiałaś z wilkami i wyglądałaś na szczęśliwą. A one były skołowane. I tak powinno być, kiedy kojot bawi się z wilkami. Stąd wiedziałem, że u ciebie wszystko dobrze. - Zerknął na mnie. - Zresztą to samo powiedział mi Charles Cornick, kiedy przyłapał mnie na obserwowaniu ciebie. Pozbył się mnie, wsadzając pchłę w ucho. - Choć minę miał poważną, oczy mu się śmiały. - Straszny gość.

- No, też tak uważam - wyznałam szczerze.

- Nie, ty nie musisz się go bać - zaśmiał się. - To dobry człowiek. Tylko ktoś zły powinien obawiać się dobrego.

- He, he. Mówisz tak, bo nigdy nie złapał cię na czymś, czego nie pochwalał.

Znów zamilkliśmy.

- Możesz mi powiedzieć coś na temat tego czegoś z rzeki? - zapytałam w końcu.

Burknął niegrzecznie.

- Mogę ci powiedzieć, że na pewno nie jest ona biednym, niezrozumianym stworzeniem. Gordon ma rację. To Głód i nie poprzestanie, zanim nie pożre całego świata.

Ona. To wyjaśniało parę kwestii. Była tylko jedna. Czyli chyba nie tak źle. W każdym razie lepiej niż banda potworów mogących przegryźć kobietę na pół i zmusić faceta do postrzelenia Adama.

- Duża jest?

Spojrzał na mnie, wypychając policzek językiem.

- A wiesz co? To dobre pytanie. Powinniśmy to sprawdzić.

I zepchnął mnie do wody.

Rozdział 9

Lodowata woda zamknęła się nad moją głową, pogrążyłam się w mroku i ciszy. Szok spowodowany upadkiem, zimnem i zaskoczeniem zestalił na moment moje mięśnie, nie mogłam się poruszyć. A potem dotknęłam stopami dna i ruch ten zaalarmował każdy nerw w ciele. Odepchnęłam się, wypłynęłam i zaczerpnęłam powietrza. Słyszałam jego śmiech.

Sukinsyn. Postanowiłam go zabić. Mógł sobie być Kojotem, samym synem Szatana, ale na pewno był już trupem.

Ruszyłam w stronę kąpieliska, mimo że musiałam płynąć pod prąd, żeby się tam dostać. W dół rzeki jeszcze ponad kilometr brzeg był skalnym urwiskiem, a nie chciałam pozostać w wodzie tak długo - gdzieś tam czaił się potwór.

Poruszałam się w ślimaczym tempie, nawet raczkujący maluch by mnie pokonał. Pływałam tak so-

bie, bazując na sile mięśni, nie posiadałam techniki. Mozolnie, ledwie dając radę, pokonywałam opór nurtu Kolumbii.

Nieopodal wyłoniły się łby dwóch wydr. Warknęłam, żeby je odpędzić. Świadomość, że to magiczne istoty, zamiast wzmóc lęk, osłabiła go, choć w zasadzie powinno być odwrotnie. Cały wysiłek koncentrowałam na walce z prądem, więc nie miałam już sił na dopasowanie przekonań do rzeczywistości.

Wydrzaki zniknęły pod wodą, jednak kilka minut później jeden znów się wynurzył i zaczął obserwować moje wysiłki z chłodnym krytycyzmem.

- Na twoim miejscu płynąłbym szybciej - podsumował Kojot.

Napędzana furia, przyspieszyłam i wreszcie udało mi się pokonać zakręt, a potem przedostać się na spokojniejsze wody płytcizny. Płynęłam, dopóki nie stanęłam na dnie, a woda nie sięgała mi do pasa. Od tego momentu zaczęłam chwiejnie brnąć do brzegu. Kojot wszedł po kolana do wody i obserwował moje zmagania.

- I czego się dowiedziałas?

- Że jesteś dupkiem - wyszczeżałam. - Co do...

Nagle coś owinęło się wokół mojej talii, szarpnęło, zbijając z nóg, i znów znalazłam się pod wodą. Opierałam się, z całych sił wbijając stopy w dno, ale moc ciągnęła mnie z powrotem na głębinę. W pewnej chwili udało mi się wystawić głowę ponad taflę i zaczerpnąć tlenu. Natychmiast wypchnęłam go z płuc, w rozpaczliwym okrzyku wołając Adama.

Ten wrzask zapewniłby mi rolę w krwawym horrorze klasy B. Kojot chwycił mnie za przegub, podciągnął i złapał pod pachy, a potem zaczął wlec ku brzegowi. Oplot na mojej talii zacieśnił się tak, że nie mogłam oddychać.

- Zobaczmy, co udało nam się złowić - mruknął mi Kojot do ucha. - To powinno być ciekawe.

Nie słyszałam Adama. Po prostu nagle znalazł się przy mnie, wielki kłęb sierści i kłów. Zatrzasnął szczęki na czymś tuż pod wodą i całym ciężarem uwiesił się na oplatającym mnie zwoju, odciągającym nas znów od brzegu. Nagle uścisk zelżał i Kojot, chwyciwszy mnie za ramię, postawił na nogi.

- Uciekaj! - rozkazał.

Ja jednak rozglądałam się za Adamem. Nie zamierzałam zostawiać go w rzece z potworem. Wilk otarł się o moje biodro, pozwoliłam więc Kojotowi wywlec mnie z wody, a potem razem z nim runęłam pędem w górę stromego zbocza, które oddzielało plażę od reszty terenu kempingu. Adam biegł z nami. Kojot zatrzymał się na trawniku. Dopiero wtedy odwrócił się ku rzece.

Ciemna toń wydawała się spokojna, kryjąc pod powierzchnią, cokolwiek mieszkało w tych wodach.

Adam ryknął wyzywająco. Takiego ryku nie powstydzilby się i grizzly. Roześmiany, podniecony Kojot przyłączył się, wyjąc tak wysoko, że aż rozbolały mnie uszy.

Po ziemi potoczyło się coś mokrego, zatrzymując przy mojej lewej nodze. Wyglądało jak kawałek

pustego węża gaśniczego, gdyby takie węże robiono z gumy żelkowej i pokrywano szczecina, która srebrzyła się w poświęcie księżycy. Koniec, który Adam odgryzł, był poszarpany, a drugi zwęzał się, by na końcu utworzyć coś w rodzaju kuli wielkości piłki do softballa.

Rozległ się trzeci głos, potężny, przypominający ryk wściekłego buhaja. I nagle w rzece ukazał się sam diabeł... diablica, jeśli wierzyć Kojotowi. Wynurzała się i wynurzała niczym kobra wyłaniająca się z kosza zaklinacza. Jednak cielsko, choć wydłużone i wąskie, nasunęło mi skojarzenie, jakie miałam, oglądając petroglif, z chińskim smokiem. Wyglądała jak gigantyczny, makabryczny, wkurzony chiński smok.

Jej łeb z pewnością mógł być pierwowzorem tego ze skały, trójkątny, o wielkich zielonych ślepiach. U nasady czaszki miała kryzę długich, poskręcanych macek, które wiły się i falowały, nie synchronicznie, ale też nie całkiem niezależnie.

Na czubku łba sterczały dwa lśniące czarne rogi, kręte i wygięte w tył jak u górskiej owcy. Patrząc od przodu, wydawało się, jakby miała uszy.

Słabe światło księżycy przytłumiało kolory, i choć jej cielsko w mroku wyglądało na srebrno-czarne, widziałam odcienie złota i zieleni.

Diablica rozwarła paszczę i wydała kolejny ryk. Tym razem, niestłumiony przez wodę, zagłuszył wszystko inne, tak jak cielsko gabarytami przytłaczało naszą trójkę razem wziętą. Jednak to nie odgłos mnie przeraził.

Szczęki jeżyły się na przedzie długimi, ostrymi zębami, takimi jak na petroglifie. Te zęby służyły do przesywania i przyszpilania ofiary. Tyłne wyglądały nie mniej groźnie. Nie były to trzonowce o płaskiej powierzchni, a ogromne łopatomate płyty kostne do odkrawania. Zęby zdolne bez trudu odciąć stopę, której połknięcia potwór pewnie nawet nie zauważył.

Diablica rzuciła się ku nam, jej łeb grzmotnął o ziemię z siłą, która mało nie zbiła mnie z nóg. Macki wyciągnęły się...

- Łąd należy do mnie - oświadczył Kojot. - Nie masz tu władzy. Jeszcze nie. I nigdy nie będziesz miała. - Zasłonił nas sobą i nagle w jego rękach pojawiły się długie noże o piłkowanym ostrzach. - Spróbuj tylko. No, spróbuj.

Nie cofając łba, przyciągnęła do siebie macki i wrzasnęła na niego, wydając piskliwy dźwięk i pokazując jednocześnie w pełnej krasie garnitur zębisk. Nagle, szybciej, niż można by podejrzewać coś o tak ogromnej masie, szarpnęła się w tył i w ułamku sekundy zniknęła w wodzie, wzbudzając wielkie fale, które uderzyły o brzeg.

- Ano spora - odpowiedział na moje wcześniejsze pytanie Kojot.

Otworzyłam usta. Byłam przemarznięta, mokra, a skóra w miejscu, gdzie diablica ścisnęła mnie macką, piekła do żywego. Nie miałam jednak nic do powiedzenia. Kojot poczekał chwilę, czy jednak coś wydukam, a potem wzruszył ramionami i podszedł do wgłębienia, jakie pozostawił po sobie łeb stwora.

- Około dwóch metrów szerokości pyska - powiedział. - Prawie trzy długości od karku do końca.

Adam, obserwując Kojota z położonymi do tyłu uszami, obwąchał mnie dokładnie. Uspokoiwszy się, że nie jestem ciężko ranna, warknął nisko.

- To nie moja wina - zaprotestowałam. - To on mnie wrzucił.

Burknięcie zmieniło się w głuchy ryk i Adam postąpił w stronę Kojota. Szedł z nisko opuszczoną głową i odsłoniętymi kłami. Nie zamierzałam szcuć Kojota Adamem. Złapałam wilka za skórę na karku w niemej prośbie, żeby się powstrzymał.

- Spokojnie, wilczku - rzucił Kojot w roztargnieniu, z wyraźnym zamiarem zelżenia wilkołaka. - Nie pozwoliłbym zrobić Mercy krzywdy.

- Tak? - zapytałam powątpiewająco. - A co byś zrobił, gdyby złapała mnie trochę wcześniej?

- Coś tam bym zrobił - zbył mnie nonszalancko. - Ale patrz, ile informacji udało nam się zdobyć. Hej, widzieliście te wydry? Nigdy takich nie widziałem.

- To istoty magiczne. Burknął zniesmaczony.

- Bezmyślne sprowadzanie obcego gatunku nigdy nie kończy się dobrze.

Zaczął iść, licząc kroki, i nie zatrzymał się na brzegu. Ja za nic w świecie nie weszłabym teraz do wody.

- Zakładając, że atakuje podobnie do węża, to wystawiła z wody około połowy ciała. - Uniósł palec, jakby chciał powstrzymać protest. - Tak, wiem,

że pewnie lepiej byłoby założyć trzecią część, ale wolę zgrzeszyć nadmiarem ostrożności. Choć pewnie trudno w to uwierzyć.

Zatrzymał się, kiedy był w rzece po kolana, a potem wrócił, licząc ponownie.

- Niedobrze - mruknął. - Jest większa, niż pamiętałem. Pewnie urosła. Albo pamięć mnie zawodzi. - Wydął usta, stojąc nad wgłębieniem w ziemi.

Zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół i jego wzrok zatrzymał się na leżącej u mych stóp macce.

- Ha! - wykrzyknął, podbiegając. - Świetnie! Już myślałem, że wpadła do rzeki. - Schylił się i podniósł fragment potwora.

- Czuję się, jakbym zabłądziła do jednego z tych filmów anime - powiedziałam. - Takiego z mackowatym stworem. - Większość tych filmów była dla dorosłych, a trup słał się w nich gęsto.

Kojot pomacał mackę, a potem bez ostrzeżenia podciągnął mi w górę koszulkę, ignorując moje oburzone „ej” i pełne sprzeciwu warknięcie Adama.

Wokół mojej talii ciemniał podwójny pas poranionej skóry. Bałam się wcześniej obejrzeć ranę, bo bolało jak diabli. A wyglądało jak chemiczne oparzenie.

- Hm - zadumał się Kojot, opuszczając mokrą tkaninę na ranę, co powinno przynieść ulgę, ale tak się nie stało.

Podniósł mackę, przyrównując ją do mnie, i zobaczył to samo co ja. Fragment mierzył jakieś pół metra, a przecież owinał się wokół mnie dwukrotnie.

- Pewnie jest rozciągliwa. - Chwycił mackę dłoni przy dłoni, a potem rozłożył ramiona na całą szerokość, a wraz z nimi tkankę. - Tak, bardzo elastyczna. Co jeszcze musimy wiedzieć?

Z kieszeni dzinsów wyciągnął nożyk, mniejszy niż zębate ostrza, którymi groził diablidy.

- Kły wilkołaka są na pewno wystarczająco ostre, by ją odgryźć - mrucał pod nosem. - A stal? - Dziabnął mackę, ale ostrze odbiło się od gumowatej powłoki. - Masz, przytrzymaj. - Wręczył mi koniec macki i przygiął do ziemi, zmuszając do ukłęknięcia, a potem cofnął się, rozciągając fragment. Napięta, położona na ziemi, dała się przebić samym czubkiem. - Aha. Stal się nie nadaje. Dobrze wiedzieć. - W jego dłoni zamiast noża pojawiło się jedno z wygiętych, wyszczerbionych ostrzy. Podobnie jak nóż Gordona, było wykonane z obsydianu. Okazało się też mniejsze, niż wydawało mi się za pierwszym razem, ale na pewno nie było małe. Bez trudu przecięło tkankę. - Aha. Kiepsko, bo te kamienne są beznadziejnie kruche. Ale wiemy przynajmniej, że dają radę. Jak tam twoje ręce? - zwrócił się do mnie.

Obejrzałam dłonie.

- Lodowate. Mokre. A co?

Chrząknął, wstał i zatknął sobie mackę za pasek.

- Tak jak podejrzewałem. Cokolwiek powoduje oparzenia, przestało działać, kiedy Adam zatopił w tym zęby. Inaczej miałby poparzony pysk. A to oznacza magię, nie jad, kwas czy coś w tym stylu. Na szczęście dla ciebie i Adama. Ale ogólnie gorzej dla nas.

- Dlaczego? - Podniosłam się, podpierając na Adamie. Uszy nadal miał położone i nie spuszczał oczu z Kojota, co napawało mnie niepokojem.

- Bo mogę zrobić to. - Znów podciągnął mi koszulkę i dotknął mojego brzucha. Jego dłoń promieniowała lodowatym chłodem, ale oparzenia zniknęły, zostawiając czysty tatuaż śladu łapy. Schylił się, żeby lepiej przyjrzeć się rysunkowi, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Kojocia łapa! Fajny tatuaż.

- To wilcza łapa - zaprotestowałam chłodno i opuściłam koszulkę.

- Nadal jesteś zła o tę niespodziewaną kąpiel? -zapytał jakby skomlące Taki dźwięk pasował bardziej do kojociego niż ludzkiego gardła. - To wszystko w imię zdobycia informacji.

- Czemu magia to źle dla nas? Popatrzył na mnie jak na idiotkę.

- Bo oznacza, że musimy zabić dwudziesto-, trzydziestometrowego stwora, który dysponuje ma-

Coś przyszło mi do głowy.

- Możesz w ten sposób uleczyć Hanka?

- Nie. Nie jest jednym z moich. Ale znam kogoś, kto może. No, dzieciaki, z tym tu będziemy potrzebowali pomocy. - Wydał wargi i przez chwilę niecierpliwie tupął stopą. - Wiem. Potrzebujemy Jima Alvina i jego pomagiera, tego młodego Calvina. Niech spotkają się z nami jutro o północy w Stone-henge. I niech przyprowadzą Hanka. Powiem Jimowi, co musi zrobić, ale przede wszystkim musi we mnie uwierzyć. Smutne, że szaman nie ma problemu

z uwierzeniem w wilkołaki, duchy, wampiry, a z Kojotem mu ciężko. Takie czasy.

- Nie mam jego numeru.

- Gdzie twoja komórka?

- W przyczepie.

Złapał mnie za rękę, z pustej kieszeni wyciągnął flamaster i zapisał mi numer na dłoni.

- Masz. Tylko zadzwoń zaraz rano, bo inaczej pomyśli, że mu się tylko śniłem.

Poklepał mnie po głowie, całkowicie ignorując ostrzegawcze warknięcie Adama.

- Idź, ogrzej się. - Mrugnął na Adama. - Zdaje się, że wiesz, jak ją rozgrzać, hm?

Adam pochwalił się przed Kojotem wielkimi zębami.

Kojot przymknął powieki i odwzajemnił grzeczność.

- No dalej, spróbuj. Nie masz ze mną szans. Dotknęłam Adamowego pyska i skrzywiłam się do Kojota.

- Przestań go drażnić, inaczej... zadzwonię do mamy.

Kojot zamarł, twarz mu się ściągnęła w napięciu i prawie zrobiło mi się go żal na widok tej reakcji, ale zaraz przypomniałam sobie, że groził Adamowi. Dopiero po chwili odzyskał oddech.

- Widzimy się pod Stonehenge - rzucił i, nie oglądając się za siebie, odszedł.

Dochodziliśmy już do przyczepy, kiedy zobaczyłam zniszczenia, jakich dokonał Adam.

- Nieźle.

Rakieta wybijająca okno zrobiłaby mniejszy bałagan. Szyba wypadła wraz z ramą, nawet brzegi pokrycia wokół otworu były wygięte. Na szczęście całe szkło wylądowało na zewnątrz.

- Uważaj, nie nadepnij na odłamki - ostrzegłam Adama, wybierając dłuższą drogę dookoła, żeby nie musiał iść po szkłe. Tenisówki miałam co prawda mokre, ale podeszwy chroniły mnie przed poranieniem stóp.

W przyczepie rozebrałam się, wsadziłam mokre ubrania do worka, gdzie były już te zakrwawione, i wyjęłam z torby czyste rzeczy na zmianę.

- Muszę uzupełnić garderobę - powiedziałam, przeglądając bagaż. Adam zaczął przemianę, złapałam więc pierwsze lepsze ciuchy i odsunęłam się, żeby zrobić mu miejsce.

Już ubrana, wyjęłam z szafki duży ręcznik i z pomocą przylepca zabezpieczyłam nim wybite okno. Zwykle mam w samochodzie taśmę narzędziową, ale tu nie mogłam jej znaleźć. Na szczęście przylepiec należał do tych, które trzeba było usuwać WD-40, liczyłam więc, że da radę. Oraz że blacharze naprawiający przyczepę będą umieli usunąć ślady zniszczeń.

Jak tak dalej pójdzie, pomyślałam na widok plam krwi na dywaniku, które mogły powstać przy wielu okazjach w ciągu ostatnich dwóch dób, będziemy musieli odkupić całą nową przyczepę. Z zadumy nad plamami wyrwał mnie Adam.

- Mogłaś zginąć - powiedział głosem jeszcze ochrypłym od przemiany.

- Podobnie jak ty, kiedy Hank do ciebie strzelił -odpaliłam, ale powściągnęłam ostrzejszy ton, bo nie krzyczał. Jeszcze. Nie tylko Adam nauczył się nie denerwować czymś, co się nie wydarzyło.

Nie skończył jeszcze przemiany całkowicie. Pochylony, klęczał na dywanie na drugim końcu przyczepy, czekając, aż znikną ostatnie jej echa.

Nawet już po wszystkim pozostał w tej pozycji, odwrócony do mnie tyłem.

- Nie mogę... - zaciął się i podjął kolejną próbę. -Kiedy usłyszałem twój krzyk, myślałem, że już jest za późno.

- Ale zdążyłeś - powiedziałam cicho, uspokajająco. - Zdążyłeś i nic mi nie jest. Kiedy zostałeś postrzelony, miałam ochotę zabić Hanka i w ogóle się tym nie przejęłam. Nawet kiedy się dowiedziałam, że to nie jego wina, i tak nie poczułam wyrzutów sumienia. - Nabrałam powietrza do płuc. - A kiedy już się okazało, że z tego wyjdiesz, miałam ochotę nawrzeszczyć na ciebie za to, że nie byłeś wystarczająco szybki, że nie byłeś niewidzialny.

- Co, u diabła, robiłaś w tej rzece? - Nadal na mnie nie patrzył, a głos mu się nawet obniżył.

- Usiłowałam się z niej jak najszybciej wydostać -zapewniłam go żarliwie. Czułam jego emocje, wielki węzeł, którego nie umiałam rozszyfrować, choć ich atawistyczna potęga nie ulegała dla mnie wątpliwości. - Posłuchaj, Adam. Nie mogę ci obiecać, że nie wpakuję się nigdy w żadną kabałę. Miałam tak przez całe życie, a ostatnie dwa lata to już w ogóle klęska urodzaju na kłopoty. Całkiem jakby czały się

za każdym rogiem, gotowe grzmotnąć mnie łyżką do opon. Ale przecież nie jestem głupia. Pokiwał głową.

- W porządku. Wiem, że nie jesteś głupia. - Jednak nadal się nie odwrócił. Po chwili dodał cicho: -W każdym razie mam taką nadzieję. - Przez moment milczał. - Część z tego wszystkiego kojarzę jak przez mgłę. To był Kojot? Ten Kojot?

- Tak twierdził. A ja jestem skłonna mu wierzyć. Wygląda na to... że jest również... W każdym razie pewien jego aspekt... jest moim ojcem. To skomplikowane. Rozumiem to, większość, ale żeby mi się to ułożyło w sensowną całość, muszę o tym myśleć nieco jakby zezem.

Adam zaśmiał się. Krótko, niepewnie, lecz był to szczery śmiech.

- Nie dziwię się.

Usiłował ugasić wściekłość wilka, a ja próbowałam znaleźć takie słowa, które nie zrobią krzywdy mnie, a jednocześnie nie podsycą jego gniewu.

- Wychodzi na to, że pomimo białej matki jestem zmiennokształtna właśnie dlatego, że Kojot zabawiał się chwilowo w człowieka.

- Twój ojciec nie umarł. Twoja matka...

- Uhm. - Odchrząknęłam, chcąc, by mój głos brzmiał bez troski. Ojciec jednocześnie żył i nie żył. A w ogóle to miałam ojca czy nie? Łatwiej było myśleć o mamie. - Choć mam wielką ochotę odplacić się mamie za zorganizowanie ślubu za moimi plecami, nie mogłabym jej tego zrobić. - Spuściłam wzrok na stopy. Mokre buty sprawiły, że miałam bia-

łe, pomarszczone palce. - Naprawdę kochała Starego Kojota, a Curt... jest wspaniały. Ale Joe ją ocalił, uwielbiał. - Przypomniałam sobie ton Kojota, kiedy wspominał mamę. - Nie wiem, czy Curt mógłby mierzyć się z człowiekiem, którego mama przechowuje we wspomnieniach. Może nawet sam Joe nie dałby rady. A Joe nie żyje, naprawdę nie żyje. - Odchrząknęłam. - I nie był Kojotem w ścisłym sensie, tylko raczej kostiumem, który chwilowo Kojot nałożył. Był rzeczywistą osobą dla siebie i wszystkich wokół, ale koniec końców był bytem, który ktoś stworzył, a Kojot... Prędzej czy później mama by to wszystko zrozumiała, ale Curt mógłby tyle nie czekać. - Adam wstał i podszedł. Objął mnie i przytulił bez słowa. - Kiedyś moje życie było normalne - poskarżyłam się jego ramieniu. - Budziłam się, szłam do pracy, naprawiałam samochody, płaciłam rachunki i nikt nie starał się mnie zabić. Ojciec nie żył, matka mieszkała sześć godzin jazdy ode mnie, a nawet dziewięć, jak się postarałam.

- Darłaś koty z sąsiadem - dorzucił Adam łagodnie.

- I obserwowałam go, kiedy nie patrzył. Bo wiesz, czasami, szczególnie podczas pełni, zapominał, że widzę w ciemnościach, i biegał przed domem nago.

Roześmiał się wesoło.

- Nigdy nie zapomniałem, że widzisz w ciemnościach.

- Hm. - Na moment odjęło mi mowę. - No dobra, punkt dla ciebie. Ale to i tak nic w porównaniu z rdzewiejącym Królikiem.

Adam był czyściochem i porządnikiem. Należał do tych ludzi, którzy po wejściu do pokoju odruchowo poprawiają krzywo wiszący obraz. Latami, w ramach rewanzu za jego autorytatywne rozkazywanie, trzymałam na swoim podwórku, pod jego oknami, wrak samochodu. A rozkazów słuchałam, bo były nie tylko autorytatywne, ale również mądre. W chwilach wyjątkowej frustracji zdejmowałam wrakowi koło lub dwa albo zostawiałam otwarty bagażnik czy drzwi, żeby go podrażnić.

Najwyraźniej on w tym samym celu biegał po podwórku na golasa.

- Dzięki za lata nieustającej rozrywki - podsumowałam po chwili zadumy.

- Nie ma sprawy. A czy teraz, skoro jesteśmy małżeństwem, zrobisz coś z tym gratem? Na przykład wywieziesz albo jakoś schowasz?

Odetchnęłam głęboko. Kamień pod tytułem „mam ojca, który nie jest moim ojcem” zniknął z żołądka i płuca nareszcie zadziałały bez przeszkód.

- Zastanowię się. Może dopiszę to do listy prezentów bożonarodzeniowych?

- Lepiej ci już? -Tak.

Przytulił mnie mocniej i podniósł do góry.

- Mercy? - zamruczał mi w ucho. Objęłam go w talii nogami.

- Uhm. Ja też.

Adam mógł wczoraj zginąć. Ja mogłam zginąć pół godziny temu. Szkoda było mi marnować czasu.

W pewnej chwili, w nocy, pocałował mnie w tatuaż na brzuchu.

- Naprawdę powiedziałaś Kojotowi, że to odcisk wilczej łapy? - zaśmiał się.

- Dla ciebie to kojocia łapa - oświadczyłam stanowczo. - Dla niego wilcza. Tylko ja i mój tatuaży-sta znamy prawdę.

Obudziłam się rankiem, wyrwana ze snu burczeniem Adamowego brzucha.

- Wybacz - powiedział. - Dużo przemian, mało paliwa.

Poklepałam go po stalowych mięśniach i pocałowałam w pępek.

- Biedactwo. Ależ ten Adam cię okropnie traktuje. Nie martw się. Ja cię nakarmię.

Głowa mi się zatrzęsała od śmiechu Adama.

- Zbierajmy się. Pojedziemy gdzieś na śniadanie i uzupełnimy zapasy spożywcze. No i trzeba ci kupić coś do ubrania - dodał, udowadniając, że słucha mnie nawet, kiedy myśli ma zaprzątnięte czymś innym.

Ubierając się, zauważyłam zapisany na ręce numer i przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić.

- Tak? - usłyszałam w słuchawce ostrożny głos Jima.

- Kojot kazał mi do ciebie zadzwonić, bo inaczej nie uwierzysz, że jest prawdziwy.

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza. Jim nawet nie oddychał. Zapinający koszulę Adam uśmiechnął się wesoło.

-Jak się czuje twój mąż? - zapytał Jim kurtuazyjnie.

- W porządku. - Zniknęło nawet zaczerwienienie wokół rany. Szybkość gojenia się urazów zależała od wilka i rodzaju rany. U Adama, jako Alfya, proces ten przebiegał jeszcze szybciej niż u innych. Bałam się, że z dala od stada może być inaczej, ale nie miałam racji.

- A jak Hank i Benny? - zapytałam.

- Hankowi nic nie jest. Zaczął do siebie dochodzić jeszcze w samochodzie. Ma lekki wstrząs mózgu. - Jim odchrząknął. - Fred powiedział lekarzowi, że Hank upadł. Lekarz miał chyba wątpliwości, wspominał coś o łyżce do opon albo metalowej rurce, ale Hank potwierdził słowa brata. Fred ma na niego oko. Benny jest na środkach uspokajających po tym, jak po raz drugi usiłował wstać i wyjść ze szpitala. Robią mu dobrze, wydaje się zadowolony.

-To co? Widzimy się przy Stonehange? Kojot mówił, że może pomóc Hankowi.

- Dość zwyczajnie mówisz o Kojocie. A może oboje śniliśmy tylko?

-Jesteś szamanem. Dla ciebie to też powinno być zwyczajne. - Może trochę przesadzałam. - W miarę, w każdym razie. A ja jestem żoną wilkołaka i spot-

kałam Babę Jagę. Kojot przynajmniej nie lata w wielkim moździerz.

- Babę Jagę? Nie, nie chcę wiedzieć - westchnął Jim. - Może powinienem wrócić do nauczania o szaleńcach, zamiast stawać się jednym z nich. Dobrze. Spotkamy się tam o północy. Miejsce pamięci jest zamknięte po zmroku, ale mam kontakty. Zwykle wystarcza argument o rytuale plemiennym, w razie czego mam kilka innych asów w rękawie.

Przy Wal-Marcie nie obyło się bez protestów Adama.

- W Dalles jest dom towarowy - marudził, kiedy wchodziliśmy do wielkiej hali.

-Jeszcze ktoś pamięta, że to się nazywało dom towarowy? - zastanowiłam się na głos i wzruszyłam ramionami. - Obojętne. Wal-Mart to Kraina Radosnych Łowów dla bogatych inaczej. Oraz dla tych, którzy regularnie niszczą ubrania. Nie będzie mi żal, jak podrę T-shirt za pięć dolców. Łatwiej też przeżyję stratę dżinsów za dwadzieścia niż takich za osiemdziesiąt.

Adam burknął zniesmaczony, aż mu się baczniej przyjrzałam.

Jaskrawe lampy migały lekko, nadając jego skórze zielonkawy odcień. To z winy tanich żarówek, ale już napięcie widoczne w zeszywniałym karku i udręczona mina to co innego. Natłok ludzi, zapachów, dźwięków. W miejscu takim jak Wal-Mart

ktoś z manią prześladowczą - tudzież Alfa - nie mógł zrobić nic, by nie zostać zaskoczonym.

- Słuchaj. - Zatrzymałam się. - Może ja tu zrobię zakupy, a ty pójdziesz do spożywczego i kupisz jedzenie? Ja sobie spokojnie pochodzę i spotkamy się za trzy kwadranse, co?

- Nie. Nie zostawię cię tu samej.

- Tylko potwór z rzeki dybie na moje życie - powiedziałam półgłosem, ale i tak przechodząca obok kobieta łypnęła na mnie z ukosa. - Całe życie kupuję w Wal-Marcie i nigdy nikt mnie tu nie napadł. - Zmrużyłam oczy, wpatrywałam się w jego brodę. - Rozumiem: nieładzie, demony, lewiatany, ale normalnie jakoś sobie dają radę. Nie jestem bezbronna. - Nagle jeszcze bardziej zaczęło mi zależeć na tym, by nie traktował mnie jak siusmajtkę, której trzeba wiecznie pilnować, czy mdlejącą dziewicę, czekającą beczynn timer na ratunek.

Chyba domyślił się tego po mojej minie, bo odetchnął głęboko i wycofał się.

- Dobrze, już dobrze.

Wspięłam się na palce i pocałowałam Adama w policzek.

- Dziękuję.

Też mnie pocałował, lecz nie w policzek. Zanim ochłonęłam na tyle, by odzyskać procesy poznawcze, szedł już ku drzwiom, a ja stałam pod ostrzałem ludzkich spojrzeń.

- Właśnie się pobraliśmy - ogłosiłam zarumieniona i, poczuwszy się jeszcze bardziej głupio, uciekłam pomiędzy półki.

Wal-Mart w Hood River nie był tak duży jak te w Tri-Cities, ale posiadał dział ze spodniami i koszulkami, a tylko na tym mi zależało.

Złapałam cztery ciemne T-shirty i trzy pary spodni w odpowiednim rozmiarze i udałam się do przebieralni. Koszulek nie musiałam przymierzać, ale spodni bez tego nie kupowałam. Nawet w jednym rozmiarze potrafiły układać się całkiem inaczej.

Pracownica przebieralni wręczyła mi numerki 6 i 1 - najwyraźniej zabrakło tych z siódmkami -i wskazała mi wejście.

Wewnątrz znajdowały się tylko dwie osoby, udręczona kobieta i nastolatka, prowadzące sprzeczkę na temat tego, jak bardzo obcisłe powinny być spodnie. Stały w przejściu pomiędzy boksami, na którego końcu wisiało wielkie lustro.

- Są dobre, mamó - jęczała dziewczyna tonem, którego uciemieżona przez wstrętnych dorosłych młodzież używała prawdopodobnie od zarania dziejów.

- Siądziesz i rozprują ci się na pupie. Tak przydarzyło się ciotce Sherry w szkole i już nigdy się z tego nie otrząsnęła.

- Ciotka Sherry jest... Nieważne, nie jestem nią. To jest lycra, mamó, mają być dopasowane. Patrz.

Przeczisnęłam się obok dziewczyny wykonującej przysiady.

Po wejściu do boksu odcięłam się od ich głosów. Nie wiem, jak inni zmiennokształtni, ale ja mogłam słyszeć każdą rozmowę w całym sklepie. Gdybym

nie nauczyła się tego wyłączać, oszalałabym. Adam nasłuchiwał wszystkiego, bo przejmował się prawdopodobnymi niebezpieczeństwami, ja jednak nie martwiłam się o nie aż tak bardzo, żeby narażać się na dyskomfort.

Pierwsze spodnie miały zagadkową bulwę w połowie lewego uda. Okręcałam się w tę i we w tę, żeby sprawdzić, czy to nie moja wyobraźnia, lecz bez względu na moją pozycję, bulwa pozostawała na miejscu.

Wyjrzałam z boksu. Matka i córka wychodziły właśnie, miałam więc całe wielkie lustro dla siebie. Mimo zmiany lustra bulwa nie zniknęła, zatem albo nagle urosło mi coś na udzie, albo problem tkwił w spodniach.

Wróciłam do boksu, zdjęłam dzinsy i na wszelki wypadek obejrzałam nogę na obecność zagadkowych narośli. Na szczęście bez spodni obie nogi wyglądały normalnie. Z wyjątkiem piętna na kostce. Zanotowałam sobie w duchu, żeby zapytać Kojota, czy mógłby się go pozbyć.

Druga para pasowała lepiej, nie wybulwiała się nigdzie, ani też nie poszerzała optycznie pupy, za to miała atrapy kieszeni. Używam kieszeni, więc jak dla mnie spodnie z pseudokieszeniami były denerwujące prawie jak bielizna na troczki.

Trzecia para nie leżała tak dobrze jak poprzednia, ale miała prawdziwe kieszenie. Uznałam, że ujdą, a jeśli nawet będę się w nich źle czuła, to zawsze mogę z nich zrobić spodnie robocze, a kiedy się zużyją, wyrzucić bez żalu.

Zostało mi piętnaście minut na zapłacenie i dojście na parking. Odwiesiłam na stojak dwie pary, których nie zamierzałam kupować, i właśnie skończyłam zakładać stare, kiedy coś skoczyło na mnie z góry. Opadłam na kolana, kątem oka dostrzegłam w lustrze błysk stali i chwyciłam rękę, która trzymała wymierzone we mnie ostrze.

Mocno szarpnęłam się w tył, jednocześnie pociągając rękę z nożem do dołu. Udało mi się grzotnąć głową przeciwniczkę - bo była to kobieta - w brodę. Z dłoni, uderzonej o kant drewnianego siedziska, wypadł nóż o mosiężnym ostrzu.

Puściłam kobietę, złapałam nóż i wrzuciłam go do dziury w suficie, przez którą przedostała się napastniczka. Nie chciałam zostać przyłapana w sklepie z bronią. W końcu byłam żoną Alfego watahy dorzecza Kolumbii - nie wypadało mi brać udziału w bójkach na noże. Gdyby kobieta rzuciła się, by go dostać, zyskałabym czas na wybiegnięcie na główną halę, a tam już kamery bezpieczeństwa wychwyciłyby, że działałam w obronie własnej.

- Zostaw ją - syknęła kobieta. - Myśmy ją znalazły, jest nasza. Diablica z rzeki? - pomyślałam, ale nie miałam okazji zapytać.

Kobieta, zignorowawszy nóż, skoczyła na mnie z gołymi rękami. Wykorzystałam siłę pędu napastniczki, by wstać, i dałam się wypchnąć z ciasnego boksu do korytarza z lustrem. Odbicie ukazało dziwną kobietę, która obserwowała mnie i Adama podczas przedwczorajszego obiadu w restauracji.

Potwierdziły się moje podejrzenia. Była magiczną istotą, a konkretniej wodną, bo tak pachniała. Założyłabym się o głowę, że należała do grupki wydrzaków.

Zresztą walczyła jak wydra. Dążyła do zwarcia, była szybka, brutalna, usiłowała sięgnąć mi do gardła, używała zębów i paznokci. Na szczęście dla mnie nie walczyłyśmy w wodzie, a ona nie była prawdziwą wydrą, tylko nieczłowiekiem - choć pachniała jednym i drugim.

Nigdy nie potrafiłam pojąć natury iluzji stosowanej przez magiczne istoty. Był to rodzaj czaru zmieniającego powierzchowność. Według Zee to właśnie umiejętność posługiwania się tym czarem decydowała o przynależności do magicznych istot, w odróżnieniu od innych stworzeń o nadprzyrodzonych mocach. Czar iluzji dawał złudzenie postaci, ale nie tylko powierzchowne, bo dzięki niemu dziesięciokilogramowa wydra stawała się ważącą sześćdziesiąt pięć kilogramów kobietą.

Taktyka walki wydry nie sprawdzała się w przypadku człowieka, nawet jeśli ten człowiek miał nóż, a już na pewno nie w starciu z przeciwnikiem posiadającym brązowy pas karate. Naprawdę nie byłam bezbronna. A determinacji dodawała mi obawa, że jeśli coś mi się stanie, Adam już nigdy nie pozwoli mi się nigdzie ruszyć bez eskorty.

W parę minut dorobiłam się kilku siniaków -w tym pięknego lima, którego wydrzak nabiła mi o kławkę - rozciętej wargi i rozbitego nosa. Ja ze swej strony złamałam jej nos, a kiedy się zań złapała,

kopnęłam ją porządnie w zębra. Jeśli nawet żadne się nie złamało, to na pewno niejedno pękło, a ból powinien spowolnić moją przeciwniczkę.

Przed przymierzalnią rozległy się kroki i po chwili do środka zajrzała, jeszcze przed chwilą znudzona, teraz zaś zarumieniona z ciekawości pracownica sklepu. Na nasz widok krzyknęła: „Co tu się dzieje?!“.

Wydrzak wrzasnęła, nie ze strachu, a z wściekłości. Błyskawicznie przemieniła się w wydrę, smyrgnęła po przepierzeniu i zniknęła w otworze w suficie.

Zapach nieczłowieka zelżał z obecnego na byłego, a ja zwróciłam się do sprzedawczyni, gapiącej się z otwartymi ustami w sufit.

- Za mało pani płacą, żeby się w to angażować -powiedziałam stanowczo. Nie skorzystałam z Adamowego autorytetu, żeby go nie zaalarmować, ale wiem, jak imitować ten specyficzny ton. - Tamto coś uciekło i już nie wróci. - Rozejrzałam się, lecz poza wgnieceniem w ścianie działowej w miejscu, gdzie wydrzak uderzyła kolaniem, nie było innych zniszczeń. Pomieszczenie znaczyły plamy krwi, zakładałam jednak, że nie z takimi zabrudzeniami radzili sobie sprzątacze w Wal-Marcie.

Złapałam dobre spodnie oraz koszulki i najciemniejszą z nich otarłam nos. Uraz nie był poważny, nos już przestał krwawić.

- Idę do kasy, a pani niech odwiesi tamte spodnie na miejsce, a potem zawoła sprzątaczy.

Wyszłam pewnym krokiem i zapłaciłam, gotówką, żeby nie zostawiać śladu po tym, że byłam na

miejscu zbrodni, zanim do niej doszło. Kasjerka była zbyt zajęta kontemplowaniem mojej pokiereszowanej twarzy, żeby zauważyć, iż jeden z T-shirtów jest brudny. Odbierając paragon, zauważyłam zwiększony ruch obsługi w okolicy przymierzalni. Przynajmniej jeden z pracowników z racji wieku wyglądał na kogoś z kadry kierowniczej.

Uśmiechnęłam się najniewinniej jak umiałam do kasjerki, złapałam torby i ruszyłam ku wyjściu.

- Złotko - zatrzymała mnie kasjerka, na oko połowę ode mnie młodsza. - Rzuć go w diabły. Nie musisz robić za worek treningowy.

- To była ona - sprostowałam. - I ma pani rację. Wyszłam pośpiesznie i nie zwolniłam kroku na parking, skąd zadzwoniłam do Adama.

- Wiesz, jadąc do Wal-Marta, mijaliśmy mały pasaż. Widziałam tam bar kanapkowy. Poczekam tam na ciebie.

- Trochę wcześniej na obiad - zauważył. Przed zakupami zdążyliśmy zjeść śniadanie.

- Jesteś wilkołakiem - przypomniałam mu. - Możesz jeść o każdej porze dnia i nocy.

- Co zbroiłaś?

Usłyszałam wycie syren. Licząc, że to nie z mojego powodu, przyspieszyłam jeszcze kroku.

- Wdałam się w bójkę z moją dziewczyną. Rozłączyłam się, zanim zdążył coś powiedzieć. Miła sprzedawczyni w kanapkami zaopatrzyła

mnie w torebkę z lodem, współczująco wysłuchując mojej opowieści o zazdrosnej dziewczynie (wcześniej zdjęłam i schowałam obrączkę). Zrobiła dwie

wielkie kanapki z kurczakiem, do których kazałam doliczyć dwa soki pomarańczowe.

Kiedy pod bar podjechał Adam, przykładalam owinięty w zakrwawioną koszulkę worek z lodem i obserwowałam radiowozy pod sklepem. Na czarnej tkaninie plamy były prawie niewidoczne.

- Powinniśmy wracać na kemping - oświadczyłam.

Odjął mi od twarzy pakunek z lodem i przyjrzał się obrażeniom. Obejrzał ręce, a wolną przysunął sobie do twarzy i pocałował rany. Potem zabrał mnie do samochodu, usadowił i zapiął.

Dobrze, że parking był prawie pusty, inaczej nie dalibyśmy rady wycofać wielką furgonetką. Z Królikiem nigdy nie mam tego problemu. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Udało mi się tak dotrzeć prawie do Dalles, zanim nie pękłam.

- Nie wiedziałam, że ktoś chce mnie dopaść, kiedy kazałam ci iść do spożywczego.

- Czuję nieczłowieka - rzucił obojętnie. Podstępny. To dlatego całował mnie po ręce.

- Napadła na mnie w przebieralni - wyznałam niechętnie. Już po uderzeniu o kłamkę wiedziałam, że nie zdołam ukryć szarpaniny przed Adamem. Nie żebym planowała mu o tym nie mówić. Po prostu fajnie byłoby, gdybym mogła brać pod uwagę taką opcję. - Stawiam na wydrzaka. I to była ta sama, która gapiała się na nas w restauracji.

- Zostawiłaś tam trupa?

- Nie było trupa - oburzyłam się. - Nie miałam zamiaru jej zabijać. Pozbawiłam ją noża, a potem

miała małe szanse, żeby naprawdę mi zagrozić. Nie była silniejsza od przeciętnej kobiety. - Zastanowiłam się. - Nie sądzę w każdym razie. Kiedy weszła sprzedawczyni, przemieniła się w wydrę i uciekła. Niewykluczone, że użyła magii, by wspiąć się do dziury w suficie, ale przecież wydry są wystarczająco zwinne, żeby zrobić to i bez tego. Ścisnął się za nos, a potem roześmiał.

- No, chyba udowodniłaś, że potrafisz o siebie zadbać.

- Ciekawe, czemu wydrzaki chcą mnie zabić.

- Raczej nie zadzwonimy do niełudej w sprawie pomocy z diabłem rzeźnym - oświadczył Adam. - Za duże niebezpieczeństwo, że staną po przeciwnej stronie.

- Rozważałeś prośbę o pomoc magicznych?!

-wykrzyknęłam ze zgrozą. Prośba o pomoc była jeszcze gorsza od prośby o przysługę.

Spiorunował mnie wzrokiem.

- Przecież właśnie mówię, że nie poproszę.

- Ale brzmiało tak, jakbyś zamierzał przed tym napadem?

- Starasz się oderwać mnie od myślenia o tym ataku, a nie musisz, bo nie zamierzam się wściekać, że ktoś na ciebie napadł. Szczególnie że wygrałaś bójkę.

- Tamta uciekła - przypomniałam mu.

- Nie osiągając zamierzonego celu. To według mnie przegrana. Tym bardziej, że pozbawiłaś ją noża, zanim cię nim dźgnęła.

Łypnęłam na Adama podejrzliwie, ale naprawdę nie wydawał się zdenerwowany.

- Mercy - westchnął - w przypadku równego przeciwnika zawsze będę cię wspierał i tylko to. Gorzej z wampirami, demonami, diabłami rzeczonymi. To problem, ale pracuję nad nim.

Skoro on jakoś sobie z tym radził, to i ja mogłam.

ROZDZIAŁ 10

W przeciwieństwie do muzeum w Maryhill czy Teju, Która Pilnuje, Stonehenge widziałam już nie raz. Znajdowało się tuż przy drodze, którą jeździłam do domu matki w Portland. Sam Hill, dowiedziawszy się, że krąg w Salisbury był miejscem składania ofiar z ludzi, uznał, że pasuje to do pomnika pamięci ofiar pierwszej wojny światowej.

Zaparkowaliśmy nad rzeką, przy starym sadzie i przeszliśmy pod górkę, a potem w dół i do miejsca, gdzie na płaskim wierzchołku wzniesienia, zwrócony w kierunku rzeki, stał wytwór górnolotnej wyobraźni Sama Hilla.

Zawsze wahałam się, czy uznać amerykański Stonehenge za piękny, uduchowiony, czy też za przydrożną tandetę. Na pewno robił wrażenie - wielka replika w skali jeden do jeden odlana z betonu i umieszczona na drugim końcu świata.

Prawdziwy Stonehenge tworzono przez szesnaście wieków, ten w Maryhill niewiele ponad dekadę. Miał upamiętniać śmierć trzynastu młodych mieszkańców hrabstwa Klickitat, którzy zginęli podczas pierwszej wojny światowej prawie sto lat wcześniej, a zarazem stanowić świadectwo życia człowieka, który nie bał się marzyć z rozmachem. Ponadto mawiano, że to miejsce potężnej magii dla kogoś, kto wiedział, jak uzyskać do niej dostęp.

Tę ostatnią informację traktowałam z przymrużeniem oka, bo przecież tak potężne miejsce powinno przyciągać wiedźmy albo gorsze stwory (choć niewiele było istot gorszych od wiedźm parających się czarną magią), a w ciągu żadnej z wielu wizyt nie wyczułam żadnego niebezpieczeństwa. Poza tym potrafiłam dość dobrze wyczuwać obecność mocy, a tu wyczuwałam jej tyle, co we własnym warsztacie.

Jednakże nocą sprawy miały się inaczej.

W chwili, gdy postawiłam stopę na wyrównanym placu, na którym stał pomnik, poczułam pulsowanie magii. Adam również, choć wilkołaki zwykle nie wyczuwają magii innej niż własna. Uniósł głowę i wciągnął nosem powietrze.

- Myślałam, że to miejsce jest za bardzo na widoku, jak na takie spotkanie. Widać je z autostrady. Ale teraz nagle zrozumiałam, dlaczego Kojot je wybrał. Słyszałam o liniach geomantycznych, jeszcze zanim nauczyłam się chodzić. Bran może i jest wilkołakiem, ale rozumie działanie magii, nawet jeśli

sam jej nie używa. - Zadumałam się, marszcząc brwi. - W każdym ja nic o tym nie wiem. Bywałam tu wielokrotnie i po raz pierwszy czuję moc.

- Linie geomantyczne? No, też coś czuję. - Zamknął oczy i jeszcze raz wciągnął nosem powietrze, jakby odcięcie się od jednego rodzaju bodźców mogło wyostrzyć jego zmysły na inne. - Linie geomantyczne, ta? A ja mam wrażenie, jakby mnie ktoś głaskał pod włos.

- To dobrze czy źle?

- Flirtujesz ze mną? - parsknął. - Przypominam, że mamy tu coś do załatwienia.

Przybyliśmy wcześniej. Mój mąż, nieustanny strateg, uznał, że tak należy. Podobały mi się te słowa w parze, „mój” i „mąż”.

- Z czego się cieszysz? Wyjaśniłam i też się rozpromienił.

- Jesteś beznadziejna. Całkiem. Mamy tu rozpoznawać teren, a nie robić do siebie słodkie oczy. Choć to w sumie chyba i tak nie ma znaczenia, bo teren został rozpoznany. - Objął mnie i kiwnął brodą w stronę wysokiego kamienia na zewnętrznym kręgu, gdzie siedziały dwa myszołowy.

- Uhm - przytaknęłam. - Nie wiadomo tylko, czy to wrogie zwiad, czy sprzymierzony.

- Sprzymierzony - odezwał się Jim, wychodząc z cienia niczym... Niczym indiański zwiadowca. - Okazało się, że Hankowi łatwiej jest opierać się diablcy, kiedy jest w formie zwierzęcej, więc uznaliśmy, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli na razie pozostanie ptakiem.

Niełatwo jest podejść kojota, trzeba poruszać się pod wiatr, bezszelestnie, w całkowitych ciemnościach, wtapiając w otoczenie. Z miny Adama wywnioskowałam, że on też nie zauważył Jima. Zasalutowałam Indianinowi, okazując uznanie.

- Każdy szaman potrafi podchodzić tak niezauważalnie jak ty? - zapytałam.

Jakby w odpowiedzi, w tej samej chwili rozległ się chrzęst żwiru i głos Calvina nadchodzącego tak głośno, jak tylko człowiek potrafi.

- Wujku? Jesteś tu? Zaparkowałem tam, gdzie mi kazałeś. - Potknął się na jakiejś nierówności. - Czemu, do licha, nie możemy używać latarek? Koniecznie musimy sobie poskręcać karki? - Ostatnie powiedział ciszej, podejrzewałam, że tylko do siebie.

- Na pewno nie wszyscy - odrzekł Jim niepotrzebnie.

- Gdzie jesteś? - zawołał Calvin.

Nie widział nas, choć staliśmy kilka metrów od niego, a na niebie świecił sierp księżyca. Pokusiłam się o wyobrażenie sobie, jak by to było poruszać się w nocy na oślep. Czułabym się całkiem bezbronna. Nic dziwnego, że ludzie wypatrywali w mroku potworów.

- Jesteśmy tutaj - odezwał się Jim i Calvin zaczął iść ku nam. Ujrzał nas w połowie drogi. Wywnioskowałam to po jego postawie. Najwyraźniej jego wuj także, bo powiedział:

- Hauptmanowie już są. A Fred i Hank siedzą na pomniku.

Calvin przyspieszył kroku.

- Skoro wszyscy już są, to czy musimy czekać do północy?
- Zobaczymy. Ziemia jest dzisiaj hojna. Czekaj na nas - stwierdził Jim.
- Natura nie znosi pustki - powiedziałam. - Jak to możliwe, że nie ma tutaj jakichś paskudnych stworzeń zasysających moc?
- To nasze miejsce - wyjaśnił Calvin.
- Szamańskie? Niedostępne magom, wiedźmom i magicznym istotom? - zapytał Adam wyraźnie zafascynowany. - Słyszałem o czymś takim, ale bez konkretów. Zakładałem, że to ukryte miejsca.
- Są niedostępne dla innych istot korzystających z mocy, w każdym razie nie bez masy wysiłku - rzekł Jim. - I czasu. A to publiczne miejsce. Mój dziadek zlikwidował sabat. Musiał spalić całe miasto i Maryhill nigdy się z tego nie podniosło, lecz żadna wiedźma już nie próbowała. Nie wiem, czy ten brak dostępu dotyczy też ludzi, ale nawet jeśli nie, łatwiej by im było znaleźć równie potężne miejsce gdzieś nieopodal i lepiej ukryte. W końcu linie geomantyczne to linie, a nie pojedyncze punkty. Z tego, co słyszałem, magowie nie mogą krzywdzić żywych istot, jednak żadnego tu nie widziałem.
- To miejsce było magiczne, jeszcze zanim zbudowano tu Stonehenge - dodał Calvin. - Ale krąg chyba ułatwił dostęp do magii. W okolicy jest kilka innych uznanych przez tradycję miejsc mocy i pewnie były potężniejsze, zanim Sam Hill postawił tu to.
- Czy Kojot mówił, co zamierza uczynić z tą magią? - zapytałam.

- Kojot? - zdziwił się Calvin. - Jaki kojot?

- Ten Kojot - rzucił Jim lakonicznie.

Calvin uśmiechnął się niepewnie, zamrugał i nagle pojał.

-Jak to: Kojot? - Potem spojrzał na mnie. - Ona zna Ko... -
Urwał w pół słowa, gapiąc się na mnie. -Niech to lichy! - jęknął
z podziwem. - Niech to cholerne lichy!

-Język, młody człowieku - mitygował go Jim.

- O kurde bal... - Calvin zamknął usta. - A więc to dlatego!
Dlatego jesteś zmiennokształtnym, mimo że masz białą matkę.
Twoim ojcem jest ten cholerny Kojot!

Nie wiem czemu, ale reakcja Calvina mnie uraziła.

- O nie. Wiem z najlepszego źródła, że Kojot nie jest moim
ojcem. Moim ojcem był indiański ujeżdżacz byków, który
zginął w wypadku samochodowym, zanim jeszcze się
urodziłam. - Nie miałam stuprocentowej pewności, że Kojot
nie był moim ojcem, ale on się za niego nie uważał, a skoro
Kojot się wypierał, ja nie zamierzałam przyznawać się do
niego.

Calvin powątpiewająco zmarszczył brwi.

- Nie jestem - wycedziłam z naciskiem - żadną córką żadnego
Kojota.

- Dobrze, że sobie to wyjaśniliśmy - zbył naszą wymianę zdań
Jim. - Tak, owszem, Kojot powiedział mi, co zamierza, i dał
wskazówki. Wszystko jest już na miejscu w wewnętrznym
kręgu.

- No to chodźmy tam - zaproponował Adam. Ujął Calvina za
przedramię. - Poprowadzę cię, żebyś się nie przewrócił.

Przeszliśmy obok Heel Stone, głazu zwanego Piętą, pięciometrowego bloku umieszczonego w pewnej odległości od pozostałych, a potem pod jedną z kamiennych belek ułożonych w nieprzerwany krąg na pionowych blokach. Zerknęłam podejrzliwie do góry, gdzie na betonowym poprzecznym bloku siedziały myszołowy.

Znajdowały się ze cztery metry ponad naszymi głowami, ale mój wewnętrzny kojot uważał, że to nie dość daleko. Poza tym robiliśmy zdecydowanie zbyt wiele hałasu, bo żwir nie sprzyjał bezszelestnemu poruszaniu się.

- Myszołowy polują za dnia - przypomniał mi Adam i przesunął rękę, by prowadzić Calvina za ramię. - Bez broni nocą Hank nie ma szans z wilkiem.

Jeden z ptaków zaskrzeczał i Adam uśmiechnął się równie wyzywająco, jak obelżywie odezwał się ptak.

- Kiedy tylko sobie życzysz, myszołowie - stwierdził.

Nadal nie przeszło mu po tamtym postrzale. Zresztą mnie też, kiedy się zastanowiłam.

- Dotarliśmy z Calvinem jakąś godzinę temu - odezwał się Jim, ignorując wilczo-ptasie zaczepki. -I przy świetle reflektorów ustawiliśmy wszystko, co trzeba. Kojot stanowczo zabronił używania podczas rytuału jakichkolwiek zaawansowanych technologicznie źródeł światła. - Spojrzał na Calvina, a ja nabrałam pewności, że widzi w ciemności dużo lepiej niż siostrzeniec. - O latarkach wspomniał wprost. Ale ja jestem już stary i wierzę w zasadę „robić tak,

żeby się nie narobić", dlatego podjechaliśmy furgonetką.

Stonehenge składał się z Heel Stone oraz dwóch szeregów koncentrycznie ułożonych bloków: zewnętrznego, utworzonego z menhirów wspierających poziomo ułożone bloki, oraz drugiego, wyznaczonego przez dwuipół-, trzymetrowej wysokości monolity.

Wewnątrz, w kształcie podkowy otwierającej się na Heel Stone, stało pięć trylitów. Wielkie pary kamieni z poprzecznymi blokami przypominały mi zawsze zszywki tapicerskie, o krótkich poprzeczkach i długich pionowych drucikach. Gigantyczne zszywki ustawiono po dwie po bokach podkowy i jedną pośrodku. Były wyższe od zewnętrznego kręgu, a środkowa górowała nad wszystkimi. Wewnątrz stał jeszcze jeden szereg pojedynczych kamieni ustawionych również w podkowę.

Na szczytach monolitów wewnętrznego i zewnętrznego kręgu znajdowały się ogromne znicze z grubego szkła z wielkimi świecami w środku. Knoty były czarne, wyraźnie używano ich już wcześniej.

Przed największą z cementowych zszywkopodobnych konstrukcji stał ołtarz jakieś trzy metry długi, metr szeroki i ponad pół metra wysoki.

Przed nim zgromadzono trochę drewna na ognisko, które otoczono niewielkim walem usypanym ze żwiru ciemniejszego i grubszego niż ten, którym wysypany był plac. Schyliłam się, żeby dotknąć żwirowego kręgu.

- Rano, kiedy będzie coś widać, przyjedziemy tu posprzątać - wyjaśnił Jim. - Za pomocą żwiru usuniemy ślady ogniska. Nie chcielibyśmy, żeby jakieś dzieciaki je zobaczyły i wpadły na pomysł urządzania tu nocnych imprez. Poza tym to też zabezpieczenie, żeby ogień się nie rozprzestrzenił. O tej porze roku miewamy tu pożary łąk, a ja nie chcę zostać podpalaczem.

Adam wspiął się na jeden z głazów, żeby przyjrzeć się bliżej świecom. Swobodne podciągnięcie się miało pokazać, jaką siłą wilkołak dysponuje. Zeskoczył na ziemię i otrzepał ręce.

- Nie będzie łatwo je zapalić - zauważył.

- Mamy składaną drabinkę, za pomocą której ustawiliśmy znicze na kamieniach - powiedział Calvin. Trzymał się blisko Adama, ale zerkał na mnie raz po raz. Wreszcie popatrzył otwarcie i zmarszczył brwi. - Masz podbite oko, Mercy?

Dotknęłam sińca.

- Wdała się w bójkę w Wal-Marcie - wyjaśnił Adam, a ktoś, kto go nie znał, nie wychwyciłby nutki rozbawienia w jego głosie.

- Co?!

- Została napadnięta.

- Powinniście zobaczyć tamtą laskę. - Uśmiechnęłam się i nagle uświadomiłam sobie, że kogoś brakuje. - A gdzie Jim? - Mówił do mnie jeszcze minutę temu. Byłam przekonana, że chrząszczący żwir uniemożliwi mu bezszelestne skradanie się. Najwyraźniej się myliłam.

- Poszedł się przebrać i przygotować - powiedział Calvin. - Tam dalej jest mały budynek. Kiedyś znajdował się tam sklepik z pamiątkami, ale od paru lat jest zamknięty. Wuj Jim ma do niego klucz. Lepiej zabiorę się za zapalanie świec, bo trochę to potrwa.

- Pomożemy ci - zaproponował Adam, wyjmując z kieszeni zapalniczkę. Sam co prawda nie palił, ale był mistrzem przezorności.

- Mam tylko jedną drabinę - oświadczył Calvin.

- To nic, damy sobie radę - uspokoił go Adam i w jednej sekundzie złapał mnie pod boki i wsadził sobie na ramiona.

- Ej! - oburzyłam się. Gdyby mnie ostrzegł, poszłoby nam zręczniejsz, a tak zaskoczona, potrzebowałam chwili, żeby odzyskać równowagę. Adam odczekał, aż się usadowię, a potem poklepał mnie po biodrze.

-Ja tam nie potrzebuję drabinek - powiedział, podchodząc do kamienia i podając mi zapalniczkę. -Mam Mercy.

Mimo że pracowaliśmy na cztery ręce, i tak zapalenie świec zajęło nam sporo czasu. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, ile ich było. Co najmniej trzydzieści, a może nawet z pięćdziesiąt.

Kiedy skończyliśmy, zapachniało świętami. Przypadkiem czy celowo, spotkaliśmy się z Calvinem przy ostatnim kamieniu, przy ołtarzu. Adam zestawił mnie na ziemię, pozostawiając Calvinowi zapalenie ostatniej świecy. Pulsowanie magii stało się sil-

niejsze, moc strzeliła niczym płomień w chwili, gdy moje stopy dotknęły ziemi. Zachwiałam się i Adam, myśląc pewnie, że nie mogę złapać równowagi, przytrzymał mnie.

Calvin zszedł na ziemię, schował zapalniczkę i złożył drabinkę.

- Zaniósę ją do samochodu, a wy tymczasem się przemieńcie. Jim kazał wam przekazać, że to konieczne.

- Wiesz, co Kojot każe nam robić? - zapytałam.

- Nie. - Młodzieniec spuścił oczy. Prychnęłam, zanim zaczął się tłumaczyć.

- Wiesz co, daruj sobie. Nie znam gorszego kłamcy od ciebie. To nic złego, ale pamiętaj o tym i postaraj się to jakoś obejść. Staraj się zagadkowo milczeć i nie odpowiadaj nigdy w momentach, kiedy musiałbyś kłamać. - Tak robił Bran. Nawet on nie umiał kłamać w oczy innemu wilkołakowi. W każdym razie tak mi się wydawało.

- Ile mamy czasu? - zapytał Adam. - Zmienne-kształtnym przemiana zabiera sekundę, ale ja potrzebuję dłuższej chwili.

- Kurczę, nie wiedziałem. Mogłem ci powiedzieć, zanim zaczęliśmy zapalać świece. Przepraszam.

- Skoro jesteśmy potrzebni, to poczekają - podsumował Adam.

- Tak - przyznał Calvin. - Wiem, że do rytuału jesteście potrzebni oboje. - Ruszył w stronę parkingu, ale zatrzymał się w pół kroku. - Czekaście, Fred mówił, że pytaliście o zaginięcia na Kolumbii. Miałem to sprawdzić, więc podpytałem znajome-

go w straży rzecznej. Powiedział, że w ciągu ostatnich trzech tygodni pomiędzy zaporą Johna Daya a tą w Dalles zaginęło dwadzieścia sześć osób, i to nie licząc czteroosobowej rodziny, która zniknęła jako ostatnia. Ich samochód stał opuszczony w pobliżu rzeki na terenie parku stanowego po oregoń-skiej stronie. To więcej zaginięć niż w ciągu całych pięciu ostatnich lat.

- Jaka rodzina? - zapytałam bez tchu.

- Makler, jego żona nauczycielka i dwójka małych dzieci.

- Lee i Janice Morrison. - Sen stał się rzeczywistością. Mogłam coś zrobić, ostrzec ich. Mogłam zrobić cokolwiek.

Adam położył mi rękę na ramieniu.

- Kiedy to było? - zapytał Calvin.

- Trzy dni temu.

Czyli wcześniej, niż mi się to śniło. Śniłam

O czymś, co już się wydarzyło. Nie miałam szansy, żeby temu zapobiec. Powinłam się poczuć dzięki temu lepiej, ale niestety - nie czułam.

- Myślę - zaczął Adam łagodnie - że możemy z powodzeniem uznać tego potwora za istotę, którą należy złapać i zgładzić.

- Wieść niesie, że do śledztwa włączyło się FBI. Podejrzewają seryjnego mordercę. Na razie nic nie ogłaszali, bo nie chcą zachęcać sprawcy ani wywoływać paniki. Znajomy był ciekaw, dlaczego wypytuję, ale powiedziałem, że to z powodu Faith i Benny'ego. - Calvin spojrzał na mnie. - W ten sposób go w sumie nie okłamałem.

- Dobra, chodźmy się przemienić - powiedziałam. Chciałam oderwać się od myślenia o Janice i jej rodzinie. Odeszli i w żaden sposób nie mogłam im już pomóc.

W domu, w obecności stada, zrzucilibyśmy po prostu ubrania i się przemienili. Jednak ja nie czułam się już wśród obcych ze swoją nagością tak swobodnie jak kiedyś. A nawet jeśli ja bym się przemogła, Adam i tak nie zrobiłby tego na oczach ludzi.

Bran nie życzył sobie, by wilkołaki dokonywały przemiany na widoku. Same wilkołaki były piękne, jednak przemiana w nie okropna. Nie ma sensu straszyć ludzi, argumentował Bran, szczególnie że nadal trwał okres osvajania kamer z wilkami.

Z tych powodów opuściliśmy placyk z pomnikiem i ukryliśmy się za pobliskim pagórkiem. W ten sposób pozostawaliśmy niewidoczni dla reszty, zakładając, że Fred i Hank będą siedzieli na miejscu.

Mimo to czuliśmy się jak na patelni. W okolicy nie było żadnych drzew, a widok zza pagórka roztaczał się na całą przestrzeń, po rzekę i dalej, aż po autostradę. Choć w nocy nikt nie mógł nas stamtąd zobaczyć, to wrażenie mieliśmy zgoła inne.

Rozebraliśmy się. Złożyłam ciuchy w ciasną kostkę, żeby zniechęcić zwabione ciepłem owady do usadowienia się w fałdach tkaniny. Skarpety schowałam do butów.

- Poczekam, aż się zmienisz - powiedziałam. W ten sposób mogłam pilnować Adama i w razie czego zapobiec zakłóceniom.

Przemiana w kojota też nie przychodziła ot, tak sobie, bez niczego. Mogłam co prawda dokonywać jej kilka razy dziennie, ale w końcu wysiłek dawał mi się we znaki. Potrafiłam też nie zmieniać się bardzo długo, całymi miesiącami. Z wilkami było inaczej.

Wilkołaki pozostawały we władzy księżyca. Musiały przemieniać się podczas pełni i w tym okresie trudniej im było też kontrolować wilka. Jednak niektóre wilkołaki zmieniały postać tylko w te dni, dwa, trzy razy w miesiącu. Ich transformacja bywała bolesna i pochłaniała wiele energii. Niektóre nawet nie potrafiły przemienić się więcej niż dwukrotnie w ciągu tygodnia. A Adam ostatnio robił to bardzo często.

Tym razem jego przemiana przebiegała wolniej niż zwykle i wyglądało na to, że jest również bardziej bolesna. Usiadłam na kupce ubrań, rozważając, czy nie lepiej było poczekać też z rozbieraniem się. I tak dobrze, że nie byłam mokra, więc nie marzłam. Trzymałam się blisko Adama, ale nie na tyle, by go przypadkiem dotknąć i zranić.

Pulsowanie magii stało się jakby bardziej regularne, przypominało bicie serca. Wydawało mi się, że było też mocniejsze, ale możliwe, że to dlatego, że siedziałam na ziemi. Nie było to nieprzyjemne, raczej niepokojące.

- Mercy?! - zawołał Calvin. - Jeszcze nie! - odkrzyknęłam.

- A ile to potrwa?

- Tyle ile potrwa - warknął Adam chrapliwie, uwięziony w połowie pomiędzy formami.

Przepływ magii zatrzymał się, jakby zakłócił go głos Adama, a potem znów ruszył rytmicznie. Nie podobało mi się to.

- Wszystko w porządku? - zapytałam. Milczenie musiało mi wystarczyć za odpowiedź. Adam dyszał coraz ciężiej i zaczęłam się poważnie martwić.

- To przez magię ziemi - powiedział Kojot, siadając obok mnie.

Adam warknął, i choć był to dźwięk pełen cierpienia, ochrypy, to brzmiał nie mniej groźnie.

- Nie zrobię krzywdy ani tobie, ani twojej towarzyszce - uspokoił go Kojot. - Będę stał na straży. Mieli wam powiedzieć, żebyś przemienił się przed przybyciem tutaj. Pewnie ta informacja zaginęła gdzieś na linii Jim - Calvin. Matka Ziemia nie zmienia się łatwo, to cecha wody i ognia. Moc ziemi utrudnia przemianę wilkołaka, ale nie powinna jej uniemożliwić.

Nie brzmiało to dobrze, ale trzymałam buzię na kłódkę, wiedząc, że w magii liczy się też intencja i wola. Nie było sensu dorzucać Adamowi wątpliwości na zapas.

- Co będziemy dzisiaj robić? - zapytałam, żeby zająć czymś myśli.

- Pewnie marnować czas. - Kojot wpatrywał się w leżący u naszych stóp świat. Skojarzyłam, że rzad-

ko zwracał się do mnie bezpośrednio. Zwykle mówił w przestrzeń.

- A jeśli go nie zmarnujemy? - Czekałam na odpowiedź, starając się nie słuchać odgłosów wydawanych przez Adama, bo on nie chciałby, żebym się w nie wsłuchiwała. Czułam lęk, który starał się zdławić. Nie mógł pozwolić, by ten strach ogarnął także i mnie. - No, powiedz. To nie żadna tajemnica, skoro nawet Calvin wie.

Kojot zachichotał, klepiąc się po udzie.

- Racja. Dobrze, już dobrze. Mam nadzieję, że uda mi się wezwać pomoc. Nie jesteśmy już tym, czym byliśmy niegdyś, a niektórzy z nas nigdy nie lubili mieszać się w sprawy ludzi. Ale Kruk jest ciekawski, a Wydra ma w tym własny interes. - Zamilkł, zerknął na mnie i dopiero podjął: - Piękne limo, Mercy. Wiesz, po głębszym zastanowieniu nie wykluczam, że Wydra może stanąć po złej stronie. To byłoby niefortunne.

- Zawołasz innych takich jak ty?

- Nie ma innych takich jak ja - zaperzył się. - Nikogo tak przystojnego czy silnego. Ani mądrego lub zdolnego. Nikt nie jest bohaterem tylu legend. No i nikt poza mną nie przyniósł ludziom ognia, żeby mogli piec swoje mięso i ogrzewać się zimą. Ale owszem, liczę, że uda mi się wezwać innych.

- Ci inni to kto dokładnie? To znaczy czym jesteś ty? - Magiczne istoty, a przynajmniej część z nich, znalazły swoje miejsce wśród pradawnych ludów Europy jako bóstwa. Jednak legendy o Kojocie nie

brzmiały jak podania starej wiary. Kojot był w nich potężny, ale nie domagał się czci.

- Czytałaś Platona?

- A ty? - odpaliłam. Wizja Kojota czytającego „Państwo” lub „Obronę Sokratesa” wydawała się tak absurdalna, że aż prawdopodobna.

- Znasz jego teorię świata idei? - kontynuował Kojot, nie odpowiadając na moje pytanie.

- Mówi, że nasz świat nie jest rzeczywistością, a jedynie jej odbiciem. W świecie rzeczywistym istnieją doskonałe prototypy przedmiotów istniejących w naszym świecie jako ich niedoskonałe odwzorowania i dlatego, patrząc na krzesło, które widzimy po raz pierwszy, możemy powiedzieć, że to krzesło. Dzieje się tak, ponieważ w świecie rzeczywistym istnieje przedmiot będący ideałem krzesłości. - Wykorzystywałam swój stopień naukowy przynajmniej dwa razy do roku, czy był ku temu powód, czy też nie.

- No, coś w tym rodzaju. Ja jestem Kojotem doskonałym. Pierwowzorem wszystkich kojotów. Idea. - Uśmiechnął się. - Ty natomiast jesteś moim odwzorowaniem.

- Powinieneś nazywać się Narcyz - powiedziałam, starając się nie podskakiwać na dźwięk odgłosów wydawanych przez Adama. - Szkoda, że to nie ty jesteś naszym przeciwnikiem. Wystarczyłoby ci pokazać lustro, a utknąłbyś przy nim, podziwiając samego siebie.

- Ale wtedy ty nie nazywałabyś się Mercy, a Ta, Która Przechytrzyła Kojota. - Wziął mnie za rękę

i powiedział cicho: - Już niedługo. Ale zostanę tu z tobą, dopóki nie pozwoli ci spojrzeć sobie w oczy, żebyś nie zrobiła tego za wcześnie.

- Czy twoje siostry naprawdę są jagodami w twoim brzuchu?

- Ha, ha - skwitował uradowany. - Powinnaś usłyszeć od kogoś mniej grzeczne wersje legend o mnie. Są dużo zabawniejsze. Niestety, skromność nie pozwala mi opowiadać o sobie.

Zaśmiałam się, a taki był jego cel.

- Siostry do mnie teraz nie przemawiają - oświadczył z wielką i równie wielce udawaną godnością. - Nieważne więc, czym są.

Adam podniósł się z głuchym warknięciem. Spuściłam głowę na znak, że nie stanowią zagrożenia. Po trudnej przemianie Adam potrzebował paru minut, by odzyskać kontrolę nad wilkiem. Ku memu zdumieniu Kojot uczynił to samo.

- Podoba mi się ten twój mąż - wyznał. Może właśnie dlatego tak postąpił. - Chciał się na mnie rzucić za to, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo, ale kiedy go powstrzymałaś, nie zrobił tego. Tak być powinno, żeby mężczyzna słuchał rad mądrej kobiety.

- Tak jak ty słuchasz swoich sióstr? - zapytałam, a wilk szturchnął mnie nosem w ucho. Podniosłam głowę, odsłaniając szyję i pozwalając mu się skubnąć zębami. Aż zadrżałam.

- To mądre kobiety - przyznał Kojot. - Tyle że czasami są bezczelne i porywcze. Powinny popracować nad poczuciem humoru. Ale nie zgadzają się

ze mną, więc wobec tego może wcale nie są takie znów mądre?

Adam otrząsnął się, kłapiąc uszami - dawał znak.

Spojrzałam na niego. Wskazywał pyskiem pomnik. Przemieniłam się w kojota i chyba przyszło mi to z większym wysiłkiem niż zazwyczaj, a potem podążyłam za Adamem. Kojot szedł z nami.

Zawsze to lepiej niż Baba Jaga albo dziewczynka z jo-jo, pomyślałam.

Kiedy wstępowaliśmy w krąg, Gordon rozmawiał cicho z Jimem i Calvinem. Jim był boso, miał na sobie ciemne dżinsy i koszulkę z długim rękawem, która w świetle świec wydawała się niebieska, choć nie mogłam ufać kojociemu wzrokowi w kwestii barw. Na przykład buty Gordona wydawały mi się czarne, choć pewnie były to te same jaskrawoczerwone kowbojki, które nosił wcześniej. Na T-shirt Gordon narzucił flanelową koszulę.

- Zaczynałem się już zastanawiać, czy nie czas na mnie - powitał nas chłodno.

- Magia ziemi nie pomaga w przemianie, jeśli jest się wilkołakiem - odparł Kojot. - To dlatego powiedziałem temu tu Jimowi, żeby Mercy przyszła tu już z wilkiem.

- Kazałem powiedzieć Mercy, żeby przyprowadziła wilka - zirytował się Jim. Zaczynałam podejrzewać, że każdy tak ma po chwili spędzonej z Kojotem.

Oczy Calvina zrobiły się jak spodki. Wyglądał, jakby spodziewał się, że Jima zaraz trafi piorun. Kojot zaśmiał się tylko.

- Mercy, usiądź tam, na ołtarzu. - Zwrócił się do myszołowów: - Wy dwaj usiądźcie obok niej.

Gordon również nie wydawał się być pod wrażeniem Kojota.

- Cokolwiek zrobisz na oczach Hanka, diablica też to zobaczy - zauważył.

- A niech sobie patrzy - zbył go Kojot. - Nawet jeśli nic innego się nie wydarzy, chyba dam radę wyleczyć Hanka. Myszołów jest mi winien kilka przysług.

Wskoczyłam na ołtarz i z pewnym wahaniem usiadłam obok myszołowów. Na płycie zamontowano plakietkę z brązu, ale było zbyt ciemno, by odczytać napis. Adam wskoczył za mną i natychmiast położył się zwinięty wokół mnie w kłębek, odgradzając własnym ciałem od reszty drapieżników.

- Adam - zaczął Kojot cierpliwie - nie jesteśmy Aztekami i nie złożymy w ofierze twojej żony. Po prostu nie może dotykać ziemi, podczas gdy Jim będzie tańczył. Jednak, w razie gdyby na wezwanie przybył Wilk, nie możesz mieć głowy ponad jego, bo skończy się to katastrofą. Zwykle zjawia się jako człowiek lub człowiekopodobny, ale najbardziej lubi wilczą skórę. Czy mógłbyś wobec tego zająć miejsce przed ołtarzem? Pomiędzy nim a ogniskiem?

Adam wyszczerzył się bezgłośnie na myszołowy, dając im jasne ostrzeżenie, a potem zeskoczył i usiadł tam, gdzie wskazał mu Kojot.

Brwi Gordona podjechały prawie pod linię włosów.

- Grzeczny Kojot?

Kojot mruknął coś w nieznanym mi języku.

- A myślałem, że to nie twoja córka - odpowiedział Gordon beznamiętnie. - To znaczy, że wilkołak nie może być twoim zięciem.

- Dobrze, powiedzmy więc, że go szanuję i nie uśmiecha mi się wdawać dzisiaj w żadne psie walki. A teraz, pozwolisz?

Przemienił się. Zrobił jeszcze szybciej niż ja, choć nie mogłam być tego całkiem pewna. W mgnieniu oka tam, gdzie stał, pojawił się kojot wielkości bernardyna. Podszedł do głazu na końcu podkowy i wskoczył nań.

Gordon skrzywił się kwaśno i nagle stał się wielkim orłem. W życiu nie widziałam tak ogromnego, choć widywałam spore orły. W ptasiej formie był wyższy od siebie jako człowieka. Trudno było mi ocenić barwę jego upierzenia, ale zdawał się kilka tonów ciemniejszy od myszołowów. Kiedy jednak rozłożył skrzydła, zdałam sobie sprawę, że Gordon nie jest wcale orłem. Żaden orzeł nie miał tak ogromnej rozpiętości skrzydeł.

- Ptak Grom - jęknął Calvin z nabożnym szacunkiem. - Dziadek mówił, że jesteś Ptakiem Gromem, ale to było już wtedy, kiedy częściej wołał mnie imieniem ojca niż moim własnym.

Ptak Grom.

Ptaszysko pochyliło się i otarło wielkim łbem o bok głowy Calvina. A ponieważ chłopak jej nie

stracił, uznałam, że to jakiś rodzaj pieśczęoty. Ptak poderwał się i pół susem, pół lotem wskoczył na głaz naprzeciwko Kojota. Z nimi na czubkach, monolity wydawały się znacznie mniejsze. Gordon-Ptak Grom zaczął przesuwac znicz, aż umieścił go tam, gdzie chciał. Płomień świecy oświetlił jego pióra, przydając im czekoladowego odcienia. Gordon zakiwał się w tył, w przód, strzepnął skrzydłami i w końcu znieruchomiał.

Calvin przyniósł zwinięty dywan, bębenek i wyszywaną koralikami skórzaną torbę. Torba była z niewyprawionej skóry, taka, jakiej zwykle używali Indianie z równin, a nie z płaskowyżu, jak Jakimowie. Doszłam jednak do wniosku, że pewnie szaman może sobie wybierać utensylia według uznania.

Calvin postawił torbę przy stosiku niezapalonego drewna, po czym ceremonialnie rozwinął dywan i ułożył go równo z ołtarzem. Wreszcie wziął bębenek i usiadł obok Adama.

Jim stanął przed dywanem i zamknął oczy. Wyglądał, jakby się modlił, a cokolwiek czynił, sprawiło to, że magia stała się czujna i uważna. Wyczuwałam to, nawet siedząc na betonowym bloku.

Jim wstąpił na dywan i przytrzymał dłoń nad stosikiem drewna.

- Drewno - rzekł - które połknęło płomień Istot Ognia, czas się zapalić.

Adam drgnął na widok małego płomyka, ale Calvin i Jim nie wydawali się zaskoczeni.

Jim kiwnął głową do siostrzeńca, który zaczął uderzać w bęben. Początkowo jedną ręką wybijał

prosty rytm. Niejednostajny, niepewny, zmienny, dopóki nie zgrał się z rytmem pulsującej pod nami mocy. Przez chwilę pozostał przy tym takcie, a potem przyspieszył, urozmaicając proste bębnienie ozdobnikami. Kiedy magia zgrała się z nim, zmienił tempo na szybsze, synkopowe. I magia dostroiła się do niego.

Ten moment obrał sobie wiatr na poryw, którym zgarnął dym z ogniska i wcisnął mi go w oczy. Zamrugałam, ale wraz z dymem musiało sypnąć we mnie i popiołem. Pochyliłam pysk i zaczęłam trzeć o łapy. Pomogło. Podniosłam głowę, gdy tylko przestało piec. Byłam sama.

ROZDZIAŁ 11

Przerażona, zerwałam się na równe nogi. Nadal słyszałam dudnienie calwinowego bębna, Czułam silną, pokrzepiającą więź z Adamem. Dzięki niej znalazłam odwagę, żeby zostać na miejscu. Odetchnęłam i rozejrzałam się, by ustalić, co mogło stać się z resztą.

Ogień płonął, świece się paliły, a na pogodnym nocnym niebie skrzyły się gwiazdy. Ziemię jednak zasnuwała mgła i poza zewnętrznym kręgiem nie było nic widać. W tej chwili uświadomiłam sobie, że jestem w ludzkiej formie i mam na sobie odzież, którą wcześniej złożyłam w kostkę. Wydawała się rzeczywista, czułam ją pod palcami, nawet tę sztywniejszą plamę po musztardzie, która po południu kapnęła mi na spodnie.

Mimo wszystko byłam pewna, że to wizja. Nie potrafiłam znaleźć innego wyjaśnienia, dlaczego nadal słyszę bęben.

Zjeżyły mi się włoski na karku, czułam, że ktoś mnie obserwuje. Nie było żadnego zapachu czy dźwięku, tylko wrażenie.

Może ten ktoś potrzebował zachęty?

- Halo?

- Witaj, Mercedes.

Odwróciłam się. Pod największą ze zszywkowatych konstrukcji przechodziły cztery kobiety. Ubrane były w identyczne stroje ślubne z białej irchy ozdobionej frędzlami i zębami wapiti. Ich bose, pokryte zgrubieniami i odciskami stopy oblepiał szarawy pył, jak gdyby przeszły długą drogę. Pachniały czystością i ziołami, jakby szałwią albo oczarem, ale z nutą słodczy.

Choć w okresie fascynacji własnym dziedzictwem zdobyłam nieco wiedzy na temat rdzennej ludności Ameryki, nie byłam ekspertem. Jednakże nie ulegało dla mnie wątpliwości, że każda z kobiet pochodzi z innego plemienia, nawet jeśli ich twarze były nierzeczywiście piękne. Pierwsza wyglądała mi na Nawaho albo Hopi, może też Apaczkę. Miała najciemniejszą skórę i łagodne rysy. Warkocze upięte w obwarzanki, jak u księżniczki Lei, tradycyjnie nosiły kobiety z plemienia Hopi, a w każdym razie jednego z plemion Indian Pueblo.

Druga miała okrągłą twarz Inuitki o niskich kościach policzkowych. Spoglądała na mnie przyjaźnie. Gęste włosy zaplotła w dwa warkocze opadające jej na ramiona.

Trzecia przypominała Indiankę z równin, choć nie potrafiłam powiedzieć, co konkretnie kazało mi

tak sądzić. Miała ostrzejsze rysy niż dwie pierwsze, a jej oczy błyszczały bystrością. Podobnie jak poprzednia, także nosiła warkocze, ale jej sięgały za pas. Jako jedyna z kobiet miała biżuterię - kościane kolczyki.

Włosy czwartej kobiety przypominały gęstą końską grzywę. Rozpuszczone, odgarnięte z twarzy do tyłu, spływały do połowy pleców. Nie miałam pojęcia, do jakiego plemienia mogła należeć, poza tym że była na pewno Indianką. Miała ostre rysy, wąski nos i pełne usta. To ona przemówiła pierwsza.

- Mercedes to nie imię dla Indianki. - Ton, podobnie jak słowa, wyrażał krytykę, ale nie podszytą emocjami. Takiej oceny można by spodziewać się po kobiecie oglądającej owoce na targu. Wydęła usta, jakby dumiała nad moim imieniem. - Jest mechanikiem. Powinniśmy ją nazwać Naprawiająca Samochody.

Pierwsza kobieta, przypuszczalnie Hopi, potrząsnęła głową.

- Nie, siostrze, raczej Niosąca Zmiany. Trzecia, Indianka z równin, ale nie z Wron, Czarnych Stóp czy Siuksów, skrzywiła się z dezaprobatą.

- Lekkomyślna Kojocica, Która Zadaje Się z Wilkiem. W skrócie: Kobieta Obiad.

Wesoła Inuitka zaśmiała się.

- Mercedes, Która Naprawia Volkswageny, ponieważ nasz brat nie sprowadził nas do ciebie, my sprowadziłyśmy cię do siebie.

- Brat? - zapytałam ostrożnie. Nadal stałam na ołtarzu, przez co patrzyłam na Indianki z góry. Nie

czułam się z tym dobrze, zeskoczyłam więc na ziemię, a wtedy siła magii omal nie ścięła mnie z nóg.

- Kojot - odparły równocześnie. Inuitka podtrzymała mnie, ratując przed upadkiem.

Uznałam, że siadanie na ziemi może być jeszcze gorszym pomysłem, skoro już stanie daje taki efekt, dlatego usiadłam na ołtarzu i podciągnęłam nogi.

- Nie potrafimy przewidzieć przyszłości - rzekła kobieta o ostrych rysach, której nie potrafiłam przypisać do żadnego z plemion. - Wiemy jednak, co planuje zrobić nasz brat. Powiedz mu, że to bardzo niebezpieczne, choć naszym zdaniem to jedyny sposób, by się udało.

- A co planuje? - zapytałam.

- My tutaj możemy ci powiedzieć. - Inuitka usiadła obok mnie, ale ze spuszczonej nogami. - Ale on tam nie może, póki nie pozbędzie się jej szpiegów. To dlatego sprowadziłyśmy cię tutaj. Dlatego i dlatego że chciałyśmy ci się przyjrzeć. Ten, Który Widzi Duchy, ty znasz go jako Jima Alvina, na krótko otworzył drogę pomiędzy nami. Kojot potrzebował bezpiecznego miejsca, by porozmawiać z innymi, Sokołem, Krukiem, Niedźwiedziem, Bobrem i resztą. Uznałyśmy, że ty powinnaś wiedzieć, co mówi.

- Diablica rzeczna - zaczęła Hopi-Navaho, może Apaczka - jest stworzeniem żyjącym jednocześnie w twoim i naszym świecie. W naszym jest nieśmiertelna, ale w twoim można ją zabić. A kiedy umrze, nie może wrócić, dopóki ktoś jej nie sprowadzi. Wtedy jednak powraca już większa i groźniej-

sza niż przedtem. Ostatnim razem, kiedy nasz brat walczył z diabolicą, uwięził ją, a nie zabił, licząc, że może się to okazać skuteczniejsze niż pozbawienie jej życia, które jak wiadomo działa na jakiś czas. -Zdecydowałam, że należy do Hopi, i w tej chwili rysy Indianki zmieniły się tak, że inne opcje przestały wchodzić w grę.

- Kto chciałby sprowadzić coś podobnego? - zdumiałam się.

Inuitka wzruszyła ramionami.

- Zawsze znajdzie się jakiś głupiec, a diablica rzeczna umie przemawiać do umysłów ludzi.

- Czirokezka! - Ucieszyłam się, rozwiązując zagadkę kobiety o ostrych rysach.

Uśmiechnęła się lekko, tajemniczo, takim samym uśmiechem jak Bran, który to uśmiech doprowadzał mnie u niego do szału.

-Jak sobie życzysz. - Przechyliła głowę na bok. -Diablica rzeczna to wcielony Głód, bo życie w obu światach dla istoty niemającej kotwicy w żadnym z nich pochłania wiele energii. Musi dostarczać pożywienie dla obu swych aspektów, dla ciała i dla ducha.

Wątek podjęła Indianka Hopi:

- Życie to zbiór możliwości. Nasiona posiadają możliwości, ale ich jutra zamknięte są w strukturze cyklu życia. Zwierzęta mają większe możliwości niż jodła czy źdźbło trawy. Lecz u większości zwierząt ograniczają je struktury instynktów, struktury życia. Największe możliwości mają ludzie, szczególnie młodzi. Kim mogą stać się dzieci, kiedy dorosną?

Z kim się zwiążą, w co będą wierzyły, co stworzą? Kreacja to potężne ziarno możliwości.

Indianka z równin, Dakotka, Wrona albo Czarna Stopa, dodała:

- Diablica żywi się możliwościami. Inuitka położyła jej rękę na ramieniu.

- Żywi się wykluczaniem tych możliwości. To dlatego pożera chętniej ludzi niż zwierzęta i zwierzęta niż rośliny. Ale najchętniej żeruje na dzieciach.

- Żywi się brakiem możliwości - skorygowała Indianka z równin, Szoszonka, uznałam w końcu. Wyglądała na Szoszonkę. Uśmiechnęła się, jakby usłyszała moje myśli. To był szeroki uśmiech, jak jej brata. - Im większe możliwości, tym lepiej zaspokajają jej głód. A kiedy jest syta, musi strawić pożywienie i w świecie duchów, i w świecie materialnym. A podczas trawienia jest bezbronna.

- Kojot i tacy jak on, Sokół, Niedźwiedź, Łosoś, Wilk, Ptak Grom oraz reszta, mają ogromne możliwości, większe nawet niż noworodek. - Czirokezka okręciła się z wdziękiem, zataczając krąg, jakby wskazywała Kojota i jemu podobnych. - Jeśli Kojotowi uda się przekonać ich, by pozwolili się pożreć diablicy, może wystarczy ich, by nasycić potwora całkowicie. Potem będzie musiała ich strawić i stanie się bezbronna.

- A wtedy ktoś musi ją zabić - podjęła Inuitka, patrząc na mnie wielkimi, ciemnymi oczyma. Z bólem serca uświadomiłam sobie, że to mnie ma na myśli.

- A Fred albo Hank? - zapytałam. Adam się nie nadawał. Co prawda był najsilniejszy, ale nie mógł pływać. Nie pozwolę mu wejść do rzeki.

- Są podatni na piętno diablicy. - A potem dodała, jakby śledziła tok moich myśli: - Co do wilkołaka, to nie wiem. Sam nie miałby większych szans niż pozostali, ale może przy pomocy stada...?

- Możliwe też, że dzięki niemu zyskałaby dostęp do całego stada - sprzeciwiła się Hopi. - Nie, to ryzykowne. Woda nie jest żywiołem wilkołaków, choć jest żywiołem przemian.

- Jednak musi umrzeć - rzekła Szoszonka. - Pożywienie ją wzmacnia. Jeśli nie zginie, zanim strawi tak potężny posiłek, jakim chce ją nakarmić nasz brat, potem będzie dużo, dużo silniejsza niż teraz.

- A może atak sił zbrojnych? - Szukałam rozwiązania. - Broń nuklearna? Znam ludzi, którzy potrafiliby przekonać wojsko. - Bran mógłby. Nie ujawnił się, ale w razie potrzeby umiał załatwić wszystko.

Hopi pokręciła głową.

- Nie. Nowoczesna broń na diablicę nie działa. Tylko coś prostego, przeciwieństwo jej żywiołu wody, czyli ziemia. Kamienny nóż.

- Kończy się nam czas - powiedziała Czirokezka. - Musisz wracać.

Szoszonka dotknęła mojej twarzy.

- Powiedz naszemu bratu, że jest mądry i nie mamy dla niego żadnych rad.

- Twierdził, że to wy się do niego nie odzywacie - przypomniałam sobie.

Roześmiała się smutno.

- Kojot zazwyczaj nie kłamie, ale czasami zapomina. To on jest na nas zły. Dałyśmy mu radę, która mu się nie spodobała. Rozgniewał się.

Czirokezka spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

- Powiedziałyśmy mu, że ze związku Starego Joe'go Kojota z białą kobietą nie wyniknie nic dobrego.

Inuitka pogładziła mnie po nodze.

- Myliłyśmy się.

- Kojot jest jak diablica rzeczna, prawda? - zapytałam. - Żyje w dwóch światach. Dlaczego on nie pożera wszystkiego, co wpadnie mu w ręce?

- Kojot przebywa tylko w jednym świecie w jednym czasie - wyjaśniła Czirokezka. - Może to robić, bo tu czekamy na niego my, a tam ma swoich potomków.

- Kojot rozumie, że wszechświat to jedność - dodała Inuitka pobłażliwie.

- Kojot - rzuciła Hopi sucho - nie usiłuje zrozumieć wszystkiego i dlatego właśnie rozumie tak wiele.

- Co się stanie, kiedy diablica pożre ich wszystkich? Kojota i resztę? - W legendach Kojot umierał i odradzał się następnego dnia, ale w słowach kobiet wyczuwałam rezygnację, która zwiastowała poważniejsze zakończenie.

Wymieniły spojrzenia, których nie potrafiłam odczytać.

- Nie wiemy - przyznała Inuitka zapatrzona w otaczającą nas mgłę. - Mówiłyśmy ci, nie znamy przyszłości. Jesteśmy tylko mądrymi doradczyniami.

- Możliwe, że tym razem Kojot chodzi po waszym świecie już po raz ostatni - powiedziała Czirokezka cicho. - Tyle się zmieniło, trudno orzec, co przyniosą te zmiany.

- Niektórzy od dawna nie odwiedzają tego świata. - Oczy Szoszonki napełniły się łzami. - Diablica rzeczna tkwi w obu światach, więc może rozrzucić ich po całym wszechświecie.

- Nie martw się tym, czego nie można zmienić. -Hopi usiadła na ziemi i poklepała mnie po tenisówce. - Nawet jeśli Kojot nie odrodzi się ze wschodem słońca, zawsze pozostaje nadzieja nowego świtu. Chodźcie, siostry, czas ją odesłać.

- Chyba jest do mnie trochę podobna - powiedziała Szoszonka. - Jak myślicie?

Jej słowa dźwięczały mi w uszach, kiedy znalazłam się tam, gdzie byłam. Wiedziałam, że upłynął pewien czas, bo Jim klęczał teraz na dywanie i wrzucał do ognia liście tytoniu. Nucił, a choć w niezrozumiałym języku, słowa nie brzmiały dla mnie obco.

Adam polizał mnie po nosie, a potem uszczypnął zębami - wobec tego zauważył, że mnie nie było. Postanowiłam zapytać go później, czy moje ciało zniknęło całkiem, czy też czekało na ołtarzu. Potarłam go nosem na znak, że wszystko ze mną w porządku.

Jeden z myszołowów - nie wiem który, bo Freda i Hanka nie dawało się rozróżnić, kiedy byli osobno i w ludzkiej postaci, zaś w zwierzęcej okazało się to

zupełnie niemożliwe - zatrzepotał skrzydłami i zaskrzeczał cicho. Najwyraźniej go denerwowaliśmy.

Adam wskoczył na ołtarz, przekroczył mnie przednimi łapami, zniżył głowę i wyszczerzył zęby na myszołowa. Oba ptaki odskoczyły na koniec betonowego bloku. Nie były głupie, a Adam miał wielkie kły.

Popatrzyłam na Jima, który wrzucał do ognia ostatnie liście tytoniu, a potem poszukałam wzrokiem Kojota i Ptaka Groma. Nie było ich.

Adam liznął mnie w ucho, a potem położył się pomiędzy mną i myszołowami. Jego przednie łapy zwisały z ołtarza, podejrzewałam, że tylne też nie mieściły się na bloku. Mnie niespełna metrowej długości ołtarz wystarczał, dla wilkołaka był zdecydowanie za wąski.

Jim zamknął oczy i uniół prawą dłoń. Kiedy zwinął ją w pięść, bębnienie ustało, a wraz z nim zamilkło pulsowanie magii. Zupełnie jakby ktoś nagle wyłączył prąd w klubie, przerywając granie. I jakby ktoś zamknął drzwi, nagle Stonehenge stał się tak zwyczajny, jak zwyczajna mogła być betonowa kopia neolitycznego kalendarza.

Żadnej mocy, żadnej tajemniczości, tylko szare bloki, pomiędzy którymi nagle zrobiło się tłoczno.

Kojot i Gordon, w ludzkich postaciach, stali pod kamieniami, jakie zajmowali podczas ceremonii. A z cieni pod blokami wynurzyło się sześciu nieznajomych mężczyzn.

Jeden, nie starszy od Calvina, miał na sobie trzyczęściowy garnitur. Adam nauczył mnie rozpozna-

wać porządny garnitur, ten musiał kosztować dobre kilka tysięcy dolarów. Kolejny, podobnie jak Gordon, hołdował stylowi kowbojskiemu, choć zdecydowanie bardziej stonowanemu. Brązowe kowbojki, dżinsy, koszula w kolorach ziemi i brązowy kapelusz o wąskim rondzie, charakterystyczny dla kowbojów z Montany. Stalowski warkocze sięgały mu prawie do kolan.

Czterech pozostałych miało na sobie tradycyjne indiańskie stroje, choć, podobnie jak w przypadku sióstr Kojota, każdy był inny. Z dwóch odzianych w skórzane kurty i spodnie myśliwskie jeden był tak stary i pomarszczony, że Gordon wyglądał przy nim młodzieńczo. Jego ubranie zostało wykonane z irchy niemal tak jasnej, jak sukienki sióstr Kojota. Poza frędzlami na szwach ramiennych nie miało innych ozdób, w przeciwieństwie do ozdobionej przy szyi pięknym ornamentem z kolców, ciemnobrązowej bluzy drugiego. Poza zdobieniem strój mężczyzny odznaczał się wyraźnym zużyciem, jakby właściciel często zakładał go na polowania.

Trzeci z tradycyjnie ubranych Indian miał na sobie skórzane legginsy, a do tego luźną koszulę z czerwonej, wzorzystej bawełny, spiętą pasem sznurowym, na którego końcach wisiały maleńkie dzwoneczki. Ciemne włosy miał przycięte równo na linii żuchwy.

Ostatni nosił na głowie zwój czerwonej tkaniny przypominający turban, w który wetknięto kilkanaście brązowawo-czerwonych lotek. Jego wyszywana paciorkami przepaska biodrowa i z tyłu, i z przodu

sięgała do kolan i, sądząc z nierównego splotu, utkano ją ręcznie.

Jego strojowi miałam okazję przyjrzeć się z bliska, bo podszedł do ołtarza i prawą ręką złapał jednego z myszołowów, lewą jednocześnie przytrzymując mu uzbrojone w szpony nogi. Przycisnął do siebie ptaka, unieruchamiając mu skrzydła pod ramieniem i zakrywając dziób dłonią.

- A więc chce wykraść duszę mojego myszołowa? - powiedział z silnym akcentem.

- Mówiłem ci, Sokole - odezwał się Kojot. - Możesz temu zaradzić?

Mężczyzna trzymający ptaka rzucił Kojotowi spojrzenie bystre jak u drapieżnego ptaka. Przytulony do niego myszołów zakwilił niczym pisklę.

- Nie pochwalam twych działań, Kojocie. Bardziej troszczysz się o dwunożnych ludzi niż o lud pierzastych i futrzastych.

- Poproszono mnie o pomoc. Czy ty odmówiłbyś prośbie Wielkiego Ducha?

- Robiłeś to już wcześniej - prychnął Sokół. - I spójrz, co się stało. - Puścił szpony Hanka i zatoczył ręką krąg. Nie miało to znaczenia, bo Hank nawet nie drgnął. - Wszędzie samochody, drogi, mosty, domy, a ziemia nie może oddychać. Lepiej byłoby, gdyby Wielki Duch poprzestał na pierwszym ludzie.

Kojot uśmiechnął się złośliwie.

- Z pewnością mu to powiesz?

- Mówię to tobie.

Sokół zgarnął garść żwiru i ziemi, rzucił je w powietrze, drobiny zawisły, podtrzymywane podmuchem wiatru. Podniósł ptaka-Hanka nad głowę, a wiatr powiał, przerzucając przez ciało myszołowa ziemię i kamyki. Hank krzyknął skrzekliwie.

Sokół wyrzucił w górę myszołowa, spojrzął na Kojota z ukosa, po czym zniknął. Myszołów sfrunął w dół, ale na ziemi wylądował już nagi Hank. Po piętnie nie było ani śladu.

Frank, już też w ludzkiej formie, zeskoczył z ołtarza i podbiegł do brata. Siedzący na dywanie Jim, zmęczony, choć obserwujący wszystko z wyraźną fascynacją, przywołał do siebie gestem siostrzeńca i coś mu powiedział. Calvin wybiegł z kręgu, żeby przynieść odzienie, jak przypuszczałam.

- Sokół jest porywczy - rzekł mężczyzna w garniturze. -1 nie zgadzam się z nim. - Z umiarkowanym zainteresowaniem omiół wzrokiem Stonehenge.

Jego oczy zatrzymały się na mnie i Adamie. Jasnoniebieskie oczy mężczyzny wydawały się jednocześnie pasować i nie pasować do klasycznego indiańskiego oblicza.

- Ach. - Ruszył w stronę ołtarza takim samym pewnym, władczym krokiem, jakim Adam przemierzał pokój wypełniony stadem. - To musi być wilkołak.

Adam podniósł się powoli i otrząsnął lekko. Jego głowa znajdowała się teraz na wysokości szyi mężczyzny w garniturze, który nie mógł być nikim innym jak Wilkiem.

- Słyszałem o takich jak ty.

Popatrzyłam po pozostałych Indianach, wydawali się zadowoleni, że Wilk przejął pałeczkę, tak jak wcześniej Sokół.

- Wilkołak. - Wilk zmarszczył brwi. - Kiedy pierwszy raz o tym usłyszałem, uznałem to za wynaturzenie. Zwierzę uwięzione w jednym ciele z człowiekiem, wiecznie w konflikcie. I w pewnych aspektach to jest wynaturzenie. Ale patrz, jednak jesteś piękny.

Też tak uważałam.

- Czym on się różni od zmiennokształtnych? -zaciekawiał się Kojot. - Też nosi dwie dusze w jednym ciele.

- Nie - zaprzeczył Wilk nieobecny tonem, całkiem pochłonięty przyglądaniem się Adamowi. -Nasi potomkowie posiadają jedną duszę, która manifestuje się jako człowiek lub zwierzę. To co innego. Wilk należy do mnie, ale człowiek nie. Mimo to jakoś współistnieją.

Dotknął Adama, a ja dzięki więzi poczułam, że Adam wychodzi mu naprzeciw: ostrożny, lecz nie zaniepokojony, ani dominujący, ani uległy. Ręka Wilka błądziła po karku i łbie Adama, jakby był sędzią na wystawie psów. Choć Adam nie zdradzał oznak, że mu to przeszkadza, mnie przeszkadzało bardzo. Adam był mój!

- Doskonały drapieżnik - mruknął Wilk i władczo otarł się policzkiem o głowę Adama.

Niewykluczone, że wyrwało mi się zdegustowane piśnięcie.

Chłodne oczy Wilka spoczęły na mnie, a jego wargi rozsunęły się, jakby miał warknąć.

- Ta jest moja - zaznaczył Kojot nonszalancko, jednak stalowy ton pobrzmiwający za tą fasadą zmieniał zwykle stwierdzenie w ostrzeżenie.

Wilk popatrzył na Kojota i unióśł rękę, żeby mnie trzepnąć. Zamachnął się, w tym momencie Adam przytrzymał mu dłoń zębami. Wilk odwrócił się z groźnym syknięciem i Adam go natychmiast puścił, ale na skórze pojawiła się krew. Adam stanął pomiędzy mną a Wilkiem, kładąc uszy. Nie warczał, lecz jasno określił swój stosunek.

- Patrzcie no - mruknął Wilk. - To dopiero wynaturzenie. Wilki nie bratają się z kojotami.

- To romans stary jak świat - machnął ręką Kojot. - Zasady tworzy się dla dobra społeczności, ale gdy tylko zostaną ustanowione, pojawia się ochota, by je złamać. Pocieszę cię, że większość wilkołaków wiąże się z ludźmi. Choć według mnie to gorsze niż moje kojoty.

Wilk postąpił krok ku Adamowi.

- To twoja towarzyszka?

Nie wiem, czy robiło to jakąś różnicę i czy na dobre, czy na złe. Podejrzewałam, że i sam Wilk tego nie wiedział. Zadrapanie przestało już krwawić, Adam nie chciał zrobić krzywdy Wilkowi, tylko go ostrzec. Pragnęłam wierzyć, że Adam był zbyt mądry, żeby zaatakować naprawdę Wilka, obawiałam się jednak, że niestety zrobiliby to, gdyby coś mi groziło.

Pożałowałam tego protestującego piśnięcia, choć jednocześnie nie wątpiłam, że po raz kolejny zacho-

wałabym się tak samo. Nie znosiłam, kiedy ktoś poza mną dotykał Adama, a gest Wilka był wybitnie zaborczy.

- Zostawiłeś na niej piętno rzeki - zauważył Indianin ubrany w kolorach ziemi. Jego głos był aksamitny, piękny.

- Owszem, Wężu - odparł Kojot. - Ponieważ zabiłem już wcześniej diabolicę, nie może zyskać nad Mercy kontroli tak jak nad innymi. Ale też dzięki temu Mercy znalazła się w centrum zainteresowania diablicy. Dowiedliśmy już tego, wiemy, że Mercy może ściągnąć potwora tam, gdzie tego chcemy. Diablica nie pozwala uciec swym ofiarom i dlatego chce Mercy z powrotem. - Popatrzył na mnie. - Pomędzy zaporą Johna Daya i tą w Dalles ciągną się całe kilometry rzeki.

A kiedy Kojot wrzucił mnie do rzeki, diablica pojawiła się w nie więcej niż dziesięć minut. Miał rację, wiele się z tego dowiedzieliśmy.

Calvin powrócił z dwoma kocami, które wręczył Fredowi i Hankowi. Hank wziął swój i podziękował skinieniem, a Fred zmienił się po prostu w ptaka i usiadł na jednym z menhirów, przy świecy.

- Lepiej, jeśli zostawimy diabolicę w spokoju - odezwał się starzec w jasnym stroju myśliwskim. - Kiedy pożre już cały świat, można go będzie stworzyć na nowo.

- Takiś tego pewien? - wtrącił się Gordon. - Bo mnie się wydaje, że to nie takie proste.

Starzec wydał głęboki, grzmiący pomruk, który absurdalnie pasował do jego szczupłego ciała.

- Bracie Niedźwiedziu - rzekł Kojot - zmiany nie są złe. Zmiana to po prostu zmiana. Jest zaskoczeniem dla kogoś, kto dawno odszedł i teraz dopiero powrócił, owszem, ale nie ma w niej nic złego.

- Tak? A co z zanieczyszczeniem? - Niedźwiedź wciągnął głęboko powietrze, jakby z odległości setek kilometrów mógł wyczuć smog miejski. Mam świetny węch i gdybym mogła mówić, zarzuciłabym mu przesadę. - Drogi, koleje. Domy, jeden na drugim, zajmujące tereny łowieckie, miasta, które lasom zostawiają ułamek miejsca. Wilk mówił, że Matka Ziemia nie może oddychać, zakuta w beton i stal. Ja mówię, że ma rację.

- To prawda, są także rzeczy złe - przystał Kojot. - Ale kiedyś też takie były. Głód, zimno, choroby. Teraz są też dobre rzeczy. - Zwrócił się do Wilka: -Spójrz na swoje ubranie. To wełna i jedwab utkane w sposób, który nie byłby możliwy kilka wieków temu. Każda zmiana przynosi i dobro, i zło, aby zastąpiły dobro i zło z przeszłości. Łatwo powiedzieć, że kiedyś było lepiej, ale samo mówienie nie robi z tego prawdy. Inne nie jest gorsze. Jest po prostu inne.

-Jest prawda w tym, co mówisz, Kojocie. - Wilk pogładził kłapę garnituru z podobną zaborczością, z jaką dotykał Adama.

- Mnie się tu nie podoba - oświadczył Indianin w ciemnobrązowym ubraniu. W jego tonie brzmiały niechęć i niepokój.

- Rysiu. - Kojot musiał go lubić, słyhać to było w sposobie, w jaki się doń zwracał. - Są tu jeszcze do-

bre tereny łowieckie, trzeba je tylko odnaleźć. Słońce wciąż grzeje, a kwiaty pachną tak samo słodko.

- Powinieneś zabrać Rysia do Disneylandu - podsunął Gordon. - Albo ja mógłbym go tam zabrać. Podoba mi się tam.

Ludzka część grupy milczała do tej pory, ale Calvin wreszcie przemówił:

- Spróbujcie tylko, a przekonacie się, że nie jest tu wcale tak źle.

Mężczyzna z konopnym paskiem i dzwoneczkami objął ramieniem Rysia.

- Problem w tym, Rysiu, że zmiany dokonują się, czy tego chcesz, czy nie. Chyba że jesteś martwy. -Jego głos brzmiał chrapliwie jak u starego palacza. -Nie trzymaj się tak kurczowo przeszłości, z którą odszedłeś. - Popatrzył na Kojota. - Ta gadanina nie ma sensu. Zgodziliśmy się na twój plan, inaczej nie byłoby nas tutaj. Powiedz tylko, gdzie i kiedy.

- Zgoda, Kruku - rzekł Kojot poważnie i wyjaśnił każdemu drogę na kemping w taki sposób, by kruki, rysie, wilki i węże mogły ją łatwo znaleźć. Kiedy z tym skończył, dodał: - A co do czasu, im szybciej, tym lepiej. Jutro?

- Po zmroku - rzekł Jim. - Calvin mówił, że FBI węszy za sprawcą zaginięć nad rzeką. Lepiej, żeby nie pojawili się w niedogodnym momencie. - Zwrócił się do Kruka: - Napiętnowani przez rzekę wojownicy z plującymi ogniem kijkami to nie najlepszy obrót spraw.

- Wiem, co to FBI - uśmiechnął się Kruk. - Nie tylko Kojot się tu włóczy.

Podczas tej rozmowy reszta się rozeszła. Nie widziałam, jak odchodzili, z wyjątkiem Wilka, którego obserwowałam, bo nie odrywał wzroku od Adama. Który należał do mnie.

- Dziękuję, Kruku - rzekł Kojot, rozejrzawszy się wokół i stwierdziwszy, że wszyscy, łącznie z Gordonem, oddalili się już. - Możliwe, że jutro zginie, bracie, ale i tak będzie ciekawie.

Odeszliśmy z Adamem na ubocze, żeby się przemienić i przebrać. Tylko mnie się udało. Kiedy zakładałam spodnie, napotkałam przerażony wzrok Adama.

- Czekaj - uspokoiłam go. - Zaraz się wszystkiego dowiemy.

Szybko dokończyłam ubieranie, złapałam odzież Adama i popędziłam na złamanie karku do Stonehenge w nadziei, że Kojot jeszcze tam jest.

Skąd moja pewność, że Kojot będzie wiedział coś na temat wilkołaków, sama nie wiem. Na pewno wiedział, że trudności Adama przy poprzedniej przemianie powoduje magia ziemi.

Świece były pogaszone, Jim i Calvin odjechali. Hank i Fred zniknęli, jeszcze zanim poszliśmy się przemienić. Placyk wyglądał na wyludniony.

- Kojocie! - zawołałam.

- Mercy?

Byłam już pewna, że go nie ma, jednak siedzieli z Krukiem na ołtarzu, grając w karty. Trudno mi było uwierzyć, że ich przeoczyłam, ale w przypadku

Kojota tak się zdarzało, więc nie zamierzałam się tym przejmować. Miałam co innego na głowie.

- Adam nie może się zmienić! Czy to przez magię ziemi?

- Nie może przemienić się w człowieka? - Kojot odłożył wachlarzyk kart na tabliczkę z brązu. - To fatalnie. W końcu to wasza podróż poślubna.

- No, nie może. - Ostatnią uwagę pozostawiłam bez komentarza. - To magia ziemi? Minie mu, jeśli stąd odejdziemy?

Kojot zastanowił się przez chwilę.

- Sama magia nie mogłaby tego sprawić, chyba że pokierowałby nią jakiś szaman, a Jim chyba was lubi.

Kruk przechylił głowę jak ptak.

- Nie, to nie Jim ani nie magia ziemi - stwierdził bez cienia wątpliwości. - Twój wilkołak ukąsił Wilka, pamiętasz? - Kruk uśmiechnął się do mnie szeroko, ciepło. Dodał mi otuchy, choć nie miałam powodów, by mu ufać. - Wilk bierze takie sprawy do siebie. Ale z drugiej strony nie jest zapamiętały w gniewie. - Zadumał się. - Nie tak jak Sowa.

- Nadal się boczy o tamto? - zaśmiał się Kojot. - To było całe wieki temu.

- Skąd mogłem wiedzieć, że to jego ulubiony przedmiot? - W oczach Kruka odbił się blask gwiazd. - Tak się błyszczał. Ale okazał się za ciężki, wpadł mi do oceanu. To był wypadek.

- Myślisz, że to z winy Wilka? - Wczepiłam się w futro na karku Adama. Ostatnio robiłam to często, bo dzięki temu czułam się pewniej.

Adam nie wyglądał na zdenerwowanego czy wystraszonego, ale na pewno nie okazałby tego przy obcych. Ja zaś denerwowałam się za nas oboje.

Wilkołaki mogą przez jakiś czas pozostać w wilczej formie. Dwa dni to żaden problem. Dwa tygodnie... Nie za dobrze, ale większość wilkołaków wyszłaby z tego bez szwanku. Nawet miesiąc czy dwa na upartego. Ale jeśli potrwa to dłużej, zniknie ludzka część, zostawiając samą wilczą. Doświadczył tego Samuel, syn Brana. Jednak to, że jego wilk kontrolował się i zachowywał spokojnie tak długo, nie dziczejąc, zdumiało wszystkich. Mało prawdopodobne, żeby udało się to w przypadku Adama, który jeszcze nie przekroczył setki.

- Ile to może potrwać? Kojot westchnął.

- Mercedes, trzymanie Adamowego wilka na powierzchni, tak żeby nie dopuścić człowieka, wymaga ogromnego wysiłku. Żaden z nas nie ma tu już takiej mocy i pewnie dlatego Wilk to zrobił. Żeby pokazać, że lepiej z nim nie igrac. - Kojot popatrzył na Adama. - Z łatwością mógł cię zabić. Byłoby mu prościej. Będę zaskoczony, jeśli kara nie skończy się po jutrzejszej bitwie. Można się na niego za to złościć, ale pamiętajcie, że wraz z pozostałymi zgodził się poświęcić własne życie. Raczej mało prawdopodobne, że uda mu się tu szybko wrócić.

-Jeśli w ogóle - dodał Kruk cicho. Zebrał karty i zaczął rozkładać pasjansa. Pajaka albo którąś z jego wersji. - Pozwólcie mu zachować godność i nie martwcie się na zapas.

- Dobrze, dziękuję wam. - Już odchodziliśmy, kiedy sobie coś przypomniałam: - Kojocie?

Zdażył zebrać karty i właśnie je tasował. -Tak?

- Twoje siostry prosiły, żeby ci przekazać, że twój plan jest dobry.

- A wyjaśniły, na czym polega? - Tasowanie stało się nierówne, jakby Kojotem szarpały jakieś emocje.

- Tak. - Odetchnęłam głęboko. - Tutaj to raczej słaby punkt, ale się postaram.

- Nie wątpię. - Uśmiechnął się.

Kiedy coś obudziło mnie ze snu w środku nocy, pomyślałam, że to znowu Kojot mnie woła. Tym razem obudziłam Adama.

- Ktoś mnie woła - powiedziałam, stukając się w głowę. - Chyba Kojot chce mi coś powiedzieć.

Po wyjściu z łóżka potknęłam się o kostur. Podniosłam go delikatnie i oparłam o ścianę. Lżenie starożytnych artefaktów nie było zbyt mądre. Nie zrobiłabym tego, nie przemyślawszy wcześniej wszelkich możliwych konsekwencji.

Poszliśmy nad kąpielisko, bo stamtąd dochodziło wołanie. Okazało się jednak, że to nie Kojot.

Mimo ciemności widziałam ją. A w każdym razie ślad, który zostawiała. Woda bulgotała i wirowała, kiedy diablica zataczała pod nią kręgi.

Mercedes Thompson, odezwał się jej głos w mojej głowie.

Usiadłam zamasyżując na ziemi, licząc, że w ten sposób trudniej jej będzie wciągnąć mnie do rzeki. Kojot chyba zbyt pochopnie uznał, że jestem odporna na wolę diablicy. Może nie była w stanie zmusić mnie do utopienia własnych dzieci - a Jesse na szczęście znajdowała się setki kilometrów stąd - ale mogła mnie przyzwać i do mnie przemawiać.

Myślałam tak intensywnie, jak tylko potrafiłam. Utop się.

Mercedes, jej zimny rozbrzmiewał w mojej głowie, przyprawiając o mrozący ból. *Stuchasz mnie? Widzisz to, co ja widzę?*

- Słyszysz ją? - zapytałam Adama. Popatrzył na rzekę.

- Nie. - Dotknęłam go, a potem swojej głowy. - Jest tutaj.

W mroku błysnęły Adamowe kły.

MacKenzie Hepner cztery dni temu skończyła osiem lat. Powinna spać w namiocie z czteroletnim bratem, ale coś ją stamtąd wywabiło. Weszła do zimnej wody. Na jej ramieniu ciemnił się ślad po glonach, które złapały ją tego dnia, gdy wypłynęła za daleko na głębinę. Ojczym skoczył za nią i ją wyciągnął. Skłoniło to dziewczynkę do przemyślenia swego stosunku do niego. Nawet na nią nie krzyczał, tylko przytulał mocno. Dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że był przerażony nie mniej niż ona...

Widzisz to, co ci pokazuję, Mercedes?

Z trudem łapałam oddech. Okazało się, że to o Janice i jej rodzinie to nie był sen. Diablica pokazała mi wszystko ze szczegółami. Może nawet nie

celowo. Może. Ale to dziecko, ośmioletnia MacKenzie, także żyła naprawdę.

Oparłam głowę o łeb Adama i przekazałam mu, co się dzieje, powtarzając słowa diablicy i opisując scenę własnymi. Zaskomlał smutno.

Daj mi jakiś znak, że widzisz to, co ci pokazuję. Widzisz ją?

Najwyraźniej nie mogła czytać w moich myślach. Tak jak Bran, który potrafił komunikować się tylko w jedną stronę.

MacKenzie zmarzły stopy, a kamienie ranily podeszwy. Nie powinna nocą wchodzić do rzeki. Wiedziała, że łamie zakaz...

Pomachałam ręką. Nie chciałam wiedzieć więcej o dziecku, które brodziło w wodzie prosto w paszczę potwora. *Pozwolę jej żyć.*

- Mówi, że daruje dziewczynce życie - powtórzyłam Adamowi.

Pojął wszystko szybciej niż ja, bo wstał, warknął na rzekę, na mnie i trącił mnie barkiem, pchając w stronę przyczepy.

Usłyszałam jej śmiech. Dojrzała reakcję Adama. Wiedziała, że ją słyszę.

Wymiana. Wymiana. Wymiana. Ty zamiast niej. Przyjdź do mnie dzisiaj, a pozwolę dziecku i jej bratu żyć.

Adam wszedł pomiędzy mnie i potwora.

- Proponuje wymianę. Ja za dziewczynkę i jej brata. Ja zginę, oni nie.

Adam spojrzał na mnie z rozpaczą.

- Ma osiem lat. Zaledwie osiem. A wczoraj odkryła, że jej ojczym nie jest wcale taki zły. Chce mu dać szansę. Ma młodszego brata, którego może zabrać ze sobą. Co ty byś zrobił, Adamie? Poświęciłbyś się, żeby to dziecko mogło żyć?

Znałam odpowiedź, a on znał moją. Popatrzył na rzekę, a potem na mnie i poruszył uszami. Ale nie mógł tego zrobić, bo diablica pragnęła mnie. Tyle że ja też nie mogłam tego zrobić, bez względu na to, jak bardzo bym tego chciała. Beze mnie plan Kojota spali na panewce.

- Myślisz, że oszukuje? - zapytałam, słysząc w głowie kuszące obietnice diablicy. - Jestem warta dla niej więcej niż dziecko. Wie o Kojocie i o jego zainteresowaniu mną. Niepokoi ją to. Ale gdybym umarła? Czy dotrzymałaby słowa? Kto wie?

- Dotrzymałaby - przyświadczył Kojot, stając obok. - Lecz nie mogę ci na to pozwolić.

- Wiem, twoje siostry mówiły, że mnie potrzebujesz.

Adam zaskomlał ponownie.

- Opowiem ci o nich - obiecałam. Całkiem zapomniałam podzielić się z Adamem tym, co mnie spotkało. Oboje byliśmy zmęczeni.

Wybieraj, Mercedes.

-Jak na prastare zło, mówi świetną angielszczyzną - zauważyłam.

- Pożarła wielu anglojęzycznych ludzi. - Kojot usiadł na trawie.

- Słyszysz ją?

- Nie. Nie może mnie naznaczyć.

- Możesz ocalić dziewczynkę? Czyż nie zrobiłeś w górach wyłomu, by płynęła nim rzeka? A Kruk zawiesił gwiazdy.

- To było dawno temu. Robiliśmy wszystko według wskazówek Wielkiego Ducha - stwierdził smutno. - Teraz jestem sam.

- Czemu Wielki Duch się tym nie zajmie?

- A czemu miałby? Wszystko, co śmiertelne, umiera. Śmierć nie jest taka zła. Złe byłoby życie bez wyzwań. Bez poznania goryczy porażki nie moglibyśmy smakować zwycięstwa. Nie ma życia bez śmierci.

- Wolę mojego Boga.

- To nie wiesz, dziecko? To ten sam bóg. - Kojot obserwował diabolicę, czekającą na moją odpowiedź. - Wielki Duch dał nam rozum i odwagę. Zsyła doradców i pomocników. Przecież wysłał mnie, nieprawdaż? Rozmawiałem dzisiaj z siostrami. Dobrze zrobiłem.

- Możesz uratować dziewczynkę?

- Wiesz, gdzie jest?

- Na kempingu przy rzece. - Jednak na którym? Na brzegach znajdowało się wiele miejsc, gdzie można rozbić obóz. - Nie wiem.

- Wobec tego nie mogę.

- Niech to szlag.

Ty albo one. Wymiana. Ty umrzesz, one przeżyją.

- A może ktoś inny wam pomoże?

- Nie znam nikogo takiego. Sam byłem zaskoczony, że nie narzuciła ci swojej woli poprzez piętno. Jesteś jedyną istotą na tym świecie, która się jej oparła.

- A co byś zrobił, gdyby mnie nie było?

-Jeden z nas zająłby twoje miejsce - westchnął. -Ale tylko siedmiu może bądź chce pomóc. Wierzę, że Wielki Duch kiedyś jeszcze przyśle nas do tego świata, powierzając jakieś zadania. Wielu odniosło rany w czasach inwazji europejskiej. Choroby zabrały wiele naszych dzieci, potem ocalałych zdziesiątkowały wampiry... Wycofaliśmy się, aby lizać rany, ale wielu jedynie sam Wielki Duch mógłby wygonić z kryjówek. - Szurnął bosą stopą po ziemi, odtaczając kamień. - Nie będę cię okłamywał. Nawet z twoim udziałem możemy nie mieć wystarczających środków, żeby ją pokonać. A bez ciebie? - Pokręcił głową.

Mercedes. Głos był gniewny i zniecierpliwiony.

W odpowiedzi podniosłam kamień i cisnęłam nim w rzekę.

Chowaj się, tchórze, kosztem dziecka. Patrz, do czego doprowadziłaś.

W ciągu kolejnego kwadransa zobaczyłam wiele. Dowiedziałam się, że brat MacKenzie miał na imię Curt, jak mój ojczym. Był czteroletnim chłopcem, naznaczonym przez rzekę podobnie jak siostra, więc nie protestował, kiedy dziewczynka wzięła go na ręce, oparła na biodrze i weszła z nim do wody. Na deser, specjalnie dla mnie, w ostatniej chwili diablica wypuściła ich spod wpływu swojej woli. A może zrobiła to dlatego, żeby dzieci krzykiem zwabiły rodziców, którzy bez namysłu skoczyli im na ratunek?

Dowiedziałam się, ile kosztowało moje życie. Cztery inne. Cztery.

ROZDZIAŁ 12

Nie poszłam spać. Po co? Nie musiałam zasypiać, żeby mieć koszmary.

Powtarzałam sobie, że podjęłam właściwą decyzję, jedyną możliwą. Jednak nie ułatwiało mi to pozbycia się poczucia winy wobec czterech osób, które mogłam ocalić.

Nakarmiłam Adama, a kiedy parsknął na mnie, nakarmiłam też siebie. Musiałam zachować siły. Skoro czworo zginęło, by dać mi szansę na pokonanie potwora, nie chciałam polec, osłabła z głodu.

Okolo piątej rano, kiedy zaczęło się przejaśniać, skoczyliśmy z Adamem do furgonetki i pojechaliśmy do Stonehenge. Nie miałam nic do roboty, Adam chwilowo nie był partnerem do rozmów, obawiałam się więc, że oszaleję, zostając na kempingu, a do tego doprowadzę do szału Adama. Miejsce wczorajszego rytuału należało posprzątać. Dzięki temu

mogłam się czymś zająć, a jednocześnie oszczędzić Calvinowi i Jimowi pracy.

W nocy rozeszliśmy się dopiero o drugiej, a odchodząc, Jim wyglądał niczym przekreślony przez wyżymaczkę, dlatego nie spodziewałam się, że zobaczę go tak wcześnie rano na nogach. Ale dziesięć minut po tym, jak wreszcie udało mi się znaleźć drabinę, pojawili się obaj. Wdrapywanie się czterdzieści pięć razy (policzyłam kamienie, kiedy dumałam, jak się dostać do świec) na podwyższenie, żeby pozdejmować znicze, wydało mi się męczące, szczególnie jeśli w planach miało się zabicie potwora.

Calvin pomachał, żebym zeszła i zabrała pudła, które przywieźli.

- Cześć - przywitał się, kiedy zeskoczył z paki. - Nie spodziewałem się... - Urwał na widok Adama. - Co mu jest?

Nawet zadowolony wilkołak za dnia prezentuje się strasznie, jeśli pokaże się w pełnej okazałości. A Adam nie miał powodów do zadowolenia.

- Wilk poczuł się dotknięty ugryzieniem - wyjaśniłam. - Adam nie może chwilowo zmienić się w człowieka.

- Rany - jęknął Calvin współczująco. - To okropne. Przecież to wasza podróż poślubna! - Zarumienił się mocno.

Ale to nie dlatego Adam się tak jeżył. Nocą, po powrocie do przyczepy opowiedziałam mu o spotkaniu z siostrami Kojota. Szeptem opisałam cały plan zabicia potwora. Adam nie mógł powiedzieć,

co o tym myśli. Wiedziałam, że rozumie, iż nasz pomysł jest najlepszy przy udziale dostępnych środków, ale wiedziałam również, że mu się nie podoba. Wcale a wcale. Niesamowicie, ile można wyrazić za pomocą języka ciała.

- Kojot jest przekonany, że to przejściowe. - Ściągnęłam kolejny znicz, który Calvin włożył do pudła. Karton należał do tych używanych przez firmy przeprowadzkowe do pakowania szkła, miał wkładkę, która dzieliła wnętrze na osobne przegródki. - Tylko nie patrz mu prosto w oczy, dobrze?

Sprzątanie i doprowadzenie miejsca do stanu sprzed nocy zajęło nam półtorej godziny. Najtrudniej było usunąć ciemniejszy żwir z jaśniejszego.

- Trzeba było podłożyć sklejkę - powiedziałam do Jima, który, siedząc na ołtarzu, krytykował moje i Calvina wysiłki wybrania ciemniejszych kamyków.

- Nie, nie da rady. Ogień musi mieć kontakt z ziemią. Już kopiec ze żwiru to trochę oszustwo.

- Następnym razem zrobimy ognisko bezpośrednio na ziemi - mruknął ponuro zwykle radosny Calvin. - Po wszystkim je wygrzebię i miejsce zasypię dopasowanym żwirem.

- No to już lepiej - przyznał Jim. - Robiliśmy tak, zanim kilka lat temu nie zacząłem stosować tej metody.

- A może worek jutowy? - zaproponowałam. - Coś przepuszczalnego, ale z małymi otworami, żeby kamyki przez nie nie przeszły. Albo po prostu żwir podobny do tego.

- Może być - zgodził się Jim. - Wobec tego będę musiał znaleźć dla ucznia inną robotę. Może taką, jaką dawał mi mój mistrz. Nauczę go wyszywać paciorkami.

- To ja już wolę przebierać żwir, wujku, wielkie dzięki - oświadczył Calvin potulnie.

- Tak myślałem - roześmiał się szaman.

Zatrzymałam się na stacji w Biggs i kupiłam dwa lodowe różki, truskawkowy oraz bananowy, a do tego notes. Lody zjedliśmy na postoju, bo nie mogłam jednocześnie jeść, karmić Adama i prowadzić.

Przejeżdżając przez przeprawę, zobaczyłam pole kempingowe pełne namiotów, przyczep i samochodów turystycznych. Zastanawiałam się, czy to na tym kempingu mieszkała MacKenzie. A może znaleźli jakieś bardziej odosobnione miejsce? Nie widziałam po drodze innych obozowisk, a gdyby chodziło o to w Maryhill, Kojot mógłby zdążyć, jeśli udałoby mi się odpowiednio długo zająć potwora. Gdyby chodziło o pole w Maryhill i gdybyśmy wiedzieli, że to tam jest.

Po powrocie do przyczepy zabrałam się do pisania. List do mamy, do każdej z sióstr - w żadnym nie wspomniałam oczywiście o Kojocie - długa epistoła do Samuela, do Brana, wiadomość dla Jesse, dla Stefana... Wiele zapisanych kartek do spalenia, jeśli uda mi się przeżyć noc.

Jesse zadzwoniła do Adama, kiedy byłam w połowie listu właśnie do niej. Adam przyniósł mi aparat, odebrałam.

- Daj mi tatę - odezwała się Jesse nagłaco. - Tylko szybko.

- Teraz nie może rozmawiać. - Adam położył mi łeb na kolanie.

- Musi. Daj mu telefon do łazienki.

- Jest wilkiem, Jesse - wyjaśniłam spokojnie. -Więc nie może rozmawiać. Może ja pomogę?

- Czemu jest wilkiem? - zdumiała się Jesse. -Przecież to wasza podróż poślubna!

-Jesse, choć niczego tak nie pragnę, jak omówić z tobą moją podróż poślubną, może jednak powiesz mi, o co chodzi?

- O Darryla - jęknęła. - Jest niemożliwy. Auriele wyszła gdzieś w swoich sprawach, a on mi zabrania iść na zakupy. W moim ulubionym sklepie trwa czterogodzinna wyprzedaż od południa do czwartej, a on mnie nie puszcza.

Z tego, co wiedziałam, Jesse nie przepadała za zakupami. Chodziło o coś innego, a przychodziła mi do głowy tylko jedna rzecz, która mogła wzbudzić w niej takie rozgorączkowanie.

- Aha, Gabriel chce cię gdzieś zabrać - przetłumaczyłam sobie. - Do kina? Fakt, Darryl byłby zawadą, więc wymyśliłaś coś, czego nie chciałby robić, licząc, że puści cię samą.

- On tu stoi, wiesz?

- Może ojciec kupiłby tę bajeczkę, choć wątpię -powiedziałam. - Gdzie się wybieracie?

- Darryl komentuje filmy - poskarżyła się. - Na głos! Podczas trwania filmu! A Gabriel...

Gabriel zmienił się ostatnio. Pół roku temu matka, którą uwielbiał (i która uwielbiała jego, co stanowiło część problemu), wykopała go z domu, a do tego został porwany przez królową wróżek. Coś takiego pozostawia ślad. Generalnie był trochę ostrożniejszy i dużo bardziej posępny.

Aktualnie Gabriel mieszkał w moim domu, postawionym na miejscu poprzedniego, który spłonął, więc on i Jesse stali się sąsiadami. Jednakże, kiedy chłopak ujrzał prawdziwe oblicze potworów, stracił optymizm, który utwierdzał go w przekonaniu, że wszystko dobrze się ułoży. W obecności niektórych wilkołaków stawał się... nieufny. Adam jakoś mu nie przeszkadzał, ale Darryl owszem.

- A Kyle i Warren? - Warren miał ten charakterystyczny sznyt prowincjonalnego dżentelmena, a w ukrywaniu dominacji był niemal tak dobry jak Bran. Wzbudzał sympatię, dogadywali się z Gabrielem.

Jesse milczała przez moment.

- Kyle to ważna osobistość, Mercy. Nie mogą sobie ot tak z Warrenem wziąć wolnego, żeby iść do kina z dziećmiakami.

Zachichotałam, a Adam kichnął.

- Słyszysz, Darryl? Kyle to ważna osobistość.

- Dobrze wiedzieć, że ktoś tu w ogóle jest ważny - burknął Darryl, ale nie był zły. Darryl był doktorem, naukowcem pracującym w rządowym ośrodku jako analityk zagadnień zbyt skomplikowanych

dla przeciętnych umysłów. Wraz z żoną, Auriele, zostali niańkami Jesse, kiedy matka dziewczyny odeszła. Wśród wilkołaków znajdowało się niewiele kobiet, a w stadzie Adama tylko dwie. Do tego Darryl był drugim w łańcuchu dowodzenia, osobą bardziej niż odpowiednią do zajęcia się kimś, kto chciałby skrzywdzić córkę Alfę watahy dorzecza Kolumbii.

- Zadzwoń do nich. - Dobiegło mnie jego westchnienie. - Teraz przynajmniej wiem, o co chodzi. Mogłaś mi od razu powiedzieć, Jesse.

- Nie chciałam ci zrobić przykrości - miauknęła Jesse. - Nie w tym rzecz, że on cię nie lubi.

- Wiem dokładnie, w czym rzecz - zagrzemiał Darryl. - W porządku. Nie jest mi przykro, że ludzie się mnie boją. A już na pewno nie jest mi przykro, że twoi chłopcy się mnie boją.

- To jak, załatwione? - zapytałam.

- No chyba - odparła Jesse.

-Jeśli Kyle i Warren nie będą mogli, zadzwoń do Samuela i Ariany. -Uhm.

- Kocham cię, Jesse - rzuciłam, udając beztroskę. - Do zobaczenia. - Prawdopodobnie. Możliwe. Śmierć ośmiolatki, którą obserwowałam bezradnie tego ranka, pozbawiła mnie zwykłego optymizmu.

- Powiedz tacie, żeby nie przebujował całej podróży poślubnej jako wilk - powiedziała Jesse. - Kocham was. Pa.

Adam czytał listy. Uporawszy się z wyłączeniem jego aparatu, popatrzyłam na niego.

- Nie zamierzam ginać - zapewniłam go. - Ale, Panie Zawsze Gotowy na Wszystko, w razie czego chcę zostawić parę słów do przyjaciół.

Na przykład powiedzieć, że ich kocham. Że ktoś musi zająć się Stefanem, który nadal nie radził sobie za dobrze. Warren zadzwonił do mnie dwa dni wcześniej, żeby zdać raport z jego postępów, i mówił, że ludzie Stefana mają się lepiej. Stefanowi udało się pozyskać dwójkę ludzi w Portland, ale nadal był za chudy. Warren i Ben mieli karmić go na zmianę, ale to było tymczasowe rozwiązanie. Poza tym ktoś musiał odczekać z dziesięć lat, a potem odnaleźć dorosłe już dzieci tego biednego kierowcy ciężarówki, który został wrobiony w morderstwa popełnione przez wampira, i wyjaśnić im, że tata nagle nie zwariował i nie zabił niewinnych ludzi. Tego typu sprawami powinien ktoś się zająć, jeśli miałoby mnie zabraknąć.

Adam był niespokojny i zły, więc wysłałam go na polowanie. Liczyłam, że się uspokoi, jeśli coś złowi.

Kiedy wyszedł, napisałam list do niego, a po skończeniu zalegåm na łózkę i zaczęłam zastanawiać się, czy nie ma innego sposobu na wyplątanie się z tej kabały.

Wezwanie na pomoc wilkołaków nie wchodziło w grę. Magiczne istoty... Zee to mój przyjaciel, mogłabym do niego zadzwonić. Ale miałam wątpliwości, czy to dobry pomysł. Skoro diablica mogła naznaczyć nieczłowieka, to zdecydowanie zły. Nieludzie nie byli odporni na magię. Sama widziałam, jak królowa wrózek miała we władzy nie ludzi, którym

kazała oddawać sobie cześć, a niektórzy z nich byli naprawdę potężni.

Jeśli potwór z rzeki zmusiłby Zee do uległości... Tylko dwa razy widziałam go w jego prawdziwej postaci i zrobiło to na mnie wielkie wrażenie. Tym większe, kiedy zobaczyłam, jak odnoszą się do Zee inni nie ludzie - z ostrożnym szacunkiem - i to dotyczyło nawet samych Szarych Panów. Zdobycie przez diabolicę kontroli nad taką istotą mogłoby się skończyć katastrofą.

A więc Kojot i jego ludzie mieli dać się zjeść. I niech niebiosy pomogą tym, którzy pozostaną tutaj, jeśli nie uda mi się zabić potwora. Miałam popłynąć i zgładzić go za pomocą kamiennego noża, pewnie dostarczonego przez Kojota.

Przydałby się sprzęt do nurkowania.

Chyba go gdzieś widziałam...

Podeszłam do kuchennego siedziska, zdjęłam poduszki i otworzyłam skrzynię. Znajdowały się w niej dwa komplety okularów z rurkami i płetw. Znalazłam je, buszując pierwszego dnia po przyczepie, a teraz przyszło mi do głowy, że wizja dziewczynki z jo-jo mogła być bardziej szczegółowa, niż sądziłam. Bo Adam raczej nie zabrałby takiego sprzętu.

Znałam parę uzależnionych od adrenaliny wilkołaków, którzy uprawiali podwodne wycieczki z akwalungiem, ale żadnego, który nurkowałby z rurką. W pierwszym wypadku nie trzeba umieć pływać, bo regulację głębokości zanurzenia umożliwiają pasy balastowe i kamizelka wypornościowa.

Wyjęłam skarpety i mniejsze płetwy, zostawiając w spokoju rurkę. Kiedyś moja współlokatorka z uczelni przez całe lato usiłowała nauczyć mnie nurkowania z rurką. Skończyło się na wnioskach, że płetwy owszem, zwiększają tempo pływania, za to rurka zwiększa ryzyko utonięcia.

Hank Owens zadzwonił, kiedy zamykałam schowek w ławie. Chciał rozmawiać z Adamem.

- Poszedł pobiegać - powiedziałam.

- Mogłabyś przekazać mu moje szczerze przeprosiny? Pierwszy raz w życiu postrzeliłem cywila.

- Nie zrobiłeś tego celowo.

- Nie żebym się kłócił - przystał łagodnie - ale wycelowałem broń i nacisnąłem na spust. Dla mnie to tak celowe, jak tylko się da.

Pomyślałam, że w ten sposób możemy się spierać cały dzień.

- Dobrze, przekażę przeprosiny, choć nie uważam, żebyś był je Adamowi winien. I zapewne on także tak nie uważa. Jak się w ogóle czujesz? To z tym rzucaniem w ciebie piachem nie wyglądało na przyjemne.

- Nie było, ale czuję się dobrze.

- To wspaniale.

- Dziękuję, że przekażesz.

- Nie ma sprawy.

Zanim Adam wrócił, byłam już przekonana, że plan Kojota ma całkiem przyzwoite szanse na powodzenie, i uznałam, że bardziej niż teraz gotowa być nie mogę.

- Upolowałeś coś? - zapytałam Adama. Potrząsnął łbem. A potem resztą.

- Hank dzwonił, żeby przeprosić cię za postrzał. Położył uszy.

- Tak też mu powiedziałam, ale odczuwał chyba silną wewnętrzną potrzebę, więc obiecałam, że ci powtórzę.

Zrobiłam wszystko, co mogłam zrobić, a dalsze tkwienie w przyczepie groziło osłabieniem ducha, któremu to osłabieniu z pewnością poddałby się także Adam.

- Słuchaj, a może wyskoczymy na obiad? - To mógł być mój ostatni dzień na ziemi i nie zamierzałam zmarnować go na zamartwianie się. Nawet jeśli czworo ludzi oddało za mnie swoje życie. Przełknęłam kulę w gardle.

Adam szczerknął żywo i łapa w nogę powędrowaliśmy do furgonetki.

Kupiliśmy jedzenie na wynos, bo do większości lokali nie wpuszczali psów. Zatrzymaliśmy się w pierwszym ładniejszym miejscu i pośród kwitnącego kwiecia spałaszowaliśmy fastfoodowe taco. Mewy, przez wzgląd na Adama, zostawiły nas w spokoju. Po jedzeniu posprzątałam śmieci i położyłam się z głową opartą o Adama. Ciepło dnia podziałało jak balsam na moją duszę, zasnęłam.

I nic mi się nie śniło, a w każdym razie nic nie zapamiętałam.

Obudziło mnie lizanie po twarzy. Skóra trochę piekła. Nie dostaję łatwo oparzeń słonecznych, ale spanie na słońcu w letni dzień dla każdego może

kiepsko się skończyć. Dotknęłam twarzy, nie czułam bólu, była tylko ciepła.

- Jeśli chcesz sypiać tak na słoneczku, powinnaś smarować się kremem z filtrem. Pewnego dnia może nie być przy tobie wróżka chrzestnego, który zajmie się twoimi oparzeniami. - Kojot usiadł obok nas i zaczął gryźć źdźbło trawy. - Gotowa?

Nie wiem, jak długo spałam, słońce chyliło się ku zachodowi. Usiadłam prosto. Minęła już pora kolacji, ale nie byłam głodna. Co innego jednak wilkołak.

- Adam musi coś zjeść - powiedziałam, łypiąc na Kojota spod oka. - I poza tym tak, jestem gotowa.

- Czemu na mnie tak patrzysz?

- Nie wiedziałam, że bywasz także wróżkiem chrzestnym.

- Taka dodatkowa fucha. - Skromnie wzruszył ramionami i skoczył na równe nogi. - No to wrzucimy coś na ruszt.

Kojot jechał na tylnym siedzeniu, pochłaniał dwa razy większe porcje niż Adam, a to nie było co.

- Mam dla ciebie noże - powiedział, oblizując palce po zjedzeniu frytek.

- Noże?

- Tak. Ostatnio zużyłem dziewięć, więc załatwiłem ci dwanaście. To obsydianowe ostrza, więc musisz uważać, żeby się przy okazji nie zranić. Siostry zrobiły dla ciebie pas z pochwami, a także same

noże. Nigdy nie widziałem ostrzejszych. Pamiętaj, obsydian jest łamliwy i szybko się tępi, dlatego masz ich aż tyle.

- Dobrze. - Uświadomiłam sobie, że powiedziałam wcześniej Kojotowi prawdę. Byłam gotowa. Drzemka na słońcu z pulsującym pod uchem sercem Adama uspokoiła mnie, napełniła odwagą. Bez względu na efekt postanowiłam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby zabić potwora. Nikt nie mógł zrobić nic ponadto.

W przyczepie czekała na nas cała siódemka. Najwyraźniej Sokół postanowił jednak dołączyć. Wpuścili się sami i sami się ugościli jadłem i napitkiem, wymiatając przy okazji każdy okruszek słodczy, jaki mieliśmy w zapasach. Wyglądało to jak najazd piratów. Gdybym wiedziała, że takie z nich łasuchy, kupiłabym kilka tuzinów pączków. Zapadał zmrok.

Nikt nie mówił zbyt wiele, a gdy słońce dotknęło zachodniego horyzontu, każdy pozbył się ubrania i chwycił broń. Podobnie jak w przypadku starożytnych szkockich klanów, tak w przypadku większości plemion indiańskich, do bitwy szło się prawie nago. Iluzja wieku opadła i wraz ze mną nad rzekę szły duchy zwierząt o ciałach tak atletycznych, jak ciała wilkołaków. Ich skóra była pokryta sierścią lub piórami, a głowy należały do zwierząt, które reprezentowały. Ich prawdziwe postaci były zarówno piękne,

jak i najdziwniejsze, jakie widziałam. Przypominały egipskich bogów. Nigdy wcześniej nie skojarzyłam tego podobieństwa. Szły uzbrojone, wszystkie prócz ptaków, które walczyły z powietrza, w pełnych zwierzęcych formach.

Nie był to pochód biernych ofiar, a marsz wojowników idących do bitwy, choć żaden z nich zdawał się nie wierzyć, że wyjdzie z tej walki żywy.

Lepiej ode mnie wiedzieli, z czym się mierzą.

Ja założyłam stary niebieski kostium kąpielowy i przełożyłam przez ramię pas z nożami. Wyglądałam jak Miss Ameryki przepasana zwycięską szarfą albo dawny żołnierz z pasem nabojów. Noże tkwiły bezpiecznie w pochewkach z jasnej, pięknie wyprawionej skóry. Nie wyglądały groźnie, jak wojskowe ostrza czy nawet sztylety, którymi Kojot pogonił przedtem diabolicę. Były niewielkie, jak ten, którym Gordon wyjmował kulę z Adama. Posługiwanie się nimi musiało przypominać bardziej używanie nożyka do tapet niż czegoś innego. Nie miały rękojeści, a jedynie tępy koniec do trzymania i bardzo ostry do cięcia.

Na wierzch, na pas z nożami, założyłam Adamową ciemnoszarą bluzę od dresu. Nie chcieliśmy zawczasu zdradzać planu.

Kojot skinął mi głową i weszłam do rzeki. Adam krążył niespokojnie na brzegu tuż za miejscem, gdzie ostatnio dosięgła diablica. Z ogromną niechęcią zgodził się trzymać z dala od wody, ale nie był głupi. Nie mogliśmy pozwolić, by potwór przejął nad nim kontrolę tak, jak wcześniej nad Hankiem.

Ja miałam zaczekać i włączyć się dopiero w odpowiedniej chwili, ale wcześniej musiałam odegrać rolę przynęty. Uznaliśmy z Kojotem, że nie powinnam wchodzić głębiej niż po kolana, czyli najwyżej cztery metry od brzegu. Kojot był przekonany, że w tym miejscu zdoła mnie chwycić i wyciągnąć z wody, zanim diablica wciągnie mnie na głębiny. Po kolana oznaczało, że woda całkiem zakryje moje piętno na nodze. Kruk krążył nad nami, wypatrując śladów potwora z powietrza, choć istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że zdoła go dostrzec. Czarna nocą rzeka dobrze skrywała swe sekrety.

Czekałam, gotowa. Minęło dziesięć minut. Nic się nie działo. Nic prócz tego, że zaczynałam marznąć. I bać się, bo przecież nie byłam głupia. Gdzieś w tej toni czaił się potwór, który chciał mnie pożreć, a ja sama prosiłam się o zjedzenie.

Popatrzyłam przez ramię na brzeg, ale nikt prócz Adama się nie niecierpliwił. A nawet w przypadku Adama nie była to niecierpliwość, a raczej narastająca frustracja. Kruk pomachał do mnie, a ja odpowiedziałam tym samym. Jednakże poczuwszy, że z tyłu jestem całkiem odsłonięta, odwróciłam się błyskawicznie do rzeki.

- Nie jest głupia - mruknęłam do siebie, usiłując przebić wzrokiem czerń toni. - Pewnie się zastanawia, dlaczego tak ochoczo weszłam do rzeki po tym, co stało się rankiem. - Spróbowałam myśleć jak ona. - Nie przyszłam, kiedy mogłam ocalić dziecko, ale teraz sobie beztrąsko brodzę w wodzie. Myśli pewnie: „Czy ta kobieta jest głupia? A może

użyli jej jako przynęty w pułapce Kojota?". Raz już ją zabił, ale teraz ona jest silniejsza, a on słabszy. Nawet jeśli to pułapka, to czy ma czego się obawiać? - Liczyłam, że arogancja diablicy weźmie górę nad podejrzliwością. - Może wyczuwa obecność grupy desantowej na brzegu? - Rozważyłam i tę kwestię. - Nie powinno jej to martwić. Nawet oni sami nie wierzą, że mogliby ją pokonać. Ona pewnie tym bardziej.

Ich defetyzm zaskoczył mnie trochę. Wiedziałam co nieco o wojownikach i testosteronie, a Kojot i jego towarzysze byli zdecydowanie tym pierwszym, a drugim mogliby obdzielić armię. Dobry wojownik umie ocenić ryzyko, ale jednocześnie potrzasa szabelką i przechwala się siłą. Kojot był chwalipiętą, lecz w tym wypadku nikt nie mówił o zwycięstwie.

Pół godziny później nabrałam pewności, że stanie w wodzie po kolana nie działa. Wstrzymałam oddech, żeby przysłuchać się odgłosom rzeki. Nic, a w każdym razie nic odbiegającego od normalności. Woda uderzająca o brzeg, nocne ptaki, owady polujące na pożywienie i partnerów, nawet szum autostrady, wszystko sprzysięgło się, by zakamuflować ewentualne dźwięki świadczące o bliskości diablicy.

Spojrzałam na przeciwległy brzeg, wyobrażając sobie, że czai się właśnie tam, obserwuje mnie i czeka. Postąpiłam krok naprzód, czując, że dno pod moimi stopami opada. Jeszcze jeden krok i nagle znalazłam się w wodzie po pas.

Z brzegu dobiegło wycie Adama. Odwróciłam się i pomachałam na znak, że sama weszłam głębiej.

- Tak płytko nie działało - zawołałam. - Uznałam, że wejść głębiej. - Zrobiłam raptem dwa kroki, nie oddaliłam się za bardzo od wyznaczonego miejsca.

Kilka metrów dalej z wody wychynął łeb wy-drzaka. Stworzenie miało triumfującą minę. Według Wujka Mike'a nie mogło mnie skrzywdzić na terenie kąpieliska, ale gdzie pojawiały się wydrzaki, tam zwykle była też diablica. Straciłam zimną krew, odwróciłam się i nagle coś owinęło mi się wokół kostki, pociągając przez wodę jak motorówka narciarza wodnego. Poczułam muśnięcie czegoś, co mogło być ręką Kojota.

Wyciągnęłam się, żeby stworzyć jak największą powierzchnię oporu, a jednocześnie szarpałam się z bluzą Adama, starając się ją rozpiąć, aby sięgnąć do noża. Dobrze wiedziałam, co robi, widziałam, jak pożera ludzi. Nie zamierzałam zostać jej przekąską, bałam się tylko, że nie zdążę temu zapobiec.

Ale musiałam spróbować. W razie mojej śmierci całe przedsięwzięcie diabli wezmą.

Skoncentrowałam się na radach sensei Johansona. Kiedyś powiedział mi, że drogą do zwycięstwa w starciu jest gotowość.

Diablica wciągnęła mnie pod wodę. Zanurzyłam się w absolutnym mroku. Usiłowałam ją zobaczyć, lecz bezskutecznie wyteżalałam wzrok. Jednakże pod wpływem ruchów jej ciała tworzyły się prądy. Rozwarła paszczę.

Ciebie pożrę z wyjątkową przyjemnością, rzekła. A wtedy dowiem się, jak udało ci się mi sprzeciwić, choć

nie dokonała tego żadna śmiertelna istota. Dowiem się, a wiedza to siła.

Mercy! Głos Adama zagłuszył słowa diablicy, wyrywając mnie z odrętwienia.

Bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom udało mi się namacać wolną nogą dolny kieł, dłuższy niż moja piszczel, lewą ręką chwyciłam jeden z górnych i wygięłam się, starając znaleźć jak najdalej od gardzieli potwora.

Mercedes. Nie mogłam odpowiedzieć na rozpaczliwe wycie Adama. Nie, jeśli chciałam przeżyć.

Przypomniałam sobie, że przednie zęby potwora są szpiczaste i sterczą na zewnątrz jak kolce jeżozwierza. I że są bardzo długie. Liczyłam, że nie może rozewrzeć szczęk tak szeroko, by dopóki zapierałam się o dolną i trzymałam górnej, mnie połknąć.

Niepotrzebne utrudniasz sprawę. Złapałam cię i nie uciekniesz.

Nagle kłapnęła paszczą, ale ja byłam szybsza -zgięłam się, a potem wyprostowałam, podążając za jej ruchami. Woda ułatwiła mi zadanie. Została wypchnięta wraz z zamknięciem pyska.

Zmieniła taktykę, usiłując oderwać mnie za pomocą macki. Zauważyłam, że niewydłużona macka działa znacznie mniej skutecznie niż rozciągnięta. Wyrostek zachowywał się jak nienaprzężona guma. Mogła się owinąć wokół mnie, ciągnąć, ale nie pchać.

Zastanawiałam się, dlaczego nie użyła drugiej. Doszłam do wniosku, że może chwilowo diablicę zaślepiła złość. Ale kiedy ochłonie i zadziała całym

arsenałem, nie mam szans. Zresztą jeśli ta patowa sytuacja potrwa dłużej, też ich nie mam. Nie umiałam przecież oddychać pod wodą, a jakiś czas już byłam zanurzona.

Podczas kolejnego silnego szarpnięcia przestałam się zapierać nogami. Pociągnęła tak mocno, że aż poderwała mi nogę powyżej górnej szczęki. Przestała ciągnąć, gdy tylko zorientowała się, co zrobiła, ale za późno. Zdołałam wykorzystać poluzowanie tkanki i okręcić mackę o jeden z kłów. W ten sposób za następnym pociągnięciem zamiast mojej nogi szarpnęłyby własny ząb.

Wszystko sprytnie i pięknie, ale jeszcze chwila i nie pomoże mi cała mądrość tego świata. Miotalam się, dopóki nie znalazłam się na, a nie z przodu pyska. Wreszcie udało mi się rozpiąć bluzę i wyjąć nóż. Odcięłam przytrzymującą mnie mackę.

Wyrostki musiały być bardzo wrażliwe, bo diablica szarpnęła się z bólu, unosząc łeb ponad wodę. Gwałtowność ruchu wyrzuciła mnie w powietrze i wylądowałam kilka metrów dalej w górę rzeki. Runęłam w wodę. Teraz wystarczy chwila, by prąd zaniósł mnie z powrotem do diablicy. Wypłynęłam i natychmiast ogłuszył mnie jej wrzask. Na mój widok diablica zanurkowała. Staralam się płynąć ze wszystkich sił, ale nie byłam rybą, więc miałam wielkie szanse stać się przekąską potwora.

Krzyknęłam, czując, że coś łapie mnie za ramiona, i rękami chwyciłam to, co wyciągało mnie z wody. Przestałam wrzeszczeć na widok rozwartej paszczy potwora, która znajdowała się teraz dwa

metry poniżej moich majtających w powietrzu stóp. Pod palcami czułam twarde niczym stal kości obleczone chropawą skórą. Nie mogło to być nic innego jak nogi wielkiego ptaka.

Moje jedzenie! Moje jedzenie! Złodzieju! Pod wpływem tych rozlegających się w mojej głowie wściekłych wrzasków zacisnęłam ręce w jeszcze silniejszym uchwycie i podciągnęłam nogi tak wysoko, jak się dało.

Nawet tak ogromny ptak, o tak wielkiej rozpiętości skrzydeł, nie zdołałby unieść mojego ciężaru. Ale to nie był jakiś tam ptak grom, a ten Ptak Grom. To robiło różnicę.

Diablica wystrzeliła z wody, lecz chybiła, bo mój wybawca w ostatniej chwili zrobił ostry zwód. Potwór kołysał się jeszcze przez moment wyciągnięty nad taflę na pełną długość, a potem runął z powrotem do rzeki jak zrzucony z powietrza wieloryb. Ptak Grom zaniósł mnie na brzeg i ostrożnie postawił tam, gdzie powinien na mnie czekać Adam. Nie czekał.

-Adam! - krzyknęłam, trąc zachlapane oczy. Niemożliwe, żeby go dostała. Był mój. Ruszyłam chwiejnie w stronę rzeki, ale w tym momencie pojawił się Adam, zbił mnie z nóg barkiem i dodatkowo zmoczył wodą, którą sam ociekał.

Zakląłam.

- Miałeś nie wchodzić do wody! - wycedziłam, szczękając zębami. - Jeśli cię dostanie, nie będzie już musiała mnie zabijać. Zmusi cię, żebyś ty to zrobił!

Na tę myśl przerażenie ścisnęło mi gardło. Rozumiałam, dlaczego to zrobił, rozumiałam całym jestestwem, ale bez względu na wszystko musiał trzymać się z dala od wody. Usiłowałam się spod niego wygrzebać, jednak wielka łapa przycisnęła mi ramię do ziemi, a w paszczy pobieły odśłonięte na mnie kły.

Wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że to nie z Adamem mam do czynienia. Adam wiedział dobrze, że nie wolno mu zbliżyć się do rzeki. Ale wilk nie pojmował dlaczego, a to on właśnie przejął kontrolę.

Nie miałam czasu na przepychanki. Musiałam założyć płetwy i czekać gotowa na moment, kiedy diablica będzie trawić w otępieniu.

Dobiegł mnie okrzyk bitewny - ktoś rzucał jej wyzwanie.

- Adam, puść mnie - poprosiłam.

W odpowiedzi wilk położył się na mnie, pozbawiając możliwości ruchu. Przeklęty Wilk. Gdyby nie to, że Adam długo pozostawał w wilczej formie, bestia nie przejęłaby tak łatwo kontroli nad człowiekiem.

Wiedziałam jednak, co robić - wystarczyło uspokoić siebie, by i wilk się uspokoił. Odbierał moje przyspieszone bicie serca, mój strach i widział, jak znikam pod wodą. Nie widział co prawda, jak walczyłam na oślep z przeciwnikiem, czując tylko jego długie, przeraźliwie ostre kły, ale wspomnienie tego na pewno nie pomoże mi wyciszyć emocji.

Zamknęłam oczy i odszukałam oazę spokoju, którą nauczyłam się tworzyć podczas treningów

w dojo. Przydawała się też podczas pracy z opornymi silnikami i rozmów z niezadowolonymi klientami.

Zabrało to więcej czasu niż zazwyczaj, bo nie potrafiłam odciąć się od odgłosów toczącej się nieopodal bitwy, ale wreszcie mój puls wyrównał się, a ciało odprężyło.

-Już dobrze - powiedziałam. - Nic mi nie jest. Musisz ze mnie zejść, bo zaraz mnie zgnieciesz.

Wilk warknął.

- Adam - powiedziałam ostrzej - złaż ze mnie. Zamknął żółte ślepie i westchnął głęboko.

- Adam?

Kiedy uniósł powieki, spoglądał już na mnie Adam. Wstał i odsunął się.

- Dziękuję. - Przetoczyłam się na nogi znacznie mniej zręcznie, niż zamierzałam.

W rzece trwała żywiołowa walka. Woda spływała krwią. Nie widziałam jej, ale czułam zapach. Słyszałam wrzaski ptaków, Kruka, Sokoła i Ptaka Groma, atakujących potwora z góry. Diablica kotłowała się na głębiny pośrodku rzeki. Nawet przy moich możliwościach widzenia w nocy nie byłam w stanie dojrzeć szczegółów walki. Ignorując ból stopy, którą poraniłam o kiel diablicy, założyłam skarpety do płetw.

Wrzawa bitewna przesuwała się powoli w stronę kąpieliska. Poczulałam podniecenie Adama, który pojął, do czego zmierza potwór. Więc pozwoliła i mnie to zrozumieć - diablica zaganiała ich, nie chcąc, żeby któryś z przeciwników jej umknął. Poza tym na ograniczonej przestrzeni łatwiej znaleźć szczątki ciał.

Ale jej posunięcie i mnie ułatwiało zadanie.

Bałam się, że Adam nie będzie chciał mnie puścić do wody. Nie mogłam opanować przerażenia...

Diablica była już tak blisko, że widziałam jej rozjarzone zielone ślepie, a to oznaczało, że znajdujemy się z Adamem w jej zasięgu.

- Chodź - zaczęłam - musimy...

Rozległ się potężny chlupot i łeb potwora wychynął ponad powierzchnię. Na jednym z kłów wisiał nabity człowiek o psiej głowie. Diablica otworzyła paszczkę, zdjęła go za pomocą macki, podrzuciła i złapała, zaciskając na tułowi tyłne siekacze.

Adam padł na ziemię niczym marionetka, której odcięto sznurki. Kojot zawył w hołdzie ofierze towarzysza.

Diablica pożarła Wilka.

Patrzyłam na Adama zaskoczona. Oddychał, jego serce bilo rytmicznie, ale stracił przytomność. Klęczałam, szukając na jego ciele ran, kiedy poczułam przeszywający ból i zrozumiałam, dlaczego legł bez życia.

Poczułam żar na skórze, jakby ktoś oblał mnie wrzątkiem. Krzyknęłam, usiłując wstać, i tym razem to ja, ze łzami spływającymi po policzkach, zawylałam w hołdzie ofierze Kojota.

Zdawałam sobie sprawę, że nie potrwa to już długo. W większej grupie mogli ją atakować na zmianę, nie dając czasu na odpowiedź, ale po śmierci dwóch utworzył się wyłom w ofensywie.

Kruk zgiął, usiłując ratować Węża, który wykorzystał śmierć towarzysza, by wrazić włócznię w bok diablicy. Niestety, weszła zbyt płytko. Obserwując

walkę, zrozumiałam, dlaczego zmagając się ze mną, używała jednej macki - mogła posługiwać się tylko jedną naraz. Pozostałe unosiły się wokół głowy niczym sztywne pasma włosów. Wciągnęła Węża pod wodę i już więcej go nie zobaczyłam. Wreszcie zostali tylko Ptak Grom i Sokół.

Ptak Grom zaczął pikować w dół niczym F-15, a u celu wystawił szpony i uderzył w pysk diablicy. Widziałam, jak chwilę potem w ten sam sposób rozorał jej nos. Jednak tym razem smagnęła macką, chwyciła go za nogi i ściągnęła do wody.

Naraz wrzasnęła. Ani ona, ani ja nie zauważyłyśmy Sokoła, który korzystając z momentu, gdy zajmowała się Ptakiem Gromem, wpił się szponami w jej oko. Niestety, utknęły w gałce, a diablica zanurzyła się gwałtownie, pociągając go za sobą. Kipiel uspokoiła się i na powierzchni unosił się tylko niesiony nurtem bezwładny Ptak Grom. Potem zniknął, wciągnięty pod powierzchnię.

„Zaczekaj, aż wypłynię i znieruchomieje”, mówił wcześniej siedzący na tylnym siedzeniu Kojot, pochłaniając jednocześnie dwa tłuste burgery. „Jeśli nie wystarczy nas, by ją nasycić, nie ma sensu, żebyś i ty rzucała się na śmierć”.

Zapytałam wtedy, co mamy zrobić, jeśli diablica nie zapadnie w stan spoczynku.

„Wtedy trzeba będzie sięgnąć do arsenału nuklearnego”, oświadczył. Choć się uśmiechał, wątpiałam, by żartował.

Zdjęłam bluzę Adama. Ramiona miałam poranione tam, gdzie Ptak Grom wbił mi szpony w skórę,

kiedy mnie ratował. Ale wzięwszy pod uwagę okoliczności, nie zamierzałam narzekać. Sprawdziłam noże. Kilku brakowało, zostało mi osiem. Miałam nadzieję, że tyle wystarczy.

Weszłam do wody po kolana, a potem założyłam jaskraworóżowe płetwy. I znów musiałam czekać, prawie w tym samym miejscu co przedtem.

Wydawało mi się, że nurt powinien unieść odór śmierci, ale nadal wyczuwałam zapach krwi. Coś obito mi się o nogę. Zachwiałam się i, nie mogąc złapać równowagi przez płetwy, chlupnęłam na zadek w wodę. Poczułam szarpnięcie pasa z nożami, sięgnęłam pod wodę i wyciągnęłam wydrę. Wstałam i odrzuciłam ją tak daleko jak umiałam. Sprawdziłam pas, ale wydra tylko go nadgryzła w jednym miejscu. Noży było nadal osiem.

Parę metrów dalej wypłynęło coś długiego, jasnego i zaczęło się kołysać na wodzie, poruszane nurtem. Po chwili na powierzchni pojawił się kolejny podługowaty kształt i jeszcze jeden, aż wreszcie wynurzył się łeb potwora, a w każdym razie część łba, z jednym okiem i rozwartą paszczą. W końcu wypłynęła reszta cielska. Było nieruchome i ogromne. Naprawdę ogromne. Według mnie przerosło hipotetyczne obliczenia Kojota - miało więcej niż trzydzieści metrów.

Do dzieła.

Postanowiłam nie zwracać uwagi na krążące wokół wydry. Gdyby mogły, już dawno by mnie zaatakowały. Czar, który nałożyli na kąpielisko nieładzie, służył mojej sprawie.

Kiedy weszłam po uda, zaczęłam płynąć, machając płetwami. Spodziewałam się, że będę musiała płynąć za diablicą w dół rzeki, ale jej zachłanność na mięso uwięziła ją w prawie nieruchomych wodach kąpieliska. Nie miało to znaczenia dla tego, co musiałam zrobić, ale jeśli mi się powiedzie, szybciej dotrę do Adama.

W oddali, przy szosie dostrzegłam błyskanie latarek. Pewnie ktoś zauważył zamieszanie na rzece. Braliśmy pod uwagę, że prędzej czy później ludzie się tu zbiegną, ale w przypadku śmierci potwora nie miało to znaczenia. W innym wypadku diabli-cy dostanie się cała wielka spizarnia. Tyle że wtedy nie będzie to już moja sprawa. Kojot może - może! -mógł wrócić z martwych, ja na pewno nie.

Brzuszyko potwora, z odstającą płetwą piersiową, wystawało jakiś metr ponad wodę. Nie mogłam przepłynąć pod diablicą, więc opłynęłam ją bokiem najkrótszą drogą, czyli od strony łba. Staralam się przy tym nie przypatrywać się jej pyskowi. Oko widziałam tylko jedno, to, które zaatakował Sokół.

„Nie wiem, jak długo będzie trwał jej spoczynek”, mówił Kojot w drodze na pole kempingowe. „Nie potrafię tego ocenić nawet w przybliżeniu. Możemy tylko nakarmić ją wszystkim, czym dysponujemy, i mieć nadzieję, że to wystarczy”. Uśmiechał się szeroko. „Możliwe, że mnie samego będzie trawiła z tydzień”.

Coś się o mnie otarło. Odwróciłam się, spodziewając zobaczyć wydrę, ale to było tylko pióro. Dłu-

gości mojego ramienia, przytwierdzone do kawałka skóry, który utkwiał pomiędzy zębami diablicy. Popłynęłam szybciej.

Górną część ciała miała bardziej chropowatą niż skórę na brzuchu. Pewnie dałabym radę się po niej wspiać, lecz głęboko wbita włócznia oszczędziła mi wysiłku. Wykorzystałam drzewce jak stopień. Zdjęłam płetwy, puściłam je w wodę i wspięłam się na wierzch diablicy.

Jej skóra była zimna i trochę oślizgła. Pachniała rybą i magią. Spodziewałam się wielkich łusek, ale pokrywały ją małe, cieńsze nawet niż u pstrąga. Przynajmniej na brzuchu, bo te na grzbiecie przypominały węzowe. Przytrzymując się płetwy piersiowej, odmierzyłam cztery szerokości dłoni od jej nasady, dobyłam noża i zagłębiłam w jej ciele.

Wstrzymałam oddech. Skóra poddała się z pewnym oporem, ale potwór nie drgnął. Gdyby nie słaby puls, jaki czułam pod kolanami, i lekkie poruszanie skrzelii, dałabym głowę, że już nie żyje.

Pierwszy nóż przebił się przez wszystkie warstwy skóry, zanim ostrze się stępiło. Z początku tego nie zauważyłam, rzezając jeszcze jakiś czas twardą tkankę i tracąc cenny czas. Przy czwartym rozcięciu było już na prawie trzydzieści centymetrów głębokie i dwa razy szersze. Zaparłszy się kolanem, rozciągnęłam brzegi szczeliny. Wgłębienie wypełniło się rozwodnioną krwią, którą musiałam wyczerpać, żeby widzieć, czy ostrze nadal tnie.

„Musisz zrobić tak szerokie nacięcie”, mówił Kojot, rozkładając dłonie na odległość około pół metra.

„Tak, żeby swobodnie dostać się do serca. Diablicą nie ma żeber, to ryba. Ale i ich nie potrzebuje. Jej ciało to tkanka i magia. To dlatego stal nie może jej zranić, dlatego nie działają na nią pociski ani granaty. Nie jestem nawet pewien, czy głowica nuklearna dałaby jej radę, choć eksperyment byłby na pewno ciekawy. Oczywiście po czymś takim woda w rzece nie nadawałaby się do użytku ze sto lat, a nawet może więcej...”

Wydry kotłowały się wokół diablicy, szarpiąc ją za macki i usiłując obudzić za pomocą magii, co czułam wyraźnie. Potrafiłam odróżnić magię nie ludzi od tej, która ożywiała potwora.

Popatrzyłam na brzeg, ale Adam się nie ruszał.

Co robisz, Mercedes? Jej głos rozbrzmiał w mojej głowie, a ja zamarłam, przekonana, że się zbudziła. Me masz tyle siły, żeby podolać zadaniu, którym cię obarczono. Trzeba było przyjść do mnie rano i uratować te dzieci. Wtedy twoja śmierć przynajmniej coś by znaczyła.

Tkanka pod nożem zaczęła drgać regularnie. Kojot mówił, że to znak, iż serce znajduje się coraz bliżej. Wzięłam nowe ostrze, zostały mi trzy - i wróciłam do pracy.

Dłonie zgrabiały mi z zimna. Kilka razy omsknął mi się nóż. Przynajmniej jedno ze skaleczeń nadawało się do szycia. O ile oczywiście będę żyła. Nowe ostrze złamało się. Cisnęłam nim w wydrzaka. Oberwał w głowę i zaskrzeczał na mnie. W odpowiedzi pokazałam mu język i wzięłam kolejny nóż.

Zostały dwa.

Za słabo, Mercedes. Masz za mało siły. Biedny Kojot zginął na marne, zabierając ze sobą ostatnich duchów--wojowników, którzy jeszcze odwiedzali Matkę Ziemię. Nie podołasz, ale nie martw się, nie będziesz musiała żyć ze świadomością porażki.

Ostrze się stępiło. Zostało ostatnie. Wydawało mi się, że diabolicą się poruszyła. A może nie.

Ujęłam w dłoń nóż i wróciłam do rozcinana potwora. Tym razem musiało się udać albo nie. Noga w miejscu, gdzie mnie chwyciła macką, pulsowała boleśnie w rytm bicia jej serca. W biodrze po tej samej stronie łupało - musiałam sobie naciągnąć mięsień. Rana pod pachą szarpała za każdym razem, kiedy poruszyłam ręką.

Wreszcie ostatnia warstwa tkanki rozstąpiła się, ukazując serce.

Nigdy nie widziałam takiego serca. Było czarne, oplecione pajęczyną szarych włókien, a magia w nim była tak silna, że aż kłuła mnie w palce.

„Nie próbuj nawet dźgnąć ją w serce”. Kojot przeżuwał przez chwilę, przełknął, a potem podjął: „Jest zbyt twarde. Musisz przeciąć tkankę łączną”.

Tak też uczyniłam. Serce oplatały cztery sieci chrząstki, które utrzymywały je w miejscu. Należało się ich pozbyć, bo leżące pod nimi naczynia krwionośne ponoć były już na tyle miękkie, że mogłam oderwać je gołymi rękami. W każdym razie tak twierdził Kojot.

Przystawiłam ostrze do pierwszej z sieci.

W tym momencie diabolicą się ocknęła.

ROZDZIAŁ 13

Nie oprzytomniała natychmiast, może zraniłam ją na tyle mocno, że nie mogła zareagować od razu. Najpierw się przeciągnęła. Podczas tego ruchu płetwa piersiowa zatrzepotała i uderzyła mnie w rękę, wytrącając z dłoni nóż. Patrzyłam, jak przecina powierzchnię i znika w głębinach.

Wydrzaki otoczyły diablicę półkolem, zatrzymując się jakieś pięć metrów od niej. Potwór poruszył się, zanurzając tylną część ciała pod wodę. Powinnam zeskoczyć, żeby mieć jakąkolwiek szansę na przeżycie.

Tak, Mercedes, powinnaś uciekać. Lubię pościg za ofiarami.

Zrezygnowałam ze skakania do wody i zamiast tego wczepiłam się z całej siły w brzegi rany, żeby diablica mnie z siebie nie straciła. Kojot zginął, dając mi szansę, a ja ją zaprzepąściłam. MacKenzie, dziewczynka, która nigdy nie będzie miała więcej niż osiem lat i cztery dni, zginęła za moją szansę,

a ja zawiodłam ją i jej rodzinę. Faith Jamison przyszła do mnie, a ja zawiodłam również ją.

Zawiodłam ich wszystkich. Lecz oni nie żyli, nie dbali to. Ale był jeszcze Adam.

Postanowiłam nie poddawać się bez walki. Adam na mnie czekał.

Diablica smagnęła macką, usłyszałam trzask łamanej puszczeli, jednak ból do mnie nie dotarł. Ułożyłam dłoń jak do przełamywania desek i uderzyłam nią w serce potwora. Nie byłam w formie, a do tego balansowałam na cielsku oślizgłej ryby, która nie chciała współpracować. Równie dobrze mogłam smagnąć ją piórem Ptaka Groma. Zanurzyłam dłoń w ranie, usiłując złapać serce, poczułam tylko, jakbym dotknęła magicznie naładowanego ogrodzenia pod napięciem.

Potrzebowałam jakiejś broni, czegoś, co przebiłoby się przez magię diablicy rzecznej, a miałam tylko gołe ręce.

Diablica wierciła się, żeby się szybciej przebudzić. Okręciwszy się, wepchnęła mnie pod wodę, jakby chciała ostrzec, że jeśli zmienię się w kojota, by zyskać przynajmniej porządne zęby, nie mam szans utrzymać się na niej na czterech łapach na tyle długo, by coś nimi zdziałać. A przecież nawet nie wiedziałam, czy w ogóle mogę zmienić się w kojota. Przecież Kojot nie żył. Nie miałam dosłownie nic.

To wynurzałam się, to znów szłam pod wodę, kiedy przez głowę przemknęła mi pewna myśl.

„Wszystko, co stworzył Lugh, w razie potrzeby może posłużyć za broń”, powiedział mi dębieć.

Może jednak miałam broń?

Skacz, nalegała diablica. Uciekaj. Płyń do brzegu. Może nawet dam ci tam dotrzeć, jeśli popłyniesz wystarczająco szybko. A może powinnam zostawić cię przy życiu i pozwolić ci trwać ze świadomością porażki? Byłaby to odpowiednia kara za to, co próbowałaś zrobić.

Rozwarłam pięść i wyciągnęłam rękę.

- No, kosturze, chodź, potrzebuję cię - powiedziałam, a potem sięgnęłam za plecy i zamknęłam palce na okutym srebrem dębowym kiju.

Potwór okręcił się i część, na której siedziałam, wynurzyła się ponad wodę. Wykorzystałam ten ruch, by wzmocnić zamach, i z całej siły wraziłam kostur w serce potwora. Kiedy się w nim zagłębiał, srebrna końcówka wydłużyła się, formując grot. Włócznia zagłębiła się co najmniej na szerokość dłoni i znieruchomiła, jakby natrafiła na opór. Diablica już miała obrócić się znowu, zanurzając mnie w wodzie, ale wykręciła się do góry.

Metalowe części kostura rozgrzały się do białości. Poślizgnęłam się na śluzowatym cielsku diablicy i instynktownie złapałam się kija, choć parzył mi dłonie. Już miałam puścić, ale nie musiałam. Drzewce zaczęło się poruszać razem z cielskiem diablicy. Przestraszyłam się, że uwiesiwszy się na kosturze, wyciągam go. Jednak tuż przed tym, jak woda zamknęła się nad moją głową, zdążyłam coś zobaczyć.

Kostur wyssał z ciała diablicy całe ciepło, obracając jej serce w bryłę lodu. Obciążony mną zadziałał jak łom, bryła pękła i wypadła z cielska potwora.

Ja znalazłam się pod potworem, który tonął, spychając mnie na dno. Na szczęście nie było tu zbyt głęboko. Zaczęłam się miotać, próbując uwolnić spod diablicy. Po takiej walce, w dodatku zwycięskiej, głupio byłoby utopić się w głębokim na niecałe trzy metry kąpielisku.

Zgubiłam kostur, nie przejęłam się tym, bo i tak zawsze wracał. Wreszcie udało mi się wyzwolić, tyle że nie mogłam zorientować się, w którą stronę powinnam płynąć. Uznałam zatem, że najlepiej pozwolę wodzie wypchnąć się na powierzchnię, i przestałam młócić kończynami. Wynurzyłam się. Gdyby było głębiej, mogło się nie udać.

Na wodzie unosiły się bryłki lodu. Śmierdziały krwią i magią, starałam się więc ich nie dotykać, zbliżając się powoli do brzegu. Kiedy zrobiło się za płytko, żeby płynąć, zaczęłam się czołgać. Nie miałam siły, żeby wstać.

Wreszcie wygramoliłam się z wody i ostatkiem sił dopełzłam do nieprzytomnego Adama.

Przytrzymując się jego gęstej sierści, odwróciłam się i spojrzałam na rzekę. Cielsko diablicy kołysało się na wodzie, a dobrze widoczna rana nie zasklepiała się.

- Adam - powiedziałam - Adam, udało się. Wsparłam się czołem o jego bok i pozwoliłam,

aby informacja ta dotarła również do mnie.

- Powinienem zostawić cię przy życiu - rozległ się męski głos, nieświadomie powtarzający słowa diablicy. A może też je słyszał?

Podniosłam głowę. Na brzegu stał mężczyzna o dziwnych rysach twarzy, przypominających zniekształcony rysunek. Niby ludzkich, lecz nie do końca. Miał na sobie suche spodnie i bluzę dresową z emblematem Uniwersytetu Waszyngtońskiego, ale nie miał butów. Zmierzwiona broda była ciemniejsza niż włosy. Choć w głosie brzmiał cały wachlarz emocji, na twarzy nie odbijały się żadne. Była jak maska, jak oblicze człowieka dotkniętego silnym autyzmem. Teraz, kiedy ujrzałam drugiego przedstawiciela wydrzaków, uznałam, że to ich cecha charakterystyczna.

- Co? - zapytałam głupio, nie mogąc dociec sensu jego wypowiedzi.

- Splamiłaś krwią jedno z dzieł Lughy, zanurzyłaś je w sercu istoty starszej i posiadającej potężniejszą magię niż kostur - rzekł. - Powinienem zostawić cię w spokoju, byś żyła z tym, co uczyniłaś. Lecz musisz zapłacić za zabicie naszego stwora, tej, której obudzenie opłaciliśmy wysoką ceną.

Miałam dość. Byłam zmęczona, obolała, czułam dotkliwie każdą część ciała, a szczególnie dokuczała mi ręka, którą uderzyłam w serce diablidy. W zasadzie obie dłonie miałam obolałe po tym, jak oparzyłam się, chwytając kostur. Noga smagnięta macką łupała głęboko, rozdzierająco. Wiedziałam, że ten uraz jest bardzo poważny. Do tego z całej masy otarć i skaleczeń sączyła się krew. Przemknęło mi nawet przez głowę, że może obezwładniające zmęczenie nie jest jedynie wynikiem morderczego wysiłku, a także utraty krwi.

- To wy ją obudziliście? - Powiedziałam sobie stanowczo, że mogę usiąść. Ciało protestowało gwałtownie, wreszcie mi się udało. Chciałam podciągnąć też nogi, jednak zrezygnowałam po pierwszej próbie. Uznałam, że na razie jest im dobrze tam, gdzie są.

- Zabrało nam to dwa miesiące, zużyliśmy całą naszą magię, a ty tak po prostu ją zabiłaś? Ty arogancki szkodniku wsadzający nos w nie swoje sprawy. - Trzymał coś w ręku, widziałam, ale niedokładnie, bo stał trochę bokiem, a ja nie mogłam się wychylić.

- Właśnie tak, zabiłam ją. Co innego miałam zrobić? Zabiła wielu ludzi. Dlaczego ją przywołaliście?

- Była nasza - syknął oburzony. - Spała sobie w naszym domu. - Zadumał się, ale nie umiałam ocenić, o czym myślał. Kiedy podjął, mówił miękko: - Taka piękna, zabójcza, moja pani. Obudziliśmy ją, by ujrzeć jej piękno żywe, a kiedy ją o to poprosiliśmy, polowała dla nas, aż byliśmy syci jej ofiar. Była wszystkim, czego pragnęły nasze serca. Karmiła nas, a my karmiliśmy ją. Była naszą bronią, doskonałym narzędziem zemsty.

Zarośla na brzegu zaszeleściły i spomiędzy krzewów wyłoniło się więcej sylwetek. Jedną z przybyłych okazała się kobieta, która napadła na mnie w sklepie. Miała ze sobą swój mosiężny nóż. Płakała, co przy jej kamiennych, nieruchomych rysach wyglądało dziwacznie.

Wujek Mike wspominał, że powinno być siedem wydrzaków, a tu stało ich sześć.

- Nie brakuje któregoś z was? - zapytałam.

- Poświęcił się, by nasza bogini mogła się przebudzić.

Przypomniałam sobie sen, w którym pożarłam jedną z wydr. Już wtedy nosiłam piętno rzeki. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że już wówczas mogłam widzieć coś rzeczywistego.

Zauważyłam, że usta wszystkich wydrzaków poruszają się jednocześnie, jakby bezgłośnie wypowiadały słowa, które artykułował mężczyzna. Cała grupa roztaczała wokół atmosferę groźby, która wiązała się nie tylko z bronią.

Spośród wydrzaków wyróżniał jeden najpotężniejszy mężczyzna. Zwróciłam na niego uwagę, bo trzymał na ramieniu wielką łagę z ciemnego, lśniącego drewna, zakończoną podobnie jak kij golfowy. Po raz pierwszy miałam okazję zobaczyć na żywo *shillelagh*, irlandzką pałkę.

- Nie żyje nasz brat, swe życie złożywszy w ofierze na rzecz swego ludu. - Brodacz, który był najwyraźniej głosem całej grupy, zamilkł na moment. Przerw nie stosował chyba jako podkreślenia, stanowiły raczej integralną część jego wypowiedzi. Jakby tłumaczył albo po prostu wolno myślał. - A ty wszystko zniszczyłaś.

Bez ostrzeżenia zamachnął się na mnie przedmiotem, który krył za plecami. Ja jednak spodziewałam się takiego obrotu spraw, zdążyłam więc się zerwać i opierając na zdrowej nodze, zablokowałam cios brązowego ostrza kosturem, wyciągniętym spod Adama. Kostur nie leżał na dnie rzeki pod truchłem

diablicy - znajdował się dokładnie tam, gdzie był najbardziej potrzebny.

Zabolało. Gdybym nie bała się o bezbronno Adama, nie zdobyłabym się na ten wysiłek. Choć i tak wiedziałam, że to płonne starania. Było ich sześcioro, a ja jedna, w dodatku skonana i ranna. Ale obiecałam coś Adamowi w liście i zamierzałam dotrzymać tej obietnicy.

Ostrze sypnęło pomarańczowymi iskrami i pękło. Jego magia nie mogła mierzyć się z tą zaklętą w kosturze Lughy.

A potem wydarzyło się coś zaskakującego. Kostur, na którego końcu znów pojawił się grot, bez mojego udziału wbił się w gardło wydrzaka. Było to tak niespodziewane i silne pociągnięcie, że musiałam wesprzeć się na zranionej nodze. Zemdlałam.

Kiedy się ocknęłam, znalazłam się oko w oko z brodatym wydrzakiem. Leżałam z policzkiem w kałuży jego krwi. Śmiał się ze mnie, kiedy umierał.

Po wzroku odzyskał sprawność mój słuch. Doszły mnie odgłosy walki. Usłyszałam złowrogie, ciche warknięcie Adama, takie jakie wydawał, kiedy był bardziej niż wściekły. Żar jego gniewu wyznaczył w mojej duszy jeden cel: żaden z wydrzaków nie miał przetrwać tej nocy.

Adam był przytomny, a to oznaczało, że nic mu już nie groziło. Chciałam się odwrócić, ale nogę miałam chyba bardzo poważnie zranioną, bo gdy tylko się poruszyłam, znów zemdlałam.

Kiedy otworzyłam oczy, mój wzrok padł na leżącą w miejscu brodacza martwą wydrę. Krew była

nadal ciepła, więc nie minęło wiele czasu. Wokół panowała cisza, ale tym razem nie próbowałam nawet się poruszyć.

- Adam? - odezwałam się słabym, denerwująco drżącym głosem. Nie odezwał się, ale nie zawołałam po raz drugi. Zmęczenie powinno mnie otępić, lecz byłam na to zbyt obolała. Powinnam się cieszyć zwycięstwem, na to jednak też byłam zbyt obolała.

Przemknęło mi przez głowę, że może wydrza-ki zraniły Adama. Otworzyłam serce, by wyczuć go za pomocą więzi. Był tuż obok, przemieniał się w człowieka. Odetchnęłam z ulgą i po prostu czekałam, chłonąc jego strach o mnie, jego gniew, miłość, i zaczęła ogarniać mnie euforia. Skoro docierało do mnie to wszystko, to znaczyło, że żyłam, a to wydawało się niesamowitym osiągnięciem.

Musiałam zapaść w drzemkę, bo obudził mnie delikatny dotyk dłoni. Krew pod policzkiem zaczynała krzepnąć.

- Adam - odezwałam się - musisz się ubrać, zanim policja tu dotrze. - Od dłuższej chwili słyszałam wycie syren.

- Cii - uciszył mnie. Nagle, jak gdyby opadła zasłona, poczułam jego żarliwe pragnienie upewnienia się, że nic mi nie jest. Wydawał się taki spokojny, taki opanowany, lecz to były pozory.

- Proszę - nalegałam, wiedząc, że trzeba mu pomóc odzyskać panowanie, inaczej zabije każdego,

kto zbliży się do mnie na trzy metry. Czasami odnosiłam wrażenie, że jedwabne koszule i szyte na miarę garnitury stanowiły Adamową tarczę przeciw dzikości tkwiącej w nim bestii.

Poza tym widok nagiego Adama na pewno wzbudziłby w policjantach gwałtowne reakcje, a Adam potrzebował teraz maksimum spokoju.

Zawahał się.

- Nic mi nie jest - przekonywałam go. - Naprawdę. - Spróbowałam wzruszyć ramionami i poprawiłam się: - No dobrze, jestem obolała, chyba mam załamano nogę i może też rękę, ale nie wykrwawię się tu na śmierć, a lepiej ci będzie rozmawiać z policją czy FBI w spodniach.

- Nie zostawię cię tu samej. I nie ruszę się, póki nie sprawdzę sam, co ci jest.

-Jestem pewna, że ubierzesz się i będziesz tu z powrotem w pół minuty. - Naraz przyszedł mi do głowy świetny pomysł. - Nie chcę, żeby ktoś poza mną oglądał cię nago - oświadczyłam, sama nieco zaskoczona, jak prawdziwe są moje słowa. - Na pewno nie w momencie, kiedy nie mogę bronić swoich praw do ciebie. - Głupio to zabrzmiało, zdawałam sobie z tego sprawę, ale wiedziałam również, że mnie zrozumie.

- Niech cię, Mercy. - Puścił się pędem do przyczepy.

Uśmiechnęłam się, słysząc trzask drzwi, i zdałam sobie sprawę, że śmieję się w pysk wydrzaka, którego krew krzepła pod moim policzkiem i który wpatrywał się we mnie zamglonymi śmiercią ślepi-

mi. Uznałam, że ten koszmary widok będzie mi się śnił, ale najwcześniej jutro. Dzisiaj on był martwy, ja żyłam. Na tę chwilę był to dla mnie wystarczający powód do zadowolenia.

Dobrze, że wydrzaki po śmierci powracały do formy zwierzęcej. Mielibyśmy kłopoty z wyjaśnieniem policji, dlaczego na brzegu leży sześć ludzkich ciał. Poczulałam uwierający mnie w żebra kostur. Wydobyłam go spod siebie i przyjrzałam mu się uważnie.

Pomyślałam, że później będę się zastanawiała, co zrobiłam z kosturem. W końcu nie mogło być aż tak źle, skoro dębiec zabił nim wampira i nic się nie stało. W cokolwiek zmieniła się pradawna laga, nie mogło to być gorsze od rzecznej diablicy.

Resztę nocy zapamiętałam dość mętnie.

Adam, już w spodniach, sprawdził dokładnie, czy rany pozwalają na bezpieczne przeniesienie mnie, a potem wziął na ręce i posadził na fotelu turystycznym, po czym opatulił dokładnie kocami. Zadzwoił do biura i kazał zdalnie otworzyć bramę na pole kempingowe, żeby wpuścić policję, której rój kręcił się przy wjeździe.

Był w trakcie obmywania mi twarzy, kiedy na teren wjechały różne wozy.

Opowiadał policjantom wersję wydarzeń nie do końca prawdziwą, ale też nie fałszywą. Każdy, komu się przedstawiał, sztywniał na wieść, że jest Alfą

watahy dorzecza Kolumbii, ale nikt nie dziwił się, że mało kto chciał uwierzyć, iż to prawdziwy potwór, nie seryjny morderca, był odpowiedzialny za zwiększoną liczbę zgonów w okolicy rzeki.

Adam tłumaczył, że dla dobra prywatności źródła nie może powiedzieć, kto go o tym powiadomił.

- Pierwszy raz spotkałem go w towarzystwie Jima Alvina i Calvina Seekera - mruknął jeden z policjantów, najpewniej ten, który podwoził nas po uratowaniu Benny'ego. Nie widziałam go dokładnie, bo miałam już czynne tylko jedno oko - drugie spuchło tak, że nie mogłam rozewrzeć powiek.

Na wspomnienie Jima miejscowi policjanci pokiwali głowami z mądrymi minami i przestali zadawać pytania, a gdy jeden z nich szepnął agentom: „Tutejszy indiański uzdrowiciel” - pytania skończyły się ostatecznie. Najwyraźniej nikt nie chciał wywoływać konfliktu ze społecznością Jakimów.

Im mniej oficjele wiedzieli o magii, wydrzakach i Kojocie, tym łatwiej było obarczyć wszystkimi wypadkami potwora z rzeki i wracać do domu. Słyszałam, jak jeden z agentów mówił coś takiego do telefonu. Co ważniejsze dla mnie, tym szybciej i ja mogłam wrócić do domu.

Odchyliłam głowę na oparcie, a kiedy się przecknęłam, Adam podawał mi kubek gorącego kakao. Ofuknęłam go za obudzenie mnie, ale złość przeszła z pierwszym łykiem napoju. Kakao było pyszne i gorące.

- Gdzie wszyscy? - zapytałam, rozglądając się.

- Nad rzeką, oglądają potwora. - Adam odstawił kubek i pocałował mnie lekko w czoło. - Dostali niezłego szwungu, kiedy dowiedzieli się, że leży tam w wodzie. Mają trzy minuty, zanim zabiorę cię na pogotowie.

Trzymał się ostatkiem sił. Grzeczna towarzyszka byłaby całkiem potulna do czasu, aż Adam dojdzie do siebie.

- Nie chcę na pogotowie - pisnęłam. Nie zamierzałam się ruszać przez następne stulecie. Wreszcie było mi ciepło i prawie nic nie bolało. Za bardzo.

- Nie masz wyboru - oświadczył superspokojnie, czułam jednak, że to opanowanie to cisza przed burzą.

- Zabiłam paskudne monstrum, chyba należy mi się prawo do odmowy? - powiedziałam, z zakłopotaniem stwierdzając, że oczy wypełniły mi się łzami. Musiałam zamrużyć, żeby je powstrzymać przed wypłynięciem. To oznaczało, że wyczerpałam wszystkie rezerwy i tej nocy nie zniosę nic więcej.

-Jesteś w szoku, potrzebujesz szwów i masz złamaną nogę. Gdzie z tym wszystkim chciałabyś teraz iść?

- Do domu?

Westchnął, oparł się czołem o moje i został tak przez chwilę.

- Pojedziemy jutro - obiecał. - Dzisiaj mamy wizytę na pogotowiu.

W szpitalu porozcinali mi stary strój kąpielowy, uparłam się, żeby nie ruszali nieśmiertelnika. Zmęczona lekarka przy pomocy pielęgniarki i pielęgniarza oczyszczali moje rany, zakładali szwy, sklejali i na sto innych sposobów torturowali moje ciało. Cała trójka bezwstydnie flirtowała z Adamem, mimo że przed wyjazdem uzupełnił swój strój o buty i koszulę. Adam nie zwracał na nich uwagi, więc się uspokoiliam.

O świcie dostałam piękny różowy gips i zalecenie, żeby w domu zgłosić się do ortopedy. Zdjęcie wykazało złamanie piszczeli, rzepki i podejrzany cień w kostce. Szwów miałam więcej niż szmaciana lalka, a dłonie zabandażowano mi jak mumii. Prawa była złamana, a do tego obie poparzone, pokaleczone i podrapane. Do tego dochodziły podbite oczy, pierwsze jeszcze w sklepie, a drugie sama nie wiem kiedy. Może stało się to, gdy martwa już diabllica runęła na mnie całym cielskiem albo jeszcze wcześniej, kiedy się miotła? Nie poczułam tego wtedy, a w szpitalu dostałam najlepsze na świecie środki przeciwbólowe, po których z radością doszłam do wniosku, że ból nogi wcale mi nie przeszkadza. Moja radość była tym większa, że piętno diabllicy zniknęło.

Kiedy przestałam cierpieć, z głosu Adama zniknęło to krańcowe napięcie, które tak mnie martwiło, a jego oczy pociemniały, aż stały się normalne, ludzkie. Oczywiście, kiedy przestałam cierpieć, przestałam się też przejmować, że Adam zrobi komuś krzywdę i później będzie tego żałował.

- Słuchaj - zagadnęłam go, kiedy dostał od pielęgniarki plik papierów - to do tego szpitala zabrano Benny'ego?

Tak więc Adam zawiózł mnie na wózku w odwiedzinach do Benny'ego. Benny spał głęboko, umęczona kobieta drzemała w fotelu przy jego łóżku, a Calvin siedział na szerokim parapecie, obserwując świt.

Na dźwięk skrzypiących kółek Calvin odwrócił głowę i mało nie spadł z okna, kiedy mnie zobaczył.

- Co ci się stało?! - zapytał i nagle na jego twarzy odbiło się zrozumienie. - Udało ci się?

-Jednego potwora mniej - przytaknęłam żywo, budząc niechcący kobietę, a także Benny'ego.

- Leki przeciwbólowe - mruknął Adam, jakby coś wyjaśniał. Możliwe, że mój chichot. - Jak widzicie, nie było łatwo.

- Opowiedz - poprosił mnie Benny, a ja chętnie to uczyniłam.

Gdzieś w okolicy wdrapywania się na cielsko diablicy Adam usiadł na podłodze i wsparł się czołem o moje udo. W sali stało jeszcze jedno krzesło, nie mogłam więc pojąć, dlaczego z niego nie skorzystał. Leki straciły działanie naszej więzi, więc dopiero po chwili poczułam, że nogi zmiękły mu z przerażenia.

- Prastary kostur? - dopytywał się Calvin, odrywając mnie od kontemplowania odczuć Adama.

Zamrugałam, zastanawiając się, czy istnienie kostura miałam trzymać w tajemnicy, czy też nie.

- To pewien artefakt należący do nie ludzi, który uczepił się Mercy po tym, jak z narażeniem własne-

go ocaliła życie znajomej istoty magicznej - wyjaśnił Adam i teraz od razu wiedziałam, że wspomnienie przygody z Zee też nie poprawiło mu nastroju.

- To mój przyjaciel - przypomniałam.

- Ona tak ciągle? - zapytał Calvin, spoglądając na Adama z szacunkiem.

Adam podniósł głowę. Oczy mu pojaśniały, a głos był tylko odrobinę chrapliwy.

- Po prawdzie to zwykle nie jej wina. W każdym razie nie zaczyna tego wszystkiego.

- Ale najwyraźniej kończy - podsumowała kobieta trzymająca Benny'ego za rękę. Dałabym sobie nogę uciąć, że to jego żona. Chyba musiałam powiedzieć to na głos, bo przytaknęła. - Tak, owszem. I chcę podziękować tobie i twojemu mężowi za ocalenie mojego Benny'ego.

- Sam się uratował - powiedziałam zaskoczona. - Nie opowiadał ci? Zachował się niezwykle sprytnie.

- Miałem szczęście. Gdybyście mnie wtedy nie znaleźli, już bym nie żył.

Pochyliłam się ku niemu.

- Przekazali ci, co mówiła twoja siostra? - Jim mu powiedział - rzekł Calvin.

- Nie wiem tylko, czy mam złożyć kwiaty od niej na grobie mamy, czy od siebie na jej grobie. - Benny wydawał się lekko oszołomiony, możliwe, że też dostawał leki przeciwbólowe.

- Najlepiej zrób jedno i drugie - poradziłam mu.

- No i co było dalej - ponaglił Calvin nieco płaczliwym tonem.

- Rzuciłaś ten ostatni nóż i zadźgałaś

potwora pradawną lagą nie ludzi, która zamieniła się w włócznie.

- Tak. - Opowiedziałam, jak serce diablicy zamieniło się w bryłę lodu, a kostur rozżarzył w moich rękach. - A potem dopłynęłam do brzegu.

- Ze złamaną nogą? - przypomniał Adam.

- Nieźle, nie? - Napuszyłam się.

- Nieźle to są te leki - podsumował Calvin. Adam znów ukrył twarz, opierając się czołem

o moją nogę. Jedną ręką trzymał mnie za zdrową kostkę, a drugą opierał się o posadzkę. Płytką, na której się podpierał, pękła z trzaskiem.

- Uważaj, bo się skaleczysz - złajałam go.

- Prędeż ty mnie wykończysz.

Ze świstem wciągnęłam powietrze do płuc. Naraz zalała mnie fala strachu tak silnego, że aż przebiła się przez obłok szczęśliwości, jakim otuliły mnie leki.

- Nie mów tak, Adam. Nie pozwól mi się zabić.

- Ciii, ciii, przepraszam. Nie płacz, wszystko będzie dobrze. - Klęknął przy mnie, ocierając mi policzki dłonią. - Wilkołaki to twardziele. I to nie ja prawie dałem się dzisiaj zabić. - Omalże nie jęknął przy tych słowach. - Tylko obiecaj, że już mi tego nie zrobisz.

- Nie zrobiłam tego celowo - buczałam żałośnie. - Nie chciałam prawie dać się zabić.

- To przez te leki - ocenił Benny ze znawstwem. - Ja też tak plotłem.

- A co się stało z tymi, jak im tam, wydrzaka-mi? - zapytał Calvin.

Ponieważ opowiedziałam Calvinowi o kosturze, opowiedziałam także o tym, co powiedziały mi o nim wydrzaki, i o tym, co im zrobił.

- Musisz zapytać o to Zee - rzekł Adam, odzyskawszy nad sobą panowanie, a wraz z nim brązową barwę tęczówek. Przyjrzał mi się krytycznie. - Tylko nie teraz, później, kiedy ci minie ta radosność. Zee może nie zrzucić jej na karb działania leków.

- Ciekawe, na karb czego zrzuci wymordowanie sześciu ostatnich żyjących wydrzaków - zastanowiłam się. - Dobrze, że chociaż siódmego ma na sumieniu diablica. - Ziewnęłam. - Myślę sobie, że nie rzeź miał na myśli Wujek Mike, kiedy prosił, żebyśmy sprawdzili, co z nimi.

- No nie wiem. Mike potrafi mówić ogródkami, kiedy zechce.

- Możliwe, że Szarzy Panowie będą chcieli mnie dopaść. - Zmarszczyłam brwi. - Wataha może na tym ucierpieć. Szarzy Panowie potrafią mieć spory rozrzut, kiedy namierzają cel swojego gniewu.

-Jeśli wezmą na cel watahę, chętnie im go wskażę. Ty zabiłaś jednego wydrzaka, ja pozostałe -oświadczył z satysfakcją.

Dotknęłam jego twarzy czubkami palców złamanej ręki.

-1 dobrze. Nie zdziwiłabym się, gdyby część zaginionych przypisywanych potworowi padła tak naprawdę ich ofiarą. Z tego, co mówiły, zjadały ludzi. -Diablica ich karmiła, tak twierdził wydrzak. Wielu nie ludzi miało okazję posmakować ludzkiego mięsa, a podejrzewałam, że wydrzaki należały właśnie do

tych smakoszy. - Nie wolno im było skrzywdzić nikogo w obrębie kąpieliska, więc przenieśli się gdzie indziej.

- Kto to Wujek Mikę i Szarzy Panowie? - dociekał Calvin.

- Równie dobrze możesz mu powiedzieć - stwierdził Adam. - Jest uzdrowicielem, szamanem, powinien wiedzieć takie rzeczy.

Adam zajechał na pole kempingowe, umościł mnie w samochodzie, otulił kocem i włączył klimatyzację. Klimatyzacja była dla mnie, a koc, mogłam się założyć, dla niego, czymś w rodzaju tarczy, którą najchętniej osłoniłby mnie, Jesse i resztę stada.

- Możemy jechać jutro - przekonywałam go. - Jesteś zmęczony. A ja czuję się lepiej, niż wyglądam.

- Mercy. - Pocałował mnie. - Czujesz się dokładnie tak fatalnie, jak wyglądasz. Widziałem, co ci robili. Gdy tylko działanie leków szpitalnych ustanie, zostaną ci apteczne, a te, uwierz, nie są nawet w części tak dobre. Chcę być w domu, zanim to się stanie. Tu i tak kręci się masa policji, FBI, reporterów i naukowców, chcących obejrzeć potwora z Kolumbii. Nie uśmiecha mi się pozostanie tutaj. - Westchnął i szepnął mi do ucha: - Poza tym aż się boję myśleć, co jeszcze się może wydarzyć, jeśli choć o jeden dzień przedłużymy sobie podróż poślubną. Oczekajmy z pół roku, a potem zabiorę cię do San

Diego, Nowego Jorku, albo nawet Paryża, jeśli będziesz miała ochotę. Ale dzisiaj wracamy do domu.

Zamknął drzwi i poszedł zapakować przyczepę. Zdrzemnąłam się trochę. Obudził mnie dopiero warkot silnika. Wyjechawszy do szpitala, Adam nie zamknął wjazdu na kemping, na którym panował teraz ruch jak na autostradzie. Mimo harmidru rozpoznałam samochód Jima Alvina. W drodze do nas przystawał co chwilę, żeby z kimś porozmawiać. Uśmiechał się, więc pewnie znał tych wszystkich ludzi.

Wreszcie wysiadł, poszedł porozmawiać z Adamem i dopiero potem podszedł do mnie.

Otworzył drzwiczki i aż gwizdnął na mój widok.

- Calvin mówił, że ledwie uszłaś z życiem. I widzę, że ledwie ci tego życia zostało.

- Widziałeś Kojota? Spoważniał.

- Nie, ale sama wiesz, albo się tu znów pojawi, albo siedzi tam gdzieś w innym obozie i gra w karty z kumplami. Kojot zawsze na końcu wychodzi cało z każdej opresji.

- W innym obozie?

- Z tymi, którzy odeszli przed nim.

- A co z Gordonem?

- Wszystko będzie dobrze, Mercy. - Stuknął lekko pięścią w ramę drzwi. - Chciałem podziękować ci za zrobienie tego, czego ja nie potrafiłem.

Zamrugałam, usiłując rozgryźć jego słowa. Wreszcie podchwyciłam właściwą myśl.

- Zrobiliśmy to razem.

- Tak, ale ja mam nadal obie nogi zdrowe i całkiem spory zapas życia.

- To nic takiego - pocieszyłam go. - Nie boli mnie na razie.

Spojrzał na mnie uważnie, a potem kąćki jego ust podjechały w górę.

- Z jakiego pochodzisz plemienia, Mercedes Atheno Thompson Hauptman?

- Z Czarnych Stóp, Pikunich - odpowiedziałam machinalnie. - Skąd wiesz o Athenie?

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Niektóre sprawy lepiej zachować w sekrecie. Dobrze, że wiesz już, kim jesteś.

Skrzywiłam się.

- Myślę, że z tej wyprawy wracasz do domu z czymś cennym - rzekł. - Z wiedzą o swoich korzeniach. Śpij dobrze, Mercy. Dam ci znać, jeśli spotkam Kojota albo Gordona. Ty też zadzwoń.

-Jasne. - Zamknęłam oczy, bo nie byłam już w stanie utrzymać otwartych powiek. - Wpadnij, jakbyś miał problemy z samochodem.

Zaśmiał się i zatrzaskał drzwiczki.

Adam miał rację co do leków - działanie środków, które podano mi w szpitalu, osłabło w końcu, a te z apteczki nie były takie dobre.

- Następnym razem, gdybym się wybierała zabijać potwory, postaraj się lepiej mnie powstrzymać -powiedziałam, kiedy wjeżdżaliśmy do miasta.

Pocałował mnie w zabandażowaną dłoń.

- Obiecuję, że tego nie zrobię. Ale następnym razem wybierz potwora, który nie mieszka w wodzie. Wtedy będę ci mógł pomóc.

- No dobra - zgodziłam się. - Nie chcę żadnego następnego razu - oświadczyłam po namyśle.

-Ja też - westchnął.

Gdybym mogła ruszać się bez jęczenia z bólu, oparłabym się o Adama. A tak poprzestałam na pozostawieniu dłoni na jego udzie, tam, gdzie ją odłożył.

- Ale jakby co - podjęłam - a wszystko wskazuje na to, że jakiś następny raz będzie, to wiedz, że wolę walczyć przeciw potworom z tobą niż z kimkolwiek innym.

- Wiesz, muszę ci się do czegoś przyznać. Chciałem poczekać z tym, aż znów wrócisz do swojej kategorii wagowej, ale chyba się nie da.

- Znalazłeś sobie miłą kelnerczkę i chcesz rozvodu?

- Nie. - Zaśmiał się. - Choć wezmę to pod uwagę w najbliższej przyszłości.

- Super. A ja poszukam innego pielęgniarza, bo ten ostatni był bardziej zainteresowany tobą.

- Ej, ale poważnie. Zrobiłem coś, czego nie powinienem robić.

Nadal byłam nieco otępiała, więc nie wiedziałam, czy przebłysk, który miałam, wziął się z więzi, czy też dlatego, że Adam brzmiał jak moja mama, mówiąca Nan, że znalazła jej pamiętnik i go przeczytała. Ponieważ już wcześniej powiedziałam sio-

strze, że nie powinna zapisywać niczego, o czym nie chciałaby, żeby ktoś się dowiedział, byłam zaskoczona zdenerwowaniem mamy. Okazało się, że Nan, podejrzewając mamę o wścibstwo, chciała dać jej nauczkę. A potem bite dziesięć minut musiała ją przekonywać, że nie diluje narkotykami, aby zapłacić za aborcję.

- Czytałeś mój list! - Udałam oburzenie.

- Ten, który napisałaś do mnie.

Ziewnięcie zrujnowało zamierzony efekt niezadowolenia. Poklepałam Adama po jedynym dostępnym mi kawałku, czyli udzie.

- To nic, przecież był zaadresowany do ciebie. Ujechaliśmy dobry kawałek, zanim odezwał się znowu.

- Kocham się, wiesz.

- Wiem. - Uśmiechnęłam się, nie otwierając oczu.

Musiałam się znowu zdrzemnąć, bo kiedy otworzyłam oczy, zatrzymaliśmy się na podjeździe Adamowego domu. Pomyślałam, że ktoś będzie musiał wycofać tę wielką kolubrynę, i jednocześnie ucieszyłam się, że tym kimś nie będę ja.

Drzwi otworzyły się, z domu wybiegła Jesse.

- Tata! Cześć, tato. Co tak wcześniej? Był tu ktoś od ciebie i zostawił wielki pakunek. Mówił, że wózek inwalidzki. To naprawdę wózek? Po co nam? -Kiedy Adam witał się z córką, ja otworzyłam drzwi i zaczęłam analizować możliwości wydostania się na ziemię. Gdybym siedziała w moim Króliku, wytoczyłabym się sama, ale w przypadku furgonetki metrowa odległość od ziemi była dla mnie nie do

przebycia. Choć z drugiej strony, z Królika też nie wy dostałabym się sama. W ogóle nie byłam w stanie dostawać się gdziekolwiek o własnych siłach. Jesse podniosła wzrok i otworzyła usta. - Tato! - wykrzyknęła ze zgrozą. - Co zrobiłeś Mercy?!

Wujek Mike nie robił wrażenia zachwyconego na wieść, że wymordowaliśmy wydrzaki. Mimo to wysłuchał, co zrobiły. Wysłuchał także listy moich urazów. A ponieważ dostawałam już tylko leki bez recepty, byłam w żalonym nastroju.

- Ile tych szwów? - zdumiał się, kiedy skończyłam wymieniać.

- Sto czterdzieści dwa - powtórzyłam. - Plus cztery zszywki. I wszystkie swędzą!

Nie było tak źle, kiedy mogłam się czymś zająć. A ponieważ nie mogłam się za bardzo ruszać, moje zajęcie polegało na rozmowach z ludźmi. Tego ranka wszyscy wyszli z domu, więc postanowiłam zadzwonić do Wujka Mike'a.

- I wiesz, co jest najgorsze? Jeśli masz złamaną rękę i ranę pod pachą, nie możesz używać kul. A z poparzonymi dłońmi odpada jeżdżenie na wózku. No chyba że się ma popychacza.

- Przedstawię to Szarym Panom jako samobójstwo przez wilkołaka - stwierdził po chwili milczenia. - Zresztą to prawda. Każdy, kto jest na tyle głupi, by grozić ci przy Adamie, sam się prosi o śmierć.

- Adam zabił tylko pięć. A ja tego jednego. - Zastanowiłam się. - No, nie do końca. Trzymałam tylko kostur, który go zabił. Mike znów zamilkł na moment. -Tak?

Opowiedziałam o tym, jak za pomocą kostura zabiłam potwora, powtórzyłam to, co mówił brodaty wydrzak, a potem jeszcze dodałam, jak wydrzak został zabity przez prastary artefakt.

- Unurzałaś kostur Lughy we krwi prastarego indiańskiego stwora?

- Zawaliłam na całej linii, nie?

- Nie miałaś wyjścia - westchnął. - Gdybyś go nie użyła, zginęłabyś, a potwór nadal pożerałby ludzi. Ale cóż, niedobrze się stało. Przemoc rodzi przemoc, szczególnie gdy w grę wchodzi magia.

- To co mam z nim zrobić?

- A możesz coś zrobić? Staraj się po prostu nikogo nim już nie zabić.

- A może ci go oddam? - Nie żebym obawiała się kostura. Nie wiedziałam przecież nawet, czy jest z nim coś nie w porządku. Po prostu głupio mi było, że go nie ochroniłam. Wolałam, żeby kostur miał ktoś, kto lepiej o niego zadba.

- Raz już próbowaliśmy, pamiętasz? Nie udało się.

- Ale przecież dębiec zabił nim wampira. Czemu wtedy nic się nie stało?

- Nie wiem. Jednak, gdybym miał zgadywać, chodziło o to, że kostur nie należał do dębca. A wola właściciela to potężna magia.

-Aha. - Przypomniałam sobie jeszcze jedną sprawę. - Jeśli chodzi o przyczepę... Masz jakiś dobry warsztat? Bo jak nie, to mogę ci polecić.

Sześć dni później przerzucałam kanały w salce kinowej w piwnicy, kiedy usłyszałam czyjeś kroki. - Idź sobie - burknęłam.

Miałam dość wszystkich, co było z mojej strony niewdzięczne. Jednak nie znosiłam być od kogoś zależna - denerwowało mnie to. Ktoś musiał znosić mnie i wnosić po schodach, wnosić i wyciągać z domu, a nawet do i z łazienki, bo żadna nie miała na tyle szerokich drzwi, żeby zmieścić się wózek. Z Adamem nie było jeszcze tak źle, ale dwa dni temu musiał wyjechać i zająć się czymś bardzo ważnym w Teksasie. Nie pojechałby, gdyby to nie dotyczyło jakiejś supertajnej sprawy rządowej, a tylko on w całej firmie miał odpowiednio wysokie uprawnienia.

Tego dnia byłam wyjątkowo skwaszona, bo miałam nadzieję na zdjęcie gipsu i założenie ortezy, z którą mogłabym chodzić, a okazało się, że muszę mieć nogę w gipsie jeszcze dwa tygodnie. Warren zniósł mnie razem z fotelem na dół, a potem zaczął kręcić się koło mnie jak kwoka, aż w końcu wyrzuciłam go z domu. I to w słowach, za które należały mu się przeprosiny, które też zamierzałam wyrazić, jak tylko skończę się nad sobą uzalać i jak tylko Jesse wróci do domu z randki, bo telefon zostawi-

łam w kurtce w kuchni na górze. Do jedyne go telefonu znajdującego się w piwnicy musiałabym zejść trzy stopnie, a jakby tego było mało, nadwyrężona, wymęczona noga bolała jak diabli. Tabletki nie pomagały. Siedziałam więc przed telewizorem, po policzkach ciekły mi łzy i nie chciałam świadków swojego nieszczęścia.

Kroki nie ustały. W zasadzie w domu nie powinno być nikogo, ponieważ jednak dom Adama służył za bazę watahy, wilkołaki wpadały tu o każdej porze dnia i nocy.

- Mówiłam...

- Żebyś sobie poszedł - dokończył Stefan. - Słyszałem.

Nie przyspieszył kroku, co było miłe z jego strony, gdyż dało mi czas na otarcie łez.

- Odwróciłabym się na powitanie - prychnęłam z goryczą - ale lekarz twierdzi, że nadwyręzam ręce i jeśli nie przestanę, zostaną mi blizny. Już nawet nie mogę obrócić się na tym cholernym ustroju.

Stefan obszedł fotel i wyłączył odbiornik. Salka pogrzyła się w ciemności. Kucnął tak, że znalazł się ze mną twarzą w twarz.

- Warren zadzwonił zaraz, jak zaszło słońce - powiedział, odgarniając mi włosy z czoła. - Powiedział, cytuję: „Czas się zrewanżować, Stefan. Próbowaliśmy wszystkiego i nie mamy już pomysłów”.

Zadarłam brodę.

- Tak? Nic mi nie jest. Możesz powiedzieć Warrenowi, że do końca tygodnia mają wolne. Nie muszą

nade mną wisieć. - Postanowiłam znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się samodzielnie do łazienki.

- Mercy - zaczął łagodnie Stefan - to nie tak, że oni nie chcą pomóc. Po prostu nie mogą. Każesz im zostawić się w spokoju, a teraz, kiedy Adam wyjechał, stoisz najwyżej w hierarchii stada i nie mogą robić nic wbrew tobie. Warren skarżył się, że zostali im w zanadrzu tylko tacy członkowie stada, którym nie chciałby powierzać opieki na tobą.

Nie przyszło mi to do głowy. No i nagle zrozumiałam, dlaczego Auriele i Darryl nie przychodzili, mimo że wysłałam im maila z przeprosinami zaraz po tym, jak ich wyrzuciłam z domu. Wiem, że przeprosiny mailowe są poniżej wszystkiego, ale tylko tak miałam pewność, że znów na nich nie nawrzeszczę.

- Musisz im powiedzieć, że mogą tu wrócić i rozmawiać z tobą. I pomóc. Tak samo jak ty pomogłabyś im w potrzebie. Warren prosił, żebym ci przekazał, że doskonale rozumieją twoją potrzebę warczenia i kąsania.

Przytaknęłam zawstydzona własną głupotą.

-Ale nie musisz tego robić dzisiaj. Dzisiaj masz mnie. Masz ochotę na spacer? Ciepło się zrobiło. Przyniosłem też gry planszowe. Założę się, że lubisz bitwę morską.

- Muszę do łazienki - westchnęłam zrezygnowana.

Bez cienia skrupowania - w każdym razie z jego strony - zaniósł mnie do łazienki. A potem zabrał na spacer nad rzekę. Niósł mnie, bo trasa była zbyt

nierówna na fotel na kółkach. Mogłoby to być kłopotliwe, ale ignorował wymuszoną bliskość, więc i ja robiłam to samo. Staralam się robić jak najmniej kłopotów, zatem od powrotu z Maryhill wychodziłam na zewnątrz tylko na wizyty kontrolne.

- Wyglądasz lepiej - oceniłam. Rzeczywiście, choć nadal był za chudy, nie przypominał już źdźbła, które mógł porwać podmuch wiatru.

- W zeszłym tygodniu zrobiłem wypad do Portland i przywiozłem dwoje ludzi - powiedział smutno. Wampiry nie polowały na owce, czyli ludzi, na których żerowali, na własnym podwórku. - Usiłowałem znaleźć takich, którzy by się wpasowali, ale nadal prowadzimy negocjacje terytorialne. Potrzebuję jeszcze kilkoro, poczekam jednak, aż sprawy się uspokoją. Warren obiecał, że na razie będą karmili mnie na zmianę.

Poklepałam go po ramieniu.

-Ja też nie znoszę być od kogoś uzależniona.

Zaśmiał się niewesoło.

- No to chyba jedziemy na tym samym wózku, co? Dopóki nie staniemy na nogi, musimy się nauczyć przyjmować pomoc i wyrażać odpowiednio wdzięczność. Pewnego dnia koło fortuny się obróci i to my będziemy mogli coś dla nich zrobić. I będziemy pamiętać, o ile łatwiej jest pomagać, niż przyjmować tę pomoc. A zmieniając temat, Warren mówił mi coś tam pięte przez dziesiąte, ale może opowiesz mi swoje ostatnie przygody? Lubię słuchać wieści z pierwszej ręki.

Nosił mnie, dopóki nie zmarłam i nie ochryłam. Potem wróciliśmy do domu, żeby zagrać w statki.

-B-7.

- Pudło! - Stefan cieszył się jak dziecko, bo okrążał mój ostatni, największy okręt, a ja ciągle szukałam jego dwumasztowca. - C-2.

- Trafiony. I dobrze o tym wiesz - burknęłam. Popatrzył na mnie, a potem na coś ponad moim ramieniem.

- D-4 - powiedział Kojot. Stefan wstał gwałtownie.

- A ty to kto? - zapytał, a ja, nie bacząc na zalecenia lekarza, odwróciłam sama swój wózek.

- Jesteś! - ucieszyłam się. - Martwiliśmy się o ciebie.

- No ja myślę - oświadczył Kojot, po czym przyjrzał mi się uważniej. - Mercy, coś ty ze sobą zrobiła?!

- To nie ja, to diablica i wydrzaki. Musnął mi kciukiem policzek.

- Przeciekasz, Mercy. Może trzeba ci jeszcze kilka szwów? Roześmiałam się, ocierając twarz.

- Za cztery dni wyciągają mi resztę szwów. Myślałam, że nie żyjesz.

- I tak było. Taki był przecież plan. Nie pamiętasz? Czemu trzymasz wampira w swojej piwnicy? - Popatrzył na Stefana zmrużonymi oczyma i ze źle

skrywaną wrogością stwierdził: - Zmiennokształtni zabijają wampiry.

- Mercy - odezwał się Stefan - czy to Kojot?

- Uhm - potwierdziłam. - Stefan, poznaj Kojota. Kojocie, to Stefan Uccello, mój przyjaciel.

Spojrzenie Kojota zlodowaciało.

- Pamiętam cię.

Stefan uśmiechnął się do mnie.

- Od co najmniej stu lat nie walczyłem z żadnym zmiennokształtnym. Ale chyba lepiej będzie, jeśli wybiorę się na spacer i pozwolę wam porozmawiać. Masz pod ręką komórkę? - Pokazałam aparat. Pamiętał, żebym go zabrała, kiedy wróciliśmy ze spaceru. - Zadzwoń, jak wyjdzie. Obiecałem Warrenowi, że nie zostawię cię samej. Zadzwonię tymczasem i powiem mu, że jutro może wrócić.

- Dziękuję. - Naprawdę byłam wdzięczna Stefanowi za wszystko.

Ignorując ostrzegawcze warknięcie Kojota, pochylił się i pocałował mnie w policzek. A potem zniknął.

Kojot wyprostował się, wpatrując w miejsce, gdzie przed chwilą stał Stefan.

- Nigdy nie widziałem, żeby jakiś krwiopijca robił coś podobnego.

- Stefan jest wyjątkowy - potwierdziłam. - Ależ się cieszę, że wróciłeś. A jak reszta? Wiesz coś o nich?

Kojot ze stęknieniem usiadł na miejscu Stefana.

- To Ptak Grom, Gordon Seeker, przywołał mnie z powrotem. Zaskoczyło to tak samo mnie, jak i jego, bo nie ma już na ziemi żadnego zmiennokształtnego

Ptaka Groma. Byliśmy pewni, że nie da się wrócić bez tej kotwicy. Ale to tylko pokazuje, że bez względu, jak długo się żyje, życie wciąż może zaskoczyć. Masz coś do jedzenia? Od kilku dni nie miałem nic w ustach.

- W lodówce. Musisz sam się obsłużyć.

Zaniósł mnie z fotelem do kuchni, a potem zrobił sobie ogromną kanapkę, nalał do szklanki mleka i usiadł ze mną.

Opowiedziałam mu, jak zginęła diablica i wy-drzaki, a ponadto wspomniałam o moich troskach dotyczących kostura.

Kostur nie zrobił nic od zabicia wydrzaka, ale wyczuwałam w nim pragnienie działania, cień brutalności. Zauważyłam, że pojawia się zawsze, gdy jestem w najpodlejszym humorze. A może sobie to tylko wyobrażałam? Bez konkretnego dowodu nie zamierzałam mówić o tym Adamowi. Jednak Kojot polegał bardziej na instynktach niż na logice, więc uznałam, że zrozumie. Chyba miałam także nadzieję na jakąś sugestię, co mam począć z kosturem, ale Kojot tylko mnie słuchał i kiwał głową, nie przerywając jedzenia. Opowiedziałam mu także, jak wygląda życie inwalidki w gromadzie wilkołaków, które starają się pomóc na siłę i za wszelką cenę. To ostatnie rozbawiło go tak, że puścił nosem bańki z mleka. Noga nie przestawała mnie boleć, szwy swędzieć, Adam jeździł gdzieś po Teksasie, ale i tak poczułam się lepiej.

Kojot ze swej strony opowiedział mi parę legend o sobie w nieocenzurowanych wersjach. Kloaczny humor nie powinien bawić nikogo powyżej dwuna-

stego roku życia, i to tylko męską część tej młodości, ale opowiadane przez Kojota historie łączyły jego przebiegłość i niewinność.

Pochylił się i dotknął mojego nosa.

- Jesteś już zmęczona. Lepiej pójdę.

- Wpadnij jeszcze kiedyś.

Kojot rozejrzał się po kuchni, a potem spojrzał na mnie.

- A wiesz, może wpadnę. - Wstał i już za moimi plecami powiedział: - Cóż za piękna rzecz.

Odwróciłam się, na ile mogłam. Kojot oglądał kostur, który musiał się plątać gdzieś w pobliżu. Zakręcił nim jak Chaplin laseczką.

- Cóż za elegancka inkrustacja, zręczne rzeźbienie. - Uśmiechnął się, czekając, aż zrozumie jego intencje.

- Byłabym zaszczycona - powiedziałam, przypominając sobie, co Charles mówił mi o przedmiotach i podziwiających je gościach - gdybyś go przyjął w darze. Radował mnie przez długi czas, tak jak radowała mnie twoja wizyta, dlatego świetnie pasuje na prezent dla tak wspaniałego i miłego memu sercu gościa.

Uśmiechnął się do mnie, zadowolony z mojej przebiegłości.

- Ponoć ostatnio nabrał chętki na niebezpieczne przygody, tak? Wobec tego będziemy stanowili zgraną parę z tym kosturem.

Od początku usiłowałam oddać kostur nieлюдziom i zawsze do mnie wracał. Teraz jednak czułam, że chętnie zostanie z Kojotem.

- Trzymaj się - powiedziałam na pożegnanie. -I pozdrów ode mnie swoje siostry.

-Jak najbardziej - obiecał, otwierając kuchenne drzwi. Odwrócił się jeszcze w progu. - Przekaż swojemu towarzyszowi, że ma o ciebie dobrze dbać -warknął.

- Przekażę. - Uśmiechnęłam się. - Baw się dobrze.

- O, zamierzam, zamierzam - rzekł Kojot, zamykając drzwi. A i tak usłyszałam jeszcze:

- Jak zwykle.

LIST MERCY DO ADAMA

Najdroższy Adamie,

Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że tym razem mi się nie udało. A niech to. Naprawdę miałam obawy co do tej awantury i gdyby tylko było jakieś inne wyjście, skorzystałabym z niego.

Nie jestem zbyt dobra w mówieniu o pewnych rzeczach, a już na pewno nie o uczuciach, ale to przecież wiesz. Lepiej mi idzie działanie niż mówienie. To pewnie dlatego, że nie myślę o tobie w słowach. Jak mogłabym zawrzeć uczucia do ciebie na tym kawałku papieru? „Kocham cię” nie brzmi wystarczająco dobrze, a inne sposoby wyrażenia tego uczucia (sprawdź w tym małym koszu pod zlewem, tam są brudnopisy tego listu) przypominają grafomańską poezję, co jest jeszcze gorsze. Dlatego może pozostanę przy zwykłych słowach. Kocham cię, Adamie.

Pamiętaj, że walczyłam ze wszystkich sił, żeby do ciebie wrócić. Nie poszłam na łatwiznę, nie poddałam się. Walczyłam do końca, bo wiedziałam, że czekasz na mnie tam na brzegu. Gdyby istniała jakaś możliwość, żeby dowlec do ciebie to wątłe śmiertelne ciało, zrobiłabym to nawet, gdybym musiała się czułgać. Przeszłobym piekło, żeby do ciebie wrócić, a nie udało mi się tylko ze względu na słabość ciała, nie serca.

Nie odpychaj od siebie Jesse. Potrzebuje cię bardziej, niż jest to skłonna przyznać. Chciałam powiedzieć ci, żebyś sobie znalazł jakąś dobrą kobietę, ale chyba nie jestem na tyle wielkoduszną osobą, by to zrobić. Mimo wszystko, w razie czego nie miej wyrzutów sumienia, dobrze? I nie każ jej czekać (tak jak kazałeś czekać mnie) tylko dlatego, że uważasz, że jesteś zbyt stary, zbyt alfowaty, zbyt... cokolwiek innego, co sobie umyślisz. Niech tylko cię odpowiednio ceni.

Kocham cię,

Mercy

Koniec